



autorzy  
międzynarodowych  
**BESTSELLERÓW**

# UKRYTY PŁOMIENI

JANETTE OKE  
&  
DAVIS BUNN



KROKI WIARY

SERIA KROKI WIARY, TOM 2



# Ukryty Płomień

DAVIS BUNN  
&  
JANETTE OKE

**Psalm18.pl**

twoje źródło inspirujących książek

---

[www.wydawnictwo.psalm18.pl](http://www.wydawnictwo.psalm18.pl)

Tytuł oryginału: The Hidden Flame

Copyright © 2010 by Davis Bunn and Janette Oke  
Originally published in English under the title The Hidden Flame  
by Bethany House Publishers, a division of Baker Publishing Group,  
Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A.  
All rights reserved.

Copyright © 2019 for Polish translation  
and edition © Psalm18.pl Daniel Wołochowicz

**Przekład:** Małgorzata Wołochowicz

**Redakcja i korekta:** Beata i Tomasz Strużanowscy

**Skład:** Grażyna Kołbasa

**Projekt okładki:** Daniel Wołochowicz

**Zdjęcia na okładce:** unsplash.com by Sergio Rodriguez  
- Portugues del Olmo, Armin Lotfi

**Druk:** Wydawnictwo Arka, [www.arkadruk.pl](http://www.arkadruk.pl)

**Konwersja do EPUB/MOBI:** InkPad.pl

ISBN: 978-83-955619-0-0

Wydawnictwo

**Psalm18.pl**  
twoje źródło inspirujących książek

**Psalm18.pl Daniel Wołochowicz**

Świeradowska 47, 02-662 Warszawa

NIP: 9512138491

[wydawnictwo@psalm18.pl](mailto:wydawnictwo@psalm18.pl) | [www.wydawnictwo.psalm18.pl](http://www.wydawnictwo.psalm18.pl)

[facebook.com/psalm18.pl](https://facebook.com/psalm18.pl) | [instagram.com/psalm18.pl](https://instagram.com/psalm18.pl)

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

[www.psalm18.pl](http://www.psalm18.pl) | 579 058 810

# SPIS TREŚCI

[WSTĘP DO WYDANIA POLSKIEGO](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY](#)

# WSTĘP

## DO WYDANIA POLSKIEGO

Z radością oddajemy Państwu drugi tom z serii **Kroki Wiary** pt. „Ukryty Płomień”.

Tom pierwszy pt. „Śledztwo Setnika” spotkał się z niezwykle dobrym przyjęciem zarówno czytelników jak i recenzentów. Wielkim wyróżnieniem było dla nas nagranie przez Teatr Polskiego Radia słuchowiska pt. „Śledztwo Setnika”. Ale najbardziej cieszą nas sygnały, że powieść się podoba, gdy towarzyszy im pytanie o kolejne tomy.

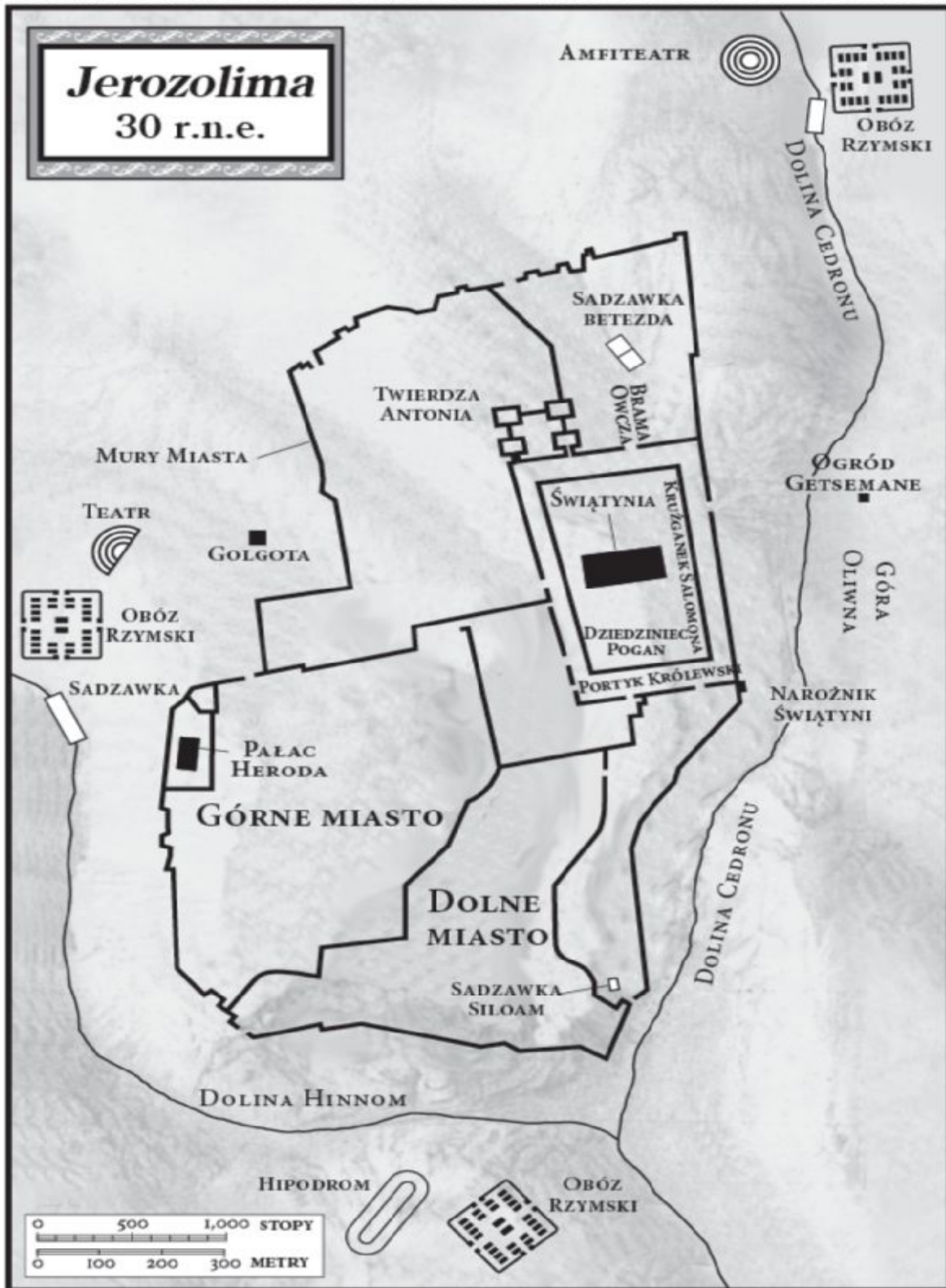
Dla nas dobra powieść to nie tylko wartka akcja i ciekawe tło historyczne, ale poczucie, że towarzyszymy bohaterom w ich odkrywaniu prawdy na temat Boga. Pod tym względem fani powieści „Śledztwo Setnika” nie będą zawiedzeni. Pośród biblijnych wydarzeń w tym tomie znajdziemy jeszcze głębsze Boże Prawdy.

Ale wierzymy też, że lektura tej książki będzie fascynująca również dla osób, które nie przeczytały tomu pierwszego – jest to wzruszająca historia o miłości, która przewycięża nawet... śmierć.

Dedykujemy tę książkę  
wszystkim naszym przyjaciołom  
w wydawnictwie  
Bethany House Publishers  
z gorącymi podziękowaniami  
za mądrość, troskę i kreatywność,  
z jakimi niesiecie nasze książki światu.

# Jerozolima

30 r.n.e.







Świątynia w Jerozolimie



KRUŻGANEK SALOMONA



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Jerozolima, 33 r. n.e.*

Abigail cichutko wycofała się z miejsca, gdzie odbywała się uroczystość i pokuśtykała w stronę cienia. Boląca noga doskwierała jej coraz bardziej, więc usiadła na kamiennej ławce pod zewnętrzną ścianą okalającą podwórze. Wokół niej odgłosy bawiących się gości weselnych zlewały się w jeden szum. Jeszcze nigdy nie była świadkiem tak radosnego świętowania. Czuła, jakby napięcie, niepokój i niepewność ostatnich tygodni zupełnie odeszły. Ci ludzie cieszyli się nie tylko z powodu ślubu Albana i Lei. Był jeszcze jeden, dużo ważniejszy powód niż radosne przymierze tych dwojga nowych wyznawców Drogi.

Wszyscy radowali się prawdą, w którą już wcześniej wierzyli, lecz która teraz została potwierdzona. Ich Przywódca, Rabbi Jezus, naprawdę powstał z martwych i byli na to naoczni świadkowie.

Abigail obserwowała, jak dwunastoletni Jakub tańczy wśród innych weselników z niemal histerycznym zapałem i żarliwością. Wciąż było to dla niej niepojęte, że jej brat żyje, że jest cały i zdrowy. Miała wrażenie, jakby od zamordowania jej rodziny upłynęła wieczność. Tak długo czuła się samotna i zagubiona. I oto, nie dalej jak kilka godzin temu, zauważyła go tańczącego po drugiej stronie podwórza. Dla niej on

również jakby zmartwychwstał – ten cud wydawał się jak sen. Na samą myśl o tym, do jej oczu znów napłynęły łzy.

Jakub musiał poczuć jej wzrok na sobie, bo odwrócił się, jakby jej szukał. Gdy ich spojrzenia się spotkały, podbiegł z troską na twarzy.

- Abigail, czemu nie tańczysz? Źle się czujesz?

- Czuję się świetnie, Jakubie.

I tak było. Chora noga dość mocno ją bolała, lecz w tej chwili mogła czuć jedynie radość w sercu. Lea, jej ukochana przyjaciółka, tańczyła w kręgu wierzących ze świeżo poślubionym mężem, Albanem, a jej brat stał tuż przed nią. Jej *brat*.

- Jestem tylko trochę zmęczona – zapewniła go.

- Przynieść ci coś? – zerknął na stół weselny udekorowany kwiatami i gałązkami, gotowy na mającą się niedługo rozpocząć ucztę.

Nagle odczuła potrzebę dotknięcia go, upewnienia się, że Jakub nie jest jakąś zjawą, przywidzeniem. Sięgnęła jego ramienia z drżącym uśmiechem.

- Może trochę wody. Dziękuję.

Gdy Jakub podbiegł do stołu, spojrzała znów na radosny tłum wypełniający małe podwórze. *Czy to możliwe, że minęło zaledwie sześć tygodni odkąd nasz Pan umarł?* Grupa Jego wyznawców, będąca już pod obserwacją jako podejrzana, pozamykała się po domach, szepcząc jeden do drugiego podniosłe, a zarazem pełne strachu słowa, rozglądając się nerwowo za każdym razem, gdy ktoś spośród nich musiał wyjść na ulicę.

Wtedy Jezus się im objawił, po czym wstąpił do nieba, by wysłać do nich Ducha Bożego, który zstąpił w jakże zdumiewający sposób – pod postacią wiatru i ognia.

A teraz bawili się z rumieńcami na twarzach i wesołością w oczach, a ich głosy zlewały się w tekst pieśni. Znów zabrzmiała muzyka tamburynów i fletów, porywając stopy do tańca. Tak, słyhać było bez wątpienia, że jest to zabawa weselna, lecz było to także świętowanie zmartwychwstania ich Pana i otrzymania pożegnalnego daru Jego niewidzialnej, lecz niewątpiwej obecności.

*I powrót Jakuba* – wyszeptała do siebie Abigail z nikłym uśmiechem, wachlując twarz liściem palmowym. Jak to dobrze mieć tyle powodów do świętowania! *Gdyby tylko moja noga tak nie bolała...* Dyskretnie

sięgnęła pod szatę, by rozmasować bolące miejsce. Jakże by chciała być teraz pośród tańczących! Bez końca wirowałaby po podwórzu...

- Proszę, siostrzyczko!

Abigail mimowolnie wstrząsnął dreszcz radości na dźwięk znajomego zwrotu z ust chłopaka, o którym myślała, że nigdy więcej go nie ujrzy. Uśmiechnęła się w podzięcie i wzięła z jego ręki gliniany kubek, ale nie mogła się napić, gdyż gardło miała ściśnięte ze wzruszenia.

Jakub odwrócił się, by popatrzeć na klaszczący i śpiewający tłum. Kiwnęła głową wskazując mu, by dołączył do reszty. Widziała, że jest rozdarty, więc dotknęła lekko jego ramienia i popchnęła go.

- Idź, Jakubie. Zatańcz za nas oboje - tyle tylko zdołała wypowiedzieć przez łyzy radości.

I już go nie było. Patrzyła, jak bierze kogoś za rękę i wiruje pośród przyjaciół. Była wśród nich jej droga przyjaciółka Hanna z białymi kwiatami wplecionymi we włosy. Lea i jej oblubieniec wymknęli się już do swej komnaty weselnej.

Abigail wstała. Powinna pomóc Marcie i Marii, które właśnie wносиły tace z pieczoną jagnięciną, by umieścić je na poustawianych wzdłuż ściany stołach. Jej uwagę przykuł śmiech przebijający się przez ogólną wrzawę. Pewnie jeden z galilejskich rybaków opowiadał jakąś zabawną historię. Choć nie słyszała słów, uśmiechnęła się, gdy jeden z mężczyzn poklepał swego towarzysza po plecach i obaj znów gruchnęli śmiechem.

Westchnęła i spróbowała wstać, zobaczywszy kobiety niosące gliniane misy z czerwonymi winogronami i dojrzałymi oliwkami. Wcześniej pomagała przygotować do nich sos z suszonej ciecierzycy oraz tacę ze świeżą dymką, kolendrą i miętą.

- Abigail! - zawołała ją Marta. - Chodź i zajmij miejsce przy stole.

Chociaż jej ton był bezpośredni i szorstki, Abigail знаła jej serce. Przez Martę przemawiała miłość.

- Powinam pomagać...

- Jest znacznie więcej rąk do roboty. Widziałam wcześniej, jak utykasz. Siadaj i jedz.

Gdy Piotr wstał, by pobłogosławić jedzenie, Abigail niechętnie podeszła, by zająć miejsce przy stole dla kobiet. Uwielbiała słuchać, jak

Piotr głośno się modli. Jego słowa były skierowane do Boga Jahwe, lecz przynosiły słuchającym pocieszenie i zrozumienie Bożych prawd.

Ledwie zajęła miejsce, gdy ktoś pociągnął ją za rękaw. Przykucnęła przy niej Nedra, służąca z pałacu Heroda. Było to zadziwiające, gdyż mimo usilnych próśb Lei, przełożony Nedry, Enos, odmówił jej pozwolenia na uczestnictwo w dzisiejszej uroczystości.

- Och, Nedro, Lea będzie taka szczęśliwa, kiedy się dowie, że Enos dał się ubłagać...

Ale Nedra od razu potrząsnęła głową. Dyszała tak ciężko, że Abigail czuła jej oddech na swojej twarzy. Dziewczyna pochyliła się bliżej i wysapała:

- Enos nie wie, że tu jestem. Muszą uciekać. Natychmiast!

Jej słowa nie od razu dotarły do świadomości Abigail.

- Ale jak to?

- Lea, Alban. Muszą uciekać. *Teraz!*

Oczy Nedry były szeroko otwarte ze strachu.

Z drugiego końca stołu dobiegła do ich uszu salwa gromkiego śmiechu. Niepokój Nedry nie pasował do tego zgromadzenia.

- Ale Alban i Lea są...

- Teraz! Musisz mnie posłuchać - palce Nedry szarpały szatę Abigail. - *Nie ma czasu.*

- Nie rozumiesz, Nedro. Oni poszli do komnaty weselnej...

- Herod już wysłał strażę - w oczach Nedry krył się lęk graniczący z szaleństwem.

Z drugiej strony Abigail odezwał się głos:

- Czy coś się stało?

Abigail z ulgą spostrzegła, że obok jej ławki stoi Marta.

- Nedra mówi, że jest jakieś niebezpieczeństwo. Próbowałam jej wyjaśnić, że...

- A ja ci mówię, że muszą uciekać - Nedra zerwała się z miejsca, machając gwałtownie rękami.

Nagle stanął przy nich młodzieniec imieniem Szczepan. Przystojne rysy jego ciemnej twarzy wyrażały zatroskanie, lecz mimo wyraźnego przerażenia Nedry, młody człowiek zachowywał niebywały spokój.

- Proszę... Nedro - tak masz na imię? Powiedz nam, proszę...

- Jeśli Enos zauważy, że mnie nie ma, każe mnie zabić - Nedra wytarła czoło trzęsącą się dłonią.

- Nie możemy więc na to pozwolić. Skoro biegłaś tu całą drogę, musisz być spragniona. Marto, proszę, przynieś jej coś do picia. A teraz mów, co się stało.

Abigail widziała, jak Nedra się trzęsie.

- Herod wysłał strażę - powtórzyła ochryplym głosem.

- Żeby pojmać Leę?

- I Albana. Herod nadal chce się zemścić na nich obojgu. Mają być do niego przyprowadzeni, a proces ma się odbyć szybko. A potem... potem zabije oboje.

- Jesteś pewna?

- Podśluchałam, co planuje.

- Czy nie można się do kogoś odwołać?

Marta przyszła z kubkiem wody, ale Nedra tylko trzymała go w dłoniach.

- Nie. Piłat wyjechał do Cezarei. I właśnie dlatego Herod podjął działanie teraz - oddech Nedry znów stał się nerwowy i urywany. - Muszę wracać. Z każdą chwilą, gdy tu jestem, rośnie niebezpieczeństwo...

- Oczywiście - Szczepan podniósł wzrok rozglądając się po podwórzu. - Jakubie! - zawołał. - Potrzebujemy twojej pomocy. Odprowadzisz tę panią szybko i bezpiecznie do pałacu?

Chłopiec może i był młody, ale odpowiedział od razu. Musiał wyczuć niebezpieczeństwo.

- Znam tajemne przejścia. Chodźmy! - machnął ręką kierując się w stronę bramy.

- Dobry chłopak - pochwalił go Szczepan, po czym kiwnął i uśmiechnął się do Nedry. - Dobrze zrobiłaś, że przyszłaś.

- Powiedz im, że mi przykro. Ale muszą się pospieszyć - Nedra pozwoliła, by Jakub wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Ostatnie słowa rzuciła przez ramię, już w biegu: - Powiedz, żeby się spieszyli! Przekaż ode mnie pozdrowienia. Będę się za was modlić.

- A my za ciebie. Biegnijcie bezpiecznie!

Szczepan odwrócił się do Marty.

- Musimy im powiedzieć.

Abigail zorientowała się, że muzyka ucichła i wszyscy patrzą w ich kierunku.

- Nie moglibyśmy ich ukryć? - zapytała zdławionym głosem.

Marta szybko jej odpowiedziała:

- Nedra nie panikuje bez powodu. Ryzykowała życie, by ocalić przyjaciół.

- Skoro Herod już wysłał strażę, musimy się pospieszyć - dodał Szczepan. Nawet nagłe niebezpieczeństwo nie zmąciło jego wrodzonego spokoju. - Alban i Lea są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tutaj nie mają gdzie się ukryć - nie przed gniewem Heroda, nie w tym mieście. Nedra ma rację. Muszą uciekać.

Abigail znalazła w sobie siłę, z której nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Zwróciła się do Marty:

- Ja pójdę ich ostrzec. Spakujesz im do torby trochę jedzenia?

Szczepan już ruszył z miejsca.

- Zobaczą, czy uda mi się załatwić konia.

Abigail wspięła się najszybciej jak mogła po drewnianych stopniach wiodących do pokoju, który dzieliła z Hanną, a który udekorowały i użyczyły młodej parze. Usłyszała delikatny śmiech kobiety. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Lea się śmiała. *A teraz chwile radości muszą się zakończyć tak szybko.* Oczy wypełniły jej się łzami, gdy stanęła pod drzwiami pokoju.

Już miała ich zawołać, gdy drzwi się otworzyły. Stał w nich Alban obejmujący Leę w talii.

- Co się stało, Abigail? Usłyszałem, jak ktoś biegnie...

- Herod... - smak tego słowa w jej ustach był ohydny. - Idą po was jego oddziały. Teraz. Nie ma czasu...

Urwała, bo Alban właśnie chwycił ją za ramię.

- Spokojnie. Powiedz jeszcze raz.

- Herod wysłał po was strażę. Nedra wymknęła się z pałacu, żeby nas ostrzec. On chce... - nie mogła dalej mówić.

- Co chcesz powiedzieć? - szepnęła Lea.

- Piłata nie ma w mieście - wyjaśnił Alban ponurym tonem. - Herod wykorzystuje szansę, by się na mnie zemścić za to, że pokrzyżowałem mu plany.



Abigail zarzuciła ramiona na Leę, a łzy płynące z jej oczu zamieniły się w szloch, gdy tuliła przyjaciółkę. – Musicie uciekać. Oddziały...

Ciepłe dłonie Lei przytrzymały ramiona Abigail.

– Bierzcie rzeczy – ty i Jakub. Pospieszmy się.

– Straże nie będą szukać Abigail ani Jakuba – zdecydowanie w głosie Albana pomogło obu kobietom uspokoić się. – Towarzyszenie nam byłoby zbyt niebezpieczne dla nich obojga. We dwoje będziemy się szybciej poruszać i mniej rzucać się w oczy.

– Ale...

– Leo, jeśli strażę już nasz szukają, musimy ruszać *teraz*. Jak już będziemy bezpieczni, pošlemy po nich.

– Jakub poszedł odprowadzić Nedrę do pałacu – Abigail wytarła twarz. – Alban ma rację. A z moją nogą...

Lea uścisnęła ją jeszcze mocniej.

Alban delikatnie odsunął żonę od przyjaciółki.

– Musimy iść.

– Damy znać jak tylko to będzie możliwe – powiedziała Lea przez ramię, spiesznie schodząc ze schodów. – Obiecuję.

Abigail osunęła się na stopień, ukryła twarz w dłoniach, a przez palce pociekły jej łzy.

– O, Boże, daj im szybkość i Twoją ochronę – tylko tyle była w stanie wypowiedzieć.

\*\*\*

Jedynym zwierzęciem, które w tak krótkim czasie udało się znaleźć Szczepanowi, był osioł, wykorzystywany do zwożenia z doliny opałowego drewna. Z wyrazu twarzy Albana Abigail wyczytała, że miał nadzieję na coś lepszego. Strach przed pochwyceniem przez Heroda był widoczny w głębi jego oczu. Na szczęście Lea była zbyt zajęta pożegnaniem z innymi kobietami, by to zauważyć. Zanim wspięła się na osiołka i spojrzała na ukochanego, twarz Albana wyrażała właściwą dla niego powagę i siłę.

– Musimy ruszać.

– Dokąd się udacie? – spytała Abigail.

- Lepiej będzie, jak nie będziesz wiedziała. Gdy nie wiesz, nie grozi ci niebezpieczeństwo.

Nawet spokojna zazwyczaj Marta była teraz pełna niepokoju.

- Na tym osiołku daleko nie zajedziecie.

Alban chwycił za lejce i zaczął iść.

- Nie mamy wyboru.

Gdy doszli do bramy podwórza, z wąskiej alejki dało się słyszeć zbliżający się tętent kopyt. Abigail stała wystarczająco blisko, by zauważyć, że Alban sięga do pasa, lecz jego ręka schwytała tylko powietrze. Odwrócił się do Lei i powiedział:

- Przygotuj się do biegu.

- Nie opuszczę cię *nigdy!*

Alban już chciał z nią dyskutować, gdy odwrócił się i spostrzegł jeźdźca galopującego w ich stronę.

- Linuks! - zawołał, gdy ten stanął przed nimi.

Twarz żołnierza była poważna.

- Ludzie Heroda depczą mi po piętach! - Linuks zsunął się z konia.

- Weźcie mojego rumaka i pędźcie jak wiatr!

Mężczyźni uścisnęli się. Wahanie szybko zamieniło się w solidny uścisk żołnierzy, którzy służąc razem zostali przyjaciółmi. Następnie Alban wskoczył na grzbiet konia i wciągnął Leę. Szczepan i Marta wetknęli im sporządzone naprędce zapasy na podróż. Przez krótką chwilę Lea i Alban rozejrzeli się po zebranych. Była to cicha chwila, gdyż każdemu zabrakło słów. Wreszcie Alban obrócił konia i wbił pięty w jego boki.

Abigail odpięła róg szala i uniosła go, by wytrzeć spływające po policzkach łzy. Strach niemal zgniatał jej klatkę piersiową. Zastanawiała się, kiedy - *i czy w ogóle* - ich znowu zobaczy. Poczwała, że ktoś ją obserwuje i nagle zauważyła, że żołnierz, ten Linuks, wcale nie patrzył za swoim odjeżdżającym przyjacielem. Patrzył *na nią*.

Przeszedł ją dreszcz. Już wcześniej zauważyła tego przystojnego rzymskiego oficera; zwróciła też uwagę na jego śmiałość. Ciaśniej okryła twarz chustą, zakrywając ją całą poza oczami, po czym odwróciła się, by popatrzeć, jak szybko koni rumak niosący Albana i Leę znika za rogiem ulicy.

Gdy ucichł już dźwięk kopyt na brukowanej drodze, Abigail odwróciła się i ujrzała wspólnotę wierzących stojącą w ciszy. Już nie grała weselna muzyka. Nie było już śmiechu i wesołości, tańców i ucztowania. Ich świat znów gwałtownie się zmienił i musieli sobie przypomnieć, kim są i *gdzie* się znajdują. Obcy we własnej ziemi. Judejczycy, a jednak postrzegani jako wrogowie zarówno przez własnych przywódców religijnych, jak i przez rzymskich najeźdźców.

Ciszę przerwał stanowczy głos. Choć tylko trochę głośniejszy od szeptu, odbił się echem na podwórzu. Była to modlitwa, płynąca prosto z serca i duszy byłego rybaka z Galilei.

- Jedźcie z Bogiem - powiedział Piotr.

- Jedźcie z Bogiem - powtórzyli wszyscy, jakby wzięli oddech świeżego powietrza. Tak. W końcu przecież Bóg był z tym dwojgiem, którzy teraz ratowali ucieczką swoje życie. Był również z tymi, którzy zostali, by spotkać się z prześladowcami.

\*\*\*

Abigail jeszcze nie otrząsnęła się po tych dramatycznych wydarzeniach, gdy zdyszany Jakub pociągnął ją za szal.

- Ukryli się? - zapytał z trudem.

Abigail złapała go obiema dłońmi za ramiona.

- Czy Nedra...?

- Udało nam się - wysapał. - Nie sądzę, by Enos się zorientował, że w ogóle opuszczała pałac.

- Bogu dzięki - wyszeptała Abigail.

- Gdzie Alban?

- Wyjechali. Są...

- Jak to: wyjechali? Dokąd?

- Nie wiem. Możemy się tylko modlić, żeby im udało się uciec.

- Ale... ale jak on mógł pojechać beze mnie? Ja przecież miałem jechać z nim. Obiecał, że nigdy mnie nie zostawi!

Abigail zobaczyła malujące się na twarzy brata poczucie nieszczęścia i zrozumiała, co chciał powiedzieć.

- Nie mógł czekać, Jakubie. Alban i Lea byli w niebezpieczeństwie. Przecież wiesz.

Gdy to mówiła, usłyszeli tętent licznych końskich kopyt dudniących na brukowanej uliczce prowadzącej na podwórze. Przyjechali prześladowcy.

- Szybko! - Abigail popchnęła Jakuba. - Musimy się ukryć zanim tu wejdą. - Opierał się, więc popchnęła go przed sobą. - Biegiem!

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Ale dokąd?

- Za balie. Wyjdziemy tylnym wyjściem. Tam jest ścieżka prowadząca do uliczek na tyłach placu.

Ledwo przebiegli przez podwórze, pojawiły się rumaki, stąpając ciężko i parszając. Abigail usłyszała srogie krzyki żołnierzy i brzęk stalowych ostrzy. Wcisnęła Jakuba do cienia za sobą, pełna obawy, czy jakiś ruch nie przyciągnie ich uwagi.

- Szukamy Albana. Gdzie on jest? - wykrzyknął gniewnie żołnierz, który najwyraźniej był dowódcą oddziału.

- Tu go nie ma - odpowiedział Piotr.

- Mamy informację, że przebywa w tym miejscu. Czy zaprzeczasz? - spytał szorstko.

- Nie zaprzeczam, że tu *był*. To dzień jego ślubu. Świątowaliśmy to, że odebrał swoją oblubienicę i...

- Nie obchodzi mnie wasze świętowanie. Dokąd pojechał?

- Tego nie powiedział.

Dowódca zaklął siarczyście.

- Zobaczymy, czy potraficie mówić prawdę. Żołnierze, z koni! Przeszukajcie każdy zakamarek tego parszywego miejsca od góry do dołu! Jeśli ten nieokrzesany człowiek kłamie, wkrótce zawiśnie na krzyżu. Razem z resztą swoich stronników.

Abigail wciągnęła głęboko powietrze i mocniej przylgnęła do Jakuba. Pośród hałasu i zamieszania panującego na podwórzu raczej nie powinni zostać zauważeni.

- Tędy - szepnęła przez ramię. Schyleni przemknęli w stronę tylnego wyjścia. *Boże, Ojcze, proszę Cię, pomóż nam... pomóż nam wszystkim* - modliła się Abigail - *Panie Jezu, prowadź nasze kroki. Duchu Święty, bądź z nami...*

Jakub, który znał labirynt ulic i uliczek Jerozolimy jak własną kieszeń, wkrótce objął rolę przewodnika w tej gwałtownej ucieczce.

\*\*\*

Tego samego dnia wieczorem, na tyłach zabudowań, przy sklepie handlarza ryb, który był jednym z wierzących, Jakub znów zasypał Abigail pytaniami. Dokąd pojechali Alban i Lea? Jakie mieli plany? Kiedy po niego poślą?

I wciąż padała ta sama odpowiedź:

- Nie wiem.

Jego cierpliwość szybko się wyczerpała.

- No to co mamy robić?

- Czekać - odparła Abigail.

- Czekać! - Jakub próbował z niej zadrwić, ale był bliski płaczu. - Nie tak to miało być. Potrzebuję Albana teraz. Nawet nie zdążyłem się pożegnać. Nie dostałem od niego instrukcji, co mam dalej robić. Jak możesz mówić, że mamy czekać? Czekać na co? Na kogo? A co, jeśli im się nie uda? Skąd będziemy wiedzieli? - jednym tchem wyrzucał litanię swoich frustracji i gniewu.

- Jeśli im się nie uda, Herod będzie się tym chwalił stąd aż do Rzymu - powiedziała w końcu Abigail, próbując trzymać swą cierpliwość na wodzy. - A nawet jeśli im się uda, może kłamać w tej sprawie tylko po to, żeby zachować twarz. Nie możemy zrobić *nic* innego, jak tylko czekać, Jakubie. Dadzą nam znać, jak tylko będą mogli. Poślą po nas w odpowiednim czasie.

Lecz Jakuba wcale to nie przekonało. Abigail poczuła, jak odsuwa się od niej w ciemności nocy. Bardzo ją to zabolowało. Czy kilka godzin temu odnalazła Jakuba tylko po to, by go teraz stracić z powodu żalu i tęsknoty za Albanem? Modliła się, by tak się nie stało. Jednak w tej chwili w jej sercu był chłód - większy nawet od zimnych ramion nocy, które ich otaczały.

# ROZDZIAŁ DRUGI

*Cezarea, dwadzieścia pięć miesięcy później...*

gdy Linuks znów postawił stopę na judejskiej ziemi, powitał go widok bawiących się dzieci. Dwaj chłopcy ścigali się po kamiennym murze portu. Linuks od razu przypomniał sobie dom swojego brata. Dwie dziewczynki, które zostały w Umbrii, były blondynkami. Bawiący się opodal chłopcy mieli ciemne włosy, jednak i te i tamte dzieci łączył łobuzerski śmiech oraz umiejętność czerpania radości z pogoni za motylem lub psem w unoszącej się w świetle słonecznym kurzawie. Odkąd Linuks opuścił ojczystą Umbrię i wyjechał do Rzymu, a następnie do Judei, prawie każdej nocy śnił o swoich bratanicach-bliźniaczkach. Każdy inny zdeklarowany kawaler mógłby to uznać za nawracający koszmar, lecz po tym, co Linuks odkrył w Rzymie, czuł, że owe sny zawierają maleńki płomyk nadziei.

- Linuksie! Jakże się cieszę, że cię widzę! - Horus, kapitan portu, był niegdyś dowódcą statku. Pochodził z Tyru. Lubił opowiadać, jak to kiedyś dowodził fenickim statkiem pirackim, lecz Linuks wiedział, że człowiek ten już od dawna dobrze służy Rzymowi zarówno na lądzie, jak i na morzu. Wiele lat temu spadła na niego podczas sztormu belka masztowa i przygwoździła go do pokładu. Gdy szedł w kierunku Linuksa

z wyciągniętą dłonią, jego krok był chwiejny niczym statek na wzburzonym morzu.

- Jakie wieści z Rzymu?

- Kobiety są piękne, jak zawsze - Linuks zdobył się na ironiczny uśmiech, jakiego kapitan portu by po nim oczekiwał. - I teraz jest znacznie smutniej, bo mnie już tam nie ma.

- A mężowie mogą odetchnąć z ulgą, jak mniemam - Horus klepnął Linuksa po plecach i skierował w stronę kamiennego domku, w którym prowadził ewidencję statków przyplływających i wypływających z portu.

- Napijemy się czegoś.

- Moje rzeczy...

- Idź i przynieś je - Horus skinął na swego pomocnika, po czym dodał: - Chodź, Linuksie, chcę usłyszeć opowieści o tych wszystkich płaczących za tobą damach.

Gdy już znaleźli się w zacienionym pomieszczeniu, dobry humor kapitana zniknął jak poranna mgła na Morzu Śródziemnym.

- Wina?

- Poproszę herbatę. Mam dużo do załatwienia przed zachodem słońca.

- Domyślam się - Horus wystawił głowę za drzwi i wrzasnął: - Gdzie się podział ten parszywy pies?!

- Tu, panie!

- Przynieś herbatę! I dobre jedzenie!

- Tylko herbatę - sprostował go Linuks.

Kapitan portu spojrzał na niego z ukosa.

- Druhu, byłeś na morzu ładnych kilka tygodni!

- Prawie dwa miesiące - przytaknął Linuks. - Ostatni raz cumowaliśmy statek dwa tygodnie temu.

- Ledwie dwie godziny temu dostaliśmy świeży chleb...

- Wystarczy herbata. Bardzo dziękuję - Linuks zignorował burczenie w brzuchu. Horus wydał służącemu odpowiednie polecenie i opadł na krzesło.

Linuks zauważył, że na stole pod oknem leży pełno map i zwojów. Odznaka urzędowa mężczyzny i pieczęć cesarza przytrzymały rozwinięty dokument z wykazem ładunków, oczekujący zapewne na obliczenie należnego cła.

Horus zapytał ponownie, tym razem spokojniej:

- Jakie wieści z Rzymu?

- Na pewno chcesz je usłyszeć, stary przyjacielu?

- Wszyscy w Cezarei żerują na pogłoskach, wszystkie są niepomysłne. Prawda nie może być gorsza.

- Nie zakładałbym się o to.

- Więc to prawda. Sejan<sup>1</sup> ma kłopoty.

Linuks westchnął i spojrział przez okno. Odkąd cesarz Tyberiusz wycofał się z życia politycznego i osiadł w swym pałacu na Capri, Rzymem władał jego zastępca, Sejan, którego jedynym oficjalnym tytułem było stanowisko prefekta gwardii pretoriańskiej. Nominalnie Tyberiusz pozostał władcą imperium, lecz był w coraz większym stopniu zainteresowany jedynie własnymi przyjemnościami. Najbardziej martwiło Linuksa to, że wielu bogatych i wpływowych obywateli Rzymu idzie za przykładem cesarza pozwalając, by każda rozrywka, jaka im się spodoba, doprowadzała ich do coraz większej rozpusty i deprawacji.

- Sejan ciągle walczy z senatem - powiedział w końcu Linuks. - I przegrywa.

Kapitan portu się skrzywił.

- To nie wróży dobrze dla takich jak ja czy ty.

W drzwiach pojawił się służący.

- Herbata, panie.

Linuks wziął kubek i kiwnął w podziękowaniu, po czym powiedział:

- Przejdźmy się.

- Słońce pali niemiłosiernie.

- Siedzenie w ukryciu stanowi dla nas obu niebezpieczeństwo - wymamrotał.

Horus wyszedł za nim na popołudniowy skwar.

- Tak bardzo boisz się szpiegów?

- Nie jestem jeszcze pewien, z czym mamy do czynienia - wyrzekł przyciszonym głosem Linuks. - Mogę ci tylko powiedzieć, czego się dowiedziałem przybywszy do Rzymu.

- W takim razie mów.

Horus był długoletnim przyjacielem Linuksa i jednym z jego najbardziej zaufanych sojuszników. Linuks wiedział, że cokolwiek mu



powie, zostanie powtórzone ku przestrodze żołnierzy z miejscowego garnizonu. W stolicy prowincji wieści szybko się rozchodziły, a podawane dalej informacje dawały teraz jedyną nadzieję na przeżycie.

Czternaście miesięcy wcześniej Linuks wrócił do rodzinnego domu w północnej Italii. Umarła pierwsza żona jego brata i Kastor właśnie zenił się powtórnie. W związku z tym Linuks otrzymał od niego oficjalne wezwanie – starszy brat skorzystał z okazji, by poddać próbie jego lojalność. Jedyny fakt, który Linuks ominął w opowieści, to zabawy z bratanicami, córkami Kastora z pierwszego małżeństwa. Małe dziewczynki okropnie tęskniły za matką, a na dodatek ojciec zaczął potem poświęcać więcej uwagi swojej nowej, młodej żonie, więc czuły się zupełnie zagubione i odrzucone.

Przebywając w Umbrii, Linuks słyszał o wydarzeniach mających miejsce w stolicy. Stary cesarz, Tyberiusz, wydawał się niezdolny do skupienia się na czymkolwiek poza swoimi ogrodami na Capri. Jego zastępca, Sejan, wciąż popadał w konflikty z senatem. Ten zaś, wbrew Sejanowi i Tyberiuszowi, zarządził pełen niesławy powrót Poncjusza Piłata z Judei. Na miejsce Piłata mianowany został zaufany sojusznik senatu, niejaki Marcellus.

Na szczęście Linuks nie znalazł się w samym środku owego politycznego zamieszania. Nie musiał też towarzyszyć Piłatowi, który otrzymał rozkaz stawienia się przed senatem. Piłat mógł zostać wygnany lub nawet stracony, a wraz z nim cała kadra starszych oficerów, więc fakt, że Linuksa to nie dotknęło, był rzeczą nad wyraz korzystną.

Lecz to, co zastał w Rzymie, tak go wytrąciło z równowagi, że nawet teraz, gdy przebywał wiele setek mil od stolicy, jego żołądek wciąż się nieprzyjemnie zaciskał.

Horus w milczeniu wpatrywał się w zatłoczony port w Cezarei, choć Linuks wątpił, by jego przyjaciel cokolwiek w tej chwili zauważał. W końcu rzekł:

– Jak prosty żołnierz służący na morzu ma to wszystko przetrwać?

Linuks powtórzył zdanie, które usłyszał od przyjaciela w Rzymie:

– Trzeba być niezwykle ostrożnym we wszystkim, co się mówi, co się robi – może nawet w tym, co się myśli.

- Kiedy przyjeżdża nowy gubernator? - Horus oparł się o kamienny mur okalający port.

- Miał wyruszyć tydzień po moim wyjeździe. Ja dostałem rozkaz przybycia przed nim i... - Linuks machnął ręką. Dalsza rozmowa o sprawach imperium z kapitanem portu byłaby niewłaściwa. Zamiast tego powiedział: - Spotkały nas dwa sztormy. Nie umiem powiedzieć, kiedy ani do którego portu przyplynie jego okręt.

Dwaj chłopcy akurat przebiegali obok nich po kamiennym murze, a ich uśmiechnięte twarze znalazły się na tej samej wysokości co oblicza obu mężczyzn.

- Wujku, pobaw się z nami - zagadnął jeden z nich.

- Nie widzicie, że jestem zajęty? - w szorstkiej odpowiedzi Horusa słyhać było sympatię. Gdy chłopcy ze śmiechem pobiegli dalej, Horus wymruczał pod nosem z ledwo ukrywaną dumą:

- Małe nicponie.

- Jesteś ich wujkiem?

- Tak jakby. Ich ojciec był moim przyjacielem. Trzy zimy temu jego statek wypłynął i już nigdy nie wrócił. Zostali przeze mnie zaadoptowani. Tak samo zresztą, jak przez połowę ludzi, którzy dla mnie pracują. Ci dwaj raz są uroczy, a za chwilę łobuzują.

Linuks wychylił się, żeby popatrzeć, jak chłopcy dobiegają do miejsca, gdzie stary marynarz naprawiał sieć. Niższy wziął jedno z czółek w kształcie strzały. Stary żeglarz ujął rączkę chłopca w swoją dłoń i pomógł mu przeciągać szorstki sznurek, podczas gdy starszy chłopiec w milczeniu przyglądał się tej scenie. Jakby na jakiś niewidzialny znak, chłopcy zaczęli śpiewać piosenkę o łowieniu ryb letnim świtem i o kobietach czekających w domu. Najwyraźniej nauczyli się tej piosenki od mężczyzn wypływających z portu. Marynarz, odchyliwszy głowę do tyłu, zaśmiał się głośno i ochryple.

Nagle Linuks zapytał:

- Myślałeś kiedyś o tym, żeby się ożenić?

Horus skierował się w stronę kamiennego domku.

- Kobiety i morze są jak oliwa i woda. Nie mieszają się ze sobą.

Linuks podążył za nim.

- Słyszałem to samo o żołnierzach i żonach.

Oczy Horusa rozszerzyły się z wyraźnym zaniepokojeniem.

- Nie mów, że jakaś panna z Rzymu skradła ci serce.
- Z Umbrii - przyznał Linuks. - I nie jedna, lecz dwie. Córeczki mojego brata. Śmieją się tak samo, jak ci dwaj chłopcy.
- A potrafią tak samo rozrabiać?
- Bez wątpienia.

Linuks znów spojrział na chłopców i poczuł ukłucie w sercu na wspomnienie ostatniego dnia spędzonego z bratanicami. Gdy wszedł do ich pokoju, kłóciły się o małą, wyrzeźbioną w drewnie lalkę. Delikatnie się z nimi podroczył sprawiając, że się pogodziły, a w ich oczach pojawił się uśmiech. Lecz nie trwało to długo. Kiedy powiedział im, że wyjeżdża do Rzymu, zalały się łzami i nie dały się pocieszyć.

Linuks kopnął zdartym sandałem kamyk na drodze próbując ukryć emocje, po czym ośmielił się szepnąć, kierując słowa ku słońcu i gorącemu letniemu wiatrowi:

- Naprawdę za nimi tęsknię...

\*\*\*

Dwa dni później Linuks wyruszył z Cezarei do Jerozolimy w towarzystwie oddziału konnego. Nie planował z nimi podróżować, jednak taki rozkaz wydał Bruno Aetius, trybun garnizonu w Jerozolimie. Pod nieobecność gubernatora, trybun dowodził wszystkimi siłami rzymskimi w Judei i polecił stanowczo, by żołnierze nie poruszali się po kraju w pojedynkę. Z tej właśnie przyczyny Linuks dołączył do jednego z oddziałów.

Nie żałował, że opuszcza Cezareę, co mogło dziwić, gdyż było to jedyne prawdziwie rzymskie miasto w całej prowincji. Nie żywił też absolutnie żadnych ciepłych uczuć do Jerozolimy, jednak w tym momencie chyba już ją wolał. Cezarea, rzymska stolica Judei, była teraz jak gotujący się kocioł. Wrzało od pogłosek, a ludzie się bali. *A wieści z Rzymu...* Linuks potrząsnął głową.

Pierwszą noc spędzili w opuszczonej wiosce - tej samej, w której dwa lata wcześniej schronił się przed wiosenną ulewą w towarzystwie nowo poznanego człowieka. Ów człowiek stał się potem jego przyjacielem.

Tego wieczora przy ognisku Linuks zapytał dowódcę oddziału:

- Znałeś setnika Albana?

- Słyszałem o nim - odpowiedział żołnierz. Doświadczony w boju, w średnim wieku, nosił imię Cyrus, które sugerowało, że pochodzi z odległej prowincji, trzymającej się wciąż greckiej kultury. - Był twoim przyjacielem?

- Być może najlepszym, jakiego miałem szczęście poznać.

Cyrus nie odpoczywał przy ogniu. Nie siedział na krzeselku, ale raczej przycupnął na jego brzegu. Oczy dowódcy nieustannie obiegały okolicę, przynajmniej na tyle, na ile oświetlały ją trzy ogniska w rozbitym przez żołnierzy obozie.

- To prawda, co mówią, że ten setnik stał się Judejczykiem?

- Poślubił judejską kobietę i zrezygnował ze służby. To prawda.

- Nie chciałem cię urazić, panie.

- Nie czuję się urażony. A póki jesteśmy w drodze, mów mi po imieniu - Linuks przyjrzał się żołnierzowi siedzącemu po drugiej stronie ogniska. Po porządnym posiłku, przy zabezpieczeniu podwójnymi strażami, spodziewał się z jego strony większego rozluźnienia. - Spodziewasz się jakichś kłopotów?

- Na tych drogach - zawsze. Wiele się zmieniło, odkąd wyjechałeś.

- Myślałem, że jak wyjeżdżałem, to już było źle.

- Wtedy było źle, teraz jest jeszcze gorzej.

Linuks pokiwał głową.

- Nie mówię o zmianach na górze - powiedział Cyrus. - Gubernatorzy przychodzą, rządzą jakiś czas, potem odchodzą. Mnie obchodzą ludzie pod moim dowództwem.

- Mój przyjaciel Alban mógłby powiedzieć to samo.

Ponieważ Cyrus nadal wpatrywał się w mrok, Linuks kontynuował: - Piłat planował go wygnąć za uchybienie w służbie, choć tak naprawdę Alban nikogo nie zawiódł. Po prostu zdał raport, którego treści Piłat nie chciał słuchać. Ale zanim Alban miał odjechać do nowego miejsca przydziału... - przerwał w pół słowa, gdy Cyrus skoczył na równe nogi.

Linuks również wstał i chwycił miecz, nasłuchując uważnie, lecz nic nie usłyszał. Noc była cicha, bezwietrzna. Ich ognisko strzelało, a iskry wznosiły się ku rozgwieżdżonemu niebu.

- Co się stało?

- Być może nic - Cyrus schował miecz, nie wiadomo kiedy dobyty, po czym stopniowo opadł na siedzenie. - A jakie wieści twój przyjaciel przyniósł gubernatorowi?

- Powiedział mu, że judejski Prorok znany jako Jezus z Nazaretu, ten, który został ukrzyżowany... że On żyje.

Cyrus skupił całą uwagę na Linuksie.

- Słyszałem tę plotkę. Jego wyznawców przybywa w błyskawicznym tempie.

- Alban jest jednym z nich.

Naraz ciemności przeszył przenikliwy krzyk, po czym żołnierz stojący przy skraju najbliższego ogniska padł na ziemię. Cyrus podskoczył wrzeszcząc:

- Do broni!

Noc w jednej chwili napełniła się dźwiękami. Linuks przekoziółkował i doskoczył do swojej drewnianej tarczy, podczas gdy obozowisko zostało zalane strzałami. Dwie z nich wbiły się w jego tarczę. Linuks przesuwał się na kuckach, schylając głowę tak nisko, że znajdowała się niemal na jego kolanach. Dostrzegł, że nawet legionieści, którzy jeszcze przed chwilą mocno spali, teraz siedzą skuleni pod swoimi tarczami.

Znów w jego tarczę uderzyły groty strzał; jedna o mały włos trafiłaby w goleń. Któryś z żołnierzy wrzasnął z bólu.

- Kryją się za kamieniami, od zachodu! Do ataku! - dał rozkaz Cyrus.

Linuks, tak jak inni, wydał z siebie okrzyk bojowy. Dobył miecza i popędził w stronę skał. Wskoczył na nie, mając Cyrusa po prawej stronie, lecz zastali tam tylko piach lśniący srebrem w świetle gwiazd.

- Trójkami! Rozdzielić się! Przeszukać każdy kąt!

Cyrus schował miecz i skinął ręką na Linuksa, by razem z nim wrócił do obozu. Gdy Linuks pomógł opatrzeć dwóch rannych, spytał:

- Mam iść na zwiady z twoimi ludźmi?

- Nic nie znajdują, ale dałem rozkaz na wszelki wypadek. Te ataki są zawsze takie same: przychodzą w nocy, uderzają podstępnie i cicho, po czym wycofują się i znikają.

Cyrus poklepał jednego z żołnierzy.

- Rany są powierzchowne. Obmyjemy je i opatrzymy. Jutro będziecie mogli dosiąść koni. Chirurdzy zostawią wam kilka blizn, którymi będziecie się mogli chwalić przed kobietami.

Cyrus podniósł głowę i przywołał z powrotem swoich ludzi. Wrócili z twarzami zwróconymi w stronę wroga, co było taktyką wpojoną na tyle, że dowódca nie musiał im tego nakazywać. Linuks wiedział, że tej nocy żaden z nich nie zaśnie.

- Kim byli atakujący?

- Nie mamy żadnej pewności.

- Jak to, nie złapaliście ani jednego?

- Żadnego, a ataki trwają od ośmiu miesięcy.

Linuks pomyślał o bandytach, z którymi miał do czynienia wraz z Albanem.

- Partowie?

- Nie docierają tak daleko na zachód. Choć słyszeliśmy, że są coraz śmielsi na drodze do Damaszku. Nie, to jest problem powstały tu, w Judei.

- A mają jakąś nazwę?

Cyrus ogarnął wzrokiem ciemności.

- Nazywają siebie zelotami.

---

<sup>1</sup> W rzeczywistości Lucius Aelius Seianus został zgładzony na rozkaz Tyberiusza w 31 r. n.e. Przypis tłumacza.

# ROZDZIAŁ TRZECI

Ezdrasz zawsze doznawał lekkiego uczucia zazdrości, gdy odwiedzał Gamaliela w dzielnicy świątynnej w Jerozolimie. Ze Świątyni do cytadeli, z jednego centrum judejskiej władzy do drugiego, prowadziła szeroka droga. Większość członków Sanhedrynu, rady świątynnej, mieszkała właśnie przy tej drodze. Lecz zazdrość Ezdrasza wzbudzała nie pozycja Gamaliela wśród kapłanów Świątyni czy szerzej pojętej wspólnoty Judejczyków, lecz zgoła coś innego.

- Witaj, stary przyjacielu. Witaj - Gamaliel, starszy faryzeusz i długoletni mentor Ezdrasza, zaprosił swego przyjaciela do głównego pomieszczenia. Rozciągał się zeń widok na podwórze. Stojąca pośrodku niego fontanna tworzyła małe tęcze, które rozwiewał popołudniowy wiatr.

- Jak było w Aleksandrii? - Gamaliel wskazał Ezdraszowi krzesło przy małym drewnianym stoliku.

Siadając Ezdrasz westchnął i pokiwał głową.

- Pełno tam chaosu i zamieszania, jak i wszędzie w imperium.

Ezdrasz był starszym kupcem; teren jego działalności handlowej rozciągał się od Jerozolimy aż do Damaszku na wschodzie i do Rzymu na zachodzie. Kiwnął w podziękowaniu, gdy sługa w tradycyjny sposób umył mu ręce i nogi. Wziął srebrny kielich i skosztował wody owocowej.

„Ten kapłan z pewnością żyje w dobrobycie” – zauważył w myślach, rozglądając się po dużym pomieszczeniu.

- A co nowego w Jerozolimie?

- Tyle się wydarzyło... – Gamaliel zawiesił głos, usłyszawszy pospieszne kroki na dole, w jednym z bocznych pasaży. Obaj mężczyźni odwrócili się w stronę okolonego łukiem wejścia.

- Ezdraszu! – wchodząca kobieta szybko przemierzyła pokój, niemal potykając się z pośpiechu i z radości. – Jak mogłeś tak długo nie wracać?!

- Mieliśmy pewne trudności, Miriam. Wybacz mi.

- Czy twój syn i córka mają się dobrze? – usiadła na drewnianej ławce opodal krzesła.

- Podróż wydawała się im służyć, w przeciwieństwie do ich zmęczonego ojca.

- Są młodzi. Bez nauczycieli i bez ograniczeń, pojechali szukać przygód z ukochanym ojcem. Nic dziwnego, że wyprawa im się podobała. Nasz syn płakał niepokieszony, gdy usłyszał, że zabrałeś swoje dzieci.

- Następnym razem i on może z nami pojechać.

Miriam pogroziła palcem.

- Jeśli ośmielisz się choćby wspomnieć mu o czymś takim, to już ja ci...

- Ciiii, Miriam – skarcił ją mąż, choć uśmiechał się przy tym. – Wstydź się.

Ezdrasz słuchał, jak kobieta rozprawia z mężem o dzieciach, po czym zaczęli z Gamalielą dyskutować o zmianach, które zaszły w Jerozolimie – o odwołaniu Piłata i oczekiwanym przyjeździe nowego gubernatora, Marcellusa. Krążyły też pogłoski, że trybun garnizonu w Jerozolimie, Bruno Aetius, ma być odesłany z powrotem do Damaszku. Niektóre z tych wieści Ezdrasz już słyszał w Aleksandrii, inne były dla niego nowe. Starał się skupić uwagę, bo ci dwoje byli inteligentnymi, zaufanymi przyjaciółmi z koneksjami. Lecz zazdrość wytworzyła w jego sercu i umyśle jakby chmurę bólu i żalu, tak że trudno mu było uczestniczyć w rozmowie.

Miriam i zmarła żona Ezdrasza były niegdyś najlepszymi przyjaciółkami. Dwoje dzieci Miriam i Gamaliela było niemal dokładnie



w tym samym wieku co jego dzieci – miały cztery i sześć lat. Ale ich dom był kompletny, pełny stabilnej miłości, podczas gdy jego dom rozpadł się na kawałki.

Dwa lata wcześniej jego ukochana młoda żona poślizgnęła się na mokrych kafelkach i upadła. Wydawało się, że to nic takiego – jeden siniak na łokciu i drugi tuż nad skronią. Trochę ją bolało, ale nie na tyle, by wszczynać alarm. Jednak tej samej nocy powiedziała, że odczuwa ból i kręci się jej w głowie.

Zmarła zanim nadszedł ranek.

Wewnętrzna agonia Ezdrasza z czasem się zmniejszyła. Nieco lekarstwa dla głębokiego smutku odnalazł w opiece nad dwójką swoich małych dzieci, jednak w sercu nosił tęsknotę za tym, co utracił. I nigdzie bardziej tego nie odczuwał niż tu – w przepelnionym pokoju domostwie starego przyjaciela.

Służąca przyprowadziła podekscytowane dzieci, które zadawały mnóstwo pytań, a jego serce tym bardziej odczuwało stratę. Wreszcie Miriam zabrała dzieci i ich opiekunki, a Gamaliel kazał reszcie służby wyjść i zamknąć drzwi. Komnatę spowił cień – tak głęboki, jak skrzywiona nagle mina gospodarza.

– Są problemy.

– Zeloci? – spytał Ezdrasz.

– Nie. Znaczący, tak. Oni też.

– Słyszałem, że ich ataki stały się niewiarygodnie śmiałe.

– Ataki... Tak, istna plaga. Ale gorsze jest to, że zyskują popularność wśród ludu.

– Przy ogniskach nocujących karawan słyszałem piosenki na ich temat – powiedział Ezdrasz. – Jedna była bardzo prosta i przemawiająca do serc. Coś o nowym judejskim Dawidzie pokonującym rzymskiego Goliata. Mój syn ją teraz śpiewa podczas zabawy.

– Ludzie są uciskani i potrzebują bohaterów – rzekł Gamaliel. – To dość naturalna reakcja.

Była to jedna z najbardziej niezwykłych cech tego człowieka. Ezdrasz miał świadomość, że większość ludzi, osiągnąwszy pozycję i władzę, stawała się coraz bardziej nieugięta w swych opiniach. Tracili zdolność kwestionowania własnych poglądów czy patrzenia z punktu widzenia drugiej osoby. Jednak Gamaliel był świetnym pośrednikiem.

Łagodził konflikty dociekając wnikliwie, jakimi motywami kierują się inni. Był to prawdziwy dar – ta umiejętność słuchania, badania i szanowania cudzego punktu widzenia.

Jednak Ezdrasz nie miał złudzeń.

– Stanowią zagrożenie dla nas i dla naszej pozycji w społeczeństwie. Zeloci zniszczą wszystko, co jest nam drogie. A Rzymianie w końcu wygrają i zniszczą nas razem z zelotami.

– Sugerujesz, że mamy pomagać Rzymianom? – pytanie zostało zadane półszepem, lecz stanowczo.

– Kusi mnie taka perspektywa. Lecz ja nie mógłbym się zgodzić na taki krok.

– Właśnie. Judejczycy pomagający Rzymianom zabijać Judejczyków. Byłoby to odrażające.

– Sanhedryn już tak wcześniej robił – brwi Ezdrasza podniosły się znacząco.

Gamaliel nic na to nie odrzekł.

– Mówię o tym ukrzyżowanym Proroku, co Go zwą Jezus z Nazaretu.

– Wiem, o kim mówisz – Gamaliel wstał i podszedł do okna. – Wymyślili dla siebie nową nazwę.

– Kto?

– Uczniowie zmarłego Proroka. Nazywają siebie wyznawcami Drogi.

Ciężkie zasłony okienne rzucały delikatny pastelowy cień na rysy jego przyjaciela. Lecz i tak Ezdrasz widział, że jest on rzeczywiście zmartwiony.

– A jakie to ma dla nas znaczenie, jak siebie nazywa garstka galilejskiego motłochu?

– Już nie tylko garstka, i nie tylko z Galilei. Niektórzy szacują ich liczbę na trzy tysiące, inni na pięć, albo i więcej.

– Niemożliwe! – Ezdrasz podniósł się z miejsca.

– Być może. Ale mam informacje z zaufanego źródła – tu Gamaliel wymienił imię starszego kapłana z synagogi Libertynów, miejsca spotkań wielu obdarzonych wolnością niewolników, zwłaszcza Judejczyków z dalekich regionów imperium, gdzie wciąż mówiło się głównie po grecku.

– Mówi, że tamci szerzą się jak zaraza, zwłaszcza wśród jerozolimskiej biedoty.

- Zupełnie jak esseńczycy - wymruczał pod nosem Ezdrasz, siadając z powrotem na krześle.

- I tak i nie. Ruch esseński z pewnością rozwinął się w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Mówi się, że po Judei porozrzucanych jest około pięćdziesięciu wspólnot. Niektóre mają kilka tuzinów członków, inne nawet tysiąc. Jedno z największych zgromadzeń znajduje się na wschód od Góry Oliwnej, drugie na zachodnim brzegu Morza Martwego. Niektóre wymagają celibatu i przyjmują tylko mężczyzn, inne są zasiedlone przez całe klany. Wszystkich jednocy nienawieść do Sanhedrynu i do kapłanów świątynnych, których uważają za skorumpowanych. Ale dotąd nie sprawiali kłopotów, wybierając odseparowanie od reszty ludności i czekanie na Mesjasza, który przyjdzie i uratuje naród. Jednak w obliczu ostatnich niepokojów politycznych i religijnych...

- Nie rozumiem - przerwał Ezdrasz. - Myślisz, że nawet esseńczycy będą teraz namawiać do przemocy?

- Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Mówią wiele niezwykłych rzeczy - odpowiedział Gamaliel, nadal patrząc w stronę okna. - Ale nic o przemocy.

- A czy ci...ci nowi uczniowie zmarłego Proroka dołączyli do zelotów?

- Nie. Oni też mówią o pokoju - kapłan wzdrygnął się. - Gdyby zmienili zdanie... Cóż za okropna myśl.

- Ja nadal nie...

- Ja też nie - Gamaliel cofnął się do swojego krzesła. - Jedno, co wiem na pewno, to fakt, że ci wyznawcy Jezusa rosną licznie szybciej niż jakakolwiek sekta do tej pory. A razem z nimi rosną też opowieści o nich. Nadal twierdzą, że ich Prorok Jezus powstał z martwych, że chodził pomiędzy nimi i wstąpił do nieba. Twierdzą, że to On jest prawdziwym Mesjaszem. Twierdzą...

- Tak?

- Mówią o cudach - powiedział Gamaliel. - O znakach i cudach. O rzeczach, które rozpalają pasję w każdym, kto o tym usłyszy. Ludzie albo do nich dołączają, albo stają się ich wrogami. Wszędzie się o nich mówi. Jeśli cokolwiek miałyby nimi zachwiać, obawiam się, że byłaby to burza o takiej sile, że zmiotłaby wszystko.

Ezdrasz wiercił się na swoim krześle.

- Gdybym usłyszał to od kogoś innego, odrzuciłbym to jako bzdury.

- Ale mówię do ciebie ja, stary przyjaciel, i to nie są żadne bzdury.

Jak długo cię nie było? Cztery miesiące?

- Prawie pięć.

- Więc w ciągu pięciu miesięcy wyznawcy urosli w siłę, z którą musimy się liczyć.

- Mniemam, że w takim razie Sanhedryn jest tym bardzo zaniepokojony. Co zaproponował?

- Członkowie Sanhedrynu ciągną za swoje brody i patrzą w podłogę. Myśleli, że jak Prorok umrze, motłoch się rozejdzie. Dopiero zaczynają akceptować fakt, że jest to coś nowego. A wielu dochodzi do wniosku, że ten zmarły Prorok faktycznie jest długo oczekiwanym Mesjaszem. Ten ruch bardzo rośnie w siłę w całym społeczeństwie. Trzeba temu stawić czoła.

Ezdrasz zauważył zmianę tonu w głosie przyjaciela.

- Masz na to jakiś pomysł, prawda?

- Pomysł. Oni nie mają żadnych sojuszników w strukturach władzy. Chciałbym, żebyś poszedł porozmawiać z ich przywódcami.

Ezdrasz nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Chyba nie mówisz poważnie. Ja jestem tylko zwykłym kupcem...

- Dokładnie. Nie muszą się z twojej strony niczego obawiać - Gamaliel podniósł ze stołu pergamin. - Tu masz listę ich przywódców, których udało nam się zidentyfikować. Nazywają ich apostołami. Nazwy ulic to miejsca, w których lokalni wyznawcy otworzyli swoje domy dla całej grupy. Niektórzy oddali swoje ziemie, które teraz służą jako obozowiska poza bramami miasta. Idź, spotkaj się z nimi. Najwyraźniej są biedni. Uczynź z nich naszych sprzymierzeńców. Jeśli trzeba, zaoferuj świątynne złoto. Zbadaj, czy można im ufać. Dowiedz się, jakie mają zamiary. I opowiedz wszystko tylko mnie, przyjacielu. Nikomu innemu.

\*\*\*

Ezdrasz był człowiekiem utalentowanym w wielu dziedzinach. Jako dwunastolatek, syn kupca z Tyru, przybył do Jerozolimy, by studiować u faryzejskiego uczonego. Niektórzy mówili, że ów człowiek był

najlepszym żyjącym nauczycielem Tory na świecie. Gdy Ezdrasz do niego przyjechał, Gamaliel studiował u tego nauczyciela już od prawie dwóch lat. Gamaliel wziął młodego Ezdrasza pod swoje skrzydła i pomógł przystosować się do obcego świata Świątyni, Jerozolimy i nauki. Ezdrasz wkrótce zauważył, że jerozolimscy uczeni mówią o Gamalielu z podziwem, gdyż umysł tego młodego człowieka chłonął wersety i komentarze niczym morska gąbka. Gamaliel potrafił raz przeczytać lub usłyszeć dany tekst, po czym bezbłędnie go wyrecytować. Już wtedy nazywali go *cadik*, czyli oddzielony przez Boga do specjalnych celów.

Ezdrasz nigdy nie posiadał takiego umysłu jak Gamaliel. Ale mało go to obchodziło. Przyjechał studiować jako najstarszy syn, gdyż taka była rodzinna tradycja. Tak uczynił kiedyś jego ojciec, a wcześniej ojciec jego ojca i tak przez siedem pokoleń wstecz, od czasu, gdy Machabeusze wyzwolili Świątynię i uczeni powrócili do Jerozolimy. Ojciec Ezdrasza, nim wyprawił syna na południe, wyznaczył mu dwa zadania. Miał oczywiście studiować Talmud, być posłuszny nauczycielowi i przynosić honor rodowemu nazwisku. Ale było coś jeszcze. Ezdrasz miał szukać sojuszników wśród hierarchii świątynnej i w Jerozolimie. Ojciec zapewnił go, że takie silne przyjaźnie, zawiązane we wczesnych latach życia, z biegiem lat przyniosą wielki owoc.

Ezdrasz powiększył rodzinny majątek. Wysłał młodszych braci, by założyli nowe ośrodki na Cyprze, w Tarsie i Damaszku. Jego siostry wyszły za mąż, a przez ich małżeństwa Ezdrasz zawiązał kolejne potężne sojusze. Ostatnio odnowił kontakty z dalekimi krewnymi, poszerzając swój teren handlowy aż do hiszpańskiej Galii na zachodzie, a ostatnio do Aleksandrii na południu.

Oczywiście, ojciec miał rację. Przyjaźń z Gamalielom przyniosła wielkie owoce. Przez wiele lat Ezdrasz był największym dobroczyńcą Gamaliela. Kapłan pisał się po szczeblach kariery, aż wreszcie został członkiem Sanhedrynu, a tym samym wzrastały również potęga i wpływy Ezdrasza. Lecz to nie wszystko. Ezdrasz miał sojuszników w wielu różnych miejscach, a przyjaźnie te zostały zawarte w sekrecie i utrzymane w najwyższej dyskrekcji.

Były to niebezpieczne czasy. Sytuacja w imperium rzymskim prowokowała do buntu, zwłaszcza tu, na wschodzie. Zeloci rośli w siłę,

a zasięg ich działania był większy niż Gamaliel zdawał sobie sprawę, gdyż od lat nie opuszczał Jerozolimy. W całym kraju było o nich głośno. Coraz więcej młodych mężczyzn, rozwścieczonych uciskiem rzymskiego buta na swoich karkach, rzucało pasterskie laski, narzędzia i skórzane fartuchy, by wymknąć się z pól, sklepów i kuźni. Zamiast tego brali do rąk miecze i walczyli dla sprawy zelotów. Rodziny zmagwały za nich *kadisz*, modlitwę za zmarłych, bo wiedziały, że już ich nigdy nie zobaczą. Jeśli ktoś przyłączył się do zelotów, jedyną możliwością odejścia była śmierć – albo w walce, albo – w przypadku zdrady – od miecza innego zeloty.

Wielu młodych służących Ezdrasza już poszło za wezwaniem do przygody, chwały i służby krajowi. Dość wcześnie zorientował się, że wszelkie próby ich zatrzymania są bezcelowe. Rozgłosił więc, że chciałby spotkać się z przywódcami. Nie po to, by negocjować, lecz aby po prostu zaoferować pomoc. Stał się jednym z pierwszych kupców, którzy uznali zasługi zelotów. W rezultacie jego karawany nigdy nie były atakowane i jako pierwszy otrzymywał różne wiadomości. Tak jak w przypadku jego innych sprytnych decyzji biznesowych, czerpał z tego wielkie zyski.

Co do tej nowej grupy, wyznawców zmarłego Proroka Jezusa, plan Ezdrasza był prosty. Jeśli rosna w liczbę tak szybko, jak sugerował Gamaliel, musi pozyskać sobie nowych przyjaciół. Tak, oczywiście, pomoże Gamalielowi w zdobyciu informacji. Ale co szkodzi, żeby samemu też coś przy tym ugrać? W końcu był synem, wnukiem i prawnukiem wyśmienitych kupców.

Schował listy, które dał mu Gamaliel, po czym zrobił tak, jak robił już wiele razy w przeszłości: przez swych pracowników i sojuszników rozpuścił wieści, że chciałby się zobaczyć z przywódcami tej grupy. Zapewnił, że jest nimi zainteresowany. Nic więcej. Chciałby coś zyskać, czegoś się dowiedzieć, zaoferować pomoc. Przychodzi w pokoju.

Cóż w tym było złego?

# ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień był już gorący, choć promienie słońca ukazały się nad wschodnim horyzontem. Abigail odgoniła natrętną muchę, która zakłócała jej sen. Dziewczyna miała nadzieję, że jeszcze zaśnie. Powachlowała nad sobą ręką, by się nieco schłodzić i odstraszyć owada.

Ten prosty ruch wyciągnął ją z ramion snu w światło poranka i czekający ją wir obowiązków. Poruszyła się na posłaniu. Co przyniesie dzisiejszy dzień? Czy znowu trud i znój? Kolejne objawienia na temat Mesjasza dla któregoś z przywódców? Wyczekiwane wieści od Albana i Lei? Groźby ze strony tych, którzy nie przyjmowali prawdy? A może nawet powrót Mesjasza?

Zupełnie już obudzona, Abigail usiadła na posłaniu. Dwa lata temu, po nagłej ucieczce Albana i Lei, po całonocnym ukrywaniu się, razem z Jakubem wróciła do swojego mieszkania. Potem przeprowadzili się do małej przybudówki na tyłach sklepu rybnego. Jakub zajął się nauką hebrajskiego, angażując się w nią w różnym stopniu, w zależności od tego, czy tego dnia miał perspektywy jakiejś innej przygody, podczas gdy Abigail nadal wypełniała swoje obowiązki wraz z kobietami.

Nie usłyszała żadnego ruchu z małego stryszku nad pomieszczeniem, który nazywali domem. Jakub albo jeszcze spał, albo już wyszedł bez niej. Każdego ranka spotykali się w grupie wierzących

na modlitwie dziękczynnej i wstawienniczej. Była to wspólna praktyka dla członków ich grupy w całej Jerozolimie.

Abigail zwinęła posłanie i przepchnęła je pod ścianę pokoiku.

- Jakubie, chyba jesteście spóźnieni. Nie słyszałeś piania koguta? - zawołała.

Zawsze polegała na kurach sąsiada, które ją rano budziły.

- Jakubie!

Z góry dobiegło stłumione westchnięcie nieprzytomnego chłopaka. W gruncie rzeczy Jakub nigdy nie zaakceptował tego, że Alban wyjechał tak nagle, bez niego, niezależnie od powodów, które nim kierowały. Choć nie mówił nic na ten temat, Abigail czuła jego smutek i niezadowolenie. Wiedziała, że wyjazd Albana pozostawił ogromną pustkę w życiu jej brata. Wiedziała również, że nie lubi pracy cieśli, którą mu przydzielono po jego bar micwie, czyli żydowskiej uroczystości wyznaczającej dojrzałość chłopaka. Patrzyła, jak pod koniec dnia siedzi i nic nie mówi, tylko ogląda swoje dłonie, pełne odcisków i pęcherzy. Abigail mogła wyczytać z wyrazu jego twarzy, co myśli. *Te dłonie nie są stworzone do obrabiania drewna, do zbierania drzazg i odcisków. Nie, te dłonie są stworzone do trzymania miecza. Do dawania rozkazu tym, którymi bym dowodził. Gdyby tylko Alban...* Bywały dni, kiedy Abigail czuła, że powoli, dzień po dniu, traci brata. Stawał się coraz cichszy, coraz bardziej wycofany, a ona nie umiała zrobić nic, by go z tego wydobyć.

Tak jak to robiła już wiele razy wcześniej, przygotowując się do nadchodzącego dnia, wyszeptała w modlitwie:

- Drogi Ojczy, niech dziś przyjdą wieści od Albana. I zachowaj Jakuba...

Usłyszała szuranie, kiedy brat powoli schodził po drabinie z małego poddasza nad jej głową. Miał rozczochrane włosy i szczękę zaciśniętą w grymasie niezadowolenia. Nie odezwał się ani słowem. Nie powiedział nawet „dzień dobry”.

- Dobrze spałeś?

Ledwie skinął głową.

- Musimy się pospieszyć. Zaspałam. Nie słyszałam piania koguta...

- Może Bóg nam pobłogosławił i ptaszysko zdechło.



Abigail rzuciła w jego kierunku szybkie spojrzenie. Wyraz jego twarzy nie zmienił się.

Wyszli razem, przy czym Jakub pozostawał o krok w tyle za siostrą. Ulice już były pełne ludzi, ale handlarze i właściciele straganów jeszcze nie wystawili swoich towarów. Słońce jeszcze nie do końca wzeszło, więc żaden rzymski żołnierz nie paradował konno po brukowanych uliczkach. Lekki wiatr poruszył liśćmi drzew palmowych nad ich głowami, dając powiew świeżego powietrza, które wkrótce miało stać się duszące od upału.

- Ciekawe, kto poprowadzi dziś poranne modlitwy - zastanawiała się na głos Abigail, mając nadzieję, że wciągnie brata do rozmowy. - Zdaje się, że Piotr i Jan wyjechali.

- A dokąd tym razem? - zrzędził Jakub.

Abigail odwróciła się do niego, a jej serce na nowo wypełnił smutek i żal. Wezbrało w niej pragnienie, by chronić ukochanego brata. Według niej był jeszcze młody; nie miał piętnastu lat, a już wykonywał pracę dorosłego mężczyzny, co było zgodne z ich tradycją. Dzień w dzień nosił, piłował, przycinał i heblował ciężkie kawały drewna oliwnego, cedrowego lub sosnowego. Od świtu do zmierzchu trudził się pracą, z której nie czerpał żadnej satysfakcji. Abigail wiedziała, że są mężczyźni, którzy uwielbiają poczuć drewno, gdy przesuwają szorstką, pełną odcisków dłoń po misternej, słojuwanej powierzchni. Rozumieli, jak cudownie Bóg stworzył drzewa i potrafili sobie wyobrazić, co można z nich uczynić poprzez wprawne rzeźbienie i budowanie. Pamiętali też, czym było drewno w rękach Cieśli. Ale Jakub do nich nie należał. Dla niego to była jedynie praca do wykonania - męcząca i nieustająca.

- Słyszałam, że odwiedzają braci w innych miastach - odpowiedziała.

Jakub tylko wzruszył ramionami.

Odległość do miejsca spotkań była wystarczająco duża, by noga znów zaczęła ją boleć. Starła się nie utykać, gdy Jakub najpierw dorównał jej kroku, a potem trochę ją wyprzedził. Poparzenia od wrzątku zagoiły się, ale zablizniona skóra pozostała napięta i wrażliwa na każdy nacisk lub uderzenie. A takie sytuacje przydarzały się jej codziennie. Podnosząc ciężkie gliniane słoje, pracując z innymi kobietami w ciasnej kuchni, często poruszała się tak, że na coś wpadała

lub ocierała się, robiąc sobie siniaka albo małą ranę na bliźnie. Zwykle nic nie mówiła, tylko po prostu czekała, aż nowe skaleczenie samo się zagoi. Nigdy nie miała skłonności do narzekania. Nawet w najgorsze dni wołała raczej śpiewać. Ale bywały i takie chwile, kiedy nie potrafiła ukryć utykania ani wyrazu cierpienia na twarzy. Jakub obejrzał się za nią i zwolnił kroku. Ten prosty gest wzruszył ją do łez. Mimo zmiennych humorów, Jakub wciąż chciał jej pomagać i chronić ją. Zawsze wyczuwał, kiedy dawna rana sprawia jej ból.

Dołączyli do innych wyznawców zmierzających na plac. Po krótkich pozdrowieniach zrównali krok i rozmawiali przyciszonymi głosami. Nie chcieli zwracać niczyjej uwagi na rosnącą liczbę osób, które zbierały się w tym miejscu każdego dnia.

Abigail przebiegł znajomy dreszcz emocji. *Czy to będzie ten dzień?*

Kiedy Pan pierwszy raz odszedł wraz z obietnicą powrotu, zaczęli każdy dzień z tym pytaniem w sercach i na ustach. Później pozdrawiali jeden drugiego z tym niewypowiedzianym pytaniem w oczach. Stopniowo nauczyli się akceptować, że Mesjasz może mieć inne plany albo że jest jakiś nieznany im powód, dla którego Jego powrót się opóźnia. Ich liczba zdecydowanie rosła z dnia na dzień. Dostali nakaz szerzenia Słowa Bożego, przyprowadzania innych, bycia świadkami w Jerozolimie, Samarii i na całym świecie. Czyż nie był to wystarczający powód, by Pan opóźnił swój powrót?

Stopniowo ich grupa zaczęła odkładać na bok pragnienie szybkiego powrotu Jezusa, wychodząc ku tym, którzy potrzebowali usłyszeć prawdę o Jego pierwszym przyjściu na ziemię. Lecz Abigail, choć chciała być przykładną wyznawczynią, miała często nadzieję, że to właśnie będzie ten dzień. Wątpliwości, lęki, zagrożenie – i ból – wszystko to pozostawiają za sobą, gdy ich Mesjasz znów pojawi się między nimi. Już kiedyś poczuła Jego uzdrawiający dotyk, który zabrał głęboki smutek z jej umysłu i serca. A może tym razem jej noga...

Ponownie zerknęła na Jakuba. Była pewna, że gdy Pan powróci, jego smutek znów zmieni się w radosną żywiołowość, którą tak kochała. Chętnie wzięłaby na siebie cierpienie do końca życia, gdyby tylko to mogło się spełnić.

\*\*\*

Abigail właśnie szorowała piaskiem garnki i opłukiwała je, żeby były gotowe do przygotowania kolejnego posiłku, kiedy do kuchni wpadła Marta. Plecy miała wyprostowane, a usta zaciśnięte. Abigail od razu wyczuła, że coś się wydarzyło, ale nic nie powiedziała.

Starsza kobieta zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i wytarła ręką czoło, odgarniając kilka niesfornych kosmyków. Była zgrzana od popołudniowego upału i zmęczona całym dniem pracy. *Zmęczone ciało i dusza* – pomyślała Abigail, ale się nie odezwała. Wyprostowała się i sięgnęła po ścierkę. Spojrzała Marcie w oczy, szukając wyjaśnienia.

Nie przyszło ono prędko. Marta ostrożnie dobierała słowa.

- Gdybym była młodsza... - wymamrotała w końcu pod nosem.

- Może usiądziesz? Mam jeszcze trochę świeżej wody ze studni.

Marta usiadła. Wciąż była wyprostowana jak struna, a jej podbródek wznosił się w upartym geście ku górze.

Abigail nabrała kubek chłodnej wody. Marta wzięła go bez słowa i długo piła. Oddała puste naczynie i wydawała się nieco odzyskiwać równowagę.

Abigail cichutko zajęła obok niej miejsce na ławce. Marta powie, co się stało, kiedy będzie gotowa.

Ale upłynęło trochę czasu, a Marta wciąż się nie odzywała, więc Abigail zdecydowała, że czeka już wystraszająco długo.

- Powiedziałaś, że chciałabyś być młodsza. Dlaczego?

Marta potrząsnęła głową i wytarła twarz szalem.

- Czyżby spodobał ci się jakiś młody mężczyzna? - dodała Abigail z uśmiechem.

Nawet znana ze stoickiego spokoju Marta, rzuciwszy Abigail zszokowane spojrzenie, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Mężczyzna - zastanowiła się, jeszcze raz lekko przecierając zgrzane skronie i wilgotne włosy. - I do tego młody, powiadasz. A cóż ja bym miała z takim robić?

Abigail wzruszyła ramionami.

- To już ty musiałabyś mi wyjaśnić.

- Nedorzeczność - powiedziała Marta potrząsając głową, ale jej ton nie był obrażony, a podbródek zszedł nieco w dół. Wachlowała twarz końcem szala.

- No więc...? - spytała Abigail.

Marta potrząsnęła głową i westchnęła.

- Jak my mamy nadażyć z tym nawałem pracy? Każdego dnia przychodzi coraz więcej ludzi. Piotr raduje się z każdej nowej twarzy. Ja też. Ale to nie *Piotr* ich karmi. Nie spędza każdej minuty dnia, pochylając się nad gorącymi garami albo szorując brudne naczynia. Nie, Piotr się tym nie para, tylko nawołuje, żeby przychodzili - Marta machnęła ręką w geście zapraszającym kogokolwiek, kto stanąłby w drzwiach.

Abigail nic nie powiedziała. Wiedziała, że Marta cieszy się tak samo jak wszyscy, gdy do społeczności wierzących dołączają nowi ludzie, lecz jest już zmęczona, przytłoczona zbyt dużą ilością obowiązków i potrzebuje wyrazić swoje uczucia, nie krytykując przy tym nikogo.

- Czy znów mamy dodatkowe osoby...?

- Co najmniej ze dwa tuziny. I podejrzewam, że wszyscy są głodni i zmęczeni. Piotr właśnie zarządził, by ich nakarmić i dać miejsce do spania. A widzisz tu w garach jakąś strawę? Albo wolne miejsce, gdzie można rozłożyć maty? - przy zadawaniu tych retorycznych pytań ręce Marty żywo gestykulowały nad jej głową.

- Chyba mamy jeszcze trochę chleba i koziego sera. I winogrona. Wystarczy dla nich wszystkich? Bóg już wcześniej rozmnażał chleb...

- Oczywiście. A ja o tym zapomniałam - Marta przestała się wachlować i uniosła ramiona. - Jestem tylko starą, zmęczoną kobietą, która nie pilnuje własnego języka. Powinnam się wstydzić.

- Cały dzień byłaś na nogach, w tym okropnym upale, obsługując niezliczone ilości ludzi. Nie masz powodu do wstydu. Po prostu...

- Gdybym tylko była młodsza... - tym razem Marta uśmiechnęła się na tę myśl.

- Gdybyś była młodsza, nie miałabyś mądrości, męstwa ani umiejętności potrzebnych do wykonywania tej pracy. A teraz, Marto, posiedź tu sobie trochę i odpocznij. Zawołam młodsze kobiety i dopilnujemy, żeby nowo przybyli dostali strawę. A potem w jakiś, chyba cudowny, sposób, znajdziemy im też miejsce do rozłożenia mat.

Abigail miała nadzieję wywołać jeszcze jeden uśmiech na ustach Marty.

Kobieta zaczęła wstawać, lecz Abigail przytrzymała ją za ramię.

- Musisz odpocząć. Inaczej nie będziemy mogły korzystać z twoich mądrych rad. I co wtedy pocniemy? Potrzebujemy cię. Dzięki tobie idziemy w dobrym kierunku, wszystko jest zorganizowane. Prowadzisz nas i w pracy, i w modlitwie. Bez ciebie sobie nie poradzimy.

Starszej kobiecie łzy napłynęły do oczu. Wzięła Abigail za rękę.

- A ja nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie, Abigail. Nawet z bolącą nogą - och, nie udawaj zaskoczonych, widzę jak się krzywisz z bólu, kiedy myślisz, że nikt nie patrzy - i tak pracujesz za dwie.

Abigail naprawdę była zaskoczona. Myślała, że dobrze ukrywa ból. Ale oczywiście Marta nie dała się oszukać. Ta kobieta miała wyjątkowo bystre oczy i miękkie serce.

- Posiedź - powiedziała Abigail łagodnie. - A ja dopilnuję wszystkiego, co musi być zrobione. Obserwowałam cię wcześniej przy pracy, będę robić to samo co ty.

Marta przytaknęła. Jej oczy wciąż błyszczały ze wzruszenia.

\*\*\*

Następnego ranka Abigail zaskoczyło wezwanie przed radę wyznawców. Gdy przyszła, zastała tam również Martę, która jednak patrzyła tylko na prowadzących wspólnotę. Abigail weszła cicho i kiwnęła na powitanie, po czym zajęła miejsce obok starszej kobiety.

- Nie uszło naszej uwadze - zaczął Piotr ze wzrokiem utkwionym w obie kobiety - że nawał pracy staje się zbyt duży. Z każdym dniem przybywa nam ludzi, więc musimy się lepiej zorganizować, żeby nikogo nie przeoczyć, ani nie przeciążać tych, którzy im służą.

Inni pokiwali głowami z aprobatą.

- Wygląda na to, że jedną z największych potrzeb jest troska o wdowy i sieroty. Gdyby oddzielić ich od reszty ludzi, byłoby łatwiej pomóc każdemu - znów rozległ się szmer potakiwania.

- Dyskutowaliśmy trochę na ten temat i uważamy, że potrzebne jest wyznaczenie miejsca wydawania posiłków, gdzie potrzebujący żywności mogliby otrzymać swój przydział. Mogą zabrać produkty do domów lub

namiotów i gotować tam. To znacznie zmniejszy ilość jedzenia przygotowywaną tutaj. Marta zaproponowała to rozwiązanie i jest to dobry pomysł. Powinniśmy byli wpaść na niego wcześniej.

Przerwał na chwilę i spojrzął z uznaniem na Martę.

*Po co mnie tu wezwali?* – zastanawiała się Abigail. *Marta świetnie sobie radzi. Jestem bardziej potrzebna w kuchni...*

– Zauważono, że ty, Abigail – powiedział Piotr lekko przekrzywiając głowę – jesteś najbardziej kompetentna i skuteczna. Zasugerowano, żebyś nadzorowała te nowe punkty dystrybucji żywności.

Marta natychmiast wstała, a jej twarz pobladła.

– Ale... ale ja potrzebuję Abigail w kuchni.

– Do kuchni przeszkolimy inne dziewczęta.

– My? – spytała Marta, podnosząc brwi do góry. – Jak to: „my”? Nie przypominam sobie, abyś kiedykolwiek bywał w kuchni, Piotrze.

Możliwe, że Piotr zrobił się czerwony, lecz ukryła to jego broda. Zaśmiał się.

– Masz rację. Nie przeprowadzę żadnego szkolenia. Ale ty, Marto, jesteś w tym jak najbardziej kompetentna. W końcu to ty szkoliłaś Abigail, czyż nie?

Marta zajęła z powrotem swoje miejsce, mamrocząc coś pod nosem.

Piotr zwrócił się do Abigail:

– Czy jesteś gotowa służyć w ten sposób?

Abigail przełknęła ślinę i pokiwała głową. *Tak. Tak, jestem gotowa służyć.*

Ale sama myśl o tak wielkiej odpowiedzialności przerażała ją śmiertelnie. Z drugiej strony, sama była sierotą, więc miała wrażliwość na potrzeby podobnych sobie.

– Jestem gotowa – usłyszała swój własny głos. Jej umysł już wirował wokół tego, co trzeba zrobić, od czego zacząć.

– Dobrze. Więc mamy to ustalone. Porozmawiaj ze Szczepanem. On zarządza wszelkimi zapasami. Opowie ci, czym dysponujemy i razem ustalicie, jak ma przebiegać rozdawanie żywności. Jeśli będziesz miała jakieś pytania, na które Szczepan nie będzie potrafił odpowiedzieć, to przyjdź zapytać o naszą radę. I dobież sobie do pomocy, wedle twoich potrzeb, dwie lub trzy z młodszych kobiet.

Piotr wyglądał na zadowolonego z takiego rozwiązania, a Abigail, wciąż oniemiała, tylko przytaknęła. Zrozumiała, że może od razu zacząć swoje nowe obowiązki i wstała ze swojego miejsca. Marta była już o kilka kroków przed nią.

Prawie dochodziły do schodów, gdy Marta rzuciła przez ramię:

- Chciałam nam jakoś *ulżyć*, a tu co? Piotr, ot tak sobie, zrzuca na twoje barki więcej niż ktokolwiek powinien dźwigać. Abigail, tak mi przykro. Nie powinnam była...

Abigail wzięła ją za rękę.

- Kochana Marto, nie martw się. Nie mam nic przeciw temu. Naprawdę. Chcę służyć wdowom i sierotom. Jest to zadanie, któremu z Bożą pomocą podołam. Taka służba to zaszczyt.

Marta potrząsnęła głową, a wyraz jej twarzy świadczył, że nie da się pocieszyć.

- Będę tęsknić za pracą z tobą - dodała szybko Abigail. - Ale będziemy się często widywać. Będę wpadać i wypadać. Jeszcze będziesz miała dość, że ciągle szperam ci w kuchni...

- No, dość już - przerwała Marta. - Wiem, że starasz się po prostu widzieć jak najlepsze strony tej sytuacji. Niepotrzebnie się wtrącałam i teraz zbieram tego żniwo. I kropka!

- Właściwie - ośmieliła się dodać Abigail - przyzwyczajam się do tego pomysłu i myślę, że jest całkiem niezły. To znacznie zmniejszy nakład pracy w kuchni. A wdowy i ich dzieci będą mogły się poczuć jak rodziny, nawet w tak trudnej sytuacji. I naprawdę myślę - dodała po chwili wahania - że jak już się wdrozę i wszystkiego nauczę, to będę miała wielką radość ze służenia w taki sposób.

- Hmm - mruknęła powątpiewająco Marta.

- Wiesz - powiedziała Abigail przechylając głowę - mam przecucie, że te nowe obowiązki mogą być nawet lepsze niż balie do prania.

Marta mruknęła jeszcze raz, lecz tym razem spojrzała na Abigail z błyskiem w oczach.

\*\*\*

Dopiero w nocnej ciszy Abigail miała czas spokojnie przemyśleć, co się właściwie wydarzyło. Miała być zarządcą - i to w bardzo ważnej

dziedzinie. Och, może nie takim prawdziwym zarządcą. Wciąż będzie miała też ludzi nad sobą. Szczepana, który sprawuje pieczę nad zapasami, radę, Piotra. Jednak dostała ważne zadanie.

Było to dla niej wyzwanie. Nawet ją trochę przerażało. Czy podoła? To duża odpowiedzialność. A co, jeśli jej się nie uda? Wdowy potrzebowały dziennych racji żywności, tak samo dzieci pozbawione rodziców. Wiele osób nie otrzymywało żadnej innej pomocy, poza tą od wspólnoty wierzących. Dzień w dzień Abigail zauważała te dwie grupy osób, jak przychodziły i wychodziły. I dzień w dzień jej serce krwawiło, gdy na nie patrzyła.

Smutne twarze bez wyrazu, z niemowlętami na ręku albo małymi dziećmi trzymającymi się kurczowo spódnic. Albo dzieci, które były zupełnie same. Ich twarze rozjaśniały się podczas uwielbienia, lecz Abigail i tak widziała ich smutek. Uchwyciłyby się jakiegokolwiek znaku, który mógłby dać im nadzieję.

Czuła się głęboko zaszczycona, że poproszono ją, by służyła w taki sposób. Być może, z Bożą pomocą, uda jej się przynieść tym ludziom trochę pocieszenia i zachęty.

- O, Panie, Boże - westchnęła żarliwie - obym potrafiła służyć tak, jak Ty służyłeś, kiedy byłeś pomiędzy nami. Z radością usłużę moimi rękami i sercem w tym zadaniu, w Twoim imieniu. Umocnij mnie do służenia. Daj mądrość. Daj wszystko, co trzeba, żeby zaspokoić potrzeby ludzi. Spraw, bym była błogosławieństwem dla wszystkich, z którymi się zetknę. O to się modlę wraz z dziękczynieniem.



## ROZDZIAŁ

## PIĄTY

Dwóch rannych żołnierzy na tyle spowolniło pochód oddziału Linuksa, że dotarli do Jerozolimy dopiero trzeciego dnia tuż po zachodzie słońca. Widziane o zmierzchu miasto było oszałamiająco piękne. Światło pochodni i ostatnie promienie słońca nadały jego murom kolor roztopionego złota. Od wschodu księżyc oblał dolinę Cedronu srebrem i pogrążył ją w cieniu. Głos trąby rozbrzmiewający na terenie Świątyni dał sygnał do wieczornych modlitw. Miasto zdawało się unosić na wzgórzu jak błyszcząca korona mijającego dnia, jednak żołnierze, nie bacząc na to piękno, pozostawali w gotowości bojowej, dopóki pierwszy z jeźdźców nie zasalutował wartownikowi strzegącemu Bramy Owczej.

Linuks udał się do komnat nad stajniami twierdzy, które – zdawałoby się, wieki temu – dzielił z Albanem, choć z pewnością mógł zażądać dla siebie kwatery o lepszym standardzie. Twierdza Antonia była pierwszą dużą budowlą wzniesioną przez Heroda Wielkiego, ojca Heroda Antypasa, człowieka odpowiedzialnego za odbudowę Świątyni w Jerozolimie. Linuks zameldował przybycie żołnierzowi pełniącemu nocną wartę, ciesząc się, że nie musi od razu rozmawiać z gburowatym komendantem. Złożył tylko oficjalną prośbę o kilka oddziałów do swojej dyspozycji od następnego ranka. Jedno spojrzenie na zwój z cesarskim orłem wystarczyło, by pomocnik komendanta zasalutował i obiecał, że wszystko będzie gotowe zgodnie z prośbą.

Linuks bez pośpiechu zjadł kolację, udał się do łaźni, by obmyć kurz i siniaki z podróży, a następnie rozpoczął poszukiwania.

Próbował sobie wmówić, że chce tylko dowiedzieć się, gdzie przebywa jego przyjaciel, były setnik, ale w głębi duszy wiedział, że to nieprawda.

Twierdza była ponurą, ciężką budowlą oddzieloną od zachodniej ściany Świątyni alejką, która bez względu na porę dnia pogrążona była w półmroku. Tego dnia uliczka była tak wyludniona, że echo kroków Linuksa odbijało się od kamieni pod jego stopami oraz od bocznych ścian. Natomiast rozciągająca się przed nim główna arteria łącząca wejście do Świątyni z bramą Heroda była pełna ludzi.

Zbliżając się do tętniącej życiem ulicy, Linuks poczuł, jak przyspiesza mu puls. Atak zelotów był na tyle świeżym wydarzeniem, że miał pełną świadomość niebezpieczeństwa czyhającego w tym mieście na chodzącego w pojedynkę, nieuzbrojonego Rzymianina. Ale tam, dokąd tej nocy chciał pójść, nie mógł zabrać ze sobą broni. Dlatego przyspieszył kroku, aż w końcu niemalże biegł. Uważał na każdego, kogo mijał, na każdy cień.

Nikt go nie zaczepiał ani mu nie groził, choć czuł na sobie wzrok wielu osób. Obawiał się nawet, że nie odnajdzie miejsca, którego szukał, bo był tu tylko trzy razy, ponad dwa lata temu. I nigdy nie szedł tędy w nocy. Nie mógł też zapytać o drogę, bo nie znał nazwy owego placu, o ile miał on w ogóle jakąś nazwę. Co więc miał powiedzieć podejrzliwemu Judejczykowi? Że on, Rzymianin, szuka podwórza, na którym zbierają się wyznawcy martwego Proroka?

Szedł i szedł, aż stwierdził, że chyba przeoczył zakręt albo w ogóle poszedł w błędnym kierunku. Biedniejsza dzielnica miasta stanowiła labirynt brukowanych uliczek, w którym nawet strażnicy świątynni poruszali się trójkami, i rzadko kiedy w nocy. Już miał zawrócić, gdy po jego prawej stronie pojawiły się znajome schody, tak szerokie, jak ulica prowadząca do twierdzy, od stuleci wydeptywane ludzkimi stopami. Schody niemal dochodziły do wysokości wewnętrznego muru miasta. Wspiął się na nie i popatrzył na pusty plac. Widywał to miejsce tylko wtedy, gdy było pełne ludzi, spalone pustynnym słońcem. Ale i tak je poznał.

Za pierwszym razem, gdy tu przybył, zebrani żywo ze sobą dyskutowali. Jakże ci Judejczycy lubili rozmawiać – o wiadomościach dnia i polityce, ale przede wszystkim o swojej religii! Linuks przypomniał sobie dzień, gdy zaprowadził Albana na spotkanie z nieuchronnym przeznaczeniem. Przyjaciel Linuksa siedł wtedy obok niego i cicho mówił mu o judejskim Proroku.

Linuks głęboko odetchnął suchym, pełnym pyłu nocnym powietrzem. Wczesnowiosenne deszcze już dawno przeszły, ale największe upały miały się dopiero zacząć. Przez sześć długich miesięcy w Jerozolimie nie miała spaść ani jedna kropla deszczu.

Pogrążony w myślach Linuks poczuł, jakby właśnie stanął przy nim Alban. Na nowo usłyszał pytania, na które nie znał odpowiedzi: o przebaczenie, o miłość i o żyjącego Boga. Rozbrzmiewały w jego głowie, gdy tak rozglądał się po pustej przestrzeni, szukając jakichś śladów życia.

Usłyszał rozmowę i przez szparę w drzwiach zobaczył światło. Podeszedł do wysokich, podwójnych drzwi, które najwyraźniej były zamknięte od środka. Z bliska usłyszał wiele głosów. Ostatnim razem, gdy tu był, drzwi te były otwarte na oścież, a tłum tak gęsty, że ciężko było oddychać. Wyznawcy Proroka świętowali zaślubiny jego przyjaciół, a Herod wysłał strażę, by ich aresztować. Cztery dni później Linuks dostał rozkaz powrotu do Italii i od tamtej pory nie miał o Albanie żadnych wieści.

Linuks zapukał. Rozmowy w środku natychmiast ucichły.

Na wysokości twarzy otworzyło się małe okienko. Drzwi, grubości około jednej stopy, wzmocnione były żelaznymi kratami, by nie przebiła ich włócznia lub miecz. Przez chwilę brodata twarz przyglądała się Linuksowi, po czym odezwał się szorstki głos:

- Czego chcesz?

Ktoś inny syknął z wnętrza domu:

- Kto to?

Brodacz zwięził oczy i wciąż patrząc przez okienko w drzwiach odpowiedział:

- Rzymianin.

- Przychodzę w pokoju – powiedział Linuks.

Mężczyzna był wzrostu Linuksa i wyglądał na pracownika fizycznego lub wojownika.

- Jest już późno, Rzymianinie. Czego chcesz?

- Nie przyszedłem nikogo skrzywdzić - powiedział Linuks podnosząc puste ręce. - Chciałem zapytać o mojego przyjaciela.

Mężczyzna patrzył podejrzliwie.

- Czy ten przyjaciel jest wyznawcą Drogi?

Linuks nigdy wcześniej nie słyszał takiego sformułowania. Ale to nie był czas, by pytać o jego znaczenie.

- Ma na imię Alban. Jest mężem Lei.

Zza mężczyzny odezwał się kobiecy głos:

- Ten Rzymianin mówi o moich opiekunach.

Mężczyzna nie spuszczał oczu z Linuksa.

- Mówi o bojącym się Boga?

- Tak, właśnie o nim. Mogę zamienić z nim słowo? - głos kobiety nieco zadrżał.

Mężczyzna z niechęcią zmarszczył czoło, po czym powoli odsunął się od drzwi.

Ledwo Linuks spojrział na młodą kobietę, która stanęła przy okienku, jego serce zaczęło głośno walić.

Za żelaznymi kratami pojawiła się przepiękna twarz. I te oczy... Gdy zakrywała dolną część twarzy, pojedynczy pukiel kręconych, brązowych włosów wymknął się spod tradycyjnego judejskiego nakrycia głowy.

- Wybacz, panie, zapomniałam, jak masz na imię.

- Linuks.

Była znacznie piękniejsza niż zapamiętał. Ciemne, szczerze patrzące oczy napotkały jego spojrzenie, a głos zabrzmiał jak muzyka, nawet jeśli dziewczyna była onieśmielona przez nieznanego.

- Wybacz to najście. Przychodzę w pokoju. Szukam wieści o Albanie i Lei.

- Tu ich nie ma.

- A czy są bezpieczni? - jego głos był ochryply od emocji, jakby właśnie skończył jakiś szaleńczy wyścig.

- Tak - uśmiechnęła się, a jej twarz stała się jeszcze piękniejsza.

Ktoś odezwał się z wnętrza domu:

- Abigail?

Odsunęła się o krok.

- Pani, proszę, czy możesz mi chociaż powiedzieć, gdzie ich znajdę?

- Nie mówimy...

Z wnętrza domu ktoś znów zawołał ją po imieniu, tym razem bardziej stanowczo. - Muszę już iść - powiedziała, zamykając okienko.

Linuks gapił się na zamknięte drzwi. Młoda kobieta pozostawiła po sobie zapach cytryn i jakiejś przyprawy, być może mirry.

- Abigail - wyszeptał jej imię.

Niechętnie odwrócił się i zaczął iść ze zwieszonymi ramionami.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieści, na które czekał Ezdrasz, przyszły z najbardziej niespodziewanego źródła.

- Moja własna *siostra*?

Safira była najmłodsza z ich klanu.

Niespodziewany klejnot - tak ją zawsze nazywała matka i takie też wybrano jej imię. Safira wżeniła się w rodzinę jerozolimskich kupców. To w ich domu Ezdrasz ubijał interesy, gdy był w mieście. Siedział teraz w komnacie, którą przejął jako swoją kwaterę i patrzył ponad stołem usłanym dokumentami i próbkami towarów, próbując zrozumieć to, co właśnie usłyszał.

- Ty? Wyznawczynią tego zmarłego Proroka?

- Jeśli zasięgniesz języka wśród Jego wyznawców, mój bracie, to powiedzą ci, że On wcale nie jest martwy.

- Kto? Kto mówi takie rzeczy? Ten Człowiek został *ukrzyżowany*. Przez *Rzymian*. Myślisz, że nagle ci mistrzowie śmierci i zniszczenia *popęlnili błąd*? Albo *zmienili zdanie*?

Safira nie była zbyt atrakcyjną kobietą. Ezdrasz uważał również, że jego siostra ma raczej słabą wolę. Lecz rodzice ubóstwiali ją tak samo, jak swoje wnuki i nie odmawiali jej niczego. Skutkiem tego jako dorosła również oczekiwała, że każde jej życzenie zostanie spełnione, zanim jeszcze je wypowie.

Ale coś takiego? Ezdrasz osłupiał.

Obok Safiry siedział jej mąż, Ananiasz. Był on niewysokim człowiekiem o wiecznie rozbieganych oczach, jakby sądził o każdej wynegocjowanej właśnie umowie, że tuż za rogiem czeka na niego jeszcze lepsza.

- I ty też? - spytał rozgniewany Ezdrasz.

- Oni czynią znaki i cuda. Widziałem na własne oczy.

- I to jest twoja odpowiedź? Mogę cię zaprowadzić do bramy Świątyni i pokazać tuzin żebraków, którzy też twierdzą, że mają taką moc!

- Ale te cuda są prawdziwe - powiedziała cicho Safira.

- Czyż sam nie powiedziałeś nam, że jesteś zainteresowany nawiązaniem z nimi kontaktu? - dodał Ananiasz.

Ezdrasz wstał od stołu i przeszedł w kierunku szerokich drzwi balkonowych. Jego uwagę przykuło ręcznie polerowane lustro, które kiedyś kupił dla żony. Większość religijnych Judejczyków uważała, że patrzenie na swoje odbicie w lustrze jest zbędną pokusą. Najlepsze lustra były też bardzo drogie, lecz Ezdrasz chciał, by jego żona widziała, jaka jest piękna. Stawali razem przed tym lustrem, a on wymieniał wszystkie atrybuty jej urody.

Ostatnimi czasy ledwie spoglądał na swoje odbicie, lecz dziś nie potrafił odwrócić wzroku. Patrzył na siebie i zauważył, w równo przyciętych włosach i brodzie, ślady siwizny. Jego oczy były podkrążone i nawet opalenizna z licznych podróży nie była w stanie tego ukryć. Przekroczył czterdziestkę i choć uważał się za człowieka wciąż młodego i energicznego, w duszy czuł już pierwszy powiew zimowych lat. Przyglądając się swemu odbiciu, Ezdrasz zauważył, że staje się coraz bardziej podobny do ojca.

Ze spokojem, którego wcale nie odczuwał, zmienił taktykę. Jeśli chce zdobyć informacje, musi udawać zainteresowanie wiarą tej nowej sekty. Zależało od tego powodzenie jego zadania. Odwrócił się z powrotem do siedzącej przy stole pary i powiedział:

- Macie rację, oczywiście. Wybaczcie.

- Pierwszy raz poszłam tam z ciekawości tak samo, jak ty chcesz zrobić - powiedziała Safira. - Dużo o nich słyszałam i chciałam się przekonać na własne oczy.

Ezdrasz pomyślał, że jego siostra zawsze kochała rynki i herbaciarnie. Plotki były jej potrzebne jak oddychanie. Wiedział, że to niemiłe z jego strony, ale nie mógł nic poradzić na swoje odczucia. Gdy usłyszał, że siostra wierzy w te bzdury, miał ochotę odsunąć się od niej.

- A ja poszedłem, bo ona mnie prosiła - przytaknął Ananiasz. - Prosiła i prosiła.

- Ananiaszu, przestań.

- Ale to prawda - odwrócił się do żony. - Nie dawałaś mi spokoju.

*A ty urodziłeś się po to, by słuchać innych* - pomyślał Ezdrasz.

Ananiasz, podobnie jak Safira, był najmłodszy z rodzeństwa. Ezdrasz był przeciwny ich małżeństwu. Ojciec Ananiasza jako pierwszy w rodzinie zdobył tytuł kupca. Dziadek Ananiasza był prostym woźnicą karawany. Dzięki ciężkiej pracy i umiejętności targowania się, rodzina wybiła się i weszła do klasy kupców. Teraz byli właścicielami tuzina straganów na głównych ulicach Jerozolimy.

Ezdrasz wrócił na swoje miejsce i przyjrzał się mężczyźnie siedzącemu naprzeciw niego. Choćby Ananiasz nie zrobił w życiu żadnej innej pożytecznej rzeczy, wżenienie się w kupieckie imperium Ezdrasza tysiącrotnie zabezpieczyło jego pozycję w klanie.

- Nękałaś mnie i błagałaś, no to poszedłem.

- A teraz? - spytał Ezdrasz.

Rozbiegane oczy Ananiasza choć na chwilę skupiły się na Ezdraszu.

- Nie widziałeś na własne oczy tego, co się u nich dzieje. Ja widziałem.

- Czyli co takiego?

- Ty postrzegasz ich jako rosnącą w siłę sektę. Chcesz wiedzieć, kim są. Myślisz, że mógłbyś ubić z nimi jakiś interes.

Ezdrasz był zaniepokojony trafną oceną mężczyzny.

- A czy to coś złego? - zapytał.

- Jesteśmy kupcami. Taką mamy naturę. Chcę tylko powiedzieć, że nic nie jest takie, jak ci się wydaje. Judea pełna jest sekt i ludzi, którzy twierdzą, iż posiadają tajemną wiedzę. Ta grupa jest inna.

Ezdrasz przyjrzał się uważnie Ananiaszowi. Być może jego skryty szwagier był mądrzejszy, niż mu się wydawało.

- A skąd ta pewność?

Ananiasz spojrział na żonę.



- Powtórz mu to, co opowiedziałaś mnie.

- Przyjaciółka opowiadała... o cudach - rzekła Safira. - Chciałam pójść i zobaczyć sama. Przyznaję, traktowałam to jako popołudniową rozrywkę. Widzisz, ja też miałam swoje powody, by chcieć ich poznać, lecz te powody były złe.

Przejęta i podekscytowana, Safira mówiła w pośpiechu, jak niegdyś, gdy była dzieckiem. Ezdrasz usłyszał jednak w jej głosie coś nowego: siłę, której nie rozpoznawał i intensywność, która mówiła o głębokiej pasji.

- Czy chcesz powiedzieć, że źle robię chcąc ich poznać?

- Nie, bracie. Mówię ci, żebyś był przygotowany na spotkanie z czymś, czego nie jesteś w stanie pojąć.

- Albo jesteś z nimi albo nie - powiedział Ananiasz. - Jeśli należysz do wyznawców Jezusa, On będzie działał w tobie.

- Przecież On nie żyje!

Para spojrzała na siebie z tajemniczym uśmiechem, co zaniepokoiło Ezdrasza bardziej niż wszystko, co do tej pory od nich usłyszał. Safira wskazała na swoje serce i powiedziała:

- On żyje. Tu. Teraz.

- Przyjmij to lub nie, twój wybór - dodał Ananiasz. - Ale to nie zmieni faktów. Jezus umarł, a jednak żyje.

Ezdrasz pohamował pierwszy impuls, by tupnąć nogą, rozżłościć się i wszcząć kłótnię. Dał sobie kilka chwil, by przełknąć pogardę dla tych dwojga.

- Muszę to zobaczyć na własne oczy.

- Ja ci wszystko załatwię, kochany bracie - Safira promieniała z radości.

\*\*\*

Kolejne godziny Ezdrasz spędził w stanie ostrożnego oczekiwania. Wciąż czuł niepokój wywołany tym, że Safira dołączyła do wyznawców zmarłego Proroka. Próbował dowiedzieć się o nich czegoś więcej, wysyłając na rynek zaufanego sługę z instrukcją, by popytał, zaoferował łapówkę, jeśli będzie trzeba, i przyniósł jakąś informację, która rozjaśniłaby sytuację. Bo przecież jeśli uda mu się samemu odkryć to,

czego chce się dowiedzieć, nie będzie potrzebował wątpliwej pomocy siostry i szwagra.

Lecz wieści, które przyniósł sługa, jeszcze bardziej go wzburzyły.

„Znaki i cuda” – takich słów użył sługa. Z tego, jak się wypowiadał, Ezdrasz domyślił się, że recytuje to, co usłyszał od innych. Najwidoczniej rynek nie był zgodny co do tej grupy. Niektórzy uważali ich za wyrzutków. Jerozolima pełna była wyznawców takiej czy innej osoby, wykrzykujących pod niebiosa, że ich rabbi posiada szczególne zrozumienie prawdy. Ezdrasz spodziewał się tego. W młodości on sam i Gamaliel też stali na zewnątrz Świątyni, ogłaszając innym uczniom, że to ich nauczyciel jest najwybitniejszym faryzeuszem wszechczasów.

Ale to było coś innego.

Według przekazu sługi, działy się prawdziwe cuda. Przywódcy tej grupy, znani jako apostołowie lub święci nauczyciele, posiadali moce, które kiedyś należały do samych proroków. Albo, co bardziej prawdopodobne, to wszystko było jakimś oszustwem.

Ezdrasz ukrył swoje zaniepokojenie przed służącym, który przecież tylko wykonał rozkaz pana. Gdy ten się oddalił, Ezdrasz nie mógł się z powrotem skupić na pracy. Przechadzał się nerwowo po pokoju, prowadząc wewnętrzną dyskusję na temat tego, jak jego młodsza siostra mogła przyrzec wierność takiej grupie.

Zatrzymało go pukanie do drzwi. Sługa wrócił i ogłosił:

- Przyszła do ciebie kobieta, panie.

- Moja siostra ją przysłała?

- Nie powiedziała, panie. Ale nie sądzę.

- Nie chcę... - Ezdrasz zauważył słabo skrywany uśmiezek sługi. -

O co chodzi?

- Jestem pewien, że zechcesz się z nią widzieć, panie.

- Wprowadź ją.

Zaintrygowany Ezdrasz czekał na środku komnaty.

Gdy tylko kobieta stanęła w drzwiach, zrozumiał.

Miała na sobie ciągnące się po ziemi szaty kapłanki greckiej świątyni. Długie kości policzkowe podkreślały ogromny nos. Jej skóra pokryta była plamami, lecz kobieta pokryła policzki różem niczym młoda bezwstydnica. Efekt był upiorny.

- Przynoszę ci pozdrowienia, Ezdraszu, synu Szymona.

Odpowiedział uprzejmym skinieniem głowy i powiedział do służącego, który teraz zupełnie otwarcie się uśmiechał:

- Przynieś coś do jedzenia i picia.

- Pozdrowienia - powtórzyła starsza kobieta, gdy Ezdrasz wskazał jej krzesło. - Od jednej z najzaciejszych rodzin w całej Judei.

- Jestem zaszczycony - odparł Ezdrasz.

- I powinieś być, panie. Och, jak najbardziej. Powinieś być zaszczycony tak bardzo, że nie da się tego ująć słowami. Powiem ci, dlaczego.

Przeszedł dookoła stołu i usiadł na krześle.

- Proszę, kontynuuj.

- Ponieważ ta rodzina ma córkę, panie, tak piękną, jakiej wcześniej nie widziałeś. Skąd to wiem, mógłbyś zapytać, panie. Wiem, ponieważ gdybyś tylko ją ujrzał, zaślepiłoby cię jedno pragnienie: poślubić tę młodą kobietę i wziąć ją do swojego domu.

Służący podsunął kobiecie pozłacaną tacę z kielichem. Sięgnąwszy po niego, siorbnęła głośno, po czym powiedziała:

- Masz dwoje dzieci.

- Tak, zgadza się.

- Które tęsknią za matką. Bez wątpienia ty również tęsknisz za swą zmarłą żoną. To wielka strata, taka tragedia. Widzę w twojej twarzy, jak boli cię, że nie ma jej przy tobie. Lecz, panie, czas żałoby już przeminął. Przychodzę ogłosić nowy początek.

Sługa pozostał przy drzwiach i obserwował kobietę niczym aktorkę na scenie. Ezdrasz musiał przyznać, że była bardzo utalentowana. W ciągu ostatnich miesięcy spotkał już wystarczająco dużo swatek, by zorientować się, że ta jest profesjonalistką.

- A czy ten mój nowy początek ma jakieś imię?

- Gloria.

Czyli rodzina była grecka - tak miejscowi mówili o judejskich rodzinach spoza granic Izraela.

- Z jakiego rodu?

- Izaaków. Z Aten. I Cezarei.

Oczywiście, znał ich. Posiadali własne okręty i dobrą reputację.

- Ile ma lat?

- Najśłodszy wiek - szesnaście. Świeża jak poranek, z głosem przypominającym łagodne gruchanie synogarlicy.

Kobieta układała peany na cześć młodej damy, a Ezdrasz oparł się na krześle i poważnie rozważał propozycję. Rodzina Izaaków posiadała statki, których nie miało jego kupieckie imperium. Od lat robił z nimi interesy. W ostatnią podróż do Aleksandrii udał się właśnie na jednym z ich okrętów. Podejrzewał, że nie są zbyt religijni, co było normą wśród wielu Judejczyków mieszkających w Cezarei, ale to mu jakoś specjalnie nie przeszkadzało. Byli znani ze swojej dobrej reputacji i honoru, a Ezdrasz przekonał się, że są to ludzie szorstcy, lecz sprawiedliwi i dotrzymujący słowa. Wiedzieli o jego pozycji we wspólnocie i jeśli oferowali rękę swojej córki, znaczyło to, że ta młoda kobieta wie, jak przestrzegać *kaszrut*, jak prowadzić dom w sposób religijny.

Jego myśli popłynęły z powrotem do spotkania, które miała mu załatwić Safira. Zastanawiał się znowu, co zrobić z nowo odkrytą przynależnością siostry do owej sekty. Nagle poczuł się zbyt niespokojny, by usiedzieć na krześle. Wstał tak prędko, że starsza kobieta zatrzymała się w połowie zdania.

- Proszę, wybacz mi. Mów dalej.

Kobieta wykrzywiła twarz w grymasie, który miał być uśmiechem.

- Najwyraźniej jesteś, panie, zainteresowany tą młodą kobietą, prawda? I słusznie, gdyż jej skóra jest świeża jak...

Ezdrasz znów stanął przed wypolerowaną powierzchnią lustra. Nie wyglądał najgorzej. Owszem, twarz była już trochę poorana bruzdami, a skóra bardzo ciemna od miesięcy podróży na otwartym morzu. Ezdrasz pogładził siwiznę na krótkiej brodzie i zastanawiał się, co taka młoda dziewczyna by o nim pomyślała.

Lecz prawdą było to, co powiedziała staruszka. Czas żałoby dobiegał końca. Dzieci potrzebowały matki, a on żony.

Zdał sobie sprawę, że kobieta zapytała go o coś i czeka na odpowiedź.

- Czy mogłabyś powtórzyć, pani?

- Spytałam, czy chciałbyś, panie, abym porozmawiała w twoim imieniu z rodziną.

- To ty przysłałaś do mnie - odparł Ezdrasz. Najwyraźniej kobieta chciała dostać pieniądze za zaręczyny od obu rodzin. - Ta rodzina cię tu przysłała, tak? Co znaczy, że jesteś tu w *ich* imieniu.

Kobieta uśmiechnęła się zadowolona, bo Ezdrasz nie odrzucił od razu jej oferty.

- Tak, panie, jestem.

\*\*\*

Safira przybyła w chwili, gdy swatka właśnie wychodziła. Zanim sługa Ezdrasza odprowadził staruszkę do frontowych drzwi, Safira musiała poukładać sobie w głowie prawdopodobny cel jej wizyty i teraz miała na twarzy ten sam uśmieszek, co przedtem sługa.

- Jesteś gotów, bracie?

- Na co?

- Na co, pyta. Patrzcie na niego. Jeszcze nawet nie spotkał tej młodej damy, a już myśli o sprowadzeniu jej do domu.

Ezdrasz poczuł gorąco na twarzy, co tylko wywołało śmiech Safiry. Nawet sługa zakrył ręką usta, żeby ukryć chichot. Safira wzięła brata za rękę i powiedziała:

- Chodź, oczekują nas.

- Zaaranżowałaś mi spotkanie z kimś z tej sekty?

- Nie uważamy się za sektę, bracie.

- Nie miałem nic złego na myśli. Jak więc mam ich nazywać?

- Na naszych zebraniach nazywamy siebie teraz wyznawcami Drogi.

Bardzo mu się nie podobało słuchanie o tym, jak jego siostra deklaruje przynależność do tej grupy, jakkolwiek by się nie nazywali. Ezdrasz ukrył grymas na twarzy, spoglądając w słońce.

- Straszny dziś upał. Weźmiemy powóz?

- Nie wypada zjawić się w powozie. Zresztą, idziemy do starej dzielnicy.

Ezdrasz miał ochotę ponarzekać, ale się powstrzymał. W starej dzielnicy mieszkała jerozolimska biedota. Nie bywał tam już od lat i wątpił, by od jego ostatniej wizyty w tamtych stronach cokolwiek

zmieniło się na lepsze. Skinął na dwóch wartowników stojących u wejścia do budynku.

- Będziecie nam towarzyszyć.

Safirze najwyraźniej nie w smak była zbrojna ochrona, ale nie sprzeciwiła się. Zamiast tego mówiła dalej:

- Pośród tych, którzy nie są z nami, lecz szanują nas, jesteście znani pod nazwą Nazarejczycy. Od Nazaretu - miasta, gdzie Jezus się wychowywał.

Ezdrasz zachwiał się i oparł o najbliższy murek. Po hebrajsku słowo to brzmiało *Hanozree* i miało wielkie znaczenie wśród religijnych Judejczyków. Oznaczało najwyższą formę zaparcia się samego siebie, odrzucenia grzechu, odwrócenia się od pokusy i szczerego szukania Pana.

- Czy wszystko w porządku, bracie?

- Tak, nic mi nie jest. Więc zabierasz mnie do domu jednego z przywódców?

- Apostołowie w większości pochodzą z Galilei. Tu mieszkają z innymi wierzącymi, którzy mają domy w Jerozolimie.

Tym razem Ezdrasz nie zdołał ukryć grymasu niezadowolenia i pogardy. Dla religijnych ludzi z Jerozolimy, Galilejczycy byli jedynie troszkę lepsi od Samarytan.

- Doprawdy, siostrze, tego już za wiele. Zadajesz się z motłochem!

Safira nie była przyzwyczajona, że ktokolwiek w rodzinie ją krytykuje, więc stanęła nadąsana. W jednej chwili Ezdrasz przypomniał sobie dawne czasy, kiedy jedno urażone spojrzenie siostry roztopiało serca rodziców.

- Jeśli masz zamiar mówić do mnie w ten sposób, to równie dobrze możemy wrócić do domu.

- Wybacz, siostrze. To było niepotrzebne i niegrzeczne z mojej strony.

- To ty chciałaś tego spotkania.

- To prawda. Powiedz mi więcej na temat tej grupy.

Safira znów się wypogodziła, lecz jej opowieść pełna była cudów i wydarzeń, które po prostu nie miały najmniejszego sensu. Safira opisywała przyrost liczby członków grupy w tempie, które było niemożliwe. Mówiła, jak ludzie dzielą się wszystkim, co mają i nikomu

we wspólnocie niczego nie brakuje. Albo opowiadała, jak Mistrz nakarmił pięć tysięcy ludzi jednym koszem ryb i kilkoma bochenkami chleba; że działa się tak często, bo nigdy niczego we wspólnocie nie zabrakło.

Ezdrasz nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Siostrze, ile naszych rodzinnych pieniędzy im dałaś?

Wróciła nadąsana mina.

- Dzielimy się z potrzebującymi.

Ezdrasz zgadywał, że ciężko zarobione złoto jego rodziny, które on własnym wysiłkiem znacząco pomnożył, teraz służy do karmienia biednych, tłoczących się do nowej sekty właśnie dlatego, że można tam dostać darmowe jedzenie. Jego jedzenie. Jego złoto. Nic dziwnego, że sekta tak się powiększa.

Resztę drogi przebyli w ciszy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ezdrasz zupełnie nie spodziewał się tego, co zastał w miejscu, gdzie zbierali się apostołowie.

Nie było tam tłumu biedoty kłębiącej się jak wrony dookoła jedzenia, ani hord żebraków wyciągających ręce po jałmużnę. Ezdrasz i Safira weszli na plac jakich w mieście setki, gdzie nieliczni ludzie spokojnie zajmowali się swoimi sprawami. Woda sączyła się z prostej glinianej rurki osadzonej w pozbawionej ozdób fontannie i wpadała do wąskiego baseniku. Budynki wokół placu, choć wyglądały biednie, nie były zaniedbane. Okiennice pozamykano, by chronić domostwa przed popołudniowym upałem. Osioł jadł z worka uwiązanego u szyi. Jakaś kobieta napełniła gliniany dzban i kiwnęła głową do Safiry, zanim zniknęła w podwójnych drzwiach.

Safirę ogarnęły wątpliwości.

- Nie powinniśmy byli tu przychodzić.

Ezdrasz odczuł pokusę, by się z nią zgodzić, lecz powstrzymała go narastająca ciekawość. Safira nie była mało inteligentna ani łatwowierna. Lubiła robić zakupy na straganach, chwaliła się nowymi perfumami i kolorowymi chustami, ale nigdy nie należała do kobiet, które pozwalają, by złoto przepływało przez ich palce niczym woda. A jednak coś w tej sekcji ją przyciągnęło.

- Będę się do nich odnosił z szacunkiem - powiedział Ezdrasz.



- Na pewno? - rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

- Daję ci moje słowo - był pod wrażeniem widząc, jakie to dla niej ważne.

- W takim razie chodźmy.

Gdy przechodzili przez otwarte drzwi, Safira powiedziała:

- To tutaj Mistrz ukazał się po swoim ukrzyżowaniu.

Ezdrasz już otworzył usta, żeby ją poprawić, lecz w porę się powstrzymał i tylko kiwnął głową.

- W komnacie na górze Jezus świętował Paschę z apostołami. To był Jego ostatni posiłek przed śmiercią.

- Czyli to było zanim powrócił, dobrze cię rozumiem? - było mu okropnie trudno nie oponować wobec tych niedorzeczności.

- Tak, bracie - Safira odpowiedziała ze stanowczością, która jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi. - Umarł i powrócił, a potem znów nas opuścił, żeby mógł przybyć Duch Święty.

- A dokąd poszedł?

Spojrzała na niego, by upewnić się, że to pytanie nie jest kpina.

- Z powrotem do Ojca. Do nieba.

Nie wymyśliwszy nic odpowiedniego, co mógłby rzec, Ezdrasz znów pokiwał głową, tym razem wolniej.

- Razem z ciałem został zabrany do nieba. Byli przy tym apostołowie i wszystko widzieli.

Ezdrasz szybko rozejrzał się po wewnętrznym dziedzińcu. Działo się tu znacznie więcej niż na placu za wysokimi drzwiami. Jednak tu też wyczuwało się niesamowity spokój. Zobaczył scenę, która przypomniała mu jego wcześniejsze lata w Jerozolimie, gdy mieszkał u swego nauczyciela. Pod skrzydłami tego uczonego był zarówno studentem, jak i sługą. Rodzina oczywiście zapłaciła za jego naukę, lecz oczekiwano od niego również ciężkiej pracy, a część należnej mu zapłaty została przeznaczona na pomoc dla biednych, młodych mężczyzn wyróżniających się inteligencją. Jednym z takich młodych mężczyzn był Gamaliel, pełen pasji i ognia, choć pochodzący z ubogiej rodziny. To zresztą wyjaśniało, dlaczego później doceniał wyrafinowane rzeczy - dobre jedzenie, ładny dom i wspiane szaty.

Wspomnienia z młodości przebiegały przez umysł Ezdrasza, w miarę jak przyglądał się podwórzu. Ujrzał mniej więcej dwa tuziny

ludzi, przeważnie kobiet, zajętych różnymi pracami. Poczł zapach pieczonej jagnięciny przyprawionej czosnkiem i tymiankiem. W cieniu ustawiano i nakrywano dwa stoły, jak to miało miejsce w większości religijnych domów, gdzie kobiety i dzieci siedziały przy osobnym stole, jeśli w gości przyszedł ktoś obcy. Kobiety nosiły długie, skromne szale, owinięte wokół ramion i dyskretnie zakrywające dolną część twarzy. Było widać, że nie są zamożne, lecz Ezdrasz nie dostrzegał oznak skrajnego ubóstwa.

Był pod wrażeniem panującego tu spokoju. To samo pamiętał z domu swojego nauczyciela, gdzie spędzało się czas na studiowaniu świętych ksiąg, modlitwie i uwielbianiu Boga. Poznając tę nową sektę spodziewał się doświadczyć wielu rzeczy, ale ów spokój, zapamiętany z lat młodości, z pewnością do nich nie należał.

Zatrzymał się, przestraszony nagłym łoskotem, który rozległ się gdzieś za nim. Odwrócił się i aż wstrzymał oddech.

Młoda kobieta upuściła drewniane miski, które teraz leżały na ziemi. Koniec jej szala zsunął się z twarzy, gdy schyliła się, by je pozbierać.

- Wybaczcie. Bardzo przepraszam, taka ze mnie niezdara.
- Pozwól, że ci pomogę...
- Nie, panie, nie wypada. Sama pozbieram.

Ezdrasza nie interesowało wykonywanie obowiązków służącej. Chciał bliżej przyjrzeć się tej kobiecie i zobaczyć, czy jego pierwsze wrażenie jest trafne.

Gdy pozbierała miski i stanęła przed nim, okazała się jeszcze piękniejsza, niż myślał. Ujrzał kobietę o zdumiewająco pięknej twarzy - uroczą, niepospolitą, a co więcej, mającą w sobie wewnętrzną siłę i zadowolenie z życia, których nigdy wcześniej nie widział u tak młodej kobiety.

Misja Ezdrasza, związana z wizytą w tym miejscu, w jednej chwili zmieniła środek ciężkości. Teraz wszystko, co słyszał i widział, przesiane zostało przez pryzmat fascynacji tą młodą kobietą. Za każdym razem, gdy pojawiała się w polu widzenia, reszta świata rozmywała się i stawała się nieważna.

Safira przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym zaprowadziła go do głównego stołu na podwórzu i usadziła w cieniu.

Powiedziała do niego coś, czego nawet nie usłyszał, po czym odeszła na moment. Po chwili wróciła i dalej mówiła coś do niego, ale wszystko uchodziło jego uwadze.

Wtem zjawiła się przed nimi owa młoda kobieta z glinianym kielichem. Podała im go mówiąc:

- Prosiłaś o chłodną wodę, Safiro.

- Dziękuję, Abigail - odpowiedziała Safira, po czym wskazała na brata.

Ezdrasz wziął wodę i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. W konserwatywnym domu nieżonaty mężczyzna nie powinien zwracać się bezpośrednio do panny. Ale któż wiedział, jakie zasady panowały w tym miejscu? Ezdrasz smakował imię kobiety razem z wodą. *Abigail*. Przyjemnie działało na zmysły. To dobre imię.

Gdy odchodziła, zauważył, że lekko kuleje. Jako człowiek interesów odnotował, że ta młoda kobieta może mieć poważną wadę. Niedoskonałość fizyczna, i to takiego stopnia, że kobieta jest chroma, mogła stanowić podstawę do odstąpienia od umowy małżeńskiej. Prawo judejskie było w tym punkcie bardzo jasne. Widoczny defekt, zwłaszcza na twarzy lub utrudniający chodzenie, rozpatrywany był w tym samym świetle co rytualna nieczystość. Osoba taka nie miała wstępu do Świątyni.

Ezdrasz popijał wodę i obserwował, jak wierzący zajmują się swoimi sprawami. Jednocześnie cały czas szukał wzrokiem tamtej młodej kobiety. Na myśl o jej niedoskonałości wzruszył ramionami. Nie miało to dla niego znaczenia. Pragnął jej. Skoro lekarze nie potrafili jej wyleczyć, piękno jej twarzy i figury na pewno zrekompensuje fizyczną ułomność.

Ezdrasz i jego siostra pozostali na placu tak długo, na ile pozwalała przyzwoitość. Wstrzymał się z chęcią powiedzenia Safirze o swym nowym celu.

Czekała aż znaleźli się znów na jednej z głównych ulic, by zapytać:

- I co o nich myślisz?

Ezdrasz przystanął na moment, po czym odrzekł:

- Myliłem się w swych przypuszczeniach.

- Sądziłeś, że to będą sami żebracy, którzy przyszli po darmowe jedzenie i dach nad głową.

Spojrzał na nią przez ramię, zaskoczony jej trafną obserwacją. Zwykle nie była tak spostrzegawcza.

- Wiem, bo sama myślałam dokładnie to samo - mówiła dalej Safira.  
- Sądziłam, że chcą, bym do nich dołączyła, bo jestem z bogatej rodziny i pragnę zagarnąć moje pieniądze.

- Bo chcą - odpowiedział bez namysłu.

- Ale nie *proszą* o nie. Tu nie chodzi o pieniądze, bracie.

Chciał odpowiedzieć kolejnym argumentem, ale wiedział, że to nie jest odpowiedni czas, więc zmienił temat:

- Ta młoda kobieta, Abigail. Znasz ją, tak?

Dostrzegł, jak Safira próbuje ukryć uśmiech.

- Zdziwiasz mnie, bracie.

Starął się trzymać swą niecierpliwość na wodzy.

- Opowiedz mi o niej.

- Jest sierotą.

To nie była dobra wiadomość. Sierota znaczyła w społeczeństwie prawie tak mało, jak uwolniony niewolnik. Żaden klan nie przyjął jej do siebie. Nie miała żadnego bogactwa czy pozycji.

- Jak straciła rodzinę?

- Słyszałam, że w wyniku ataku na ich karawanę. Przeżyła tylko ona i jej brat, który wśród wierzących uczy się na stolarza. Wcześniej służyła w domu, w którym wszyscy poznali zmartwychwstałego Pana. Teraz jest częścią tej wspólnoty i służy...

- A dlaczego utyka?

- Słyszałam, że miała wypadek. Prała ubrania i gorąca woda...

Ezdrasz przestał słuchać głosu siostry. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej miał pewność, że powinien porzucić myśl o tej Abigail. Sam pomysł, że kupiec jego pokroju chciałby poślubić służącą, praczkę, członkinię tej szemranej sekty, był jakimś absurdem. Lecz wspomnienie jej uroczej twarzy nie dawało mu spokoju.

- Bracie?

Ezdrasz zorientował się, że siostra nie idzie już obok niego. Odwrócił się i dopiero teraz zobaczył, że stoi przy ulicy prowadzącej do ich domu.

- Czy zapomniałeś już, gdzie mieszkam, i gdzie masz swoje biuro?

Podszedł do niej i powiedział:

- Chcę, żebyś w moim imieniu porozmawiała z jej rodziną.  
- Ezdrasz, już ci powiedziałam - ta dziewczyna nie ma rodziny.  
- We wszystkich aspektach, poza nazwiskiem, została zaadoptowana przez tę... grupę, czy tak? - już chciał powiedzieć: „sektę”, lecz w porę się pohamował. - Pomów w moim imieniu z przywódcami.

Safira spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę chcesz się ożenić z tą kobietą?

Czuł, jak całe jego jestestwo płonie tym pragnieniem.

- Posiadam dwie parcele ziemi. Jeśli zrobisz to dla mnie, jedna z nich będzie twoja już dziś po południu.

Usta Safiry otwarły się ze zdziwienia, a oczy wpatrywały się w niego. Ziemia w granicach miasta była cenna niczym pole usiane drogimi klejnotami.

- Mówisz poważnie, bracie?

- A druga będzie twoja w dniu, kiedy ją poślubię - powiedział Ezdrasz. - A teraz sama mi powiedz, czy brzmi to poważnie, czy nie.

# ROZDZIAŁ

## ÓSMY

Linuks obudził się o świcie z pragnieniem, które ścisnęło jego duszę z siłą równie ogromną co bolesną.

- Abigail - nie mógł nie wypowiedzieć imienia tej kobiety.

Głos z pokoju frontowego zawołał:

- Mówiłeś coś, panie?

Wstając z posłania szukał w myślach imienia swojego nowego służącego.

- Julian?

- Jest herbata i świeży chleb, panie. Trochę koziego sera i daktyle.

W większych twierdzach nie brakowało emerytowanych żołnierzy szukających pracy, sojusznika lub po prostu czegoś, co łączyłoby ich z minionym życiem, które kochali. Linuks spotkał Juliana, gdy ten służył jednemu z oficerów odesłanych do domu wraz z Piłatem.

Wszedł do frontowego pokoju i zastał służącego pochylonego nad pancernem, noszonym od święta przez rzymskich oficerów.

- Powiedz mi, po co ty nad tym ślęczysz?

- Dziś przysłała wiadomość, panie, że legat chce cię widzieć.

Mężczyzna używał mieszanki starej parafiny oraz piasku, by zeszkrobać ze zbroi dwuletni brud, dzięki czemu pancerny zaczynał lśnić niczym polerowane srebro.

- Chciałem pozwolić ci spać tak długo, jak się da, bo wyszedłeś i nie było cię do późna - to mówiąc Julian jeszcze mocniej zaczął polerować pancerz. - Wyszedełś sam - dodał.

- Szukałem przyjaciela, byłego setnika.

Julian, najwyraźniej przyzwyczajony do postępów rzymskich oficerów, pociągnął nosem i powiedział:

- Z pewnością dama, którą odwiedziłeś, jest zamężna.

Linuks już chciał wyprowadzać go z błędu, lecz uznał, że starszemu mężczyźnie jest to i tak obojętne.

- Masz jakieś wieści o twoim byłym panu?

- Nic a nic, odkąd z Piłatem wyjechał z Rzymu, co nie wróży dobrze - Julian energicznie szorował blachę wzdłuż jednej z krawędzi. - W twierdzy krążą plotki, że każdy oficer ma być odesłany do domu w niełasce. Albo gorzej.

Linuks pomyślał o powodzie, dla którego poprosił o spotkanie z legatem. Wepchnął do ust chleb i daktyle.

- Odkąd wyjechałeś, czasy się zmieniły - powiedział Julian ponuro. - Legat wydał rozkaz, że wszyscy Rzymianie wychodzący gdzieś po zmroku mają poruszać się w większej liczbie.

- Jak to? Tu, w Jerozolimie?

- Były różne incydenty. Większość wyciszono, bo nikt nie chce dawać miejscowym powodu do wywnioskowania, że zmiękliśmy. Ale kilku żołnierzy poszło się napić i nigdy nie wrócili. Chłopcy są niespokojni.

\*\*\*

Linuks, ubrany w strój legionisty, wyszedł z cienia stajni. Jego pancerz, hełm, kłamry i pochwa miecza aż lśniły w wyniku skrupulatnej roboty Juliana. Tak jak przypuszczał, oczekiwał na niego młody oficer. Jeśli nawet zobaczył coś dziwnego w starszym rangą żołnierzu wychodzącym ze stajni przy twierdzy, to nie dał tego po sobie poznać.

- Pozdrowienia od komendanta, panie. Chciałby zamienić z tobą słowo.

Linuks machnął zwojem, który trzymał w lewej ręce. Nawet w wiecznie zacienionej alejce, imperialny orzeł zajaśniał

z charakterystyczną intensywnością.

- Prowadź.

Twierdza Antonia była miejscem funkcjonalnym i pozbawionym uroku. Rzymianie, przejąwszy ją jako kwaterę główną dla garnizonu, zakryli podwórze ciężkimi kamiennymi płytami. Tam, gdzie kiedyś kwitły kwiaty, teraz paradowali, trenowali i uprawiali hazard żołnierze. Pozbawione ozdób korytarze wypełniały męskie, brutalne odgłosy. Linuks wszedł po szerokich schodach za młodym oficerem, a kiwnąwszy w odpowiedzi na salut strażnika, wkroczył do kwatery komendanta.

- Zatem wróciłeś.

Linuks wykonał uroczysty salut, po czym uklonił się nisko.

- Linuks Aureliusz do twych usług, trybunie.

Legat Bruno Aetius był dokładnie taki, jakiego Linuks zapamiętał: byk odziany w skórę i złoto.

- Kiedy dokładnie przyjechałeś?

- Mój statek przyłynął kilka dni temu do Cezarei, trybunie.

- Miałeś jakieś kłopoty w drodze do Jerozolimy?

- Dzięki twym ludziom niewielkie. Dobrze się spisali.

- Oby, bo inaczej przekonaliby się, jak surowy potrafię być dla żołnierzy, którzy nie wykonują zadania - Bruno usiadł za masywnym stołem, rozpierając się mocno na obitym skórą krześle. - Podejrzewam, że słyszałeś już o tej nowej zarazie nawiedzającej judejskie równiny.

- Słyszałem, że nazywają siebie zelotami.

Trybun kiwnął głową. W tym czasie adiutant postawił przy nim kubek z gorącym napojem.

- Herbaty, Linuksie?

- Nie, dziękuję, panie. Dopiero co jadłem.

- Zeloci chcą, by Judeę znów zarządzili Judejczycy. Chcą ją zjednoczyć i wrócić do dawnej nazwy: Izrael. Ludzie zaczynają o nich opowiadać legendy. W gospodach śpiewają o nich pieśni.

Linuks przypomniał sobie piosenkę o śmierci wylatującej nocą z pustyni.

- I jeszcze żadnego z nich nie schwytaliście.

- Zeloci nie są ani na tyle silni, ani na tyle głupi, żeby atakować moje oddziały bezpośrednio. Ich ofiarą padają samotni jeźdźcy i niewielkie oddziały żołnierzy.



- A napadają na miejscowych kupców?

- Niewiele judejskich karawan jest atakowanych, stąd przypuszczam, że płacą im haracz albo zeloci nie chcą napadać na swoich. Natomiast nasi kupcy oraz kupcy Heroda ponoszą duże straty - trybun przez moment okazał nieco humoru. - Ciężko się nie zgodzić, gdy nazywają Heroda swoim wrogiem.

Linuks odpowiedział ironicznym uśmiechem, po czym spytał:

- Są u was jakieś ofiary?

- Kilka. Nie było powodu wspominać ich w oficjalnych raportach. Ale tak, paru ludzi zginęło.

Linuks wyczuł zaniepokojenie w głosie Aetiusa.

- Zgaduję, że więcej niż byś chciał?

- Nie chciałbym stracić nikogo. A skoro przy tym jesteśmy, co się stało z tym twoim przyjacielem, byłym setnikiem... Jak mu było na imię?

- Alban, panie. Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

Bruno Aetius zwrócił się do adiutanta, który stał sztywno przy bocznym oknie i czekał na rozkazy.

- Wiemy coś o nim?

- Nic nie słyszałem, odkąd zrezygnował ze swojego stanowiska, panie.

- Nie cierpię tracić dobrych ludzi - powiedział Bruno Aetius. - Z tego, co słyszałem, był z niego bardzo dobry oficer. Potwierdziłbyś to?

- Jeden z najlepszych, z jakimi kiedykolwiek służyłem, panie.

- Mimo że był Gallem - Bruno zmierzył go wzrokiem wyrażającym mądrość dowódcy. - A jak było w Umbrii?

- Niewiele się zmieniło, panie. Mojemu bratu urósł brzuch.

- Pamiętam Kastora z czasów, kiedy byłem w Rzymie. Zawsze był trochę przy kości.

- A teraz jest otyły. Wątpię, by był w stanie sam sobie zawiązać sandały - Linuks poczuł ślad dawnej żółci. Jego brat wziął za żonę dziewczynę o połowę młodszą od siebie i ważącą jedną trzecią tego, co on. Płakała podczas ślubu. Tak samo jak bratanice Linuksa, które miały nadzieję, że zyskają matkę. Lecz nie wypadało mówić takich rzeczy legatowi. - Dni umilało mi towarzystwo dwóch bratanic. Wyrastają na dziewczęta tak urocze jak ich zmarła matka.

Oczy Bruna zalśniły uśmiechem, który jednak nie pojawił się na twarzy.

- Założę się, że skradły twoje serce.
  - Oddałbym wszystko, by móc je przywieźć tutaj ze sobą.
  - Dobrze zrobiłeś zostawiając je w Umbrii. Tu jest niebezpiecznie.
- W końcu trybun raczył zauważyć zwój, który trzymał Linuks.

- Przyniosłeś coś dla mnie?

- Tak, trybunie.

- Na pewno złe wieści, bo trzymasz ten zwój, jakby to była żmija - wskazał na stół. - No to zobaczymy, co tam jest napisane.

Linuks podał mu zwój i znów przyjął wojskową postawę. Trybun złamał pieczęć, rozwinął pergamin i przeczytał go w milczeniu. Skończywszy, wstał i podszedł do okna, a adiutant rzucił w jego stronę krótkie, ukradkowe spojrzenie, które wyrażało troskę.

- Mam rozkaz wracać do Damaszku - obwieścił Bruno Aetius, zwracając się w stronę okna.

Linuks nic nie powiedział.

- Z całym korpusem oficerów. Odsyłają nas, jakbyśmy zostali przyłapani na okradaniu cesarza - położył obie pięści na parapecie. - Chyba powinienem być wdzięczny, że mogę opuścić to zawszone miasto. Ale żeby mnie tak odsyłać jak jakiegoś...

Linuks nadal stał sztywno, a wzrok miał utkwiony w ścianie za biurkiem trybuna.

- Poznałeś już nowego gubernatora, jak przypuszczam?

- Tak, panie. W Rzymie. Kilka tygodni po tym, jak podano jego nominację do publicznej wiadomości. Poszedłem złożyć gratulacje, jak każdy oficer nowemu dowódcy. Ku memu zdziwieniu, Marcellus chciał się ze mną widzieć.

- I co o nim sądzisz?

- Jest zdecydowanie człowiekiem na miarę dzisiejszego Rzymu - odpowiedział Linuks ostrożnie.

- Tak... Słyszałem o wszystkim, co dzieje się w sercu naszego imperium - Bruno wrócił do krzesła za biurkiem. - Podobno Sejan kopie własny grób, bo walczy z senatem i żąda tytułu konsula. Jaką otrzymuje pomoc od cesarza Tyberiusza?

Linuks zawahał się, po czym wyznał:

- Cesarz rzadko opuszcza swoje piękne ogrody na Capri. Sejan stoi sam przeciw senatowi.

- W takim razie nie pozostanie już długo na tym świecie - trybun podniósł głowę i spojrzał w twarz Linuksa. - Kiedy przyjeżdża nowy gubernator?

- Marcellus miał opuścić Rzym zaraz po mnie, panie. Okropne sztormy spowodowały u nas opóźnienie, więc jeśli zła pogoda go ominęła, można się spodziewać jego przyjazdu w każdej chwili.

Trybun bawił się zwojem rozłożonym na biurku.

- Mogę tylko powiedzieć, że jeśli Marcellus jest podobny do innych ludzi rządzących naszym imperium, to Damaszek nie będzie dla mnie wystarczająco daleko od Rzymu.

\*\*\*

Gdy Linuks opuszczał twierdzę, zabrzmiał świątynny szofar. Stacjonując tu w przeszłości, niewiele się zastanawiał nad judejskimi rytuałami. Miasto było pełne religijnej gorączki. Każdy oficer wiedział, że jest to jeden z powodów wrogości okazywanej rzymskim okupantom.

Linuks odpowiedział na powitanie oczekującego oficera.

- Masz berło legata?

- Tak, panie, proszę.

Orzeł imperium na górze poślacanego berła lśnił tą samą potęgą, co ptak na końcu zwoju Linuksa.

- Piękny dzień na przechadzkę, prawda?

Wszyscy żołnierze wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Szyderczy dowcip Linuksa był dobrze znany w jerozolimskim garnizonie.

Linuks wziął lejce od żołnierza doglądającego jego konia i wskoczył na siodło.

- Miejmy to już za sobą.

Powietrze zgęstniało od słońca, upału i kurzu. Linuks ruszył konno wraz ze swoim podwładnym. Ich pochód przebiegał bez przeszkód, bo nawet najbardziej gburowaty Judejczyk nie ośmielał się stanąć na drodze imperialnego orła. Berło trzymane przez kroczącego przed nimi żołnierza dawało wszystkim jasno do zrozumienia, że ten oddział podąża w imieniu samego cesarza. Stanięcie im na drodze byłoby

uznane za obrazę imperatora. Takie przejazdy miały miejsce jedynie w wyjątkowych okolicznościach, na przykład gdy gubernator podróżował podczas oficjalnej misji, lub – tak jak teraz – gdy cesarz wysyłał dekret lokalnemu zarządcy.

Linuks przywdział maskę rzymskiego autorytetu, jaką był zmuszony nosić każdy oficer w Jerozolimie. Prowadzący pochód strażnik wykrzykiwał do przechodniów, by się rozstąpili. Z obu stron ubezpieczali go żołnierze uzbrojeni w długie laski. Uliczki jak zawsze były pełne ludzi. Wielu z nich rzucało w ich stronę wściekłe spojrzenia, ale nikt nie zastąpił im drogi.

Na zakręcie prowadzący ich strażnik obejrzał się za siebie. Linuks wskazał, by iść w prawo, omijając Świątynię. Jego podwładny, który najwyraźniej miał ochotę dać publiczny pokaz potęgi Rzymu, zmarszczył brwi, jednak Linuks nie miał ochoty na konfrontację z tłumem kłębiącym się u wejścia do Świątyni. Sądząc po spojrzeniach, które wymienili inni żołnierze, zgadzali się oni ze swym dowódcą. Oddział pomaszerował na północ, w stronę sadzawki Siloam, a następnie przez główną ulicę dzielącą Górne Miasto na dwie części. Była to dłuższa trasa, lecz znacznie spokojniejsza, z mniejszą ilością ludzi. Mimo to nie mieli opóźnienia.

Linuks oddał się rozmyślaniom o judejskiej dziewczynie, Abigail. Odgłos końskich kopyt nadawał jego refleksjom łagodny rytm.

Czuł jakby jego duch był rozdarty na dwie części. Jedna strona, ta rzymska, wykrzykiwała niczym dowódca w obliczu wrogich batalionów. *Poślubić Judejkę?* Jego brat, Kastor, byłby wprost zachwycony taką wiadomością. Linuks wiedział, że Kastor boi się, iż młodszy brat przejmie jego władzę. Wielu mieszkańców Umbrii nie kryło się z tym, że woleliby Linuksa w roli swego przywódcy. Poślubienie Judejki byłoby niczym wręczenie bratu zaostzonego miecza, którego Kastor nie zawahałby się użyć przeciw niemu.

Lecz istniała też druga strona Linuksa: samotny wędrowiec, pragnący tej kobiety, której przecież prawie nie znał.

\*\*\*

Pałac stał w jednym z najwyższych punktów miasta, z którego rozciągał się widok na zachodnie doliny oraz bramę Jaffy. Miejsce to wybrał ojciec Heroda, zarówno po to, by być jak najdalej od Wzgórza Świątynnego, jak i dlatego, by obwieszczać swe panowanie jako siła równoważąca potęgę arcykapłanów. Pałac był tak ogromny, że przed siedmioma laty podzielono go na dwie części. W jednej rezydował Poncjusz Piłat, a w drugiej Herod Antypas.

Linuks przedstawił się i wpuszczono go do środka. Jego ludzie jednym spojrzeniem onieśmielili strażę pałacową. Strażnicy Heroda, ubrani we wspaniałe szaty, które dla żołnierzy rzymskiej piechoty wyglądały absurdalnie, sprawiali wrażenie urodzonych leni, jednak wewnątrz pałacu to już była zupełnie inna sprawa. Oddział stanął na górnym stopniu wejściowego korytarza i gapił się na ogród tak wielki i bujny, że wyglądał jak zamknięty w murach las.

Linuks rozpoznał spieszącego ku niemu mężczyznę. Był to Enos, osobisty pomocnik Heroda Antypasa i szef pałacowej służby. Ten najwyraźniej był zbyt przestraszony, by zdać sobie sprawę, że już wcześniej spotkał Linuksa. Ukłonił się tak nisko, że jego szaty zamiotły podłogę i przemówił drżącym głosem:

- Twój najbardziej lojalny sługa pozdrawia cię, panie.

Gdy wzrok Enosa padł na zwój, Linuks zorientował się, że ten już wie. Nie na darmo mówiono, że szpiedzy Heroda są najlepszymi fachowcami w kraju.

- Przynoszę słowo od nowego gubernatora dla waszego władcy.

Enos znów się ukłonił, zapewne by zamaskować kolejny dreszcz, który wstrząsnął jego ciałem.

- Moje najszczerze przeprosiny, panie. Król Herod wciąż przebywa w swej rezydencji w Tyberiadzie.

Linuks wiedział, że jego ludzie przysłuchują się uważnie rozmowie.

- W takim razie może powinniśmy zamienić słowo na osobności.

- O-oczywiście, panie. Tędy, proszę - Enos wprowadził go do środka z jeszcze jednym głębokim ukłonem.

Wchodząc do bogato zdobionej komnaty, Linuks przypomniał sobie ostatni raz, gdy tu był. W drugim końcu tej sali, przy drzwiach prowadzących do ogrodu, gdzie - niczym trony na podwyższeniu - ustawiono krzesła dla Heroda oraz żony Piłata, Proculi, miała miejsce

ceremonia zaręczyn Albana. Dopiero później Linuks dowiedział się, jak nieszczęśliwa była tego dnia Lea. Tak bardzo bała się małżeństwa, że rozważała współuczestnictwo w zabójstwie Albana. Jak miała zamiar tego dokonać, nie miał pojęcia, lecz przypuszczał, że wymagało to pomocy ze strony tego spoconego, obślizgłego sługi Heroda.

Enos w ukłonach poprowadził go do połączanego krzesła. Linuks usiadł i pomyślał, że relacja między Albanem i Leą bardzo się zmieniła od tamtego dnia, gdy się zaręczyli. Setnik z Galii tak oczarował swą damę, że w dniu ślubu aż promieniała ze szczęścia. Szkoda, że Herod skrócił uctowanie weselne i zmusił ich do ucieczki...

- Mojemu... mojemu panu Herodowi będzie niezwykle przykro, że go nie zastałeś, panie. Lecz nie dostaliśmy żadnego zawiadomienia, że przybędziesz.

*Jeśli nie liczyć słów szpiegów* - pomyślał Linuks.

- To nie ma znaczenia.

- Posilisz się, panie? Może pošlę po coś do jedzenia? Mamy świeże figi, zbierane dziś rano.

- Nie, dziękuję. Ale moi ludzie czekają na zewnątrz w tym upale.

Enos odwrócił się do stojącej w gotowości służącej.

- Przynieś im dzban schłodzonej wody i dodaj płatków róż.

Linuks machnął ręką.

- To nie będzie konieczne.

- I cytryn - dodał Enos. - Panie, czy na pewno nic...

- W takim razie poproszę wodę.

- Z największą przyjemnością.

Enos zniknął. Linuks rozprostował nogi i rozejrzał się dookoła. Sala była taka jaką ją zapamiętał - udekorowana bogato zdobionymi meblami pochodzącymi z różnych krajów. Linuks zastanowił się, kiedy ostatni raz widział Albana i Leę, i wyszło mu, że w dniu świętowania ich wesela. Alban ogłosił wtedy, że postanowił zrezygnować ze służby wojskowej. Tego samego dnia Linuks otrzymał zaproszenie od brata i musiał stawić się w Umbrii. Dwie reakcje: Linuksa i Albana, nie mogłyby bardziej się od siebie różnić. Linuks aż kipiał ze złości, odczytując opryskliwy rozkaz brata, mający na celu ośmieszenie go i poniżenie. Zszokowała go natomiast reakcja Albana na kryzysową sytuację. Miał powód, żeby się wściec, bo spędził całe życie

przygotowując się do prowadzenia ludzi w bitwie. Zamiast tego, kiedy Linuks taplał się we własnej żółci i marzeniach o zemście, Alban znów powiedział mu o tym judejskim Bogu i radości, jakiej zaznali z Leą z powodu wiary w Niego. Wtedy Linuks go wykpił, a potem był jeszcze bardziej zagniewany, bo Alban nie chciał się z nim spierać. Zresztą, prawdę mówiąc, jego gniew mało miał wspólnego z Albanem.

Przechodząc tamtego dnia przez zewnętrzne ogrody pałacu, Linuks podsłuchiwał plan zmienienia ucztę weselnej Albana w tragedię. Nie zastanawiał się ani przez chwilę, nie zawahał się. Kazał podwładnemu zsiąść z konia tłumacząc się pilną sprawą, którą ma załatwić dla samego Piłata, po czym ruszył galopem do Dolnego Miasta. Trzy dni później wyjechał do Italii. W kolejnych miesiącach wiele myślał o Albanie i jego świeżo poślubionej żonie, martwiąc się o ich los.

Enos przemknął śpiesznie przez komnatę, niosąc na tacy złoty kielich. Struchlał, widząc grymas pogardy na twarzy Linuksa.

- Wybacz, panie, czy coś...

- Przypominałem sobie właśnie ostatni raz, gdy byłem w tej komnacie - powiedział Linuks. - Uniósł hełm i potarł dłonią po spoconych włosach. - Byłem świadkiem Albana podczas ceremonii zaręczyn.

- Z Leą. Oczywiście, wybacz, panie, teraz sobie przypomniałem.

Głos Enosa drżał w takim samym tempie jak jego dłonie.

- Masz jakieś wieści o miejscu ich pobytu?

- Nic o nich nie słyszałem od ostatniego dnia, gdy Lea służyła u Proculi, panie - podał kielich Linuksowi. - Ale jeśli dasz mi kilka dni, być może uda mi się czegoś dowiedzieć.

- Ucieszy mnie jakakolwiek wiadomość. Możesz mnie znaleźć w kwaterach nad stajniami twierdzy - Linuks wypił wodę, postawił kielich z powrotem na tacy, położył drugi zwój obok kielicha, po czym wstał. - Gubernator Marcellus przyjedzie z Rzymu za kilka dni. Oczekuje, że Herod da mu ten pałac w powitalnym podarunku. Niech wasi ludzie zburzą mur dzielący pałac na dwie części.

- Ja... będzie tak, jak powiedziałaś, panie - Enos pokłonił się zwojowi, jakby to był sam cesarz. - A król Herod...

- Najlepiej będzie, jak zostanie w Tyberiadzie.

- A kiedy... kiedy może oczekiwać, że zostanie wezwany?

Linuks odwrócił się na pięcie i wyszedł, a pytanie Enosa zawisło w pałacowej komnacie bez odpowiedzi.



# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ramiona bolały Abigail, choć wciąż przekładała ciężki koszyk z zakupami z ręki do ręki. Kolejny raz musiała iść na rynek zamiast chorej Hanny. Popołudniowy upał sprawił, że powłóczyła nogami, a całe jej ciało pragnęło chwili wytchnienia.

Znów postawiła koszyk na brukowanej ulicy i schowała się przed upałem w zacieniony róg. Gdyby tylko mogła zdjąć szal i poczuć lekką bryzę... Wachlowała odsłoniętą część twarzy końcem szala. Miała przed sobą jeszcze kawałek drogi, a przygotowujące kolację kobiety czekały na produkty z rynku.

Zaciągnęła szal ciaśniej na twarz. Była wdzięczna, że dziś noga boli ją znacznie mniej niż ostatnio. Może znów jej się polepszało.

Schylała się po koszyk, gdy uprzedziła ją i podniosła go jakaś spracowana, szorstka dłoń. Abigail szybko odwróciła głowę.

- Jakub! - wykrzyknęła z zaskoczeniem, ale też z ulgą. - Co ty tu robisz? Przecież nie ma jeszcze...

- Właśnie słyszałem wieści - odrzekł - i nie mogłem się doczekać, by ci je przekazać.

Jego twarz rozjaśnił ogromny uśmiech.

Zorientowała się właśnie, że musi podnosić głowę, by spojrzeć mu w oczy. Jakże szybko wyrastał na mężczyznę! Teraz lekko dyszał, a jego

twarz lśniła od potu. Zastanawiała się, jakie wieści mogły wywołać u niego taki pośpiech.

- Czy to dobre wieści? Sądząc po twojej twarzy, to musi być coś naprawdę dobrego.

- Tak. Mam wspaniałe nowiny - jego oczy lśniły wesołością, a uśmiech nie zniknął z twarzy.

Ponieważ nic więcej nie powiedział, Abigail zapytała:

- Co się wydarzyło?

- Alban przyjeżdża!

Złapała go za ramiona i potrząsnęła łagodnie.

- Nie żartujesz sobie ze mnie?

- Nie ważyłbym się w takiej sprawie.

Bardzo długo czekali na tę wieść. Po pewnym czasie dostali w końcu wiadomość, że Alban i Lea dotarli bezpiecznie do kryjówki. Uciekinierzy nie zdradzili, gdzie się ona znajduje, chcąc zapewne chronić wierzących. Lecz Alban obiecał także, że odezwie się, gdy uzna, że jest to bezpieczne. Minęły dwa lata; Abigail i Jakub bardzo czekali na jakąkolwiek wiadomość.

Łzy ulgi napłynęły jej do oczu i zdołała tylko zapytać:

- Kiedy?

- Wkrótce. Alban najął się do pracy jako strażnik karawany.

- Skąd o tym wiesz? Kto...?

- Do sklepu właśnie przyjechały zapasy drewna. Człowiek, który je dostarczył, jest jednym z nas. Dostał wiadomość od zaufanego właściciela karawany, także wierzącego - Jakub wsadził rękę pod tunikę i wyciągnął mały zwój.

- Czy to list? Proszę, przeczytaj mi go. Szybko!

- „Do naszych kochanych Abigail i Jakuba” - zaczął Jakub triumfalnym tonem. - „Pozdrowienia w imię naszego Pana i Zbawiciela. Mam nadzieję, że oboje jesteście zdrowi. Od jakiegoś czasu szukałem sposobu skontaktowania się z wami tak, by nie narażać nas ani was na niebezpieczeństwo. Mamy się dobrze. Lea przesyła uściski i żałuje, że musi jeszcze czekać, by się z wami znowu zobaczyć”.

Abigail zatrzymała Jakuba dotykając jego ramienia.

- To znaczy, że Lea nie przyjedzie?

Jakub czytał dalej.

- „Lea nie może mi towarzyszyć, gdyż jest brzemienna...”

- Brzemienna! - wykrzyknęła Abigail. - Wyobraź sobie, Jakubie, Lea będzie mamą. Och, tak bym chciała ją teraz zobaczyć!

Dała mu znak, żeby czytał dalej.

- „Karawana, której będę strzegł, z Bożą pomocą powinna dotrzeć w ciągu miesiąca, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Z powodu obowiązków nie będę mógł od razu przyjść do was do miasta, więc proszę, byście to wy mnie odwiedzili. Właściciel karawany zawsze zatrzymuje się w obozie południowym. Dojście tam zajmie wam pół dnia. Wyślę posłańca z wiadomością o dokładniejszej dacie przyjazdu. Z niecierpliwością czekam, aż znów się zobaczymy. Rozglądajcie się za mną uważnie, bo celowo zmieniłem wygląd. Do czasu ponownego spotkania niech was Pan Bóg chroni. Modlimy się za was oboje codziennie i tęsknimy”.

Abigail ostrożnie zwinęła list.

- Jesteś pewien, że to nie jest oszustwo? Że ktoś...

- Już ci powiedziałem: kupiec, który przywiózł towar to wierzący. Nie oszukałby mnie.

Nogi Abigail drżały z podekscytowania. Czy mogą podzielić się tą wiadomością z innymi?

Jakub odpowiedział na to niezadane pytanie.

- Myślę, że nie powinniśmy nic mówić innym, zanim nie porozmawiamy z Albanem. On widocznie podejrzewa, że wciąż grozi im niebezpieczeństwo.

Abigail pokiwała głową, zdając sobie jednocześnie sprawę, jakie to będzie trudne.

Jej wzrok padł na kosz trzymany przez Jakuba.

- Ojej, Jakubie! - wykrzyknęła. - Musimy szybko zanieść te warzywa do kuchni. One są na kolację.

Oboje zaczęli szybko iść, lecz po chwili Abigail zachwiała się, poczuwszy przeszywający ból w chorej nodze.

- W porządku? - spytał Jakub.

Abigail wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się w podziękowaniu.

- Teraz już tak - lekko odchyliła szal z twarzy. Uliczka przed nimi była chwilowo pusta, więc wykorzystała szansę, by odetchnąć świeżym powietrzem. - Nigdy w życiu nie czułam się lepiej.

\*\*\*

Trudno im było przeżyć resztę dnia bez rozmów o spodziewanym przyjeździe Albana, nawet jeśli od dawna byli przyzwyczajeni do tego, by strzec języka i pilnować sekretów. Jakub i Abigail marzyli o tym, by podzielić się z innymi nowiną o planowanej wizycie Albana.

Abigail zajęła się wydawaniem posiłków, a Jakub albo siedział w cieniu na ławce, albo chodził w tę i z powrotem po podwórzu.

Wieczorne modlitwy po posiłku zdawały się być dłuższe niż zwykle. Abigail przyszło na myśl, jak wiele jest rzeczy, za które trzeba podziękować Bogu, oraz jak wiele padło próśb o mądrość i prowadzenie dla członków wspólnoty. Lecz myśli dziewczyny wciąż odpływały w innym kierunku, bez względu na to, jak bardzo się starała utrzymać je na wodzy.

Rozumiała nerwowe zachowanie Jakuba. Widać było, że chłopak ma w sobie energię, którą trudno mu powstrzymać i usiedzieć na miejscu.

W końcu mogli iść do domu. Już mieli wychodzić z podwórza, gdy do Abigail podszedł Jonasz, członek nowo utworzonej rady.

- Chciałbym z tobą pomówić - zaczął bez wstępnych grzeczności. - Dziś po południu na zebraniu Rady zajęliśmy się prośbą Safiry. Znasz Safirę, żonę Ananiasza? - gdy Abigail skinęła głową, mówił dalej: - Mówiła z nami w imieniu swojego brata. Wygląda na to, że ten mężczyzna pragnie zawrzeć związek.

Abigail zmarszczyła brwi. *Związek?* A cóż jej było do interesów czy handlu?

- Nie... nie rozumiem - powiedziała.

- Chciałby się zaręczyć. I wkrótce wziąć ślub. Jest wdowcem i ma dwoje małych dzieci, które potrzebują matki...

Abigail była pewna, że Jonasz mówi dalej, ale już go nie słuchała. Nie miała nic przeciwko opiekowaniu się dziećmi. Ale czy to nie było możliwe bez małżeństwa? Czuła jak jej serce mocno bije. Sięgnęła po rękę Jakuba. Jej usta odmówiły posłuszeństwa. Nie była nawet pewna, czy oddycha. Całe jej ciało było pozbawione czucia.

Jakub odpowiedział za nią.

- To nie jest możliwe - powiedział bez wahania. - Nie możemy zaaranżować zaręczyn bez pozwolenia naszego opiekuna. Być może on już poczynił jakieś plany co do jej przyszłości.

Przy pierwszych słowach Jakuba Abigail poczuła ulgę. Ale gdy ten wspomniał, że może być już komuś obiecana, dziewczyna wciągnęła powietrze, próbując powstrzymać zawroty głowy. Alban z pewnością nie zaplanowałby jej ślubu bez jej wiedzy. Lecz Jakub mówił dalej:

- Nasz opiekun skontaktuje się z nami... wkrótce. Wtedy przekazemy mu prośbę tego mężczyzny. A do tego czasu ufam, że Ezdrasz... Tak ma na imię? Że Ezdrasz okaże cierpliwość.

Gdy Jakub chciał już odejść, Jonasz przytaknął.

- Chyba tak musi być. Poinformuję Safirę, a ona da znać bratu, że jego prośba została przedstawiona i będzie oczekiwać na wysłuchanie przez waszego opiekuna.

Jakub skinął głową w sposób zupełnie nieprzystający do jego młodego wieku i braku doświadczenia, co zarówno zadziwiło, jak i pokrzepiło Abigail. Słyszała, jak brat mamrocze coś pod nosem, ale nie rozumiała, co. Czy był tak samo zmartwiony jak ona?

Byli już w bezpiecznej odległości, gdy Jakub szepnął z zawziętością:

- Znam tego Ezdrasza. Przychodzi czasem do sklepu stolarskiego. Był nawet wczoraj. Pompatyczny i stary. W ogóle się dla ciebie nie nadaje. Lepiej, żebyś nie miała z nim nic wspólnego.

Abigail zadrżała.

- Wiesz, że nie będę miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

Potknęła się o wystający kamień i upadłaby, gdyby Jakub nie złapał jej za ramię i nie przytrzymał.

- Przekonamy Albana. On nigdy nie zgodzi się, żeby cię tak oddać...

- Będziemy się modlić - wtrąciła Abigail. - Będziemy się żarliwie modlić, by wypełniła się wola Boża.

- Alban nie jest nierozsądny. To, że ten Ezdrasz jest bogatym człowiekiem nie znaczy jeszcze...

- Jest bogaty?

- Tak bardzo, że właściciel sklepu sam go wprowadzał i kłaniał się w pas - Jakub przyjrzał się siostrze. - Wyszłabyś za mąż dla bogactwa?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała szybko Abigail. - Ale...

Odwróciła wzrok.

- Ale co?

- Pomyśl o tych wszystkich potrzebach - powiedziała, znów patrząc mu w oczy. - Przy pomocy tych pieniędzy można byłoby uczynić wiele dobra dla wyznawców.

- Chcesz mi powiedzieć, że oddałabyś mu się za kilka misek zupy?

Abigail była bliska łez. Usta jej drżały i była wdzięczna za to, że część jej twarzy jest ukryta pod szalem.

- Jakubie, przestań - poprosiła. - Wiesz, że nie oddałabym się dobrowolnie nikomu bez względu na powód. Ale pomyśl, jak ty mógłbyś skorzystać. Mógłbyś pójść na szkolenie w fachu, który ci się podoba zamiast... zamiast pracować jako cieśla, czego nie cierpisz...

- W tej umowie nie ma mowy o mnie - przerwał jej Jakub. - Ten mężczyzna nie szuka kolejnej gęby do wyżywienia. Poza tym, ja już wiem, kim chcę zostać. Jak Alban tu przyjedzie, podejmiemy odpowiednie kroki, by mi to umożliwić.

- Ciii - szepnęła Abigail. - Pamiętaj, że mamy nie wspominać o jego przyjeździe. Ściany mają uszy.

Gdy skręcili w alejkę prowadzącą do ich małego mieszkania, Abigail poczuła nieprzyjemny zapach, który zawsze tu się unosił. Na początku często zatykała nos ręką, gdy wchodzili w tę uliczkę. Teraz przyzwyczała się już na tyle, że było to dla niej do zniesienia, choć wciąż uważała ten zapach za okropny.

Jakub nienawidził tego miejsca.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy opuszczę to miejsce i zacznę prawdziwą pracę - powiedział z ustami wykrzywionymi odrazą. - Cały dzień mam w ustach smak surowej ryby. Jak zostanę legionistą, będę jadł świeży chleb, słodczyce i...

- Wiesz, że już nie możesz pójść tą drogą, Jakubie. Wielu z naszych przywódców mówi, że nie godzi się być żołnierzem. Żołnierze muszą używać broni. Muszą...

- Myślisz, że nie wiem, co robi żołnierz? - wybuchnął Jakub. - A jak myślisz, dlaczego chcę zostać żołnierzem? Bo oni wypełniają swój *obowiązek*. Dlatego. Spotkałaś kiedyś lepszego człowieka od Albana?

- Nie - zgodziła się szybko Abigail. - Lecz Alban nie został ze swoim oddziałem. Sądzę, że sam ci powie, iż życie już nie jest dla nas takie, jak było przedtem. Błagam cię, bracie, zastanów się nad tym. A co, jeśli

twoje pragnienie nie spodoba się Albanowi? Pomyśl, ile on dla ciebie zrobił. Chce dla nas tylko tego, co najlepsze. Kocha cię jak syna.

Jej głos stopniowo przestawał być szeptem, więc zreflektowała się i znów zmieniła ton na łagodniejszy.

- Byłby rozzarowany. On chce, żebyś został...

Jakub odsunął się od niej. Mimo zmierzchu dojrzała inny błysk w jego oczach. Co malowało się w tej twarzy? Ból, czy może gniew?

- Jakubie, proszę - powiedziała błagalnym tonem, ale już wiedziała, że jej brat znów zamknął się w sobie. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Nie będzie jej słuchał. Poczwała, jak do jej oczu napływają łzy. Dochodzili już do domu, lecz czuła, że nie będzie to mile spędzony wieczór. Zanim dotarli do drzwi, Abigail wiedziała, że Jakub od razu uda się na strych do swojego łóżka z wielbłądziej sierści. Nie będzie więcej rozmowy o zbliżającej się wizycie Albana. Nie będzie miała do roboty nic innego, jak tylko rozłożyć swoje pachnące stęchlizną posłanie na podłodze. Ona też się położy. I będzie się modlić.

\*\*\*

Następnego ranka Abigail wstała wcześniej niż zazwyczaj, ale Jakub nie odpowiedział na jej wołanie. Uczyniwszy trzy daremne próby, Abigail wspięła się po niezbyt stabilnej drabinie zrobionej z resztek drewna, które Jakub pozbierał tu i tam. Próbowała przebić ciemności strychu, lecz na posłaniu nikt nie leżał. Jakub już wyszedł.

Zeszła z powrotem z ciężkim sercem. Z trudem powstrzymywała łzy. Czy Jakub po prostu poszedł wcześniej do pracy? Czy może był tak zły z powodu jej ostrych słów, że zdecydował się od niej odizolować? Nie mogła znieść myśli, że może znów go stracić. Oprócz Jakuba nie miała nikogo. Chciała być blisko niego, chronić go i być chronioną, tak jak się stało poprzedniego dnia. A jeśli znalazł sposób na przyłączenie się do legionistów bez pomocy lub zgody Albana? A jeśli to ona go do tego doprowadziła? Nie byłaby w stanie sobie tego wybaczyć.

Z bólem w sercu przygotowywała się do dzisiejszego dnia. Pójdzie sama na poranną modlitwę. Już zaczęła się modlić. Prosiła, by Jakub już tam był i czekał na nią; by dała radę opanować łzy, jeśli go tam nie będzie. Modliła się o mądrość, co robić dalej.

Owinęła szal ciasno wokół twarzy, zamykając drzwi i podpierając je kijem, żeby do środka nie weszły zbłąkane kozy czy kurczaki. Żałowała, że nie może zakryć również swoich spuchniętych, czerwonych oczu.

Słońce jeszcze nie wzeszło, choć różowa łuna na wschodzie zapewniała, że wkrótce to nastąpi. Na drzewie zaśpiewał ptak; odpowiedział mu inny siedzący na kamiennym murku. Gdzieś w pobliżu zapłakało dziecko. Mężczyzna gniewnie zaklął na skradającego się psa. Do jej nozdrzy przedostał się zapach surowych ryb.

Nie zwróciła uwagi na te rzeczy. Ciągle myślała o Jakubie.

\*\*\*

Dłużący się dzień dobiegał końca. Abigail nie miała żadnych wieści o Jakubie. Nie było go na porannej modlitwie ani podczas wieczornego posiłku. Owinęła się szalem, przygotowując do wyjścia. Modliła się, aby jego rzeczy wciąż były w domu, co wskazywałoby na to, że zamierza wrócić.

Gdy przechodziła przez podwórze, z cienia wyłoniła się sylwetka wysokiego mężczyzny. Jej zmęczone serce przyspieszyło, gdyż rozpoznała rzymskiego żołnierza, Linuksa. Jego mundur błyszczał w miejscach, w których zachodzące słońce odbijało się od wypolerowanej miedzi. Nie mogła nie zauważyć, że wygląda imponująco. Wzięła głęboki wdech i chciała przejść obok, lecz Linuks ją zatrzymał.

- Proszę - jego głos zabrzmiał raczej jak prośba niż rozkaz. - Chciałbym zamienić tylko kilka słów.

Abigail nie miała żadnej wymówki, więc kiwnęła głową, a jej palce zacisnęły się na szalu i owinęły go ciasniej wokół twarzy. Poczowała ulgę, gdy wskazał jej zacienione drzwi. Przynajmniej nie będzie widziana podczas rozmowy z rzymskim żołnierzem.

- Ciągle się martwię Albanem. Wypytywałem w wielu miejscach, lecz niczego się nie dowiedziałem.

- Panie, proszę - ośmieliła się powiedzieć Abigail. - Nie wypytuj już o niego. Możesz jego i Leę narazić na wielkie niebezpieczeństwo.

- Wciąż mają tu wrogów? - zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Oczywiście. Herod z pewnością pielęgnuje myśli o zemście.



- Obawiam się, że tak. Niektóre wspomnienia człowiek zachowuje na długo, jeśli wypełnia je żółcią.

- W takim razie rzeczywiście przestanę wypytywać.

- Dziękuję - Abigail chciała odejść, ale Linuks znów ją zatrzymał.

- Czy pozwolisz mi przynajmniej spytać, czy masz jakieś wieści?

Abigail milczała chwilę, po czym kiwnęła głową.

- Tak.

Wydał z siebie głębokie westchnienie.

- Więc są wciąż bezpieczni? I mają się dobrze?

Abigail jedynie kiwnęła głową.

- Tak mi ulżyło.

- Nam wszystkim również.

Abigail po raz trzeci chciała się oddalić, lecz znów zatrzymały ją słowa Linuksa.

- Mogę zapytać... czy Alban wkrótce tu przyjedzie?

Abigail wolała nie odpowiadać na to pytanie, jednak jej oczy z pewnością ją zdradziły. Nie potrafiła dłużej ukrywać niecierpliwego oczekiwania na pojawienie się Albana, nie umiała też zaprzeczyć, że przyjedzie wkrótce.

- Przyjedzie. Ale w tajemnicy. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Rozumiem. A Lea?

- Ona nie przyjedzie.

- Źle się czuje?

- Nie, sądzę, że czuje się zupełnie dobrze - Abigail zastanawiała się, ile powinna mu powiedzieć. - Ona... spodziewa się dziecka - dodała.

Była zupełnie nieprzygotowana na emocje, które wymalowały się na jego twarzy. Uśmiech. Tęsknota. Znowu uśmiech. Ale nic nie powiedział. Tylko na nią patrzył. Intensywnie i głęboko - w sposób, który niepokoił ją bardziej niż była w stanie to wyrazić. Co miało znaczyć to śmiałe studiowanie jej zakrytej twarzy?

Jej myśli nagle pomknęły do pewnego dnia, dawno temu, na rynku. Poszła z mamą załatwić jakieś sprawunki. Była wciąż zbyt młoda, by zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół niej na ulicach. Lecz jej matka coś zauważyła i syknęła jej do ucha:

- Zakryj twarz!

Dała jej przy tym kuksańca w bok.

Abigail posłuchała od razu, lecz zastanawiała się przy tym, czemu inne dziewczęta w jej wieku nie mają zakrytych twarzy.

Dopiero za zamkniętą bramą ich podwórza matka wyjaśniła swoje zachowanie, choć Abigail i tak nie do końca ją zrozumiała.

- Gdy jesteś na ulicy, zawsze zakrywaj twarz. Mężczyźni, nawet ci starsi, patrzą na ciebie. Jeśli uznają, że jesteś zuchwałą, też będą zuchwali wobec ciebie.

- Ale inne dziewczęta nie...

- Są na świecie źli mężczyźni, którzy nazbyt podziwiają zewnętrzne piękno - przerwała jej szybko matka. - Gdy je zobaczą, muszą je posiadać. Gdy nadejdzie właściwy czas, twój ojciec i ja zaaranżujemy ci zaręczyny z kimś odpowiednim. Wybierzemy mężczyznę, który będzie szukał czegoś więcej niż tylko ślicznej buzi. Ale na razie musisz zakrywać twarz, żeby te zuchwałe oczy nie napełniły się złym pożądaniem. Zawsze. Kiedykolwiek wychodzisz na ulicę czy na rynek. Rozumiesz?

Od tamtej pory Abigail bardzo uważała, by słuchać w tym matki. Lecz teraz nie miała matki ani ojca, którzy zaaranżowaliby jej zaręczyny. Skąd miała wiedzieć, czy w oczach, które na nią patrzyły, kryły się czyste zamiary?

Wyraz twarzy tego rzymskiego oficera sprawił, że przez jej kręgosłup przeszedł dreszcz. Czy działo się to ze strachu, czy z jakiegoś innego powodu? - Abigail nie potrafiła tego wyjaśnić. Wiedziała tylko jedno: musi uciec. Nie odezwawszy się więcej, zaciągnęła mocno szal wokół twarzy i przebiegła obok niego. Nie zatrzyma się, jeśli on znów coś do niej powie.

Będąc już za rogiem zaryzykowała szybkie spojrzenie przez ramię, ale nikogo nie zauważyła.

Gdy otworzyła drzwi od swego mieszkanka, bała się zajrzeć na strych. W końcu wspięła się jednak po drabinie i z pewną ulgą stwierdziła, że ubrania Jakuba wciąż leżą porozrzucane, choć jej brata tam nie było.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jednym z porannych obowiązków Linuksa było odwiedzenie złotnika. Ktoś złożył w garnizonie doniesienie o łamaniu prawa i Linuksowi przydzielono śledztwo w tej sprawie. Zaoferowano mu też uzbrojoną eskortę, lecz odmówił. Znał właściciela zakładu; on nie, ale wielu żołnierzy kupowało u niego błyskotki dla swoich kobiet. Linuks miał powód przypuszczać, że sprawę da się rozwiązać po prostu wysłuchując, co rzemieślnik ma do powiedzenia.

W drodze myślał o Abigail. Jak on, Rzymianin, miał zbliżyć się do dziewczyny z tej dziwacznej sekty? Niewiele wiedział o tych ludziach i ich zwyczajach. Alban bez wątpienia mógłby mu w tym pomóc. Gdyby zechciał wystąpić w jego imieniu, pójść razem z wizytą... Mając na uwadze ich przyjaźń, Alban, jak już przyjedzie, znajdzie sposób, by się z nim skontaktować i przedyskutują tę sprawę.

Linuks skręcił w główną ulicę prowadzącą do rynku i zatrzymał się przed sklepem, którego wewnątrz było właśnie remontowane. Robotnicy, ściśnięci na małej przestrzeni, robili tyle samo hałasu, co kurzu. Linuks wciąż myślał o Abigail. Gdyby tylko... Walnął pięścią w nowy drewniany słup, przy którym właśnie stanął. Musi znaleźć sposób, żeby zdobyć Abigail!

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Zastanawiał się dłuższą chwilę, nim rozpoznał młodego mężczyznę ze zwichrzoną czupryną, który się do

niego uśmiechał.

- Jakubie!

- Pozdrawiam cię, panie!

- Tak wyrosłeś, że chyba rodzona matka by cię nie poznała. Co tutaj robisz?

- Pracuję...

- Niemożliwe, chyba że twoja praca polega na tym, żeby wybudować tu ścianę.

Jakub pokazał ręce pełne odcisków.

- Uczę się stolarki.

Linuks usłyszał rezygnację w głosie chłopaka.

- Ale nie z własnego wyboru? Wolałbyś inne rzemiosło?

- Ja... - najwidoczniej Jakub zauważył kogoś za Linuksem, więc ten odwrócił się i spojrzał na brodatego Judejczyka z pięściami jak młoty. Mężczyzna z niezadowoloną miną patrzył na chłopaka. Linuks odezwał się tonem oficera:

- Dzień dobry, mistrzu.

Mężczyzna szybko kiwnął głową.

- Rzymianinie.

- Potrzebuję na jakiś czas tego młodego człowieka.

- Miejmy nadzieję, że będziesz miał z jego pracy większy pożytek niż ja do tej pory.

Mężczyzna wrócił do swoich zadań.

- Chodź.

Linuks poprowadził chłopaka ulicą duszną od upału. Jakub był o głowę wyższy niż wtedy, gdy widzieli się ostatnim razem. W pełnym słońcu Linuks zauważył też, jak rozrosły się jego barki. W ciemnych włosach chłopaka tkwiło mnóstwo trocin, a jego twarz była śniada od pracy na słońcu. Gdy Linuks był pewien, że nikt ich nie słyszy, powiedział:

- Nie chcesz zostać cieślą?

- Nie chcę. Nienawidzę tej pracy.

- A kim chciałbyś być?

Jakub milczał chwilę, po czym odpowiedział:

- Chciałbym zostać legionistą, panie.

Choć zabrzmiało to jak informacja, w tonie chłopaka Linuks wyczuł realną tęsknotę.

- Pamiętam, że to samo powiedziałeś Albanowi, gdy pierwszy raz przyjechaliśmy do Jerozolimy.

- Nic się w tej sprawie nie zmieniło - Jakub kopnął leżący na drodze kamyk. - Przynajmniej dla mnie.

- Aaa, chyba rozumiem - Linuks szedł obok chłopaka po poranej koleinami drodze, aż znaleźli się na ulicy pełnej sklepików. - Alban nie chce, abyś został rzymskim żołnierzem?

- Skąd mogę to wiedzieć, skoro nie widziałem się z nim od dwóch lat? Abigail jest temu przeciwna. Ona i nasi przywódcy.

Serce Linuksa podskoczyło w piersi na dźwięk tego imienia, lecz jego głos nie zadrżał, gdy spytał:

- A powiedziała, dlaczego jest przeciwna?

Jakub kopnął kolejny kamyk.

- Nasza Droga jest drogą pokoju. Tyle słyszę w odpowiedzi, gdy zaczynam mówić o swoich marzeniach.

- A rozumiesz, co to znaczy? Co mają na myśli?

- Nie chcę rozumieć.

Linuks zakrył usta dłonią, żeby ukryć uśmiech na twarzy, lecz Jakub w porę to zauważył. Tylko go to rozzłościło.

- Alban był *setnikiem*, a *jego* to nie powtrzymało, żeby zostać wyznawcą Drogi.

- Nie z ciebie się śmiałem, Jakubie. Myślałem o tym, jak jesteście do siebie podobni, ty i ja. I w sumie Alban też. Każdy z nas został zmuszony do fachu oraz życia, jakiego sam by sobie nie wybrał.

- To ty *nie chciałeś* zostać żołnierzem?

- Szczerze mówiąc, Jakubie, nigdy nie dano mi szansy, by się nad tym zastanowić. Mój starszy brat... Cóż, powiem tyle, że gdybym został w domu, moje życie zakończyłoby się długo przedtem, nim byłbym na to gotowy. Poza tym, każdy drugi i kolejny syn w rodzinie służył w legionach. To tradycja sięgająca pokoleń. Wbito mi to do głowy, gdy byłem dużo młodszy niż ty teraz.

- Chciałbym, żeby to *mnie* skazano na taki los - powiedział Jakub niedbale.

Widać było, że jego uwagę przykuła gospoda pod namiotem, gdzie nad ogniskami piekły się nadziane na rożen jagnięta.

- Jak cię tam karmią, mój chłopcze?

- Jestem wiecznie głodny.

- Ze mną było dokładnie tak samo w twoim wieku - Linuks skierował Jakuba w cień i powiedział do właściciela gospody: - Poproszę dwie porcje najlepszego mięsiva.

Gdy je im podano, Linuks odezwał się znowu:

- Siedź i delektuj się posiłkiem. Ja mam małą sprawę do załatwienia na końcu ulicy. Jak skończysz jeść, zaczekaj tu na mnie.

Chłopak tylko skinął głową, bo kęs jagnięciny już wędrował do jego ust.

Linuks rozmówił się ze złotnikiem, zapłaciwszy rachunek, którego nie uiścił jeden z żołnierzy. Potem wrócił do gospody i zastał Jakuba, który zdążył już spałaszować obie porcje.

- Masz ochotę na jeszcze jedną?

Widział, że Jakub się zastanawia, ale w końcu chłopak potrząsnął głową.

- Chciałbym, panie, lecz nie dałbym rady ani kęsa więcej. Przynajmniej nie teraz.

Obaj się uśmiechnęli.

Linuks odsunął półmiski na bok.

- A teraz przejdźmy do rzeczy. Chcę z tobą pomówić jak mężczyzna z mężczyzną.

- Panie?

- Dobrze słyszałeś. Potrzebuję cię. Jest u nas taka tradycja, by poszukać sobie kogoś zaufanego, gdy... załatwia się delikatną sprawę.

Jakub przyglądał mu się chwilę, zwięzając przy tym oczy.

- Mówisz o Abigail?

- Tak...

- Ale ona...

- Co takiego?

- Ktoś już się o nią stara, panie - wyrzucił z siebie Jakub.

Ta wiadomość była dla Linuksa niczym cios w serce.

- To niedobrze. Jak mniemam, Judejczyk?

- Tak, panie. I jest bardzo... bogaty. A Abigail... czeka... co powie Alban. Bo widzisz, Alban i Lea są jakby naszymi opiekunami - zakończył prędko Jakub, rozglądając się przy tym ukradkiem.

Linuks pochylił się do przodu.

- Nie martw się, Abigail sama mi powiedziała, że Alban wkrótce przyjedzie. Pomówisz z nim o tym? Zapytasz go, czy...

- To będzie dla mnie zaszczyt! - spojrzenie Jakuba na całą sprawę nagle uległo zmianie.

- Poczekaj, chłopcze - Linuks miał ostatnio tak mało powodów do uśmiechu, że poczuł, jak jego twarz rozciąga się w dziwny sposób. - Najpierw powinieneś zapytać, co ja tobie dam w zamian.

- Nic mi nie trzeba panie. Zrobię to... z przyjemnością!

Linuks poczuł ściśnięcie w gardle. Zastanawiał się, czy on kiedykolwiek był taki młody i taki ufny.

- No, cóż - odkaszlnął, po czym rzekł: - Oto, co ja dla ciebie zrobię. Porozmawiaj z Albanem i z waszymi... przywódcami, jeśli uznasz to za właściwe. W zamian za to postaram się znaleźć dla ciebie miejsce w garnizonie.

Twarz Jakuba rozjaśniła się tak bardzo, że aż trudno było wytrzymać spojrzenie jego oczu.

- Och, panie... - wyszeptał.

Linuks wstał, czując, że musi jeszcze raz odkaszlnąć.

- Chodź. Musisz wracać do pracy. Prawdopodobnie długo już tam nie zabawisz.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ezdrasz wiedział, że Safira nie chce tam wracać. Przedstawiła już jego sprawę starszyźnie i nie uzyskała odpowiedzi. Obawiała się, że przyrowadzenie do nich Ezdrasza bez formalnego zaproszenia byłoby w tej chwili afrontem, okazaniem braku szacunku. Jego to jednak nie obchodziło. Czuł, że czeka już wystarczająco długo.

Doszło do niego, że mąż Safiry wystawił już pierwszą działkę ziemi na sprzedaż. Bardzo go ta wiadomość zezłościła. Ziemia w murach miasta była bezcenna; to było rodzinne dziedzictwo, a nie coś do przehandlowania. Ale zyskał przynajmniej tyle, że Safirze nie wypadało się sprzeciwiać, gdy nalegał, by poszła z nim znowu na tamto podwórze.

Kupieckie doświadczenie podszeptywało mu, że popełnia błąd. Przychodząc tam powtórnie, bez zaproszenia, odsłaniał swoją niecierpliwość oraz głębokość pragnienia tej kobiety. A lata spędzone w jego profesji nauczyły go, że niecierpliwego kupca łatwo zmusić, by znacznie przepłacił. Wiedział to wszystko, ale odsunął rozsądek na bok.

Nie uważał siebie za człowieka postępującego pochopnie. Każdy jego krok w życiu był wyważony, każda decyzja rozważana w świetle przyszłości. Ale teraz - nie stosował się do owych reguł jeśli chodzi o tę... o tę sierotę, tę służącą, tę praczkę. Nawet gdy wymieniał w myślach takie oczywiste wady, nie miało to na niego żadnego wpływu.



Ten fakt go niepokoił, lecz niewystarczająco, by odwieść go od zdobycia tej kobiety.

Prowadził interesy, podczas gdy inna część jego umysłu pozostawała uwięziona przez wspomnienie widoku tej ślicznej dziewczyny. Jego sny wciąż przerywał szept głodu, którego nie zaznał od śmierci żony.

Pragnął mieć tę kobietę, tę Abigail, tylko dla siebie.

Gdy tylko weszli na placyk w starej dzielnicy miasta, gdzie podobno ten zmarły Prorok objawił się po śmierci swoim tak zwanym apostołom, Ezdrasz wiedział, że coś jest nie tak. Utworzyło się kilka grupiek; ludzie stali w kręgach i szeptali coś, a na ich twarzach widać było napięcie.

Rodzeństwo usiadło przy stole na podwórzu, ale nikt ich nawet nie zauważył.

- Może powinnaś dowiedzieć się, co się dzieje - powiedział Ezdrasz do siostry.

Poszła i szybko wróciła. Wskazując na grupkę zebraną w cieniu przy kuchennej wnęce, powiedziała:

- Przyszły wieści, że aresztowano kilku apostołów i zabrano ich przed Sanhedryn...

- A co z Abigail?

- Poszła odwiedzić brata. Jakub uczy się fachu u cieśli.

Ezdrasz próbował przybrać obojętną maskę kupca, ale czuł, jak żółć wykrzywia mu twarz.

- Kiedy wróci?

- Nie wiem. Wątpię, że w ogóle mnie usłyszeli, kiedy o to pytałam.

Ezdrasz zauważył, że wieści o aresztowaniu apostołów zaniepokoiły jego siostrę tak samo jak innych wierzących.

- A słyszałaś, z jakiego powodu ich aresztowano?

- Miało to związek z jakimś uzdrowieniem - uwaga Safiry wahała się pomiędzy bratem a zamieszeniem na placu. - Wydarzył się kolejny cud.

Ezdraszowi nie podobało się, że siostra z takim spokojem wygaduje podobne bzdury, ale Safira była zbyt zajęta, by zauważyć grymas niezadowolenia na jego twarzy.

- Siostro, może powinnaś wspomnieć im, że mam wpływy w Sanhedrynie.

Safira nic nie odrzekła, więc Ezdrasz sięgnął ręką przez stół i poklepał ją po łokciu. Gdy odwróciła się w jego stronę, rzekł:

- Jeśli tylko odpowiedzą pozytywnie na moją prośbę o rękę Abigail.

Ktoś krzyknął i oboje zwrócili wzrok ku głównej bramie, przez którą właśnie wchodziła grupka mężczyzn. Pośrodku nich siedł dość tęgi mężczyzna ubrany w pospolite szaty, lecz noszący się niczym księżę. Oświetlony przez promienie słoneczne, wydawał się emanować taką siłą, że uwagę Ezdrasza po raz pierwszy przyciągnął ktoś inny niż Abigail.

- To Piotr - wyszeptała Safira.

Jego masywna ręka, dwa razy większa od dłoni Ezdrasza, gładziła brodę. Mimo ewidentnej siły, była od niego łagodność oraz jakaś aura, która w niewytłumaczalny sposób niepokoiła kupca.

- Idź, zobacz, co się dzieje - polecił siostrze.

Safira uwielbiała najświeższe wiadomości, więc z ochotą dołączyła do innych.

Podwórze zapełniało się w bardzo szybkim tempie, a w głosach ludzi słychać było podniecenie. Inny mężczyzna, patykowaty typek, którego Ezdrasz skądś znał, skakał po podwórzu, wymachując w podnieceniu rękoma. Wszyscy patrzyli na niego z zadziwieniem.

Nagle Ezdrasz przypomniał sobie, gdzie już wcześniej widział tego człowieka. Wstał tak gwałtownie, że przewrócił ławkę, na której siedział.

Odezwał się, sam nie wiedząc, do kogo:

- Ten tańczący mężczyzna... To ten kaleka, który zebrze przy Pięknej Bramie.

Choć podwórze zapełniło się tak, że ludzie stali w ścisku, dla tańczącego zrobiono miejsce. Ezdrasz postawił ławkę i wszedł na nią. Tak. To musiał być ten sam człowiek. Ezdrasz przypomniał go sobie z czasów, gdy był jeszcze studentem. Mężczyźni, prawdopodobnie z jego klanu, przynosili kalekę pod bramę i układali, a za fatygę dostawali po kilka uzbieranych przez niego monet. Mówiono, że ten człowiek był chromy od urodzenia.

Nagle w uszach Ezdrasza zabrzmiał śpiew mężczyzny. Jak można było się spodziewać, człowiek ten prosił o jałmużnę, ale używał pewnego specjalnego słowa.

Jakiś młodzieniec, stojący obok Ezdrasza, powiedział do swojego sąsiada:

- *Cedaka*.

Właśnie. Dosłownie oznaczało to dar sprawiedliwego. Ulubiony termin nauczyciela Ezdrasza; zaproszenie, by słuchający zrobił konkretny uczynek, ale nie po to, by pomóc temu, kto go o to prosi, lecz raczej, aby pomóc samemu sobie. Cedaka, w czystej formie, była okazją pobłogosławienia tego, kto ją czynił jako akt pobożności.

Ezdrasz zszedł z ławki i spytał:

- Byłeś tam?

- Tak - odparł młodzieniec.

- Opowiesz, co się stało?

- Właśnie o to samo pytałem - odezwał się stojący obok mężczyzna.

- Więc powiem wam obu - twarz młodzieńca wydawała się emanować tym samym światłem, jakie było z mężczyzny zwanego Piotrem. - Szliśmy wczoraj, jak zwykle, do Świątyni na popołudniową modlitwę.

To od razu wiele powiedziało Ezdraszowi o tej grupie. Większość religijnych Judejczyków zadowalała się modlitwą poranną i wieczorną. Nauczyciele często mawiali, że w modlitwie popołudniowej jest większe poczucie łączenia się z Bogiem, gdyż w tym czasie najtrudniej przyjść na modlitwę. Znacznie łatwiej przychodziło ludziom zwracanie się do Świętego na początku i na końcu dnia, lecz zatrzymanie się na modlitwę w środku codziennych aktywności oznaczało specjalne powołanie. Sam Ezdrasz rzadko modlił się po południu. Przyjął światopogląd kupca i postanowił, że będzie się modlił dwa razy dłużej o zachodzie słońca, gdy danego dnia skończy już pracę. Lecz ci mężczyźni brali udział w popołudniowych modlitwach na tyle często, że nazywali to rzeczą zwykłą.

- Człowiek, którego tu widzicie, był tam, gdzie zawsze: leżał na macie przy bramie zwanej Piękną - kontynuował młodzieniec. - Zawołał do Piotra, prosząc o cedakę. Piotr się zatrzymał. Nie nosimy przy sobie pieniędzy i to właśnie Piotr powiedział temu mężczyźnie. A potem dodał: „Ale dam ci najlepsze, co mam. W imieniu Jezusa, Mesjasza, wstań i chodź!”.

Ezdrasz po raz pierwszy usłyszał, jak ktoś mówi o tym martwym Proroku „Mesjasz”. Poczuł, jak włosy mu się podnoszą na karku, jakby rozkaz Piotra był skierowany również do niego. Może powinien odczuć większe oburzenie, a nawet wściekłość. Nadanie temu Jezusowi tytułu Mesjasza kłóciło się ze wszystkim, czego się w życiu nauczył. Był jednak tak roztrzęsiony historią tańczącego żebraka, że nie mógł z siebie wydobyć ani jednego dźwięku.

Młodzieniec kontynuował opowiadanie:

- Poszliśmy na modlitwę, a ten człowiek, którego tu widzicie, poszedł z nami, wkraczając do Świątyni po raz pierwszy w swoim życiu. Tańczył i wykrzykiwał, a tłum, który przyciągnął, był ogromny. Piotr zaczął do nich przemawiać, aż pojawiły się straże i zaprowadziły nas wszystkich przed Sanhedryn.

- Samuelu, a co powiedzieli kapłani w Świątyni? - zapytał jeden ze słuchaczy.

- Byli na nas źli. Zaarestowali nas na całą noc i rano znów zawiedli przed Sanhedryn. Kazali Piotrowi więcej nie wspominać imienia Jezusa - młodzieniec zwany Samuelem wzruszył ramionami. - Równie dobrze mogliby mu kazać przestać oddychać. Piotr był bezpośredni, jak to on. Powiedział Sanhedrynowi, że to *oni*, razem z Piłatem, ukrzyżowali Jezusa. Potem przypomniał im, co mówił prorok: że wszystko stało się tak, jak zamierzył Święty, dokładnie jak przepowiedziały Pisma. Zaprosił Sanhedryn - Samuel zrobił pauzę dla efektu - żeby do nas dołączyli w uwielbieniu dla naszego Pana i Zbawiciela.

Ezdrasz zaczął się nieświadomie cofać. Te słowa to bluźnierstwo. Radosny żebrak zniknął mu z oczu, przez co łatwiej mu było spojrzeć na słowa młodzieńca z perspektywy całego życia wypełnionego modlitwą i studiowaniem Pism. Oczekiwanie, że Sanhedryn przyjmie tego zmarłego Proroka jako Mesjasza było *szaleństwem* - a nawet czymś jeszcze gorszym.

Samuel mówił dalej:

- Piotr zapytał członków Sanhedrynu, czy myślą, że ten cud jest dziełem jego własnych rąk. Jeśli tak, to dlaczego wielokrotnie przechodził obok tego mężczyzny i dopiero teraz uczynił ten cud? Odpowiedział, że jest to dzieło zmartwychwstałego Pana, przez Jego Ducha, który mieszka w sercu każdego wierzącego - młody człowiek

musiał zauważyć niechęć Ezdrasza, bo zwrócił się do niego: – Jesteś tu nowy. Może chciałbyś dołączyć do nas i poznać zmartwychwstałego Pana?

W słowach Ezdrasza słyhać było spokój, którego właściwie wcale nie czuł:

– Może innym razem. Dziś przyszedłem tylko... posłuchać i poobserwować.

Młodzieniec chciał coś jeszcze odpowiedzieć, lecz w końcu tylko kiwnął głową i odwrócił się do innych osób.

Ezdrasz odszukał w tłumie siostrę, która z przejęciem rozmawiała z kilkoma innymi kobietami. Abigail nigdzie nie było widać. Dotknął ramienia siostry i powiedział:

– Musimy już iść.

Całym sobą buntował się przeciwko temu, czego właśnie był świadkiem. Na sukces w kupiectwie składała się między innymi umiejętność dostrzegania oszustw, chytrych błysków w oku, znaczącej wymiany spojrzeń. Lecz w tym, co widział tutaj, niczego takiego nie zauważył. Tego był pewien.

Ezdrasz zobaczył, że tłum wylewa się teraz na wybrukowany kamieniami plac. Minął kilka dyskutujących grupek oraz ludzi słuchających z gorliwością, jak wyznawcy Proroka zapraszają, by dołączyli do nich i sami doświadczyli obecności Ducha Świętego. Ezdrasz postął przez chwilę na skraju takiej grupy, aż mówiący spojrział mu prosto w oczy i spytał, czy to nie czas, by zdecydował się przejść przez wąską bramę. Kupiec gwałtownie przywołał ręką siostrę i oboje zostawili tłum za sobą.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego dnia, w wyniku niespodziewanej nawałnicy, sklepikarze na Starym Mieście w pośpiechu zabezpieczali swoje towary. Kozy w zagrodach otaczających bramy Dolnego Miasta beczały w panice na odgłos grzmotów i na widok błyskawic. Dzieci krzyczały ze strachu i biegały w poszukiwaniu swoich matek. Abigail nie pamiętała tak nagłej i gwałtownej burzy. Miejscowi będą z pewnością jeszcze mówić o niej przez kilka miesięcy.

Bruk natychmiast zrobił się śliski. Ludzie biegali w ulewnym deszczu w poszukiwaniu schronienia, ślizgając się przy tym po wypolerowanych deszczem kamieniach.

Abigail znów robiła zakupy na rynku zastępując Hannę, która wciąż była chora. Przeładowany kosz utrudniał jej poruszanie się – i tak już niełatwe w ulewnym deszczu, wśród spieszącego się tłumu. Dotarła już prawie do podwórza, gdy wpadło na nią dwóch przebiegających obok młodych chłopaków. Abigail obróciła się, chcąc uniknąć upadku. Jeden z chłopców musiał to zauważyć, bo odwrócił się i podbiegł do niej, ale było już za późno. Abigail uderzyła się o róg kamiennego muru i upadła, a zawartość koszyka, który wyleciał jej z ręki, rozsypała się po zalanej deszczem ulicy.

Na początku było jej tylko wstyd. Siedziała w kałuży, a deszcz dalej ją moczył. Czuła, jak całe jej ubranie przylega do skóry. Przemokła do

suchej nitki i była oblepiona błotem. Gdy upadała, rozwiązał się jej szal, którego jeden koniec leżał teraz w kałuży. Kosmyki włosów przyklepiły się jej do twarzy, a wiatr miotał jej warkoczem w różne strony.

- Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam - powiedział chłopak. - Przez ten deszcz w ogóle cię nie widziałem.

Podał jej rękę i pomógł wstać obolałej dziewczynie. Wtedy Abigail zorientowała się, że noga znowu ją boli. Spojrzała w dół i na krawędzi kałuży zobaczyła krew. Swoją krew. Chłopak też musiał to zauważyć.

- Jesteś ranna.

- Moja noga - zdołała powiedzieć. Chciała go zapewnić, że nic jej nie będzie, lecz miała wątpliwości. - Będzie dobrze. Ale obawiam się, że będę potrzebowała pomocy, żeby dojść do domu.

Chłopak kiwnął głową. Abigail trzymała koszyk, podczas gdy obaj chłopcy zaczęli zbierać rozsypane warzywa i owoce. Schodząca w dół uliczka płynęła teraz małymi strumykami, unoszącymi wszechobecny brud.

Jeden z chłopców wziął od niej nasiąknięty wodą koszyk.

- Gdzie mieszkasz?

- Pomóżcie mi tylko dojść na tamto podwórze przed nami, a tam już ktoś się mną zajmie.

- Tak mi przykro - powtórzył chłopak.

Abigail wysiliła się na uśmiech.

- Mam brata mniej więcej w twoim wieku - powiedziała, by dodać mu otuchy. - Jestem pewna, że on też by tak uciekał przed ulewą.

Abigail oparła się o ramię jednego z chłopców i wskazała drogę do podwórza.

Nim tam dotarli, wiatr ucichł, a deszcz zmienił się w lekką mżawkę. Wkrótce znów miało zaświecić słońce, jak gdyby tej burzy nigdy nie było, ale Abigail wiedziała, że co się stało, to się nie odstanie. Delikatna tkanka na jej bliźnie znów została rozerwana. Modliła się, żeby znalazła się Marta lub Maria, aby oczyścić i przewiązać jej ranę. Bez wątplenia czekała ją kolejna długa rekonwalescencja.

\*\*\*

Minęły dwa dni i noga nadal okropnie bolała Abigail. Marta mruzczała coś pod nosem zaniepokojonym tonem, gdy schylała się, by oczyścić zaczerwienioną skórę. Abigail nie chciała być ciężarem dla tej i tak już przepracowanej kobiety. Najlepiej jak umiała ukrywała ból, jaki sprawiało jej oczyszczanie rany. Jakub krążył po pomieszczeniu. Jego niepokój o siostrę najwidoczniej usunął na bok wcześniejsze nieporozumienia. Abigail nie pytała, gdzie się podziewał, a Jakub sam z siebie nie udzielił jej żadnych wyjaśnień.

Gdy rana znów została zabandażowana, Jakub poprowadził siostrę do domu, zrzędząc po cichu, że powinna być zostać kilka dni u Marty i mieć porządną opiekę. Rana pod bandażem wciąż była otwarta i potrzebowała więcej czasu, by się zagoić, co Jakub zakomunikował tonem mężczyzny, a nie chłopca. W duchu Abigail przyznawała mu rację, lecz nie powiedziała tego głośno.

Gdy dotarli do swego skromnego mieszkania, Jakub nalegał, żeby usiadła na jedynym stołku, jaki mieli. Nie spierała się z nim. Jej nogę przeszywał palący ból i czuła przez bandaż, że znów krwawi.

Jakub rozłożył jej pościel i pomógł się położyć. Była tak zmęczona, że zdołała jedynie wymamrotać słowa podziękowania. Jakub rozpałił ogień, a gdy woda się zagotowała, zaparzył siostrze herbatę. Abigail wypila ją z wdzięcznością. Ciepły napój ukoił jej duszę, lecz najwięcej pocieszenia przyniosła jej troskliwa opieka Jakuba. Odzyskanie brata było odpowiedzią na jej modlitwy.

\*\*\*

Kilka dni później pójście do Świątyni okazało się trudniejsze, niż Abigail przypuszczała. Bardzo się starała ukryć niepokój i mimowolne utykanie przed towarzyszącymi im ludźmi. Jakub zajął miejsce obok niej. Wystarczyło, że zerknęła na stopy, by od razu podtrzymał ją za ramię. Troskliwa opieka brata dodawała jej otuchy, ale jednocześnie dziewczyna czuła, że to ona powinna troszczyć się o niego. To Jakub wracał późno do domu po długim dniu pracy, zbierając chrust na ognisko, aby przygotowywanie kolacji nie narażało jej niepotrzebnie na wysiłek. Zazwyczaj posilali się z innymi na podwórzu, lecz teraz Jakub



codziennie przychodził po jedzenie do Marty i przypominał Abigail, by codziennie nakładała na ranę leczniczą maść i zmieniała bandaż.

Choć Abigail nie była w stanie ocenić, jak daleka jest jeszcze od całkowitego wyzdrowienia, nalegała, że spróbuje pójść do Świątyni na popołudniową modlitwę. Już zbyt długo nie uczestniczyła z innymi wierzącymi w tym czasie uwielbienia i przebywania z Bogiem.

W drodze zastanawiała się jednak, czy postępuje właściwie. Wiedziała, że jeśli jej utykanie będzie widoczne, nie zostanie wpuszczona do Świątyni, lecz tak bardzo potrzebowała przyjść do Boga razem z innymi wierzącymi! Czuła się bezużytecznym ciężarem. Jakub wykonywał większość jej domowych obowiązków, a jej pracę w przygotowywaniu wieczornych posiłków dla wierzących przejęły inne kobiety. Zadanie wybierania owoców i warzyw na rynku również zostało przydzielone innym. Abigail nie mogła nawet zacząć pracy przy sprawowaniu pieczy nad zapasami żywności, by ulżyć Marcie w jej obowiązkach, jak to było zaplanowane.

Była tak zajęta własnymi myślami, że nie dosłyszała, co powiedział do niej Jakub.

- To porządny człowiek - usłyszała, jak mówi ściszym głosem, tak by doszło to tylko do jej uszu.

Pokiwała głową. Była pewna, że dokonana przez Jakuba ocena owego mężczyzny jest trafna, choć nie wiedziała, o kim mówił.

- Nie jest taki, jak ten stary bogacz. Naprawdę mu na tobie zależy. Sam mi to powiedział.

Zszokowana, omal się nie potknęła.

- Co... co to znaczy, Jakubie? O czym ty mówisz?

- Nie słuchałaś mnie.

- No... rzeczywiście, nie całkiem - zająknęła się Abigail.

- Linuks. Mówię o Linuksie.

- Tym *Rzymianinie*?

Jakub zatrzymał się w pół kroku.

- Dlaczego mówisz w taki sposób? W twoich ustach zabrzmiało to jak... jak przekleństwo.

Abigail zarumieniła się.

- Nie chciałam, by to tak zabrzmiało. Przepraszam.

- On jest szczerzy - Jakub gwałtownie wrócił do tematu. - Wiem o tym. Widać to w jego oczach.

Tak, Abigail też widziała oczy tego młodego oficera. Jego intensywne, śmiałe spojrzenie obiegające jej twarz. Wzdrygnęła się na samą myśl. Choć potrafił przyciągnąć jej uwagę, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. To było niemożliwe. Był kimś obcym. Poganinem. Zapewne składał ofiary jakiemuś greckiemu lub rzymskiemu bóstwu - albo wielu bóstwom, o ile w ogóle wyznawał jakąkolwiek religię. I nie wierzył w prawdę o Jezusie. Nie. Z pewnością nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Nie będę z tobą o tym nawet rozmawiać - powiedziała głosem tak pewnym, na jaki było ją tylko stać.

Czuła, jak Jakub sztywnieje, lecz nie wycofał ręki spod jej ramienia.

- Myślę, że powinnaś to chociaż rozważyć, Abigail - powiedział. - Chyba nie chcesz skończyć w domu tego napuszonego kupca, bez względu na to, ile pieniędzy ma pod tuniką.

Abigail skrzywiła się na tę kolejną wzmiankę Jakuba o tym, że mogłaby wyjść za mąż dla pieniędzy. On miał chyba na imię Ezdrasz. Powiedziano jej nieco więcej o mężczyźnie, który wysłał siostrę, by się za nim wstawiła. Nie, z pewnością nie chciała należeć do jego domu, nawet jeśli jego dzieci rzeczywiście potrzebowały matki.

Nieświadomie zaczęła utykać w bardziej widoczny sposób. Przecież ci mężczyźni na pewno nie chcieli mieć chromej kobiety. Być może jej ostatni wypadek okaże się wybawieniem. Czyż prorocy nie mówili, że Bóg czasem działa w tajemniczy sposób?

Odezwała się znów do brata, tym razem spokojnym głosem, próbując go udobruchać:

- Porozmawiamy o tym z Albanem, jak przyjedzie. On będzie wiedział, co zrobić, nie sądzisz?

Jakub tylko kiwnął głową, lecz z wyrazu jego twarzy Abigail wyczytała, że myślami jest gdzie indziej. Czy nadal będzie nalegał, żeby Alban mu pomógł zostać legionistą? Abigail miała nadzieję, że Jakub już dał sobie spokój z tym marzeniem i posłuchał głosu rozsądku oraz rady starszych.

Nagle Abigail podjęła szybką decyzję:

- Odpocznę tu nieco, a wy idźcie dalej. Moja noga nie jest jeszcze tak silna, jak mi się zdawało.

Jakub podprowadził ją do niskiego murku i strzepnął kilka kamyków.

- Jesteś pewna? Mogę cię odprowadzić do domu.

- Nie, odpoczynek dobrze mi zrobi. Mogę się pomodlić tutaj. Wrócę sama, gdy będę gotowa.

Skinęła ręką, by dołączyć do innych. Jakub odwrócił się i poszedł.

Widziała przed sobą Piotra z kilkoma innymi apostołami oraz tłumem, który na nich napierał. Abigail niemal słyszała jego słowa, gdy rozmawiał z tymi ludźmi. Na pewno mówił im, że Mesjasz już przyszedł na ziemię. I cytował, jak to miał w zwyczaju, starożytne proroctwa wyjaśniając, jak każde z nich wypełniło się w Jezusie z Nazaretu, którego Żydzi ukrzyżowali. Zapraszał ludzi, by przyłączyli się do wierzących, rozmawiali z nimi oraz otrzymali informacje, co robić dalej. Jego głęboki głos rzucał wyzwanie, przyciągał, z miłością prowadząc innych do Królestwa Bożego.

Ona również powinna być przejęta tymi właśnie sprawami. Zamiast tego siedziała na murku, wykorzystując ranę jako wymówkę, by nie przyłączyć się do wierzących w Świątyni. Martwiła się, że zostanie przymuszona do małżeństwa. Jeden z jej zalotników z pewnością nie był przez nią mile widziany, a małżeństwo z drugim było nie do pomyślenia. Czy jej chora noga może ją uchronić od niechcianego losu? Znała dobrze swoją sytuację. Niezameżna kobieta nie miała prawie żadnej pozycji ani władzy. Lecz Abigail z radością zrezygnowałaby z bycia żoną i matką. Była zadowolona ze swojego obecnego życia.

*Boże, proszę Cię, pozwól mi tylko służyć innym* – modliła się cicho, nie zwracając uwagi na przechodzące obok tłumy. Lecz ta modlitwa nie przyniosła jej pokoju w sercu. Nie miała poczucia, że Bóg ją wysłuchuje. Nie wiedziała, co bolało bardziej: serce pełne trosk, czy chora noga. Jednak wśród tych zmagania cichy głos w jej wnętrzu wyszeptał, że oto nadarza się nowa okazja, by zaufać Zbawicielowi.

Znów zaczęła się modlić. Nie o mądrość, lecz o poddanie się Jego woli. Czy kiedykolwiek będzie gotowa, by dobrowolnie pozwolić Bogu zdecydować o każdym szczególe jej przyszłości? *Nawet gdyby miała być związana z...* Potrząsnęła głową i podniosła się z murku. Nie pozwoli

sobie nawet o tym myśleć. *Pomóż mi Tobie zaufać, Panie* – modliła się, bezgłośnie poruszając wargami i utykając w drodze do domu.

# ROZDZIAŁ

## TRZYNASTY

- Ci ludzie są niemożliwi! - Gamaliel wymachiwał rękami nad głową.

Ezdrasz siedział na rzeźbionym krześle w cieniu komnaty, a lekka bryza muskała jego twarz. Patrzył, jak wiatr porusza zasłonami, pozwalając promieniom słońca padać na jego sandały. Upał był na tyle dokuczliwy, że kupiec przesunął krzesło bliżej cienia.

- Masz na myśli wyznawców tego zmarłego Proroka, tak?

- Sanhedryn wypuścił ich pod warunkiem, że nie będą publicznie wspominać Jego imienia. A oni co robią? Zamieniają świątynny dziedziniec w miejsce szerzenia swoich heretyckich idei! Dziś rano znów się tam pojawili i ogłaszali, że ten Jezus z Nazaretu jest Mesjaszem! *Mesjaszem!*

Gamaliel był człowiekiem z natury spokojnym, o łagodnym uśmiechu. Teraz jednak chodził po pokoju wzburzony i wymachiwał rękami. Z tyłu stał jeden z jego studentów, szczupły, o twarzy pokrytej rzadką, czarną brodą. Gamaliel był wziętym nauczycielem. Potrafił zachęcać studentów, by osiągali więcej niż sami od siebie oczekiwali. Jednak dziś jego student wyglądał na dość przestraszonego.

Gamaliel wskazał na młodego człowieka i nakazał:

- Tytusie, powiedz mu, co widziałeś.

- Jest tak jak mówi nauczyciel - zaczął pośpiesznie student. - Szedłem do Rady załatwić pewną sprawę, a oni tam byli. Zajęli cały

krużganek Salomona.

Ezdrasz skrzywił się. Król Salomon wzniósł tę budowlę na dziedzińcu Świątyni, by – nie będąc kapłanem – móc modlić się w miejscu najbardziej zbliżonym do Miejsca Najświętszego. Lecz Świątynia Salomona została doszczętnie zniszczona przez Babilończyków, a budowla wzniesiona w tym miejscu przez powracających z niewoli wygnańców była bardzo niepozorna w porównaniu z pierwotną. Herod Wielki zlecił projekt poszerzenia i odnowienia Świątyni, włącznie z nowym krużgankiem Salomona, usytuowanym po wschodniej stronie Świątyni. Jego cedrowy dach podparła wysoka kolumnada. Ten zacieniony teren mierzył około dziesięciu kroków szerokości oraz cztery razy tyle długości. Nauczanie w Świątyni odbywało się w określonym porządku i hierarchii. W krużganku Salomona wolno było przemawiać jedynie członkom Sanhedrynu lub wyznaczonym przez nich skrybom.

– A kto im pozwolił przemawiać do tłumów w krużganku? – spytał Ezdrasz.

– Twierdzą, że nie trzeba im do tego żadnego ziemskiego autorytetu – odparł ponuro Gamaliel. – Bo i po co, skoro utrzymują, że ich zmarły Prorok jest długo oczekiwanym przez Izrael Mesjaszem?

Na dany przez Gamaliela znak student kontynuował relację:

– Przemawiał ten, którego zwał Piotrem. Tłum był olbrzymi. Piotr mówił o uzdrowieniu żebraka. Twierdził, że taką moc uzdrawiania ma każdy wierzący, że każdy może być uzdrowiony i stanąć o własnych nogach przed ich Bogiem.

– Jeśli to był ten sam żebrak – wymamrotał Gamaliel. – I jeśli rzeczywiście został uzdrowiony.

– To był ten sam żebrak i został uzdrowiony – odezwał się Ezdrasz.

Gamaliel obrócił się gwałtownie, by spojrzeć na niego.

– Skąd masz taką pewność?

– To był ten sam człowiek, którego mijaliśmy od czasów naszej młodości – powiedział Ezdrasz. – I wiem, że został faktycznie uzdrowiony, bo... widziałem, jak tańczy.

Gamaliel mocno pociągnął się za brodę, zaciskając przy tym pięść. Na pochylonej twarzy malował się gniew.

– Widziałeś to?

- Kilka dni temu.

- I czemu mnie nie poinformowałeś?

- Bo nie jestem jeszcze gotów złożyć ci pełnego sprawozdania - odpowiedział Ezdrasz, zdając sobie sprawę z tego, że słowa te tylko po części są prawdą. - Jutro, po posiłku kończącym szabat, mam się spotkać z jednym z ich starszych. To ma być któryś z apostołów.

- Wiesz, ilu ludzi dołączyło do nich od naszej ostatniej rozmowy? - Gamaliel nadal szarpał swoją brodę. - Tysiące. Rozrastają się szybciej niż jesteśmy w stanie policzyć. Skąd to wiemy? Bo szerzą te same absurdalne praktyki, co ten drugi zmarły prorok. Nazywali go Chrzycielem.

Ezdrasz poprawił się na krześle. To było coś nowego.

- Nasi szpiedzy widzieli, jak zbierają się przy sadzawce Siloam przed poranną modlitwą. Setki stoją tam i czekają, żeby się zanurzyć. Słyszeliśmy, że to samo dzieje się nad rzeką Jordan. A jeszcze więcej ludzi zbiera się nad Jeziorem Galilejskim. Codziennie jest tak samo.

- I wchodzą do Świątyni wciąż ociekając wodą po tym zanurzeniu - dodał Tytus.

- Świątokradztwo! - mruknął Gamaliel.

Ezdrasz zdecydował, że nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli wspomni, że faryzeusze lubią wchodzić do Świątyni z brodami ociekającymi wodą po rytualnej kąpeli, co ma wskazywać na ich pobożność. Takie publiczne demonstracje i to, jak patrzyli z góry na tych, których uważali za niewystarczająco pobożnych, było powodem, dla którego Ezdrasz cieszył się, że nie został kapłanem.

- Słyszałem, że dzielą się wszystkim - powiedział Ezdrasz. - Poszedłem tam myśląc, że wielu przychodzi tylko z powodu darmowego jedzenia.

- I co?

- Nic z tych rzeczy. Dzielą się między sobą, a także z każdym, kto do nich przychodzi. Lecz nie widziałem ludzi, którzy przysliby tam tylko dla jedzenia. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Rozumiem.

- Gdy przybyłem, przygotowywali wieczorny posiłek, więc był to świetny moment, by zobaczyć hordy ustawiające się w kolejce po

jedzenie. Ale tak nie było. Oni poruszali się, jakby byli jedną całością. Przypominało mi to...

- Tak? Mów dalej.

- Nie chcę nikogo urazić. Ale przypominało mi to nasze studenckie czasy, gdy byliśmy w domu naszego nauczyciela. Pamiętasz na pewno, jak każdy z nas był traktowany niczym członek rodziny.

Gamaliel nic nie odpowiedział.

- Ten spokój... Zabrzmi to dziwnie, lecz tkwiła w tym autentyczna siła. Ich dzielenie się było prawdziwe. Takie są fakty. Może nam się to nie podobać, ale mówię ci, jak jest.

Gamaliel przez długi czas się nie odzywał.

- Muszę przyznać, że ci wierzę - powiedział w końcu. - Rozmawiałem też z innymi. Opisują to podobnie jak ty - że to jakaś żywa siła.

- Gdy przyszedł ten żebrak i zaczął tańczyć, wszyscy byli podekscytowani - relacjonował Ezdrasz. - Ale był w nich również spokój ludzi, którzy wielokrotnie byli świadkami podobnych cudów. Ci, z którymi rozmawiałem, nie twierdzili, że ta moc pochodzi od nich samych. Nie było żadnego... - Ezdrasz urwał, by po chwili kontynuować: - Wybacz, stary przyjacielu, nie chciałbym cię urazić, ale wiesz, jak postrzegam niektórych członków Sanhedrynu, ich manierę wystawiania religijności na widok publiczny. Gdy żebrak tańczył, jeden z wierzących zaprosił mnie, bym dołączył do ich wspólnoty. Twierdził, że Boży Duch zostanie tchnięty w moje serce, a Jego moc będzie mieszkać we mnie.

- Właśnie dlatego kazałem ci tam iść i wszystko obserwować - powiedział Gamaliel. - Mówisz prawdę, nawet jeśli jest ona dokładnie tym, czego bym *nie chciał* usłyszeć.

- Czy taka jest prawda, czy nie, nie umiem powiedzieć. Ale to właśnie widziałem i tak właśnie czułem.

- Panie, spójrz, która godzina - ostrzegł Tytus.

Gamaliel zerknął na wieczorne cienie. Ezdrasz również popatrzył przez okno i uświadomił sobie, że wkrótce zabrzmi trąba ogłaszająca rozpoczęcie szabat.

- Kiedy masz się spotkać z jednym z ich przywódców? - spytał Gamaliel.



- Jutro po zachodzie słońca.

Ezdrasz poczuł, jak całe jego ciało drży w oczekiwaniu na myśl o tym. Safira otrzymała formalne potwierdzenie, że Abigail nie jest zamężna ani zaręczona, co oznaczało, że jej klan jest otwarty na formalną prośbę o jej rękę. I to właśnie Ezdrasz zamierzał zrobić przy najbliższym spotkaniu. Tej wieści jednak nie mógł przekazać Gamalielowi, który - jako kapłan - miał władzę mu tego zakazać.

Przed oczami Ezdrasza jeszcze raz zaślniła twarz i postać młodej kobiety. Jedynym sposobem stłumienia tego niecierpliwego oczekiwania było mocne zaciśnięcie szczęki, a Gamaliel najwidoczniej był zbyt przejęty, by to zauważyć.

- Mam w związku z tym wszystkim bardzo złe przeczucia. Musisz informować mnie o wszystkim, czego się dowiesz, słyszysz? I to natychmiast.

\*\*\*

Linuks zastanawiał się, jak wyjaśnić, nawet sobie samemu, tę nagłą odmianę losu.

Szedł po pokrytej koleinami alejce prowadzącej do doliny poza granicami Jerozolimy, a prowadził go milczący Judejczyk. Linuks miał na sobie skromne ubranie cywilne. Jego jedyną broń stanowił tradycyjny nóż przytroczony do pasa. Na nogach miał sandały z nieobrobionej skóry. Włosy natarł oliwą i związał na karku prostym skórzanym rzemieniem. Brat uznałby jego wygląd za zabawny. Linuks, który pożył rodzinny majątek i władzy, idący gdzieś po nocy ubrany jak wieśniak...

Jego przewodnik niósł pochodnię niczym sługa, lecz w jego zachowaniu nie było służalczości. Szedł pewnie, jak pasterz, stąpając lekko po nierównym terenie. Droga, którą podążali, była pełna kamieni i zakrętów. Zmierzch spowijał wszystko cieniem, na zachodzie niebo lśniło delikatną różową poświatą, a nad ich głowami pojawiły się pierwsze gwiazdy. Gdy schodzili w dolinę poniżej Góry Oliwnej, szlak stał się stromy. Na kolejnym wzgórzu stało koloseum, masywny pomnik rzymskiej władzy, na który teraz padały ostatnie promienie słońca.

Mogło się zdawać, że imperium rzymskie wyśmiewa się z niego i z motywu jego dzisiejszej wędrówki.

Przewodnik odezwał się po raz pierwszy odkąd spotkał się z Linuksem przed bramą Świątyni kilka minut przed zachodem słońca.

- Cel naszej podróży jest tam, nad nami.

Linuks odpowiedział formalnie:

- Jestem wdzięczny, że zadałeś sobie dla mnie tyle trudu.

- Widziałem cię już wcześniej, gdy przyjechałeś na uroczystość ślubną Albana i Lei i dałeś im swojego konia - to mówiąc, doprowadził Linuksa w kierunku otoczonej murem zabudowy.

- Czy wiesz dokładnie, kiedy Alban przyjedzie do Jerozolimy?

Mężczyzna wolną ręką zastukał w ciężkie dębowe drzwi.

- Możesz być bez munduru, Rzymianinie. I możesz tu przychodzić na zaproszenie Piotra. Lecz Alban jest moim przyjacielem, a ja nie znam twoich motywów. Nic ci nie powiem.

Linuks skinął głową, przyjmując do wiadomości zarówno słowa tego człowieka, jak również swoją pozycję w jego oczach - był osobą niepowołaną, by otrzymać tego rodzaju informacje.

Drzwi otworzył im krępy mężczyzna, ubrany jak zamożny Judejczyk. Spojrzał pobieżnie na wysoką sylwetkę Linuksa i zwrócił się do przewodnika:

- Przyprowadziłeś Rzymianina?

- Na prośbę Piotra.

- Mnie nic na ten temat nie mówił.

- To go zapytaj, jeśli chcesz.

- Skoro jesteś pewien... - mężczyzna odsunął się i gestem zaprosił ich obu do środka.

Linuks stał w miejscu.

- Nie chcę wchodzić do domu, w którym nie jestem mile widziany.

- No to rzeczywiście jesteś dziwny, jak na Rzymianina - powiedział jego przewodnik.

Przysadzisty Judejczyk pchnął drzwi szerzej.

- Skoro takie jest życzenie Piotra, to tak będzie. Witamy cię, Rzymianinie.

- Mam na imię Linuks i dziękuję za twoją gościnność.

\*\*\*

Abigail skrzywiła się, stawiając ciężki dzban z wodą na drewnianym stole. Zastanawiała się, jak długo jeszcze zdoła wytrzymać. Jej chora noga nie goiła się tak szybko, jak Abigail się spodziewała. Było to widać gołym okiem. Ale dlaczego? Modliła się. Ufała, że Bóg ją uzdrowi, a mimo to z otwartej rany sączyła się cuchnąca wydzielina, zaś skóra wokół rany była gorąca, a zaczerwienienie powiększało się coraz bardziej. Od zeszłej nocy ból pulsował zgodnie z biciem jej serca. Gdy dotykała czoła, czuła, że ma gorączkę. Gdy opierała się o najbliższą ścianę, spod jej zamkniętych powiek płynęły łzy. Czy źle robiła, próbując ukrywać swoje cierpienie? Może powinna zwierzyć się Marcie? Ale czy to nie wskazywałoby na brak wiary z jej strony?

A teraz jej serce trzepotało z powodu nowej obawy. Jakub przyniósł wieści, że właśnie tej nocy, w godzinach wieczornych, Piotr miał się spotkać z dwoma mężczyznami. Bała się, co to będzie, gdy ci dwaj się spotkają...

Wiedziała, że żaden z nich nie szukał u Piotra prowadzenia co do tego, jak zostać wierzącym. Nie, oni tam przyjdą targować się o to, kto dostanie ją za żonę. Wspomnienie obu mężczyzn było wyraziste. Ich pożądliwe oczy mówiły jej wszystko, co potrzebowała wiedzieć. Nie widziała w nich miłości, gdy na nią patrzyli. To nie był taki wyraz twarzy, jaki widziała u Albana wpatrzonego w świeżo poślubioną żonę. Nie, to było pożądanie w czystej postaci. Nieskrywane, iście odrażające. I była wobec tego bezradna.

A może nie?

Bóg usłyszał jej prośby, tego była pewna. Czyż ich Mesjasz nie powiedział, że wie, kiedy spada na ziemię mały wróbelek? Lecz kiedy modliła się o Bożą pomoc i prowadzenie, nie otrzymała żadnej konkretnej odpowiedzi. Dlaczego?

Gdyby tylko potrafiła zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi! Do tej pory perspektywa zamążpójścia nie było dla niej przerażająca. *Ale za któregoś z tych dwóch?* Czemu jej wiara była wystawiana na próbę w taki sposób?

Odwróciła głowę na odgłos mocno stawianych kroków. Wprostowała się i szybko otarła łzy rogiem szala, lecz nie dość szybko, by jej stan uszedł uwadze czujnych oczu Marty.

- Z jakiego powodu płaczesz? - spytała bezpośrednio Marta. - Chodzi o twoją nogę czy o mężczyznę?

Abigail pociągnęła nosem i wzruszyła ramionami.

- Chyba o jedno i drugie.

Nie było potrzeby się we wszystkim zgadzać, ani też próbować się tłumaczyć. Marta rozumiała ją aż nazbyt dobrze.

- Siadaj - powiedziała, siadając na ławce i klepiąc dłonią miejsce obok siebie. Abigail powoli przeszła przez pokój.

- No to zobaczmy najpierw tę nogę.

Abigail zawahała się przez chwilę, po czym podniosła brzeg szaty.

Marta się skrzywiła.

- Bandaż jest cały przesiąknięty. Zdejmij go.

Abigail pochyliła się i zaczęła powoli odwijać brudny bandaż. Nim jeszcze odwinęła cały, poczuła, jak Marta sztywnieje.

- Niedobrze. Zacerwienie doszło prawie do kolana.

Marta wzięła bandaż z drżących dłoni Abigail i sama dokończyła rozwijanie.

- Litości, dziecko drogie. Strasznie ci się to jątrzy. Jak długo ta rana tak wygląda?

- Po prostu... pogarsza się, zamiast się goić.

- Czemu nic nie powiedziałaś?

Abigail znów wzruszyła ramionami. A cóż tu było do mówienia? Czuli się w obowiązku wykonywać swoją pracę. Było coś jeszcze, do czego bała się przyznać nawet przed samą sobą: że wyznanie na głos trosk ujawni jej brak wiary. A może, jeśli miała być zupełnie szczerą, miała nadzieję, że niesprawna noga odstraszy tych dwóch zalotników? Prawdę powiedziawszy, nie znała odpowiedzi na to pytanie.

Marta już wstała i pociągnęła Abigail za rękę.

- Idziesz do łóżka, i to już. W ogóle nie powinnaś teraz chodzić. Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu. Własnym oczom nie wierzę.

Marta kontynuowała te przemowy, prowadząc jednocześnie Abigail do małego pokoiku przy kuchni.

- Jest czas na modlitwę i jest czas na działanie. Teraz zdecydowanie trzeba działać. Najpierw opatrzymy ci ranę, a potem będziemy się modlić. Albo w tym przypadku będziemy się modlić opatrując ranę. A jak już przy tym jesteśmy, pomodlimy się też w sprawie tych dwóch mężczyzn. Sądzę, że Bóg, tak samo jak ja, nie pochwała żadnej z tych kandydatur.

# ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zewnętrzna brama podwórza otworzyła się, ukazując Ezdraszowi uśmiechającą się do niego, znajomą twarz.

- Szalom, Ezdraszu, synu Szymona. Szalom. Witaj w moim domu.

- Sam otwierasz teraz drzwi, Izaaku?

Kupiec tylko szeroko się uśmiechnął.

- Wiele rzeczy się zmienia, Ezdraszu. Żyjemy w erze... cudów.

Ezdrasz znał Izaaka od ponad dziesięciu lat. Jego rodzina od dawien dawna handlowała kadzidłem i towarami ze Wschodu. Brat Izaaka był bardzo zdolnym cieślą, stąd rodzina sprowadzała również pachnące drewno i prowadziła interesy w kilku miejscach. Izaak kupił wiele ziem w tej okolicy i zbudował warsztaty, w których jego brat ze swoimi uczniami wykonywał bogato zdobione, rzeźbione skrzynie i inkrustowane szkatułki.

Dom Izaaka położony był tuż za granicami miasta, w dolinie Cedronu. Wedle tradycji kiedyś ten teren leżał w obrębie miasta, lecz kiedy Judejczycy wrócili z wygnania pięćset lat temu, zmniejszyli jego obszar tak, by mury położone były na wzgórzach. Dla kupca takiego jak Izaak oznaczało to możliwość posiadania działki na tyle dużej, by pomieściła magazyny oraz warsztaty. W granicach miasta byłoby to niewykonalne. Jednak według świątynnej nomenklatury, Izaak i jego rodzina oficjalnie mieszkali w granicach świętego miasta.

Ezdrasz, prowadzony do środka przez wesołego gospodarza, ciągle przetrwał zaskakującą wiadomość, że jeden z najbardziej poważanych kupców w Jerozolimie przystąpił do tej nowej sekty. Izaak najwyraźniej wyczuł, o czym myśli Ezdrasz, gdyż odwrócił się do niego i rzekł:

- Na początku byłem taki jak ty. Dwie służące z mojego domu zostały wyznawczyniami Jezusa. Jedną z nich była kobieta, która wychowywała mnie po śmierci mojej matki. Powierzyłbym jej własne życie. Oczywiście poszedłem zobaczyć, co się tam dzieje.

Ezdrasz poczuł w brzuchu kolejny dreszcz niecierpliwego oczekiwania, choć owo uczucie nie miało nic wspólnego z tym, o czym mówił Izaak. Czuł się tak za każdym razem, gdy przywoływał w myślach tę młodą kobietę.

- Jak dawno temu to było? - spytał uprzejmie.

- Cztery miesiące temu, prawie pięć.

Kamienna ścieżka poprowadzona między kilkoma palmami daktylowymi, obok płytkiej sadzawki otoczonej pustynnymi kwiatami, zawiodła ich do patio z płyt kamiennych, gdzie ustawiono stoły i rozpalono pochodnie. Było tam już dość tłoczno.

- Czy twoja siostra też dziś przyjdzie? - spytał Izaak.

- Nie, jej mąż źle się poczuł - Ananiasz nieraz dostawał gorączki, odkąd tylko Ezdrasz sięgał pamięcią. - Safira nie chciała zostawić go samego.

Nie wspomniał o jej niechęci, by ponownie zapytać starszych o Abigail.

- Będziemy się modlić o pełne i szybkie uzdrowienie dla niego.

Ezdrasz uklonił się w formalnym podziękowaniu, lecz zanim zdołał wypowiedzieć odpowiednią formułkę, zauważył mężczyznę siedzącego pod ścianą.

- Kto to... A co *on*, jeśli można wiedzieć, tutaj robi?

Dobry humor Izaaka zniknął.

- Dla mnie jego pojawienie się również było niespodzianką.

- Zapraszasz do swojego domu Rzymian?

- Nie, Ezdraszu. Lecz otworzyłem swój dom dla Piotra i naszej rodziny, byśmy razem zjedli posiłek i uczcili koniec szabatu. A Piotr zaprosił tego człowieka - Izaak zniżył głos. - Moim zdaniem, on przyszedł starać się o pewną młodą kobietę.

Ezdrasz spojrział na Rzymianina. *Nie, na pewno nie* – pomyślał. Ale który mężczyzna ujrzałby Abigail i nie zapragnął jej? Ezdrasz już był zazdrosny. Nie miał zamiaru jej stracić.

Uderzyła go nagła myśl. Może zaproszenie tego Rzymianina było jedynie sztuczką, by podnieść wysokość posagu. *Oczywiście*. Sprytne posunięcie. Szacunek Ezdrasza dla tych ludzi wzrósł. I kolejny raz logika podpowiedziała mu, że powinien się wycofać. Był gotowy targować się z *Rzymianinem* o praczkę. Ale nie podda się. Jakże to teraz miało znaczenie, ile wyniosą koszty?

Izaak nie dał po sobie znać, że odgadł kalkulacje rysujące się na twarzy Ezdrasza.

- Za każdym razem, kiedy z domu wychodzi jakaś kobieta, Rzymianin się odwraca – rzekł. – Kiedy stwierdza, że to nie ona, siedzi i czeka dalej. Z nikim nie rozmawia.

Ezdrasz nie potrafił ukryć zazdrości i gniewu w głosie:

- Ale kim on jest?

- Na imię ma Linuks. Jest jednym z oficerów trybuna. Opiekun Abigail jest jego przyjacielem.

- Kolejny Rzymianin – Ezdraszowi już wcześniej nie spodobało się, gdy Jakub powiedział, że los Abigail zależy od Rzymianina, który ożenił się z Judejką z Italii. *A teraz jeszcze to*.

- Przyjmujecie Rzymian w swoje szeregi?

- Alban jest zaliczany do bojących się Boga.

- A ten tutaj?

- Piotr prosił, żebym go przyjął. Przyszedł. Nic więcej nie wiem.

Wzrok Ezdrasza płonął z taką intensywnością, że Rzymianin musiał to wyczuć. Odwrócił się, odwzajemniając wyzywające spojrzenie Ezdrasza.

Izaak dotknął jego ramienia.

- Chodź, przedstawię cię Piotrowi.

\*\*\*

Linuks obserwował ze swojego miejsca pod ścianą, jak gospodarz wprowadza jakiegoś Judejczyka pomiędzy grupki gości zgromadzonych na dziedzińcu. Wyglądał na bogatego i wpływowego kupca. Może i żył



pod panowaniem rzymskiego okupanta, lecz Linuks był pewien, że ten człowiek należy w swoim narodzie do warstwy przywódczej. Nowo przybyły, wysoki i silny mężczyzna, ze stateczną godnością podążał za gospodarzem. Owinął kraniec swej szaty wokół prawego ramienia, jakby był dygnitarzem idącym na audiencję do króla. Razem podeszli do grupy przywódców klanu, którzy prowadzili właśnie intensywną dyskusję, podczas gdy Linuksa zostawiono samego na ławce pod ścianą. Zauważył, że przybycie bogatego Judejczyka wywołało pewne poruszenie. Rozmowy się urwały i oczy zwróciły się ku niemu. Judejczyk mógł być świadomy, że zwrócił na siebie uwagę, lecz nie dał tego po sobie znać; z pewnością był przyzwyczajony do takich sytuacji.

Mężczyzna ten przypominał Linuksowi szczuplejszą wersję jego brata. Wyniosły, urodzony władca, mający do wszystkiego służących, przyzwyczajony do dostawania wszystkiego, czego zapragnął.

*Więc to jest ten drugi kandydat do ręki Abigail.* Linuks nie miał co do tego wątpliwości.

Co więcej, Linuks czuł, że ten człowiek go zauważył i domyślił się, że obaj przyszedli po to samo. Judejczyk zatrzymał się i jeszcze raz spojrzał na Linuksa, gdy razem z gospodarzem zbliżali się do mężczyzn zebranych przy najdalszym stole. Patrzył tak na niego nie dlatego, że Linuks był tu jedynym Rzymianinem. On widział w Linuksie rywala.

To spojrzenie było jak żywcem ściągnięte z twarzy jego brata. Oczywiście, człowiek ów był szczuplejszy, miał nienagannie przyciętą brodę, odrobinę siwizny w kruczoczarnych włosach, a jego oczy były ciemne niczym onyks w przeciwieństwie do brązowych oczu brata, ale wyraz twarzy był identyczny: rysowała się na niej arogancja, wyniosłość i zimna brutalność. Linuks znał go dobrze. Widywał go całe życie, jeśli nie na jawie, to we śnie.

Gdy mężczyzna odwrócił się i poszedł dalej, Linuks upił łyk z kubka, który ktoś postawił przed nim na stole. Pozostawał na uboczu, lecz jednocześnie wokół niego zgromadziło się dużo osób. Goście rozprawiali cicho pomiędzy sobą, całkowicie go ignorując.

Patrzył na nowo przybyłego Judejczyka, kłaniającego się młodemu człowiekowi, który właśnie wstał z miejsca przy stole znajdującym się niedaleko głównego stołu. Kupiec mówił cicho; niewątpliwie prosił o rękę Abigail. Linuks upił jeszcze łyk. Nawet jako rzymski oficer w tym

przypadku był bezradny. Judejski kupiec miał wszelkie powody, aby jednym pogardliwym spojrzeniem zbyć Linuksa z jego prostym ubiorem jako gorszego kandydata do ręki Abigail. Dokładnie jak jego brat.

Linuks odwrócił się szybko i przeszukał wzrokiem tłum wypatrując Abigail, choć dobrze wiedział, że ona się nie pojawi. W głębi serca wiedział również, że nie powinien był tu przychodzić.

Niemal słyszał, jak jego brat się z niego naśmiewa.

\*\*\*

Wieczór nie przebiegł tak, jak Ezdrasz oczekiwał. Po pierwsze, w ogóle nie rozmawiał z Piotrem. Zamiast tego skierowano go do innego stołu niż ten, przy którym siedział ów postawny mężczyzna wraz ze swoimi kompanami. Już samo to było wystarczającym afrontem, by Ezdrasz zgłosił sprzeciw. Odkąd objął pozycję po swoim ojcu jako przywódca ich kupieckiego klanu, *zawsze* zajmował miejsce przy głównym stole. Był znany na rynku, był znany Rzymianom, był znany w Świątyni. A tutaj posadzono go w cieniu po lewej stronie głównego stołu i musiał czekać na swoją kolej.

Teraz w miejsce gospodarza usługiwał mu ten sam młody człowiek, który kilka dni wcześniej rozmawiał z nim na podwórzu w miejscu spotkań wierzących. Miał na imię Szczepan i widać w nim było cichą, lecz pełną zapału gorliwość, która niepokoila Ezdrasza.

Gdy przywitał się z Ezdraszem i wskazał mu miejsce obok siebie, wrócił do ożywionej rozmowy z innymi siedzącymi przy tym samym stole. Od czasu do czasu Ezdrasz słyszał jakieś słowa i wyrażenia wyjęte bezpośrednio z Tory, lecz całe zdania umykały jego uwadze, rozplywając się wśród jego niepokojących myśli oraz ogólnej wrzawy panującej wokół. Ezdrasz znał faryzeuszy, którzy spędzali życie kłócąc się o jakiś pojedynczy akapit z Pisma. Dla każdego poza ich wąską grupą, dana sprawa była bez znaczenia, lecz dla nich była to kwestia tak ważna jak samo życie.

Ezdraszowi zakłócała spokój nie tyle ta cicha pasja Szczepana, co kontrast pomiędzy nim a większością religijnych Judejczyków, jakich znał.

Dla faryzeuszy i ich uczniów owe dyskusje na temat Pism miały taką samą moc i stopień ważności jak ich ubiór, czy rytuały dotyczące modlitw lub jedzenia. Wszystko to służyło *podziałowi*. Miało *oddzielać* ich od reszty. Albo się było częścią ich ekskluzywnej grupy, albo wyrzutkiem. Inni mogli nazywać siebie Judejczykami. Mogli uważać się za wybranych, wierzących w jedyne prawdziwego Boga, lecz jeśli ich polityka, zwyczaje lub interpretacja Świętej Księgi nie była taka sama jak faryzeuszy, skazani byli na zagładę.

Szczepan nie mógł się bardziej od nich różnić.

Gdy znów się do niego odwrócił, Ezdrasz wykorzystał okazję, by go zapytać:

- Czy jesteś może członkiem saduceuszy?

Młody mężczyzna skupił na Ezdraszu całą swoją uwagę.

- Ani teraz ani nigdy w życiu - odpowiedział lekko potrząsając głową. - Wierzę w życie po śmierci i w jedność ze zmartwychwstałym Panem, jak wszyscy wyznawcy Drogi.

Ezdrasz zrozumiał, że to dlatego saduceusze byli szczególnie wściekli na tę sektę. Byli oni przekonani, że życie po śmierci w ogóle nie istnieje. Człowiek żył i umierał. Świeczka gasła. Koniec. Była to z gruntu grecka filozofia, która znajdowała posłuch u ludzi wykształconych, bogatych, podróżujących do dalekich miejsc. Przeciętny Judejczyk gardził saduceuszami właśnie z tego powodu oraz przez to, że zbratali się z Rzymianami.

- Nie chciałem cię urazić - powiedział Ezdrasz.

- Nic nie szkodzi, przyjacielu.

- To przez twoje imię. Jest popularne w Grecji.

- Siostra mi je nadała.

Ezdrasz odchylił się do tyłu i przyjrzał uważnie swemu rozmówcy.

- Urodziłem się jako niewolnik - wyjaśnił Szczepan. - Wolność otrzymałem w darze, gdy zmarł mój pan, który również był wierzący - chwalał Panu w niebiosach.

- Przyprowadziłeś swego pana do klanu tego Proroka Jezusa - powiedział powoli Ezdrasz - a on w zamian za to darował ci wolność.

- Przykro mi, ale nie zrozumiałeś - Szczepan wskazał na głowę Piotra pochyloną wśród ścieśnionej grupki ludzi, którzy wyciągali szyje, by lepiej go słyszeć. - Piotr właśnie mówi dokładnie to samo do nowych

wierzących. Nie mam takiej władzy, by sprawić, że ktoś uwierzy w Jezusa. To może uczynić jedynie Duch Święty. Ja mogę tylko przedstawić komuś ideę i zasugerować, że jeśli to, co mówię, jest prawdą, to powinien pomodlić się do Jezusa i poprosić, by wszedł do jego życia oraz zamieszkał w jego sercu i umyśle.

- Piotr rozmawia z nowymi wierzącymi? - spytał Ezdrasz.

- Tak. To jest ważniejsze niż wszystko inne - Szczepan zatoczył ręką koło. - Wszyscy tutaj wiedzą, jaką ważną jesteś osobistością. Ale oni potrzebują wiedzieć, co robić dalej.

- Oczywiście - rzeczową odpowiedzią Ezdrasz zamaskował swoje zdziwienie tym, co usłyszał. Piotr nie wyglądał na kogoś, kto planuje zdobyć władzę lub pieniądze swoich nowych sojuszników. - Słyszałem, że Piotr powiedział Sanhedrynowi, iż owa moc czynienia cudów w ogóle nie pochodzi od niego - zagadnął.

Szczepan pokiwał głową i uśmiechnął się, jakby Ezdrasz w końcu zrozumiał coś wyjątkowo ważnego.

- Ci nowi wierzący koniecznie muszą zrozumieć, że to nie jest kult jakiegoś człowieka. Szukamy zmartwychwstałego Pana. Należymy tylko do Niego. Cała władza *pochodzi* od Jezusa i *mieszka* w Nim.

Ezdrasz przyglądał się młodemu mężczyźnie.

- A jednak Piotr uczynił cuda.

- Nie, przyjacielu. Nie. Przykro mi, ale prawda jest taka: Piotr otworzył serce i umysł na poruszenie Ducha i uczynił tak, jak Duch go poprowadził. Nic ponad to. Jesteśmy jedynie narzędziami w rękach Ducha Świętego.

Ezdrasz pociągnął za brodę, lecz zaraz przestał, gdy zorientował się, że powtarza ruchy Gamaliela z ich ostatniej dyskusji. Ezdrasz znał Pisma. Wiedział, że wszystko, o czym mówi ten młody mężczyzna, pochodzi wprost od proroków. A to jeszcze wzmogło jego niepokój.

- Posiłek się opóźnia - powiedział Szczepan. - Często tak się dzieje, gdy nowi wierzący słuchają nauki. Może herbaty?

- Herbaty? Tak, poproszę. Przebyłem dość długą drogę.

- Chwileczkę.

Gdy młodzieniec się oddalił, Ezdrasz zaczął wodzić wzrokiem po zatłoczonym podwórzu. Rzymianin wciąż siedział samotnie pod przeciwległą ścianą. Po jego lewej stronie na wysokim żelaznym słupie

płonęła pochodnia, lecz migoczący płomień nie docierał do jego twarzy, która pozostawała w cieniu. Mimo to Ezdrasz był pewien, że Rzymianin go obserwuje. Odwrócił więc wzrok. Rzymianin siedział sam, odizolowany, a to był dom znajomych Ezdrasza. Może to była nowa sekta, a los tej kobiety kontrolowali mężczyźni, których interpretacja Pisma różniła się od jego własnej, ale i tak to byli jego ludzie, którzy zebrali się tu na posiłek kończący szabat. A Ezdrasz był zamożnym i wpływowym Judejczykiem.

Rzymianin nie miał z nim żadnych szans.

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Marta oczyściła ranę wodą, posmarowała leczniczym balsamem i przewiązała czystym bandażem, po czym położyła Abigail na pościeli i okryła lekkim bawełnianym materiałem.

- A teraz czas na modlitwę! - wykrzyknęła prostując się i wycierając ręce o boki wierzchniej tuniki.

Uklękła obok Abigail, aż jej kości zatrzeszczały w proteście, złożyła dłonie i tak zaczęła:

- Panie, przychodzimy do Ciebie w imieniu naszego drogiego Zbawiciela, naszego Pana, prosząc o uzdrowienie dla twojej córki. Ty dobrze znasz naszą potrzebę. Nie mamy nic, co możemy Ci dać, poza samymi sobą. Mówiłeś, że mamy prosić z wiarą, wiedząc i wierząc, że Ty wyprowadzisz wszystko ku dobremu. Objaw nam swój cel. Niech stanie się Twoja wola. Pomóż nam przyjąć to, co pragniesz nam dać. Modlimy się w imieniu naszego Pana Jezusa. Amen.

- Amen - wymruczała również Abigail.

Marta wstała z kolan, znów wycierając dłonie o tunikę. Ale jeszcze nie skończyła.

- A teraz kwestia tych dwóch zalotników.

Abigail wyczuła, że Marta chce, aby to ona się pomodliła. Ale co miała powiedzieć? Czy miała wypowiedzieć na głos swoje obawy?

Marta usiadła na stołku. W końcu rzekła:

- Wiem, jakbym się czuła na twoim miejscu. Po pierwsze, nie czuję nic do żadnego z nich. Jeden jest bogatym człowiekiem sukcesu i myśli, że może mieć wszystko, co zechce, bo zawsze tak było. Drugi postrzega siebie jako księcia, którego pożąda każda panna, ale przystojny wygląd i władza Rzymu nie czyni go odpowiednią partią. Po drugie, żaden z nich nie wyznaje naszej wiary. Prawda, że Bóg może użyć pobożnej kobiety, by przyprowadzić męża na drogę wiary, lecz sądzę, że nasz Pan wolałby, aby rozpoczęli wspólne życie w jednym jarzmie, oboje jako wierzący. Można w taki sposób bardziej służyć Bogu, tak myślę.

- Ale ja prosiłam i modliłam się, odkąd tylko... odkąd tylko się o nich dowiedziałam - wyszeptwała Abigail. I wciąż nie widzę, jaka jest w tym Jego wola dla mnie.

- Może coś przeoczyliśmy - zastanawiała się Marta. - Nie wiem, jakiej udzielić ci rady. Tylko Bóg zna plan, który ma dla ciebie. Musimy dalej się modlić, by stała się Jego wola. Obiecał, że odpowie na modlitwy, a On dotrzymuje obietnic. A zatem odpowie na pewno, w swoim czasie i na swój sposób. Cokolwiek przyniesie twoja przyszłość, wiem jedno: On cię nie opuści. A twoim obowiązkiem, moja droga, jest szukać Jego woli i chodzić Jego drogami.

Abigail poczuła, jak łzy spływają po jej policzkach na poduszkę, którą dostała pod głowę. Oczywiście, wszystko było tak proste, jak to ujęła Marta, a jednak zarazem takie skomplikowane, przerażające. Czemu nie miała silniejszej wiary i nie ufała, że Bóg ją poprowadzi?

Marta położyła ręce na kolanach i podniosła się ze stołka.

- I o to się modlimy - aby Bóg dał ci mądrość i wiarę, byś widziała dalej niż sięga chwila obecna; abyś wiedziała, że cokolwiek przyniesie przyszłość, On już przygotował drogę i odkryje ją przed tobą, jeśli tylko będziesz mu wiernie służyć.

Gdy Marta zaczęła się znowu modlić stojąc przy jej posłaniu, Abigail po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła iskierkę nadziei.

\*\*\*

Cisza otoczyła Linuksa niczym jakaś niewidzialna siła.

Słowo *cisza* do opisanego tego, jak się czuł na podwórzu pełnym wrzawy i rozmów, było dla niego czymś dziwnym. A jednak - wydawało

mu się, że im głośniejsz zachowywały się grupki ludzi przy stołach, tym bardziej ogarniał go przemożny spokój i cisza.

Chciał stąd iść, ale tu działo się coś dziwnego. Coś go zapraszało, przyciągało go, by został – niemal wbrew jego woli.

Linuks oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy. Jego umysł od razu wypełnił się bolesnymi obrazami, związanymi ze starszym bratem, Kastorem.

Kastor zawsze był od niego gorszy, jeśli chodzi o zdolności i talenty. Linuks był silniejszy, przystojniejszy, bardziej lubił rywalizację i lepiej władał mieczem. Zawsze prowadził polowanie, wygrywał z bratem w każdą grę. Zdobył nawet więcej uwagi ze strony ojca. Lecz koniec końców – to wszystko nie miało znaczenia. To Kastor, jako starszy, był księciem – tym, który urodził się, by rządzić. Wszyscy – nawet rodzice – o tym wiedzieli i starali się wkupić w jego łaski.

Linuks nauczył się chować za swym ironicznym poczuciem humoru. Śmiechem tłumił gorycz i furję. Dawał sobie z tym radę i śmiał się udając, że wszystko jest w porządku. I to okazało się najlepszą bronią przeciw Kastorowi. Linuks udawał błazna i stopniowo brat zaczął go ignorować.

Gdy Linuks po raz pierwszy spotkał Albana, ze zdziwieniem odkrył w walecznym Gallu serce prawdziwego brata. Rodzony brat Albana uknuł spisek, by go zabić, stąd Alban obnosił swój gniew niczym honorowy order. Ściśle mówiąc, tak było do momentu, gdy zaczął wyznawać wiarę w tego judejskiego Proroka i używać słów, które uderzały Linuksa jak pięści: „przebaczenie”, „zbawienie”, „Mesjasz”.

Linuks podniósł dłonie, by przetrzeć twarz. Został porzucony i uwięziony w przeznaczeniu, które przedrzeźniało jego śmiech, złośliwie z niego drwiło. Obrazy w jego głowie jeszcze nigdy nie były tak wyraźne, a motywacje za nimi stojące tak widoczne. Tutaj, na zatłoczonym podwórzu, gdzie panująca w jego wnętrzu cisza była tak potężna, że nie słyszał nawet otaczającej go wrzawy, Linuks zrozumiał gorzką prawdę: jego całym życiem rządziła nienawiść do brata.

Został przytłoczony bezsensownością niesprawiedliwości życia. Kastor był nie tylko człowiekiem z krwi i kości – był barierą oddzielającą Linuksa od wszystkiego, na co zasługiwał. To on, Linuks, był urodzonym władcą. To on był tak naprawdę księciem i dziedzicem w jego rodzinie. To on



powinien starać się o pozycję w Rzymie. Mógł powstać, mógł się wspiąć, mógł zostać...

O tak, nienawidził brata każdą cząstką swego jestestwa.

Lecz dopiero teraz, w tę noc, Linuks zdał sobie sprawę, jak bezbronny jest z tą nienawiścią w sercu. Pod trzeszczącą pochodnią, która rzucała cień na jego zamknięte powieki, zobaczył, że jest niczym więzień przykuty łańcuchem do swojego gniewu. Nie miał szansy na życiowe spełnienie, żadnej drogi naprzód. Wszystko, co robił, cokolwiek miałby osiągnąć, spali się na popiół w ogniu jego gniewu. Nawet kobieta, którą pragnął mieć dla siebie, powód, dla którego tu dziś przyszedł, pewnie zostałaby strawiona przez ów ogień.

Linuks poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Otworzył oczy i zobaczył młodego mężczyznę, który uśmiechając się do niego powiedział:

- Piotr chce teraz z tobą porozmawiać.

\*\*\*

Gdy Ezdrasz został wreszcie zaproszony, by porozmawiać z najważniejszym apostołem, nic nie poszło po jego myśli. Kiedy przyprowadzono go do głównego stołu, młody mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiał, Szczepan, poszedł i przyprowadził również Rzymianina.

Ezdrasz wytrzymywał napięcie w podobnych spotkaniach, choć nie znosił tego. Dwaj kupcy zmuszeni usiąść naprzeciw siebie. Wtedy kupujący mógł siedzieć spokojnie, uśmiechać się i obserwować, jak będą się targować o to, kto ubije z nim interes. Ezdrasz uważał, że jego pozycja powinna zapewnić mu większy szacunek i poważanie, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Spojrzał na twarz Rzymianina. Pomimo skromnego przyodziewku, widać było, że musiał niegdyś zawodowo służyć w wojsku, a być może nadal pełnił tę służbę. Można było to odgadnąć po jego umięśnionej sylwetce, sile i sposobie bycia. Podchodząc do stołu wydawał się jednak pogrążony w głębokiej niepewności.

Piotr, który właśnie wstawał i wyciągał ręce do Ezdrasza, by go pozdrowić, zauważywszy wyzbytą wyniosłości postawę Rzymianina zatrzymał się i obszedł stół dookoła. Pociągnął Rzymianina w dół na

ławkę naprzeciwko swojego miejsca przy stole. Własnoręcznie. Judejczyk usadzający okupanta i uśmiechający się przy tym. A potem, zanim wrócił na swoje miejsce, jeszcze położył dłoń na jego ramieniu. Dopiero wtedy oficjalnie przywitał się z Ezdraszem w tradycyjny sposób, choć jego wzrok cały czas spoczywał na Rzymianinie.

Nic nie byłoby w stanie przygotować Ezdrasza na to, co się następnie wydarzyło.

Gdy już siedzieli we trzech, Piotr przywołał gestem ręki Szczepana i wskazał mu miejsce obok Rzymianina.

- Jak masz na imię?

- Linuks.

- Ja jestem Piotr, a to jest Szczepan.

Mówił z twardym akcentem kogoś, kto wychował się w małej wiosce, lecz jego postawa była taka, jak ta - opisana przez Gamaliela - gdy Piotr stanął przed Sanhedrynem. Nie było w nim nic z czołobitności, którą ktoś taki jak on mógłby okazać swym gościom: ważnemu kupcowi judejskiemu i rzymskiemu oficerowi.

- Linuksie, mogę zapytać, czy należysz do bojących się Boga?

Legionista otarł twarz drżącą dłonią.

- Pamiętam, jak ktoś zadał to samo pytanie mojemu przyjacielowi. Wtedy w myślach zadrwiłem z niego, że potraktował je poważnie.

Wydawało się, że odpowiedź ta nie wywarła na Piotrze ujemnego wrażenia.

- A chciałbyś być wolny od swych więzów, Rzymianinie?

Ezdrasz poczuł, jak jego szczeka otwiera się w zdumieniu. Żeby Judejczyk powiedział coś podobnego do rzymskiego oficera? Była to rzecz nie do pomyślenia. Takimi słowami Piotr zasługiwał na śmierć.

Lecz Rzymianin powoli skinął głową, niemal jakby oczekiwał takiego pytania.

- Mój przyjaciel spytał mnie o to samo.

- Chodzi ci o tego bojącego się Boga, który kiedyś był setnikiem, a teraz jest opiekunem Abigail, tak?

Ezdrasz cały zeszywniał. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Rzymianin był sprytny, musiał mu to przyznać. Skoro ten Linuks nie mógł go pokonać na normalnych warunkach, obowiązujących

w społeczności judejskiej, odwoływał się do Piotra jako swego sojusznika na bazie powiązań z sektą. Naprawdę przebiegłe posunięcie.

Lecz Piotr pytał nadal:

- Czy twoje więzy mają jakieś imię, Linuksie?

Rzymianin spuścił wzrok i utkwił go w stole.

- Kastor. Mój brat.

- A o co twój rzymski przyjaciel, ten Alban, zapytał w związku z twoim bratem?

- Powiedział... - żołnierz głośno przełknął ślinę. - Zapytał, co bym powiedział, gdybym miał moc, żeby...

- Żeby co?

Przełknął raz jeszcze.

- Żeby przebaczyć.

- I co odpowiedziałeś?

- Że to jest niemożliwe.

Piotr odwrócił się i wymienił długie spojrzenie z młodym mężczyzną siedzącym naprzeciw niego. Potem zwrócił się do Ezdrasza.

- A ty, dobry człowieku. Ty również przyszedłeś tu z konkretną sprawą.

Ci ludzie nie przestawali go zadziwiać. Ezdrasz nigdy w życiu nie spotkał się z takim otwarciem negocjacji, a przeszywające spojrzenie Piotra wskazywało na to, że ten mężczyzna wie, co zamierza powiedzieć, zanim się odezwie. Prędko, z wysiłkiem zaczął więc szukać w umyśle czegoś innego, jakiejś innej odpowiedzi niż ta, którą zaplanował - a chciał poprosić, by Piotr wymienił cenę, jakiej chce za rękę tej młodej kobiety. Była to absolutnie niecodzienna propozycja w przypadku praczki i sieroty. Lecz skoro Rzymianin najwyraźniej wysunął się na prowadzenie, jakie Ezdrasz miał wyjście poza szczerym wyznaniem, po co tu przyszedł?

- Chciałbym dostać rękę Abigail. Wymień sumę, jakiej potrzeba.

Czuł, że głowa Rzymianina gwałtownie odwraca się w jego kierunku. Ezdrasz oparł się pokusie, by spojrzeć na niego tak, by tamten pierwszy spuścił wzrok. Zamiast tego wpatrywał się w Piotra. Chwilę później Ezdrasz poczuł, że Linuks z powrotem spuszcza wzrok na stół przed sobą. I usłyszał, jak wzdycha.

Ezdrasz miał ochotę wydać triumfalny okrzyk. Coś w tej unížonej postawie Rzymianina dało mu pewność, że już wygrał.

Piotr wpatrywał się jeszcze chwilę w Ezdrasza, po czym spytał cicho:

- Czy nie ma żadnego innego powodu, dla którego tu przyszedłeś?

Tym razem Ezdrasz powoli skinął głową. Ten człowiek był doprawdy spostrzegawczy.

- Przysłał mnie Gamaliel, faryzeusz. Chciałby wiedzieć, czy wy i wasza... grupa... Czy stanowicie zagrożenie dla Sanhedrynu i porządku w Świątyni?

- Porządku - powtórzył miękko Piotr. Odczekał chwilę, po czym spytał jeszcze ciszej:

- Czy nie ma żadnego innego powodu, dla którego tu dziś przyszedłeś?

Ezdrasz odchylił się do tyłu.

- Jakiż inny...?

I wtedy do niego dotarło. Jakby cały jego świat delikatnie się przechylił, został odrobinę ściągnięty z kursu.

Ezdrasz spojrział na Rzymianina. Ten pozostawał zamknięty w jakimś własnym wewnętrznym dialogu, a jego twarz spowijały tragiczne cienie.

Ezdrasz zdał sobie sprawę, że tu w ogóle nie chodzi o tę kobietę. Już nie. Całe to zebranie, ta noc, ta dyskusja. Chciano, aby dołączył do sekty. Co więcej, ten apostoł rozmawiał z Rzymianinem dokładnie o tym samym.

Ezdrasz oczywiście znał kilku bojących się Boga Rzymian. Większość z nich mieszkała tu całe życie. Kilku innych wychowywała judejska służąca i przyjęli judejskiego Boga z szacunku dla kobiety, którą kochali i czcili od niemowlęctwa. Prawa rządzące takimi ludźmi były jasne. Pisma zawierały wielokrotne nawoływania proroków, a nawet samego Boga, by Judejczycy byli światłem dla innych narodów.

Ale coś takiego...

Był zdumiony tym, jak bardzo nie zrozumiał prawdziwego celu tego spotkania. Nie miało ono nic wspólnego z tym, czego oczekiwał. Przyszedł jako kupiec, był przygotowany na negocjacje. Chciał czegoś, co oni posiadali. Stwierdził, że jest skłonny zapłacić, ile tylko zechcą,

choć jeszcze tego Piotrowi nie powiedział. To była nowa sekta. Rosła w siłę w okamgnieniu. Potrzebowała pieniędzy. Potrzebowała koneksji. Potrzebowała...

Piotr zdawał się odnaleźć w twarzy Ezdrasza informację, której szukał.

Odwrócił się. I zamknął oczy.

Ezdraszowi wydawało się, że noc wstrzymuje oddech. Nie miał pojęcia, jak długo trwała ta chwila. Może kilka sekund, a może godzinę. W końcu Piotr otworzył oczy i powiedział:

- Spotkamy się znów jutro wieczorem. Przyjdźcie na nasze podwórze na Starym Mieście po modlitwach w Świątyni.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następnego wieczora Marta przyszła do małego pokoiku, trzymając w rękach tacę z jedzeniem i pićm. Postawiła ją obok posłania Abigail i usiadła na stołku. Wyciągnęła rękę, by odgarnąć wilgotne kosmyki z twarzy dziewczyny.

- Spróbuj trochę zjeść - powiedziała. - Musisz nabrać więcej siły.

Abigail ledwie przytaknęła. Naprawdę nie miała apetytu.

- Ja... ja nadal nie wiem. Wiem, czego chcę, ale wciąż nie wiem, co Bóg dla mnie przygotował.

- I nie potrzebujesz - powiedziała pewnie Marta. - Jeszcze nie. Potrzebujesz po prostu ufać, z wiarą uczynić kolejny krok. Gdy nadejdzie właściwy czas, będziesz wiedziała, co zrobić.

Abigail skinęła głową, a w jej oczach znów pojawiły się łzy. Czując spracowaną rękę Marty na rozgrzanym policzku, a w jej oczach dostrzegła obietnicę, że pozostanie przy niej tak długo, jak tylko będzie potrzebować.

Marta wstała na odgłos kroków i dźwięk czyjegoś głosu. Abigail nie widziała wchodzącego, ale rozpoznała głos Szczepana. Nie słyszała wyraźnie jego słów; zauważyła natomiast, że plecy Marty sztywnieją.

- Ale ona nie może! - usłyszała okrzyk Marty stojącej w drzwiach. - To niemożliwe!

- To co mam powiedzieć Piotrowi? - spytał Szczepan.

- Powiedz mu, że jest bardzo chora.
- Ale on może nalegać, żeby...
- To sama mu to powiem.

Marta odsunęła Szczepana na bok i poszła.

Abigail poruszyła się niespokojnie na posłaniu. Powinna iść i stawić się na prośbę apostoła. A Marta... Nie musi się martwić o Martę. Piotr wcale jej nie onieśmielał, tak samo zresztą, jak ktokolwiek inny. Lecz i tak Abigail nie chciała sprawiać kłopotu nikomu ze wspólnoty. Jedyne, co mogła zrobić, to leżeć, znosić ból - i czekać.

\*\*\*

Linuks przybył na oświetlone pochodniami podwórze - to samo, na którym ostatni raz widział Albana. Wskazano mu długi stół, przy którym już siedział ten judejski kupiec. Linuks przypuszczał, że rywal znów okaże mu swą wrogość, lecz usiadł spokojnie i robił, co mógł, by ignorować wyzywające spojrzenie Judejczyka. Na szczęście reszta ludzi kręcących się po podwórzu zdawała się nie podzielać wrogości przepelniającej Ezdrasza - przynajmniej nie dziś. Linuks pocieszał się, że jego pragnienie poślubienia judejskiej panny nie jest niczym wyjątkowym. Albanowi udało się dopiąć swego, więc czemu i jemu nie miałyby się udać? Z tego też powodu, wrócił tu dziś wieczorem z zamiarem zaprezentowania się i pytania, co o nim sądzą.

Zamiast tego odkrył, iż jest zdruzgotany swoim życiem, które dziś wydało mu się jednym wielkim pasmem błędów. Linuks wpatrywał się w stół przed sobą. Miał właśnie bardzo realistyczną wizję, że jest uwięziony w tłoczni oliwy, podczas gdy ogromny kamień opada, wyciskając wszystko, co tak dobrze ukrywał przed całym światem, nawet przed sobą.

Niezależnie od tych wewnętrznych przeżyć Linuks zauważył, że wszystkie głowy odwracają się w kierunku wejścia z boku podwórza. Spodziewał się zobaczyć mężczyznę zwanego Szczepanem wracającego z Abigail, lecz zamiast nich ujrzał starszą, krzepką kobietę szybkim krokiem, z determinacją w oczach, zbliżającą się do Piotra. Ten wstał powoli z zatroskaną miną.

- Marto, czy coś się stało?

- Prosiłeś, żeby przyszła Abigail - odpowiedziała kobieta. - Ale ona nie może. Jest chora.

- Czy to coś poważnego?

- Obawiam się, że tak.

Linuks poczuł ucisk w żołądku. Kątem oka zauważył, że Ezdrasz poruszył się niespokojnie, lecz nie spojrział bezpośrednio na niego.

Piotr pochylił się do przodu, a na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki.

- Ma gorączkę?

- Chodzi o jej nogę. Podczas burzy znów się w nią zraniła. Jej stan z każdym dniem się pogarsza.

- Gdzie ona jest?

- Tutaj. Nalegałam, żeby została, abym mogła się nią opiekować.

- Przyrowadź ją do nas, siostró - powiedział Piotr. - Nie ja o to proszę, lecz nasz Pan.

Marta zawahała się chwilę, po czym energicznie skinęła głową i poszła.

Piotr dał ręką znak grupie mężczyzn, by zajęli miejsca przy stole, po czym skłonił głowę. Linuks miał wrażenie, że Piotr zwraca się do swojego Boga. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie.

Oficer zerknął na siedzącego naprzeciwko kupca. Oczy Ezdrasza rozszerzyły się ze zdumienia - a może z niepokoju? Mięśnie jego szczęki i karku były napięte.

Czekali tak przez dłuższy czas - jak długi, tego Linuks nie potrafił ocenić. Obserwował, jak inni pochylają głowy i modlą się tak samo jak Piotr. Marta i Szczepan wprowadzili Abigail na podwórze. W jej oczach widać było dotkliwy ból. Jedną nogę podkurczyła, nie będąc w stanie utrzymać na niej ciężaru ciała.

Piotr nie czekał, aż dziewczyna podejdzie do niego. Szybko wstał, a Linuks słyszał jak przemierzając podwórze z troską mruczy coś pod nosem.

Rozmowy ustały. Słyszać było tylko trzask pochodni. Całe zgromadzenie oczekiwało w napięciu. Następnie rozległ się cichy szum. Linuks zobaczył, że wielu zebranych podjęło na nowo modlitwę.

Na prośbę Piotra dwóch mężczyzn przyniosło ławkę. Abigail została na niej delikatnie posadzona, lecz i tak wydała okrzyk bólu, gdy jej noga



zginała się do pozycji siedzącej.

Piotr wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Wybacz mi, córko, że nie wiedziałem o twojej potrzebie. Nie miałem pojęcia, że twój stan jest tak poważny.

W odpowiedzi Abigail podniosła rękę, by dotknąć jego dłoni. Piotr wzniosł oczy ku niebu, a jego głos, tak donośny, że wszyscy na podwórzu go usłyszeli, nabrał zdecydowanego tonu.

- Ojcze, spójrz na cierpienie twej córki, a naszej siostry, Abigail. Dotknij jej w swym miłosierdziu, Panie. Uwolnij ją od bólu. Niech nastąpi uzdrowienie w imię Twojego Syna, naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa z Nazaretu. Amen.

Piotr otworzył oczy wpatrując się intensywnie w Abigail, a jego wolna ręka lekko spoczęła na jej głowie.

- Bądź uzdrowiona!

Słowa te zostały wypowiedziane cicho, lecz z takim autorytetem, że Linuksowi zdawało się, że wybrzmiały na całym podwórzu. Z wielu ust dało się słyszeć „Amen”.

W czasie, w jakim piorun zdążyłby rozświetlić niebo, wyraz twarzy Abigail się zmienił. Najpierw dezorientowanie, potem przeblysł podziwu. Jej oczy nie były już wypełnione udręką. Jej rysy się rozluźniły, ramiona wyprostowały.

- Spójrz - powiedziała zdziwiona do Marty. - Nawet blizny zniknęły.

Dłoń Abigail przesuwiała się po nodze w górę i w dół. Dziewczyna wzniosła oczy pełne łez ku niebu, lecz nie były to już łzy bólu, ale radości. Wstała bez pomocy innych i wzniosła ręce w geście wdzięczności i oddania chwały Bogu. Nie trzeba było nikomu wyjaśniać, co się wydarzyło. Było to jasne dla wszystkich.

Tłum zaczął się poruszać: twarze promieniały wdzięcznością i podziwem, ręce podnosiły się w uwielbieniu dla Boga, a głosy wznosiły się w dziękczynieniu.

Linuks poczuł, jak jego klatka piersiowa otwiera się i odetchnął głęboko po raz pierwszy - jak mu się wydawało - od wielu godzin. *Węc tak wygląda uzdrowienie!* O tym mówili, że jest w mocy ich Boga. Przez Linuksa przeszedł dreszcz. Nie był pewien, czy stąd uciekać, czy paść na kolana.

Abigail ze wzniesionymi dłońmi poruszała się swobodnie w pięknym tańcu radości. Jej oczy lśniły nieziemskim światłem, co czyniło ją jeszcze piękniejszą, choć kilka minut temu Linuks sądziłby, że to niemożliwe.

Ezdrasz wstał i przyciągnął swe bogato zdobione szaty bliżej ciała, jakby chciał się nimi odgrodzić od tego, co się właśnie wydarzyło. Linuks zastanawiał się, czy kupiec zaraz nie wyjdzie w pośpiechu.

Zwrócił oczy z powrotem na tę piękną dziewczynę, która nadal tańczyła w uwielbieniu dla Boga.

- Jestem uzdrowiona. Uzdrowiona - słyszał, jak powtarza w kółko. Inni wierzący klaskali w dłonie i również wykrzykiwali na cześć Pana.

Linuks spostrzegł, że Piotr znów zajął miejsce przy stole. Choć jego twarz jaśniała w dziękczynieniu, nie wydawał się być zaskoczony, ani nie wyglądało, żeby odczuł ulgę. Zwyczajnie zaakceptował to, co się wydarzyło.

Spojrzał wprost na obu mężczyzn, jednego siedzącego, drugiego stojącego. Linuks czuł, że jego dusza jest zupełnie obnażona. W ciemnych oczach apostoła pojawił się groźny błysk, jednak w jakiś trudny do wyjaśnienia sposób Linuks zauważył w nich również współczucie.

Gdy Piotr znowu przemówił, jego głos był silny i bezpośredni. Linuks zrozumiał, że jest to człowiek posiadający prawdziwy autorytet - autorytet przewyższający potęgę Rzymu.

- Wiem, że obaj przyszlście tu prosić o rękę tej młodej kobiety. Ale nie ja o tym decyduję, ona należy do Boga. Będziemy się modlić. Zapytamy o zdanie jej opiekuna. I będziemy ją pytać, jakie są jej pragnienia. A do czasu uzyskania odpowiedzi - od Boga, od Albana i od niej samej, nie zostanie podjęta żadna decyzja - jego nieugięty wzrok zatrzymał się na jednym z mężczyzn, potem na drugim. - A na ową decyzję nie będzie miało wpływu ani bogactwo, ani władza - dodał.

\*\*\*

Księżyc był już wysoko na niebie, zanim Abigail zdołała na tyle się uspokoić, by zasnąć. Jakie to niesamowite! Jak cudowna była wolność od bólu, świadomość, że jej noga jest całkowicie zdrowa. Zniknęła nie

tylko sącząca się rana i zaczerwienienie, ale również osłabiona tkanka, napięta, cieniutka skóra oraz wszystkie blizny. Teraz mogła chodzić nie utykając i nie wstydząc się ciekawskich spojrzeń. Była zdrowa!

Już nie musi się martwić, czy świątynni kapłani w bramie nie uznają jej za „nieczystą”. Będzie miała otwarty dostęp do przedsionka kobiet, do tego, by uwielbiać Boga z innymi wierzącymi, do włączania się w modlitwy dziękczynienia i codzienne prośby. Czowała się, jakby to był nowy początek; czuła, że teraz może stać się taką kobietą, jaką Bóg pragnie, aby była.

W jej umyśle z nagłą jasnością pojawiła się jeszcze jedna myśl. Boży cel dla niej nie był ograniczony jej wyglądem, pięknnością, przed którą przestrzegala ją matka. Bóg mógł zrobić z jej życiem, co tylko zapragnął. Jej przyszłość nie będzie zależeć od piękna twarzy czy ciała. Jaką to czyniło różnicę? To Bóg uczynił cud. Miał ku temu swój powód. Nie potrzebowała już chorej nogi, by uwolnić się od niechcianych zalotników. Nie, to Bóg pokieruje jej przyszłością. To On zdecyduje, czy ma wyjść za mąż - i za kogo. Była wolna. *Wolna*. To słowo było tak wspaniałe, że Abigail ledwie potrafiła powstrzymać radość, jaką przynosiło.

Raz po raz wylewała w modlitwie przed Bogiem swoje emocje i wdzięczność. Zwykle „dziękuję” nie wystarczało. Pokornie i całym sercem, z czystą, niezachwianą wiarą, Abigail oddała w Boże ręce wszystko, kim była i kim kiedykolwiek miała się stać.

# ROZDZIAŁ

## SIEDEMNASTY

- Przybył nowy namiestnik - rzekł Gamaliel. - Marcellus przejął cały pałac Heroda. Najwidoczniej zamierza spędzać w Jerozolimie dużo czasu. Radzie grozi z każdej strony wiele niebezpieczeństw. To najgorszy czas, by wciąż być zagniewanym na jakiegoś zmarłego Proroka i Jego sektę!

Ezdrasz skinął w podziękowaniu Miriam, żonie kapłana, która przyniosła mu kubek ciepłej, słodkiej herbaty.

- Masz rację, że ci wyznawcy rozprzestrzeniają się niczym szarańcza.

- Myśleliśmy, że sprawa będzie zakończona raz na zawsze, gdy zażądaliśmy, żeby Piłat wydał na śmierć tego tak zwanego Proroka, Jezusa z Nazaretu. Ale sytuacja tylko się pogorszyła. I to bardzo.

Gamaliel nie skończył swojej wypowiedzi, gdy do pomieszczenia wszedł młody mężczyzna, a za nim syn Ezdrasza, który towarzyszył mu podczas dzisiejszej wizyty.

Ezdrasz nie chciał rozmawiać na takie tematy przy chłopcu, który miał sześć lat i chłonał jak gąbka wszystko, co przeczytał lub usłyszał. Wskazał na synka, który stał u wejścia obok pomocnika Gamaliela. Chłopiec zerknął na szczupłego młodzieńca w czarnych szatach faryzejskiego skryby. Dopiero kiedy młodzieniec skinął głową, chłopiec podszedł do ojca. Ezdrasz pomyślał, że tak być powinno, gdyż jego syn

niedawno zaczął pobierać nauki w tym domu i teraz pozostawał pod opieką tego starszego stażem pomocnika Gamaliela. Młodzieniec, zdaje się, na imię miał Tytus.

Ezdrasz pogładził chłopca po policzku i zapytał:

- Czego się dzisiaj uczyłeś?

- Zaczęliśmy studiować Psalmy, tato - odpowiedział chłopiec.

- Tak, to niezwykle interesujące. A pamiętasz coś z dzisiejszego dnia?

- Oczywiście!

- To powiedz, co ci się najbardziej podobało.

Jego młody głosik brzmiał jak melodyjne dzwoneczki:

- „Dlaczego narody się buntują, czemu ludy knują daremnie zamysły? Królowie ziemi powstają i władcy spiskują wraz z nimi przeciw Panu i przeciw Jego Pomazańcowi”...

Gamaliel wzdrygnął się w widoczny sposób.

- Czy wszystko...? - zaczęła jego żona.

- Zostaw nas, proszę.

Ezdrasz skinął na syna, by wyszedł wraz ze skrybą i z Miriam.

- Wkrótce do ciebie przyjdę.

Lecz gdy byli już sami, Gamaliel się nie odzywał. Gdzieś w oddali Ezdrasz słyszał nawoływania sprzedawcy wody. Zawodzący ton przebijający się przez popołudniowy skwar sprawiał, że cisza była jeszcze bardziej przytłaczająca.

Wreszcie Gamaliel spytał:

- Poszedłeś do nich na posiłek kończący szabat?

- Tak. I wczoraj wieczorem też się z nimi spotkałem.

- Mimo to musiałem po ciebie wysłać Tytusa.

- Przepraszam cię, przyjacielu. Byłem...

- Tak? Mów.

Ezdrasz westchnął.

- To skomplikowane.

- Zamieniam się w słuch.

Ezdrasz przełknął ślinę.

- Ja... Jest pewna kobieta.

Gamaliel odwrócił się od okna.

- Wyznawczyni nauk tego zmarłego Proroka?

- Tak. Ona... To znaczy...

Gamaliel nie odrywając oczu od Ezdrasza podszedł do stołu, na którym leżały stosy zwojów i dokumentów, po czym usiadł.

Ezdrasz wiedział, że ta rozmowa nie będzie łatwa.

- Chcę ją pojąć za żonę.
- Czy złożyłeś już oficjalną ofertę?
- Tak, za pośrednictwem Safiry.
- Znam jej rodzinę?
- Jest sierotą.

Ku zdumieniu Ezdrasza, Gamaliel nie wyraził sprzeciwu. Ezdrasz w podobnej sytuacji na pewno by protestował. W końcu był człowiekiem dość zamożnym i wpływowym. To oczywiste, że żadna sierota, żadna służąca nie mogłaby... Ezdrasz już sam wobec siebie wyrażał te wszystkie obiekcje - na próżno.

Zamiast tego Gamaliel spytał:

- Czy jest panną skromną i moralną?
- Tego jestem pewien.
- Przestrzega Prawa?

- Jest jedną z najbardziej religijnych kobiet, jakie w życiu spotkałem.

- Jesteś człowiekiem posiadającym bogactwo i pewną władzę. Z pewnością znajdą się tacy, którzy będą tobą pogardzać za podjęcie takiej decyzji. Ale ty zawsze sam wyznaczałeś sobie kurs. A Miriam już od miesiący powtarza, że powinieneś się ożenić, więc nie rozumiem, w czym tkwi problem. Niech twoja siostra ustali z opiekunami dziewczyny cenę za pannę młodą i...

- To nie takie proste - Ezdrasz z trudem wciągnął powietrze. - Oni oczekują, że dołączę do ich sekty.

Rysy Gamaliela zeszywniały.

- To niemożliwe! Pomyśl, jaki by to miało wpływ na całą naszą społeczność! Człowiek o twojej pozycji choćby rozważający coś takiego...

- Jest jeszcze gorzej. - Teraz, kiedy Ezdrasz już zaczął mówić, czuł się, jakby słowa nie wypływały z jego ust wystarczająco szybko. Zrelacjonował przebieg wieczoru, opowiedział o Rzymianinie, spotkaniu z Piotrem i uzdrowieniu. Zanim skończył, dyszał ciężko, częściowo

dlatego, że nie brał porządnego oddechu, kiedy mówił, a częściowo z powodu przeżywania tych emocji jeszcze raz.

Gamaliel pogładził brodę, ciągnąc mocno za jej koniec, co wydłużało jego twarz nadając jej dziwaczny grymas.

- Uzdrowił tę kobietę?

- Tak.

- I jesteś pewien, że to nie była żadna sztuczka?

- Jestem absolutnie pewien.

Może wcześniej kazali jej udawać, że kuleje?

- Kulała za każdym razem, kiedy ją widziałem, na długo przedtem, nim wyjawilem moje intencje wobec niej. Poza tym jestem kupcem, który podróżuje z karawanami. Znam podstawy leczenia. Ta dziewczyna miała okropną ranę. Wydaje mi się, że mogła nawet od niej umrzeć. Odczuwała taki ból, że czasem nie mogła powstrzymać krzyku.

- A później?

Ezdrasz otarł twarz.

- Płakała z wdzięczności. Poruszała się z zupełną łatwością w tańcu na Bożą chwałę. Jak... jak Dawid tańczący przed Panem. Wznosiła ręce do nieba i wciąż wykrzykiwała słowa dziękczynienia.

- A zatem - pięść Gamaliela ponownie chwyciła za brodę i pociągnęła jeszcze mocniej - mamy kolejny cud.

- Nie mam innych słów, by opisać to, co widziałem. Myślałem o tym niezliczoną ilość razy i równie często o tym śniłem.

- A potem ten, którego zwą apostołem - Gamaliel skrzywił się, wypowiadając to słowo - zaprosił cię, byś do nich dołączył.

- Nie. To nie było... - Ezdrasz nie wiedział, jak to wyjaśnić. - Gdy się tam zjawilem, młodzieniec o imieniu Szczepan powiedział coś, co usłyszałem już wcześniej od mojej siostry. Że każdy z nas przychodzi tam ze swoich własnych powodów.

- Przychodzi gdzie?

- Przebywać z nimi i słuchać ich nauki. Szczepan miał na myśli to, że mamy niewłaściwe motywacje i myślenie. Lecz jeśli przyjdziemy z otwartym sercem i umysłem, zobaczymy prawdę w tym, co głoszą.

Zakończył szybko, mając poczucie, że nie oddał tego, co chciał powiedzieć. Albo raczej tego, co chciał powiedzieć Szczepan.

Gamaliel nie wyraził sprzeciwu, choć Ezdrasz mógł się takowego spodziewać. W końcu powiedział właśnie starszemu faryzeuszowi i aktywnemu członkowi Wielkiej Rady, iż jest w błędzie dotyczącym interpretacji spraw natury religijnej. Zamiast tego jego przyjaciel jedynie usiadł i borykał się z myślami przekraczającymi jego zdolność pojmowania. Ezdrasz wiedział, że od teraz sen Gamaliela będzie zakłócony tak samo jak jego samego.

W końcu Ezdrasz wstał i poszedł szukać syna. Gdy wrócił, by pożegnać się z gospodarzem, zastał kapłana siedzącego nadal przy stole, wciąż wpatrującego się w okno i cały czas gładzącego brodę.



# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Linuks siedział w dawnej sali sądowej Poncjusza Piłata. Nowy gubernator Judei, Marcellus, zamienił go w poczekalnię dla proszących o audiencję. Duży korytarz posiadał trzy wejścia: jedno z ogrodów, drugie z innego korytarza, łączącego ten z wejściem do pałacu, a ostatnie do prywatnych kwater gubernatora. Przy każdych drzwiach, w pełnej gotowości, stali uzbrojeni legioniści. Linuks widział przez otwarte drzwi, jak robotnicy demontują ścianę dzielącą ogrody Heroda od ogrodów Piłata. Jeszcze więcej odgłosów budowy dochodziło z kwater prywatnych.

- Gubernator z pewnością nie marnuje czasu - Horus, kapitan portu w Cezarei, niepostrzeżenie zjawił się obok Linuksa. - Dowiaduję się, że jego statek przybił do Jaffy i tego samego dnia dostaję rozkaz, by się u niego stawić.

- Nie masz się czym martwić - odpowiedział Linuks.

- A co? Pytałeś wieszczów o moją przyszłość? - Horus otarł pot z czoła rękawem tuniki. - Skoro jest taki zadowolony z mojej pracy, to dlaczego nie wpłynął do Cezarei i nie spotkał się ze mną tam?

- Jego statek zboczył z kursu podczas burzy i doznał uszkodzeń - Linuks podzielił się informacją uzyskaną od żołnierza, który przyszedł do niego z rozkazem stawienia się. - Marcellus zamierza zrobić

z Jerozolimy swoją główną rezydencję. Przynajmniej na razie. Dlatego przysłał po ciebie, tak samo jak i po mnie.

Horus przyglądał mu się uważnie.

- A skoro o burzach mowa, przypominasz mi zielonego rekruta żeglującego podczas swojej pierwszej burzy. Chory jesteś czy co?

Linuks wyprostował się. Od jego ostatniego spotkania z apostołami minęły dwa dni. W tym czasie prawie nie spał. Nocami staczał bitwy z własnymi myślami. Raz pochłaniało go pragnienie tej pięknej młodej kobiety, a za chwilę znajdował się znów na podwórzu i czuł moc słów Piotra. Uderzały w niego jak młoty w ciemnościach. *Bądź uzdrowiona.*

A co dopiero ów głos, który usłyszał na moment przedtem, zanim wydarzył się cud. Bo to był prawdziwy cud. Linuks nie miał co do tego wątpliwości. Naoglądał się już w życiu oszustów i fałszywych uzdrowicieli i miał pewność, że Piotr do nich nie należy. Nie poprosił go o nic poza tym, by Linuks przysiągł wierność zmarłemu Prorokowi. Temu, którego moc przeszła przez podwórze uciszając nawet trzaskające pochodnie. Temu, który mówił do Linuksa zza grobu.

Linuks zdał sobie sprawę, że przyjaciel go obserwuje. Szybko poszukał w pamięci, o czym przed chwilą rozmawiali i rzekł:

- Prefekt Marcellus ma w Judei tylko jeden interes.

- Jaki?

- Pieniądze.

- A od kogo masz tę informację?

- On sam mi to powiedział. Spotkałem go w Rzymie, pamiętasz? Podejrzewam, że każe ci zwiększyć opłaty portowe i pilnować, żeby każdy statek uiszczal je w pełni.

Horus się najeżył. Był przysadzistym mężczyzną, który w swych młodych latach miał reputację awanturnika.

- Prowadzę księgi uczciwie i oczekuję tego samego od kapitana każdego statku, który przybija do mojego portu.

- Zachowaj przed gubernatorem taką postawę, a skończysz jako pokarm dla ryb - ostrzegł go Linuks. - Przedstaw się, ukłoń, jakbyś stał przed samym cesarzem i zapewnij go, że każda łódź, aż do najmarniejszego takielunku, zapłaci pełne cło. A kiedy ci zaoferuje więcej ludzi do pracy, niech ci nawet nie drgnie brew. I ty i on wiecie,

że będzie umieszczał w porcie swoich szpiegów, ale zamiast oponować, podziękuj mu za to, że chce ci pomóc w wykonywaniu jego rozkazów.

Kapitan portu chciał coś odpowiedzieć, lecz przerwał mu żołnierz wzywający jego imię. Jeszcze raz wytarł twarz.

- Jestem twym dłużnikiem za tę mądrą radę - rzekł szorstkim głosem.

Po chwili u wejścia do ogrodu pojawiła się kolejna znajoma twarz. Trybun Bruno Aetius naciągnął mocniej hełm i głośno stąpał po wyłożonej marmurem posadzce. Linuks go lubił i wiedział, że człowiek ten zasługuje na dużo więcej niż prawdopodobnie zaoferował mu nowy gubernator. Linuks okazał mu jak największy szacunek wyprostowując się jak struna, głośno przykładając pięść do metalowej zbroi i kłaniając się nisko.

Trybun zawarczał jak rozgniewany niedźwiedź.

- Ten facet dopiero przyjechał do Judei, a już jest na tyle poinformowany, by żądać ode mnie odpowiedzi, dlaczego pozwoliłem, żeby sytuacja pogorszyła się do poziomu chaosu.

- Ale twoja głowa wciąż tkwi na szyi - zauważył Linuks. - Przypuszczam zatem, że nie powiedziałaś mu, co sądzisz o jego pytaniu.

- Aczkolwiek muszę przyznać, że mnie kusiło. Strasznie mnie kusiło - trybun jeszcze bardziej naciągnął hełm. - Prefekt każe mi jak najszybciej udać się do Damaszku. Ja też nie chcę pod nim służyć ani chwili dłużej niż to będzie konieczne.

- Będę za tobą tęsknił, panie - powiedział szczerze Linuks. - Jerozolima będzie uboższa, kiedy ją opuścisz.

Bruno Aetius przyjrzał się młodszemu żołnierzowi.

- Jedź ze mną, Linuksie.

- Panie?

- Potrzebuję dobrych oficerów. Prawdopodobnie zostaną przydzielony do terenów graniczących z Partami. Możesz przeczekać całe to szaleństwo, które wkrótce przejdzie przez całe imperium.

- Błagam, ścisź głos.

Bruno Aetius podszedł na tyle blisko, że Linuks poczuł czosnek w jego oddechu.

- Byłeś w Rzymie. Wiesz, że mówię prawdę. To szaleństwo już tu dociera. Rozprzestrzenia się nad tą ziemią jak zaraza.

Z jakiegoś powodu Linuks znów usłyszał słowa, które wstrząsnęły całym jego światem. *Bądź uzdrowiona.*

Trybun wziął milczenie Linuksa jako znak, że się z nim zgadza. Podeszedł jeszcze bliżej.

- Kiedy tu przyjechałeś, służyłeś człowiekowi, który znał wartość żołnierza - wysyczał trybun. - Piłat walczył dla Rzymu w Germanii. Był oficerem w oddziałach cesarza. Żył nie troskając się o intrygi na poziomie władzy. Znał wartość ludzi, którym mógł ufać. Myślisz, że ten nowy gubernator będzie się trzymał podobnych zasad? Rozejrzyj się dookoła i powiedz mi, co widzisz!

Linuks rozejrzał się po pomieszczeniu. Piłat je lubił, bo było proste, surowe, wyglądało po wojskowemu. Teraz pod każdą ze ścian stały ławki - i wszystkie były zajęte. Kupcy siedzieli razem, podczas gdy ich słudzy stali w dyskretnej odległości, trzymając w dłoniach próbki towarów. Grupa świątynnych kapłanów, sądząc po pstrokatych szatach, saduceuszy, rozmawiała półgłosem w rogu. Oprócz strażników pilnujących każdego wejścia, Linuks i Bruno Aetius byli jedynymi wojskowymi.

- Pomyślę nad tym, co mi powiedziałaś - rzekł Linuks miękko.

- Nie myśl zbyt długo - Bruno Aetius zaczął się wycofywać. - Wyjeżdżam do Damaszku za tydzień.

Linuks patrzył, jak trybun maszeruje przez galerię. Nagle jego umysł wypełnił obraz pięknej judejskiej panny. W chwili niebezpieczeństwa i niepewności nie był to najlepszy moment na takie myśli. Jednak w głębi serca wiedział, że nigdzie nie pojedzie, dopóki nie będzie wiedział na pewno, czy ma u niej jakieś szanse.

Tak bardzo zagłębił się w swych rozmyślaniach, że nie zauważył sługi, aż ten dotknął jego ramienia.

- Prefekt chce się z tobą widzieć.

\*\*\*

Nowy gubernator Judei przyjął Linuksa w najbardziej luksusowym pomieszczeniu Heroda. Zniknęło z niego wiele ozdób, ale pozostało pozłacane krzesło przypominające tron. Marcellus siedział na nim, otoczony tym samym wianuszkim doradców, których Linuks spotkał

w Rzymie. Spoglądali na niego z zimnym cynizmem hien mierzących wzrokiem następną kąsek.

Linuks stanął na baczność przed tronem i zasalutował, jakby to czynił przed samym cesarzem.

- Linuks Aureliusz melduje się na rozkaz, panie.

- Ach. Mój wierny sługa i żołnierz. Znów się spotykamy, teraz w moim nowym domu.

- Pozwól mi dodać własne powitanie do tego, którym wita cię cała Judea, panie.

- Mówisz jak prawdziwy ksiązę - Marcellus miał na sobie mundur rzymskiego oficera ze złotym pancerzem ozdobionym drogimi kamieniami oraz takie same opaski na nadgarstkach. Jego jedwabna tunika była zabarwiona na purpurowo, a więc na kolor przeznaczony wedle cesarskiego zarządzenia jedynie dla ludzi sprawujących imperialną władzę. Szaty w tym kolorze zwykle noszono tylko w granicach Rzymu. - Coś do jedzenia lub do picia?

- Dziękuję, panie. Obsłużono mnie w poczekalni.

Prefekt gwałtownie wstał z krzesła.

- Przejdźmy się, Linuksie.

Jego doradcy podnieśli się z miejsc niczym stadko drobiu, poprawiając swoje wytworne szaty jak ptactwo otrzepujące skrzydła. Marcellus zmrużył oczy i uśmiechnął się do nich.

- Sami.

Rozkaz ów był tak nieoczekiwany, że cała grupka zamarła. Gdyby jego sytuacja nie była śmiertelnie poważna, Linuks zaśmiałyby się z nich na głos.

- Chodź, Linuksie - gubernator Judei wyszedł z komnaty ignorując żołnierzy, którzy mu zasalutowali. Poprowadził Linuksa schodami wiodącymi w dół do pałacowych ogrodów. - Czy tu zawsze jest tak gorąco?

- Przybyłeś w porze letniej, panie - odpowiedział sztywno Linuks. - Obawiam się, że najgorsze upały są jeszcze przed nami. Sierpień bywa nie do wytrzymania. Nieraz we wrześniu jest równie paskudnie. Radziłbym spędzić owe tygodnie w Cezarei, gdzie morskie powietrze jest znacznie chłodniejsze.

- Widzisz, jak mało wiem o tej ziemi i jak ważne są twoje rady - Marcellus pochylił się nad kwiatem w kształcie dzwonka i powąchał go.  
- Chciałbym cię wynagrodzić.

- Jesteś zbyt łaskaw, panie. To zaszczyt tobie służyć. Nie potrzebuję...

- Bzdura. Zaufany sojusznik zasługuje na specjalne traktowanie - prefekt szedł dalej wzdłuż krętej kamiennej alejki, aż stracili z oczu pałac. - Może mam kazać pozbyć się twojego brata?

Linuks poczuł, że nogi ma jak z kamienia.

- Panie?

- Nie wspominałem, że znam Kastora? Nie, chyba nie. Paskudny z niego typ, nie zgodzisz się ze mną? A to dziecko, które sobie wziął jako drugą żonę, na pewno nie będzie za nim tęsknić - prefekt pochylił się nad innym kwiatem. - Jakże miło ze strony Heroda, że podarował mi swój ogród, nieprawdaż?

- Ja... to znaczy...

Marcellus zerknął na Linuksa i uśmiechnął się znacząco.

- Chodź, chodź. Obaj jesteśmy światowymi ludźmi. Nie oczekujesz chyba, że uwierzę, iż nigdy nie pragnąłeś, by twój brat nieco wcześniej spoczął w grobie.

Linuks miał wrażenie, że jego zmysły nigdy nie były tak wyostrzone jak teraz. Każdy liść, każdy kwiat lśnił nieskończoną klarownością. Gorący wiatr musnął jego policzek i był to ostrzegawczy oddech. W tym momencie wiedział, że dano mu pewien wybór. Kamienna ścieżka u jego stóp świeciła, jakby została obmyta rękami ducha. Jeden kierunek prowadził do przyszłości, którą widział jedynie w bardzo zamazany, niewyraźny sposób, druga zaś do okropnego spełnienia jego wszystkich pragnień.

Linuks zdał sobie sprawę, że gubernator czeka na jego odpowiedź. Słowa same wysunęły się z jego gardła.

- A czego oczekujesz w zamian?

Moment jasności zniknął. Świat znów stał się taki, jaki był przedtem. Gorący, zakurzony, otępiały z nienawiści i pożądania.

Gubernator obdarzył go gadzim uśmiechem.

- Chodź, mój nowy doradco. Przekonajmy się, czy w tym pięknym ogrodzie znajdzie się odrobina cienia.

Marcellus poprowadził go jeszcze głębiej w zacisze ogrodu. Linuks nie mógł się powstrzymać przed porównaniem go z poprzednikiem, któremu kiedyś służył. O ile Poncjuszowi Piłatowi mundur ewidentnie pasował, to ozdoby na mundurze nowego gubernatora zdradzały jego słabości. Marcellus był człowiekiem przyzwyczajonym do błogiego lenistwa i spełniania swoich zachcianek. Ramiona wyłaniające się spod tuniki miały kolor mąki.

Minęli jedną fontannę, potem następną. Zostawili daleko za sobą robotników walących młotami w mur i dotarli do fontanny położonej z dala od pałacu. Zewnętrzną granicę okalały palmy daktylowe posadzone tak blisko siebie, że ich gałęzie formowały jakby pleciony kosz nad głowami.

- Usiądź tu przy mnie, Linuksie.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, panie. Ale lepiej mi się myśli, kiedy stoję.

- Jak chcesz - prefekt poprawił szaty nim usadowił się na kamiennym brzegu fontanny. - Człowiek z twoimi zdolnościami z pewnością nie życzy sobie spędzić reszty swoich dni w tej przeklętej prowincji, wśród tego kłótniowego ludu.

- Trybun Bruno Aetius zaprosił mnie, bym dołączył do jego korpusu oficerskiego i wyjechał z nim do Syrii.

- Nie życzę sobie tego, słyszysz? - Marcellus uderzył otwartą dłonią o kamienny brzeg fontanny. - Zabraniam ci przyjąć tę ofertę.

- Słyszę i jestem posłuszny, panie - kłaniając się Linuks usłyszał, jak w jego umyśle zamykają się drzwi.

- A poza tym, twoje miejsce nie jest w kolejnym gorącym kraju, pełnym kurzu i wojen. Twoje miejsce jest w Umbrii.

Marcellus wypowiedział słowo *Umbria* w taki sposób, że zabrzmiało jak piosenka. Linuksa ogarnęła tęsknota tak silna, że przeszedł go dreszcz.

Niewiele było rzeczy, które zdołałyby ująć przed bystrym spojrzeniem gubernatora. Posłał Linuksowi nikły uśmiech.

- Albo, jeśli wolisz, znajdziesz się w Rzymie. Bo w końcu, jeśli twój brat zostanie usunięty z drogi, to ty będziesz rządził rodzinnymi posiadłościami. Książę Umbrii będzie musiał spędzać czas w Rzymie. Wystarczy słowo i miejsce w senacie będzie jego.

- Przejęcie władzy po bracie nie jest gwarantowane w prawie rzymskim.

Słowa Linuksa w ogóle nie wytrąciły prefekta z równowagi.

- Mogę ci zagwarantować, że cesarz wyznaczy ciebie opiekunem dzieci twojego brata.

- Jak to możliwe, jeśli mogę spytać?

- Usiądź już Linuksie. Nie lubię zadzierać głowy, żeby na ciebie patrzeć.

Linuks niechętnie usiadł na brzegu fontanny, ale w bezpiecznej odległości. Marcellus nie zdradził się, by miał przy sobie sztylet, lecz emanował z niego wyraźnie wyczuwalny posmak zagłady.

- Wybacz, panie, zbyt bezpośrednią mowę.

- A jak myślisz, dlaczego odeszliśmy sami tak daleko? Mów otwarcie, co cię trapi.

- Taka gwarancja jest łatwa do zaoferowania, gdy nie ma świadków, a cesarz przebywa w odległym Rzymie.

- Mam dokument z jego pieczęcią. Potrzebuję tylko dopisać odpowiednie słowa.

Linuks tak bardzo odchylił się do tyłu, że poczuł na plecach kropelki wody z fontanny.

- Pokażę ci zwój jak tylko wrócimy do pałacu - gubernator nie był człowiekiem cierpliwym. Wobec milczenia Linuksa uderzył dłonią o kamień raz jeszcze. - Rozkazuję ci odpowiedzieć!

- Poznałem ludzi o władzy niemal nieograniczonej, którzy nigdy nawet nie sypiali sami - powiedział Linuks powoli. - A my znaleźliśmy się w takim odosobnieniu bez strażników, bez doradców. Myślę, że zadanie, jakie masz dla mnie, jest straszne i niebezpieczne.

- Boisz się niebezpieczeństwa, Linuksie?

- Nie, panie. Nie, jeśli za jego groźbą kryje się cel, który umysł prostego oficera jest w stanie ogarnąć.

- Mam określony cel. Lecz nie jest on celem militarnym. Mój zamiar dotyczy sfery władzy - prefekt przysunął się bliżej do Linuksa. - Sejan żąda, by uczyniono go konsulem. Senat desperacko szuka sposobu, by mu tego odmówić. Ale potrzebują, aby owo stanowisko objął ktoś inny. Ktoś, komu będą mogli zaufać. Tym kimś chcę być ja. Pragnę tego



z taką samą pasją, jak ty pragniesz, by twój brat zniknął z powierzchni tej ziemi.

Linuks przytaknął. Konsulowie Rzymu służyli jako pomost między cesarzem a senatem. Byli również najwyższymi sędziami w imperium rzymskim. Ich władza była drugą po cesarskiej.

Marcellus kontynuował:

- Moi sojusznicy w senacie powiedzieli, że byłbym akceptowalnym kandydatem. Ale tylko jeśli zapłacę im pewną cenę, która jest ogromna.

- Wybacz, panie. Ale ja nie mam żadnych funduszy. I wątpię, by moja rodzina mogła...

- Nie chcę dawać ci księstwa tylko po to, by cię potem zubożyć. Jako konsul będę potrzebował zaufanych sojuszników jeszcze bardziej niż tutaj.

- To co takiego...?

- Wiesz, jaką sumę ten parszywy kapłan, Kajfasz, i jego teść, Annasz, zapłacili mi za utrzymanie swych pozycji jako arcykapłanów?

- Słyszałem, że to była ich waga w złocie.

- To i jeszcze więcej. Zapłacili bez zastrzeżeń. Wiesz, co to oznacza? Skarbiec świątynny musi być ogromny. Wystarczająco duży, by zaspokoić nawet senacki nieposkromiony apetyt na złoto - Marcellus zniżył głos, zrównując go z melodyjnym szumem fontanny. Był to delikatny szept sączący truciznę. - Znajdź sposób, by skarbiec świątynny należał do mnie, a twój brat nie pożyje miesiąca. Zgódź się na to, by zostać moim złodziejem, a popłyniesz do Umbrii z dokumentem potwierdzającym, że jesteś prawnym opiekunem dzieci twojego brata. Ożeń się z wdową po nim albo się jej pozbądź, adoptuj te dzieci albo je trzymaj do końca życia pod kluczem. W Rzymie nikogo to nie będzie obchodziło, o tym cię mogę zapewnić.

Wyraz twarzy Marcellusa niósł ze sobą gorąco wypalanego żelaza, które parzyło wewnątrz serca Linuksa.

- Oferuję ci spełnienie wszystkich twoich marzeń, a nawet więcej - jeśli zgodzisz się wykonać to zadanie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

To był udany poranek. Oczywiście, ogromny upał utrudniał wykonywanie pracy, która rozpoczęła się w kuchni przed świtem i była kontynuowana przy rozdawaniu posiłków. *Gdyby tak mieć okazję, żeby usiąść i odpocząć choć na parę chwil...* Lecz ani upał, ani zmęczenie nie były w stanie zakłócić radości, która przepęłniała całe jestestwo Abigail. Obie jej nogi były silne i gotowe ponieść ją, dokąd tylko chciała. Poza samym uzdrowieniem, cudowne było owo bezpośrednie dotknięcie Pana.

Musiała jednak przyznać, że wskutek wielogodzinnej pracy jej ciało, od szyi aż do stóp, było obolałe. Wiele pracujących z nią kobiet było znacznie starszych od Abigail, więc czuła się odpowiedzialna, by wziąć na siebie jak najwięcej pracy.

Zagniotła ciasto na chleby i zostawiła do wyrośnięcia. Potem, zdecydowawszy, że woli sama wybrać warzywa i owoce, poszła na rynek. Miała nadzieję, że zanim tam dotrze, świeże produkty z ogrodów i winnic będą już wyłożone na straganach. Nie musiała czekać w kolejkach; szybko udało jej się zapełnić dwa koszyki i ruszyć w drogę powrotną. Gdy szła ulicami z ciężkimi koszami spowalniającymi jej kroki, obudziły się koguty, piejące na swoje kury i wzywające je, by również zabrały się do pracy.

Zanim wróciła na podwórze, chleb, przewidziany na pierwszy posiłek dnia, był już gotowy, by wsadzić go do pieca. Od tego momentu dzień upływał bardzo szybko, nie zwalniając ani na chwilę. Abigail wydawało się, że bez przerwy zjawiają się nowi ludzie potrzebujący jedzenia. Piotr przestał nawet próbować policzyć, ilu zostało ochrzczonych i tym samym włączonych do wspólnoty wierzących.

Tak naprawdę niewielu wyznawców Drogi jadło tu, w kwaterze głównej wierzących. Inne grupy zbierały się w różnych miejscach w Jerozolimie, a także w otaczających ją wioskach i gospodarstwach. Lecz rano i po południu wielu potrzebujących przychodziło na podwórze po codzienne racje żywności do przygotowania posiłków we własnej kuchni. Aby można było przywozić więcej żywności z rynku, został zakupiony wóz oraz dodatkowy osioł. Nowe zadanie Abigail, mające odciążyć Martę, polegało między innymi na zarządzaniu dystrybucją tej żywności – musiała być posortowana, podzielona na porcje i rozdana tym, którzy po nią przychodzili.

Odpowiedzialność za księgowanie przynoszonych przez wiernych pieniędzy oraz wydatków spoczywała na Szczepanie. Miał on serce otwarte dla wszystkich, zarówno dla dających, jak i dla tych w potrzebie. Abigail podziwiała jego pełną spokoju postawę oraz serce dawcy, zwłaszcza w ten dzień, gdy Boża obecność wydawała jej się tak bliska, a ona również cieszyła się pełną pokój modlitwą, wypełniając jednocześnie tysiące zadań.

Tego popołudnia Piotr i jeszcze jeden apostoł jak zwykle modlili się nad jedzeniem i darami pieniężnymi, prosząc Boga, by je pobłogosławił i rozmnożył według potrzeb. Abigail nigdy nie musiała odsyłać nikogo czekającego na jedzenie z pustymi rękami.

Teraz patrzyła, jak ostatni ludzie podnoszą swoje kosze i wychodzą z powrotem na ulicę. Westchnęła, wdzięczna, że kolejny dzień dobiegał końca.

Szczepan siedział przy głównym stole na podwórzu, wpisując ostatnie liczby i chowając zwój. Kiwnął do niej.

- Wyglądasz na zgrzaną i zmęczoną.
- I tak się czuję. Ale zmęczenie nie jest tak straszne, jak ból...
- Całe zgromadzenie nie mówiło o niczym innym, tylko o tym cudzie
- wskazał na ławkę naprzeciw swojej, teraz spowitą popołudniowym

cieniem. – Powinnaś usiąść i chwilę odpocząć. Jadłaś coś?

– Nie pamiętam.

Oboje się zaśmiali, po czym Abigail dodała:

– Nie jadłam nic od świtu.

– Jeśli masz się troszczyć o innych, sama musisz zachować siły.

Abigail skinęła głową i weszła do zacienionej wnęki służącej do gotowania. Nalała sobie kubek koziego mleka, po czym wróciła do stołu. Na podwórzu wciąż kręcili się wchodzący i wychodzący ludzie, ale to jedno miejsce, pozostając w zasięgu wzroku, było nieco oddzielone.

– Przynieść ci coś? – spytała zanim usiadła.

– Na razie nie, dziękuję – dotykał palcami zwoju. W jego zazwyczaj spokojnym spojrzeniu teraz można było zauważyć troskę.

– Czy... czy coś się stało?

– Bóg zawsze nas obdarza tym, czego potrzebujemy. Jego cuda są wielkie i liczne, co nam dogłębnie przypominał – Szczepan skinął głową i uśmiechnął się. – Jesteśmy naprawdę przez Niego pobłogosławieni. Co do mnie, wystarczy, że widzę cię, jak sprawnie chodzisz po podwórzu, żebym przypominał sobie o tych prawdach.

Po chwili jednak jego twarz znów przybrała smutny wyraz.

– Jednak coś cię trapi, widzę to.

Szczepan pochylił się przez stół i wyszeptał:

– Prawie nic nam już nie zostało. Nie mamy nawet kilku monet, by zapłacić za jutrzejsze zakupy.

– Nie mamy pieniędzy? – Abigail nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Szczepan tylko potrząsnął głową.

– To co zrobimy?

Szczepan przejechał palcem po krawędzi zwoju, jakby sprawdzał rachunki z poprzednich dni.

– Czekamy – wyprostował ramiona. – Ufamy Bogu, a potem podziwiamy, jak Bóg zaspokaja potrzeby – dodał.

Abigail zawahała się, po czym powiedziała:

– Chciałabym mieć tak silną wiarę.

Jego uśmiech powrócił i cała jego twarz zdawała się dzięki temu przemieniona.

- Wiesz, że całymi tygodniami siedziałem tu, pracowałem, modliłem się i martwiłem. A potem Bóg odpowiedział na moje modlitwy i zesłał ciębie.

Abigail była w takim szoku, że nie potrafiła nic odpowiedzieć.

- Naprawdę. Cóż za cudowne przypomnienie o Jego mocy, widzieć ciębie chodzącą po podwórzu, uśmiechającą się pomimo zmęczenia. A twoja rana całkowicie się zagoiła - kiedy to mówił, jego ciemne oczy lśniły. - Jesteśmy w posiadaniu Bożych obietnic. Pomogłaś mi, bym o tym pamiętał.

Spuściła oczy nie chcąc, by Szczepan zauważył w nich zwątpienie. Jak oni nakarmią tych wszystkich ludzi, jeśli nie znajdą się pieniądze? Tak wielu wierzących na nich polegało...

Starła się, by jej uśmiech wyglądał pewnie. Ona również musi pozwolić, by to wiara kształtowała jej myśli i oczekiwania. Kiwnęła głową i odpowiedziała:

- Powiadom mnie, proszę... kiedy się znajdą pieniądze. Chcę radować się razem z tobą.

Szczepan wstał i wetknął zwój pod pachę.

- Tak zrobię - obiecał. - Nie będziemy musieli długo czekać. Funduszy potrzebujemy na jutro rano.

\*\*\*

Skończyły się właśnie wieczorne modlitwy, pełne gorących próśb, by Bóg zaspokoił wszelkie potrzeby wierzących. Zmęczona Abigail owijała szal wokół ramion, gdy podszedł do niej Szczepan.

- Mam wieści - powiedział, a błysk w jego oku mówił więcej niż jakiegokolwiek słowa.

Abigail pozwoliła, by poprowadził ją na bok podwórza, kilka kroków od tłumu rozchodzących się po modlitwie ludzi. Jego twarz było widać wyraźnie w świetle pochodni.

- Stało się - rzekł ściszym głosem. - Pieniądze. Na jutro. Na wiele, wiele dni. Mamy je.

- Ale jak...? - chciała zadać tak wiele pytań. - Skąd się wziął... ten cud?

- Właśnie wkładałem rachunki do zamykanej skrzyni, gdy przyszedł lewita, Józef, ten z Cypru. Znasz go?

Abigail udzieliło się podekscytowanie Szczepana. Myślała intensywnie.

- Ten, którego apostołowie nazywają Barnaba?

- Tak, właśnie on. Otóż sprzedał posiadłość i właśnie dziś wieczorem położył pieniądze u stóp apostołów.

- Co? *Całą* sumę?

- Tak. Wszystko. Wystarczy nam na kilka miesięcy - w jego głosie słyhać było triumf. - To kolejny cudowny znak, że Bóg się o nas troszczy.

Abigail wyszeptała słowa podziękowania, które sama ledwie słyszała. Kiedy młodzieniec odszedł, spojrzała na swoją uzdrowioną nogę. Czemu w ogóle zwątpiła? Stało się tak, jak powiedział Szczepan. Bóg obiecał i Bóg ich zaopatrzył.

\*\*\*

Abigail nadal widziała cuda w najmniejszych sprawach, takich jak chodzenie z koszami na rynek lub zawiązywanie pieniędzy na dzisiejsze zakupy w róg szala i uśmiechanie się ze Szczepanem z powodu rozmnożenia pieniędzy tak, że wystarcza na wszystkie ich potrzeby. Teraz wspólnota wierzących musiała wydać je mądrze.

Szczepan kiwnął jej na pożegnanie, gdy wraz z Filipem wyjeżdżali wozem ciągniętym przez osła, by zawieźć zapasy żywności do najbardziej potrzebujących. Było ich coraz więcej, gdyż prześladowania wyznawców Drogi przybierały na sile. Wielu straciło pracę, ponieważ właściciele sklepów bali się represji ze strony kapłanów świątynnych, jeśli ci odkryją wierzących wśród ich pracowników. Gdy byli rozpoznawani na ulicach, rzucono im pogardliwe spojrzenia, czasem nawet przeklinano, pluto na nich, rzucono w nich garścią piachu. Było jasne, że ich liczebny przyrost zaniepokoił całe miasto.

Myśli Abigail były zajęte tymi właśnie troskami, gdy tak przechodziła od straganu do straganu, wybierając, targując się, napełniając kosze. Gdy wykonała zadanie, była gotowa wracać na podwórze.

Zatrzymała się przy studni, by zaczerpnąć wody do mycia warzyw. Zniosła wiadro do glinianego koryta. Dzięki Bogu, koryto oraz kamienna ławka obok niego wciąż były zacienione. Kamienie okalające studnię odbijały światło słoneczne, co jeszcze bardziej potęgowało upał.

*I jeszcze kwestia Jakuba...* Jej brat był w ostatnich dniach pełen sprzeczności. Nie posiadał się z radości z powodu jej uzdrowienia, a mimo to wciąż był czymś bardzo zmartwiony. Abigail wiedziała, że przynajmniej częściowo chodziło o jego pragnienie, by zaciągnąć się do rzymskiej armii, lecz wyczuwała też, że jest na nią zły. Nie miała pojęcia z jakiego powodu. Czasami przyłapywała go na tym, że obserwuje ją z gniewną i sfrustrowaną miną. Od czasu do czasu wspominał o Linuksie jako możliwym kandydacie do jej ręki, a gdy mu przypominała, że Piotr nalega, by poczekał na powrót Albana, cichł, choć widać było, że jest wściekły.

Była tak zajęta myślami o Jakubie, że dopiero w trakcie mycia warzyw zorientowała się, że mężczyzna i kobieta stojący nieopodal chyba się kłócą.

Usłyszała, jak kobieta mówi:

- To *mnie* została dana ta ziemia, żebym zorganizowała zaręczyny.

Ręce Abigail, trzymające właśnie pora, zastygły. Rozpoznała głos Safiry, żony Ananiasza. Oboje z mężem byli członkami ich wspólnoty. Safira była też siostrą Ezdrasza, kupca, który chciał ją poślubić...

Głos dobiegał zza kamiennego murka, w cieniu którego pracowała Abigail. Była tam herbaciarnia z widokiem na stare mury miasta. Abigail wiele razy ją mijiała, lecz nigdy nie była w środku. Safira musiała siedzieć tuż przy murku.

- Co daje im jeszcze mniejsze prawo do żądań - odparł mężczyzna. - Nie powinni w ogóle dostawać takiego podarunku. Zwłaszcza po tym, jak odmówili prośbie twojego brata.

Abigail była pewna, że głos ten należy do Ananiasza. Chciała już odejść, lecz coś - z pewnością strach - ją zatrzymało. Ezdrasz nie odezwał się, odkąd Piotr oznajmił, że będzie się modlił i rozmówi z Albanem, nim podejmie jakąkolwiek decyzję o tym, kogo poślubi Abigail. Dziewczyna nie miała wątpliwości, że tak bogaty człowiek mógłby im wszystkim napytać biedy. A zwłaszcza jej.

- Tak naprawdę to nie był podarunek. On mi tę ziemię zapłacił.

- Jest to tak jakby zapłata, zgoda. Ważne, że ta ziemia należy do nas. Dając ci ją, Ezdrasz nie postawił żadnych warunków, i tym bardziej nikt inny nie powinien ci ich stawiać.

Zdziwiona Abigail zmarszczyła brwi. O co oni się kłócili?

- No cóż, jest już sprzedana. Szybko się o to zatroszczyłeś - w jej głosie słycać było zagniewanie. - Nie jestem pewna, czy to było najmądrzejsze posunięcie. Taka ziemia mogłaby tylko zyskać na wartości, a tak - przypadło.

- Ale dostałem dobrą cenę.

- Nie o to chodzi, mężu. Mamy teraz dylemat. Wiesz, co zrobił Barnaba, i co czynią inni. Cokolwiek otrzymają z takich transakcji, oddają na cele wspólnoty. Tego samego będzie się oczekiwać i od nas.

- A czemu mieliby się o tym dowiedzieć?

- Czemu? To nieistotne, jak się dowiedzą. Ale na pewno się dowiedzą. Czy jakakolwiek ziemia w tym mieście zmienia właściciela tak, żeby to wydarzenie przeszło bez echa? Oczywiście, że nie. Zanim minie ten dzień, całe miasto będzie wiedziało o sprzedaży. Gdybyś się z tym tak nie pośpieszył, moglibyśmy...

Abigail próbowała skupić się na warzywach, lecz nie mogła nie słyszeć głosu po drugiej stronie murku.

- Dobrze, może postąpiłem pochopnie. Nie pomyślałem o tej... tej sytuacji.

- W ogóle nie myślałeś.

Była to śmiała odpowiedź jak na kobietę odzywającą się do męża. Lecz Safira była zbyt zagniewana, by strzec swego języka.

- To co teraz zrobimy? - pokonany Ananiasz zniżył głos.

- Będziemy musieli oddać pieniądze apostołom. Jeśli tego nie zrobimy, nie zyskamy ich akceptacji, a może nawet stanie się coś gorszego.

- Ale...

- Ale?

- To ogromna suma...

- Oczywiście, że tak - odparła Safira. - Ta działka była warta fortunę.

- Wiem, wiem. Mówiłaś mi to już wiele razy. Ale czy musimy oddać wszystko?



- Co masz na myśli?

- Nikt nie wie, jaką cenę dostaliśmy za tę ziemię - Ananiasz mówił coraz szybciej. - Mógłbym im dać dwa razy tyle, co Barnaba, a i tak zatrzymalibyśmy ponad połowę.

- Chyba tak...

- No to załatwione. Rano wezmę worki srebra i dam je Szczepanowi. Albo nie, dam je samemu Piotrowi.

Głosy ucichły - najwidoczniej para opuściła herbaciarnię. Abigail myślała tylko o tym, jak bardzo Szczepan ucieszy się z dodatkowej sumy pieniędzy. Ciężka na nim ogromna odpowiedzialność, by zatroszczyć się o podstawowe potrzeby tak wielu ludzi, a ci dwoje mówili, że dadzą dwa razy tyle, ile przyniósł Barnaba. Abigail kusiło, by pobiec do Szczepana i od razu o wszystkim mu opowiedzieć. Ale nie, to nie byłoby właściwe. Nie powinna zdradzać czyjejs tajemnicy. W ogóle nie powinna była słyszeć tej rozmowy. Pozwoli raczej, by to Ananiasz z Safirą przekazali wspólnocie dobre wieści.

Gdy wylewała wodę po myciu, a potem niosła czyste warzywa do kuchni, nie mogła przestać się uśmiechać.

\*\*\*

Następnego ranka Abigail pracowała w kuchni z Martą, jej siostrą Marią oraz dwoma młodszymi dziewczętami, gdy usłyszały, że coś się dzieje na podwórzu.

- Co to było? - spytała Maria podnosząc głowę.

- Co takiego? - słuch Marty nie był już tak dobry jak niegdyś.

- Słyszałam jakiś dziwny głos. Jakby... stłumiony krzyk.

- Też to słyszałam - zgodziła się Abigail, wycierając ręce o brzeg szaty. - Ale to chyba nie był krzyk, tylko... sama nie wiem. Nigdy w życiu czegoś takiego nie słyszałam.

Ponieważ do ich uszu nie dotarło już nic podejrzanego, wzruszyły ramionami i wróciły do przygotowywania posiłku.

Wkrótce w drzwiach pojawił się Filip, blady jak kreda. Ściszone głosem powiedział im, że Ananiasz przyszedł z pieniędzmi ze sprzedaży działki. Złożył je u stóp Piotra twierdząc, że jest to cała suma, jaką

otrzymał ze sprzedaży. Ale Piotr, zamiast pochwalić, zganił go. Nie za jego hojność, która była godna pochwały, lecz za kłamstwo.

- Ziemia należała do was - powiedział Piotr do Ananiasza, a jego spojrzenie rzucało gniewne iskry. - Mieliście pełne prawo zatrzymać te pieniądze, a wy skłamacie Duchowi Świętemu.

W tym momencie Ananiasz padł na bruk. Nie zdołali go ocucić - nie żył.

Kobiety z trudem przyjmowały to wszystko do wiadomości, ale to nie był koniec opowieści Filipa. Jeszcze bardziej przerażające było to, że gdy pojawiła się Safira, cała scena się powtórzyła.

Umarli. Oboje, w ciągu zaledwie kilku godzin. Piotr nakazał kilku mężczyznom, by wynieśli ich i pochowali.

Grupa kobiet stała w zdumieniu. Abigail poczuła, że robi jej się słabo. Więc taki był rezultat rozmowy, której część wczoraj niechcący usłyszała. Szokujący przebieg wydarzeń sprawił, że zrobiło się jej niedobrze.

\*\*\*

Przez resztę dnia Abigail biła się z myślami. Co tu się właściwie wydarzyło? Czy ich Bóg był naprawdę aż tak mściwy? Pracując na podwórzu przy rozdawaniu dziennych racji żywności widziała małe grupki ludzi szepczących między sobą z oczami rozszerzonymi ze zdziwienia i ze strachu. Wieści szybko się rozeszły. Ludzie nie śmieli nawet zadawać pytań ani wyrażać swoich obaw.

Piotra nie widziano cały dzień. Pojawił się dopiero na wieczornej modlitwie. Wstał, chcąc przemówić do całego zgromadzenia. Abigail nigdy wcześniej nie widziała, by podwórze było tak zapełnione ludźmi i tak ciche.

- Bracia i siostry - zaczął Piotr, zniżając swój tubalny głos do zachrypniętego pomruku. - Wszyscy wiecie o dzisiejszej nagłej śmierci dwojga członków wspólnoty. Zostali porażeni nie z powodu dobra, które chcieli uczynić. Nie. Bóg, któremu służymy, wymaga od nas serc otwartych i szczerych. To nie mnie ci dwoje okłamali. Skłamacie przeciw świętemu i sprawiedliwemu Bogu. Bóg widzi nasze serca. Zna nasze myśli. Niech to wydarzenie będzie dla każdego z nas ostrzeżeniem,

byśmy we wszelkich sprawach postępowali szczerze i uczciwie. Nie możemy – tu jego głos się podniósł – nie możemy oszukiwać Boga.

Piotr ogarnął wzrokiem stojący na podwórzu tłum. Jego głos zabrzmiał żarliwym błaganiem.

- Jeśli mamy walczyć ze złem w tym świecie, do czego jesteście powołani, to nie możemy pielęgnować w naszych sercach nieuczciwości i fałszu. Niech Bóg da nam odwagę, siłę i mądrość, byśmy żyli według Jego woli. On jest Bogiem *świętym*. Jest również Bogiem miłości. Pragnie jedynie naszego dobra. Pokaże każdemu z nas, czego powinniśmy się nauczyć z dzisiejszego doświadczenia.

Tego wieczoru Abigail i Jakub nie rozmawiali ze sobą po drodze do domu. Idąc do ich wspólnego, skromnego mieszkania, Abigail wciąż rozmyślała nad słowami Piotra.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ezdrasz podążał za sługą, mijając wartowników stojących przy Bramie Gnojnej, zachowując w sercu pytania i wątpliwości. Nie odezwał się ani słowem, odkąd sługa Ananiasza przyszedł z tymi strasznymi wieściami. Mimo odczuwanego strachu, a nawet paniki, nie będzie wykrzykiwał o tym na całe miasto – jeśli to prawda. *I dlaczego tak się stało?*

Sługa zjawił się w drzwiach domu Ezdrasza z twarzą wciąż jeszcze mokrą od łez. Został wysłany przez rodzinę Ananiasza – nikt inny nie odważył się przekazać tych wieści Ezdraszowi. Sługa, wyznawca Drogi, zrelacjonował wszystko, co się wydarzyło oraz to, czego był świadkiem podczas zgromadzenia.

Gdy sługa opowiadał, Ezdrasz przekształcał w myślach jego słowa w wersję bardziej akceptowalną dla swoich zmysłów. Najwyraźniej sługa był świadkiem czegoś, co wstrząsnęło nim do głębi. Tyle można było stwierdzić na pewno. Jednak umysł Ezdrasza odmawiał przyjęcia tego, co powiedział mu sługa. Jego siostra nie żyje? I jej mąż również? Oboje umarli w odstępie kilku godzin? Niemożliwe!

Człowiek pędzący owce krzyknął słowa ostrzeżenia w kierunku Ezdrasza i zaczął zaganiać stadko w kierunku bramy. Ezdrasz zszedł z drogi, potykając się o nierówny grunt. Ziemia pod jego sandałami wydawała się niestabilna. Nic nie było takie, jakie być powinno.

Sługa idący przed nim skrzył w drogę prowadzącą na południe, w dolinę Cedronu.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytał Ezdrasz ostrym tonem. - Gdzie jest Safira?

Mężczyzna trzęsącą się ręką wskazał przed siebie. Nic nie powiedział. Gdy Ezdrasz zorientował się, co tamten ma na myśli, stanął w miejscu jak porażony. Do tego upał i oślepiające słońce - wszystko to odbierało mu oddech.

Sługa przeszedł niepewnie jeszcze kilka kroków, lecz zauważył, że Ezdrasz nie idzie za nim. Wrócił i stanął przed kupcem, dysząc ze zmęczenia i ze strachu.

Ezdrasz usłyszał własny oddech, głośny i gwałtowny, jakby właśnie przebiegł długi dystans przez pustynię. Zamrugał i rozejrzał się dookoła. Wreszcie powiedział:

- To Pole Garncarza.

Sługa stał w milczeniu, spuściwszy wzrok na kamyki pod stopami.

Gdzieś w oddali rozległ się głos kruka. Za nimi jakiś kamyk sturłał się ze wzgórza.

Ezdrasz obliznął spierzchnięte usta.

- Opowiedz mi wszystko jeszcze raz. Od początku.

Widać było, że sługa wciąż jest w szoku.

- Zebrali się apostołowie. Wierzący przychodzili z ofiarami pieniężnymi. Podszedł Ananiasz. Stanął przed apostołami. Położył monety u ich stóp. Piotr spytał go, czy to cała suma, jaką otrzymał ze sprzedaży ziemi. On...

- Czekaj - Ezdrasz wypowiadał każde słowo z trudem. - Jakim prawem Piotr zadaje takie pytanie?

- Barnaba też sprzedał ziemię. Oddał im całą sumę.

Ezdrasz zamrugał, gdyż pot zalewał mu oczy. A może to łzy, tylko był zbyt zszokowany, by zdać sobie z tego sprawę.

- Ten drugi człowiek oddał apostołom wszystko, co zarobił na sprzedaży swojej własnej nieruchomości?

- Barnaba jest jednym z naszych przywódców. Bóg przez niego czyni cuda. Ten człowiek ma w sobie Ducha Świętego, który działa z wielką siłą. Ma posłuch i poważanie wśród ludzi. Rzuca łagodny cień - słowa służącego były jakby bez wyrazu. - Sądzę, to znaczy...

- Mów.

- Mój pan i pani chcieli zdobyć we wspólnocie podobny szacunek. Myślę, że... chcieli być tak samo wpływowi.

Ezdrasz skrzywił się. To było rzeczywiście w stylu jego siostry. Safira zawsze chciała robić wszystko po swojemu, lecz nigdy nie rozumiała, jaką cenę trzeba za to zapłacić. Całe życie dostawała to, czego chciała, a pracę i poświęcenie wkładali w to inni. Oczywiście, że chciała zdobyć władzę, nie płacąc za nią ceny.

Ezdrasz czuł, jakby świat usuwał mu się spod stóp, jakby został położony w tym samym grobie, co siostra i szwagier. Dotarła do niego smutna prawda, że Safira nie żyje.

Sługa mówił dalej:

- Piotr był tym z apostołów, który przemówił. Gdy Ananiasz zarzekał się, że oddał wszystko, Piotr oskarżył go o kłamstwo, nie wobec apostołów, lecz przeciw Duchowi Bożemu. Piotr powiedział, że Ananiasz nie miał obowiązku niczego oddawać. Lecz swoją darowiznę zamienił w zdradę przeciw Duchowi Świętemu. Gdy to rzekł, Ananiasz padł martwy.

- Kto go zabił? - Ezdrasz poczuł, że w jego wnętrzościach wzbiera wściekłość i zaraz wybuchnie. Choć dobrze było coś czuć, cokolwiek by to było. - Kto ważył się podnieść rękę na mojego krewnego?

- N-nikt, panie. Nikt nawet nie stał w jego pobliżu.

- Rzucili kamieniem? Kijem, strzałą...? - przestał zgadywać, bo sługa wciąż kręcił głową, nie dając Ezdraszowi ukierunkować gniewu.

- Nikt go nie dotknął - sługa trząsał się, być może z powodu szoku, a jego słowa brzmiały jak jęk, lecz był całkowicie pewny tego, co mówi.

- Nikt niczym nie rzucił. Nikt się nawet nie poruszył. On po prostu padł na ziemię, martwy.

- To niemożliwe.

Sługa nic nie odpowiedział. Jego wzrok pozostawał utkwiony w kamieniach u jego stóp, lecz puste spojrzenie sugerowało, że odtwarza to zdarzenie w umyśle. Wciąż, na okrągło.

- A co się stało potem?

- Kilku młodym mężczyznom polecono... zabrać ciało i zanieść je tu. Potem na podwórzu przyszła twoja siostra. Piotr zadał jej to samo pytanie, a ona dała tę samą odpowiedź, co Ananiasz. Piotr potępił ją za

kłamstwo – głos sługi był teraz ledwie słyszalny. – Upadła na ziemię i wydała ostatnie tchnienie.

- A potem?

Sługa machnął ręką w kierunku skąpanego w słońcu pustkowia.

- Ci sami mężczyźni przynieśli tutaj i ją.

Ezdrasz próbował przyjrzeć się polu, na którym stali. Ale czuł, jakby patrzył na świat przez zasłonę. Oczywiście, wiedział, co ma przed oczami. Pole Garncarza stało się ostatnio miejscem pochówku pospólstwa i biedoty. Najodleglejszy jego kraniec wyznaczało samotne drzewo, którego gałęzie były powykręcane i naznaczone bezimiennym zniwem tej przestrzeni. Żółta ziemia poorana była dziesiątkami, setkami kopców. Jego siostra była gdzieś tu pogrzebana, w nieoznaczonym grobie.

Ezdrasz odwrócił twarz ku słońcu, pozwalając, by łzy napłynęły mu do oczu i spłynęły po twarzy. Walnął pięścią w otwartą dłoń i wyjął jedną pieśń żalobną, jaka towarzyszyła odejściu jego siostry:

- Zapłacą mi za to.

\*\*\*

Atmosfera we wspólnocie pozostawała cicha, przygaszona. Niezależnie od strasznej śmierci tych dwojga, w mieście mnożyły się coraz ostrzejsze ataki na członków wspólnoty.

Abigail, wykonując swoje obowiązki, czuła się coraz mniej bezpieczna. Jakub też chodził spięty. Gdy szli na podwórze na wieczorną modlitwę, Jakub przestraszył ją łapiąc nagle za ramię i popychając do ściany. Stał przed nią, blokując jej widok i zasłaniając ją swoim ciałem, po czym warknął przez ramię:

- Czego chcesz?

Jakiś obcy głos odpowiedział:

- Proszę, nie mam złych zamiarów. Zostałem przysłany.

Jakub nadal był ostrożny i gotowy do obrony.

- Skoro nie masz złych zamiarów, to czemu się czaisz w cieniu?

- Kazano mi cię znaleźć, lecz pozostawać niezauważonym. Zapewniam cię, nie stanowią dla was żadnego niebezpieczeństwa. Przysłała mnie Alban.

Jakub podniósł głos:

- Czy on tu jest?

- Jest niedaleko i chce się z wami widzieć.

Abigail odważyła się zerknąć zza Jakuba. Nieznajomy wydawał się nieszkodliwy. Modliła się, by mówił prawdę.

- Gdzie jest Alban? - spytała.

- W południowym obozie. Chce się tam z wami spotkać.

Abigail przepchnęła się przed Jakuba.

- Zaprowadzisz nas do niego?

- Po to tu jestem.

- W takim razie chodźmy.

Gdy zaczęli iść, Abigail kurczowo trzymała się ramienia Jakuba.

- Tak długo się modliliśmy. A teraz, gdy potrzebujemy go najbardziej, wreszcie... - nie mogła mówić dalej. Mimo postanowienia, że nie zapanuje nad nią lęk, który odczuwała z powodu ostatnich wydarzeń, wciąż czasem przechodził ją dreszcz strachu. Jej oczy napełniły się łzami i ledwie widziała, dokąd idą. *Alban przyjechał!* - powtarzała w myślach.

\*\*\*

Zgodnie z zapowiedzią w liście, Alban bardzo się zmienił przez te dwa lata, odkąd się ostatnio widzieli. Abigail miałaby duże trudności z rozpoznaniem go, gdyby mijali się na ulicy. Lecz jego głos i mocny uścisk przekonały ich oboje, że to właśnie ten człowiek, na którego czekali.

Alban szybko zabrał ich do swojego namiotu i zasłonił wejście. Pochodnia oświetlała brodatą twarz, która wyglądała na szczuplejszą i ciemniejszą niż ta, którą Abigail zapamiętała. Ale oczy były wciąż te same.

Ubrany był w zwykłą tunikę przewiązaną w pasie i miał na głowie nakrycie bardzo podobne do tych, jakie noszą Beduini. U jego pasa z jednej strony zwisał krótki miecz, z drugiej zaś długi nóż. Abigail nie miała wątpliwości, że umiejętnie włada i jednym, i drugim. Patrzyła, jak odczepia broń z paska i kładzie na stole obok poobijanej tarczy.



Zauważyła również, że Jakub śledzi ruchy Albana z nieukrywaną tęsknotą.

- Jakubie, mój chłopcze. Już nie mogę cię tak nazywać. Spójrz na siebie. Jesteś prawie równy ze mną. Jak mogłeś tak szybko urosnąć?

To prawda. Jakub był teraz o pół szerokości dłoni niższy od Albana, ale wciąż był znacznie szczuplejszy, mimo mięśni wyrobionych od noszenia ciężkiego drewna.

- I Abigail. Lea tak bardzo chciałaby cię zobaczyć. Bardzo za tobą tęskni. Mówi o tobie każdego dnia.

- Czy ma się dobrze?

Alban wyszczerzył zęby w uśmiechu i skinął głową.

- Więcej niż dobrze. Odlicza tygodnie do czasu, gdy Bóg pobłogosławi nas dzieckiem i szyje malutkie ubranka. Już wyścieliła kołyskę miękkimi kocykami i najbielszą owczą skórą, żeby małemu było wygodnie.

Abigail roześmiała się cicho.

- Małemu, powiadasz.

- Z przyzwyczajenia. Jeśli nie *on*, to *ona* będzie bardzo kochana. Mam nadzieję, że będzie tak piękna jak jej mama. I będzie miała równie czyste serce - wskazał im poduszki przy ścianie namiotu. - Ale mówcie, co u was. Wszystko dobrze?

Abigail i Jakub spojrzeli na siebie i roześmiali się.

- Tak, Albanie, więcej niż dobrze - odparła Abigail.

Następnie razem z Jakubem opowiedzieli o jej uzdrowieniu, zasypywani pytaniami.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknął Alban, gdy skończyli opowiadać.

- Powiedzcie, co jeszcze się działo - powiedział. - Czy u braci wszystko dobrze? Słyszałem, że wspólnota bardzo się powiększyła.

- To prawda - odpowiedziała Abigail, po czym znów zerknęła na Jakuba. Śmierć Ananiasza i Safiry wciąż ich trapiła.

- Macie jakieś kłopoty? - Alban spoglądał to na jedno, to na drugie.  
- Czy Rzym prześladowuje wyznawców Drogi?

- Nie. Jeszcze nie. Choć z dnia na dzień Jerozolima staje się coraz bardziej owładnięta szaleństwem i chaosem.

- Czyli Sanhedryn?

- Są na nas źli za głoszenie i nauczanie. Niedawno wielu z nas wsadzili za to do więzienia. Ale, tak jak każe Piotr, wszyscy modlimy się o odwagę i nie przestajemy nauczać.

Nastąpiła niezręczna cisza.

- Powiecie mi wreszcie, co was trapi? - naciskał Alban.

Abigail zawahała się. Od czego zacząć? Tak wiele się wydarzyło... Mnóstwo myśli kłębiło się w jej głowie.

Rozejrzała się dookoła. Światło pochodni odbijało się od ścian namiotu, rzucając ciepły blask na wytarty dywan i niski drewniany stół z prostymi miedzianymi naczyniami. Gliniany dzban na wodę i kubki nie miały żadnych ozdób. Gdy Abigail poznała Albana, był setnikiem i jednym z zaufanych ludzi Piłata. Jego zaręczyny z Leą miały miejsce w pałacu Heroda. A teraz siedział w ubraniu strażnika karawany, wśród biedy i uniżenia, na równi z nimi.

Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczało, by stwierdzić, że jest to człowiek prawdziwie szczęśliwy. Zadowolony, spokojny, utwierdzony w wierze. Miał to wszystko, czego ona nie posiadała. Nie dostrzegała u niego wątpliwości, martwienia się o przyszłość, żalu z powodu innego obrotu spraw, niż ten, którego by oczekiwał. Jak bardzo pragnęła mieć siłę Albana!

Ponieważ dziewczyna się nie odzywała, przemówił jej brat:

- Dwóch mężczyzn ubiega się o rękę Abigail. Piotr na razie ich odprawił mówiąc, że ty jesteś jej opiekunem i sprawa zostanie rozstrzygnięta, kiedy przyjedziesz.

Alban nie okazał zdziwienia taką wiadomością.

- Czy chciałabyś wyjść za któregoś z nich?

- Nie - powiedziała Abigail cicho, lecz pewnie. - Za żadnego z nich. Jakub poruszył się niespokojnie.

- A ja uważam, że powinna poważnie rozważyć kandydaturę...

Abigail przerwała mu. Nie chciała, by Alban dowiedział się, że jeden z zalotników jest jego starym przyjacielem.

- Już ci powiedziałam, że nie chcę małżeństwa z *żadnym* z nich.

Alban spojrział na Jakuba, ale ten tylko się skrzywił i wbił wzrok w dywan.

- Może powinniśmy poczekać i porozmawiać o szczegółach jutro - powiedział Alban. - Z pewnością nie jest to sprawa, którą możemy

załatwić już dziś.

Abigail odetchnęła z ulgą. Wolałaby porozmawiać o tym bez Jakuba. Wzrok Albana przesunął się od jednego do drugiego.

- Jest coś jeszcze, tak? Wyczuwam...

- Pracuję u cieśli - Jakub z żarliwą pasją podniósł głos. - Coś okropnego. Nie znoszę tej roboty.

- Chciałbyś robić w życiu coś innego. Rozumiem. Masz jakiś pomysł na swoją przyszłość?

- Przecież wiesz - wypalił Jakub. - Nic się nie zmieniło. Chcę robić to, co ty kiedyś.

- Nadal chciałbyś się zaciągnąć do rzymskich legionów?

Jakub posłał Abigail tak srogie spojrzenie, że powstrzymała przepelniającą jej umysł lawinę argumentów. Chłopak odwrócił się do Albana.

- Mówiłeś, że mi w tym pomożesz.

Abigail westchnęła.

- On to mówił jako inny człowiek.

- Mimo wszystko, kiedyś sądziłeś, że to dobry zawód. A ja nadal tak uważam.

Alban powoli pokiwał głową. W jego słowach i gestach było wyważenie i spokój, których Abigail nie przypomiwała sobie z wcześniejszego czasu. *Jakby pustynia przeniknęła głęboko do kości tego mężczyzny... I modlitwa* - dodała w myślach. Było w nim znacznie więcej rozwagi i głębi.

Jego oczy koloru miedzi skrywały głębię beduińskich studni.

- To też chyba powinno poczekać do jutra, Jakubie - powiedziała Abigail. - Jest późno, a my przyszliśmy z daleka. Jestem zmęczona i ty, Albanie, pewnie też. Może w świetle dziennym będziemy widzieli te sprawy wyraźniej. A teraz...

Lecz Jakub jeszcze nie skończył.

- Na podwórzu wydarzyło się coś strasznego. Wciąż jestem przerażony - zerknął na Abigail, a jego rysy spowite były cieniem. - Ja... nawet nie wiem, czy chcę tam wracać.

Alban przyglądał się chłopakowi. Mieniący się płomień pochodni sprawił, że wyglądał na znacznie starszego. Abigail bardziej niż kiedykolwiek wcześniej poczuła zagrożenie, że go straci. Wyrastał na

kogoś niezależnego i zupełnie inaczej radził sobie z życiowymi problemami.

- Co się stało? - spytał cicho Alban.

- Dwoje ludzi zostało zabitych. Albo umarło. Albo coś... - Jakub zaczął się bawić nitką wyciągniętą z dywanu. Wyrzucał z siebie kolejne słowa, opowiadając historię Ananiasza i Safiry.

Alban nie spuszczał oczu z twarzy chłopca. Oczy Jakuba coraz bardziej się rozszerzały z niedowierzania, z powodu wątpliwości, obawy i zdumienia. Zanim zakończył opowieść, jego ramiona się trzęsły.

Alban wyciągnął rękę, by go pocieszyć.

- Chciałbyś zostać tu na noc?

- O, tak. A moglibyśmy?

- Miejsca jest dosyć - Alban lekko wstał z poduszki. - Przyniosę dla was posłania i koce od właściciela karawany. Zaczekajcie tu.

Abigail zamknęła oczy i zaczęła kołysać się w przód i w tył. Była wdzięczna, że nie będą musieli iść przez ciemne ulice miasta do swojego małego mieszkanka. Tu będzie czuła się bezpieczna.

Alban przyniósł posłania.

- Ja swoją matę wyłożę na zewnątrz, pod gwiazdami, naprzeciw wejścia - powiedział do nich. - Połóżcie się i spróbujcie zasnąć.

\*\*\*

Świt malował na horyzoncie pierwszą srebrną smugę, gdy we troje opuścili miejsce postoju karawany. Gdy wchodzili do miasta południową bramą, właśnie zaczął pisać pierwszy kogut. Alban miał na sobie to samo proste ubranie, co poprzedniego dnia, okryte dodatkowo płaszczem, jak nosiło się na pustyni w zimne noce. Abigail widziała, że jego oczy śledzą każdy cień, uważnie wypatrując jakiegokolwiek nagłego, niespodziewanego ruchu. I wiedziała, że pod płaszczem ma przypasany miecz.

- Czy zastaniemy Piotra? - spytał.

Jakub wzruszył ramionami.

- Nigdy nie wiadomo. W niektóre poranki idzie gdzieś sam na modlitwę.

- To z kim powinniśmy porozmawiać?

- Może z Janem. Albo z Jakubem lub Natanaelem - powiedziała Abigail.

- Szczepan. Z nim możesz porozmawiać - wtrącił Jakub. - To dobry człowiek. Zagadnę go. Wszyscy moi koledzy też go lubią.

- Nie przypominam sobie żadnego Szczepana. Jest jednym z przywódców?

Jakub ponownie wzruszył ramionami.

- Zawsze jest zajęty potrzebami innych. Ma wszystko na oku i troszczy się o każdego. Prawda, Abigail?

Abigail była zaskoczona słowami Jakuba. Nie miała pojęcia, że jej brat tak uważnie przyjrzał się Szczepanowi. I, co dziwniejsze, wszystko, co powiedział, było według niej zgodne z prawdą.

- Szczepan naprawdę żyje dla innych.

- Szczepan i Abigail pracują razem - wyjaśnił Jakub. - Abigail pomaga przy dystrybucji żywności dla potrzebujących, a Szczepan sprawuje nadzór nad darowiznami i zakupami. I zajmuje się księgami.

Alban położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Gdy będziemy przechodzić przez rynek - powiedział ściszym głosem - może lepiej nie rozmawiajmy, żeby nie ściągać na siebie niczyjej uwagi. Będziemy kontynuować rozmowę, jak już znajdziemy się na podwórzu.

Jakub kiwnął głową i nie odezwał się przez resztę wędrowki.

\*\*\*

Piotra nie było. Abigail widziała, że Jakubowi wyraźnie z tego powodu ulżyło. Chłopak szybko zaproponował, że znajdzie Szczepana. Przez ten czas Abigail mogła usiąść i porozmawiać z Albanem. Gdy czekali, opowiedziała mu więcej szczegółów na temat swojego uzdrowienia. Samo opowiadanie o tym poprawiło jej nastrój. Nie była już taka smutna jak wczoraj. Nim pojawił się Jakub ze Szczepanem, poczuła się już lepiej.

Alban i Szczepan zostali sobie przedstawieni i pozdrowili się zwyczajem braci w Panu, uściskiem i pocałunkiem w policzek. Jakub trzymał się Albana i gdy wszyscy usiedli, przysunął się do niego

najbliżej, jak się dało. Abigail widziała, jak bardzo jej brat tęsknił za swym przyjacielem i opiekunem.

- Słyszałem, że ostatnio miało miejsce niezwykle wydarzenie - zaczął Alban.

Ciemne oczy Szczepana stały się jeszcze ciemniejsze, gdy przytaknął. Abigail, która uważnie go obserwowała, zdała sobie sprawę, że nim również wstrząsnęło owo wydarzenie.

Gdy Szczepan się nie odzywał, Alban spytał:

- Czy mógłbym usłyszeć od ciebie, jak oceniasz tę sprawę?

Szczepan zastanawiał się przez chwilę. Zawahał się, jakby porządkował myśli. Alban go nie pospieszał.

- Nie było mnie przy tym, lecz wiele słyszałem od naocznych świadków. Wygląda na to, że... - znów się zawahał - że Ananiasz próbował skłamać i został ukarany. Przyznaję, surowo. Gdy wydało się, że Safira jest z nim w zмовie, jej kara okazała się taka sama - potrząsnął głową.

- Więc sam Piotr nic nie zrobił?

- Piotr? Nie. Nie, Piotr nawet nie podniósł ręki w ich kierunku, nie mówiąc już o skarceniu ich. *Sam Bóg* to uczynił.

- I co o tym sądzisz?

- Całe noce się zastanawiam nad odpowiedzią na to pytanie - Szczepan poruszył się na ławce i spojrzał Albanowi prosto w oczy. - I nie wiem. Wróciłem zatem do tego, co wiem. Jesteśmy dziećmi Bożymi. Bóg jest święty. Jest litościwy, lecz także sprawiedliwy. Nie cieszy się z karania swych dzieci. Zatem ich... ich występki były w oczach Bożych czymś poważnym. Poważniejszym, niż widzimy to my jako Jego stworzenie. Gdyby Bóg to zignorował, może z jednego kłamstwa wyrosłyby dwa? A może pomnożyłoby się ono wielokrotnie? Jaki byłby tego rezultat? Zupełne zlekceważenie tego, kim jest Bóg? Czy my, jako Jego lud, stracilibyśmy w końcu całą bojaźń Bożą? - Szczepan spojrzał na swoje ręce splecione na stole. - Doszedłem do wniosku, że Bóg, jako święty i sprawiedliwy, musiał zrobić to, co zrobił - powiedział wreszcie, podnosząc głowę, by spojrzeć na Albana. - Gdyby pozostawił to oszustwo bezkarnie, zginęłoby więcej Jego dzieci niż ci dwoje. Jeśli nie poskromimy zła czającego się w naszych sercach, ono przejmie nad nami kontrolę. Bóg przypomniał nam, komu służymy. Zupełnie jak za

dni Mojżesza, gdy dał polecenie, by zabić pewną liczbę osób, aby ocalić resztę. W pewien sposób jest to zachętą i błogosławieństwem, gdy zdamy sobie sprawę, że służymy temu samemu Bogu, co Mojżesz. On się nie zmienił.

Abigail słuchała z pełnym skupieniem. Podziwiała mądrość tych słów. Jak pięknie Szczepan wyraził to, co potrzebowała usłyszeć! Jak głęboka jest jego wiara! Patrzyła na niego z jeszcze większym szacunkiem.

Alban kiwał głową, natomiast Jakub chyba w ogóle nie słuchał. Wciąż wyglądał na zatopionego w sobie. Abigail modliła się, by Alban potrafił dotrzeć do jej wzburzonego brata.

Abigail odsunęła na bok troskę o Jakuba. Słuchała każdego słowa, które powiedział Szczepan. Ogarnęła ją cudowna prawda. Była bezpieczna. Wszyscy wciąż byli bezpieczni. Jeśli tylko będą chodzić Bożymi drogami, nie mają się czego obawiać. On jest święty – lecz jest także sprawiedliwy. Jeśli będą słuchać swoich duchowych przewodników – takich jak Piotr, czy Szczepan – pozostaną pod Bożą ochroną i na właściwej ścieżce.

Jakieś nieznane dotąd uczucie w sercu sprawiło, że podniosła głowę. Zawsze podziwiała tego spokojnego, pomocnego człowieka, lecz teraz poczuła do niego coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Spuściła wzrok, by jej oczy nie zdradziły tej tajemnicy.

## ROZDZIAŁ

# DWUDZIESTY PIERWSZY

Linuks przechodził przez stajnie przy twierdzy Antonia i myślał o Umbrii. Zwykle nie pozwalał sobie na marzenia o domu, w którym spędził młode lata. Lecz od kilku dni, od spotkania z gubernatorem, nie był w stanie oczyścić myśli ze wspomnień. Nachodziły go i nękały dniem i nocą.

Upał był nieznośny, zwłaszcza w stajniach, gdzie powietrze wypełniały zapachy koni, skóry i mężczyzn. Linuks wytarł pot, który zalewał mu twarz i przypominał sobie letnie deszcze z dzieciństwa, delikatne jak głos dziecka, zbyt obfite, by nazwać je mgiełką, a jednak zbyt lekkie, by padały jak zimowe ulewy. Deszcz uciszał całą ziemię. Linuks uwielbiał chodzić po deszczu, wsłuchując się w szum kapiącej wody. Świat w Umbrii był taki delikatny, nawet wzgórza były bardziej miękkie.

Linuks wszedł do pustego boksu i oczyścił tylną ścianę z siana. Zastanawiał się, czy Abigail spodobałaby się Umbria. Czy mógłby przesadzić do Italii ten piękny, pustynny kwiat? Czy ów kwiat rozkwitnie, czy też będzie tęsknić za gorącymi piaskami swojego kraju, tak jak on tęskni do krainy, w której się urodził?

Usłyszał skrzypienie desek nad sobą. Ktoś się zbliżał. Linuks zastygł w zupełnym bezruchu, aż usłyszał chłopięcy głos:

- Panie? Linuksie?



- Jestem na dole, w stajniach - wyszedł z boksu otrzepując dłonie z siana. Usłyszał, jak chłopak lekko schodzi po schodach. - Jak się masz? - powiedział, ujrawszy Jakuba.

Chłopak był zmartwiony. Linuks poznał to po jego sylwetce. Ramiona mu opadły i trochę się garbił, jakby ciężar młodości był zbyt przygniatający, by chłopak mógł stanąć prosto.

- Co robisz, panie?

Linuks od dawna wiedział, że chłopakowi można było bezpiecznie powierzyć każdy sekret.

- Mam do wykonania zadanie od gubernatora. Musiałem poczekać, aż główny stajenny i jego ludzie pójdą na obiad.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Możesz dotrzymać mi towarzystwa. Co ty na to?

Jakub wspiął się na jedną z barierek oddzielających konie od siebie, podczas gdy Linuks wszedł do następnego boksu i zaczął zeskrobywać brud ze ściany.

- Alban przyjechał - powiedział Jakub.

Linuks podniósł głowę. Alban wrócił! Lecz wyraz twarzy chłopaka wcale nie był radosny.

- Nie wyglądasz na zadowolonego z tego powodu.

- Dziś rano, jak Alban już poszedł, znowu pokłóciłem się z Abigail. Nie cierpię, gdy się kłócimy.

- Też nigdy nie byłem dobry w sprzeczkach z kobietami.

Kamienie nie były ruszane od lat. Pokrywała je gęsta warstwa starej słomy i brudu. Linuks znalazł drewniane grabie używane do czyszczenia boksów i zaczął nimi obdrapywać ścianę.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - zagadnął Jakuba.

- Nie pamiętam, kiedy się urodziłem. A ona nie chciała mi powiedzieć.

Zawarta w tych słowach rodzinna tragedia zatrzymała Linuksa na chwilę, nim ruszył do następnego boksu.

- Abigail nie chce, żebyś wiedział, kiedy masz urodziny?

- Niedługo skończę piętnaście lat. W tym wieku można zaciągać się do legionów.

- Ach, oczywiście. Patrz, czy nikt nie idzie, dobrze?

Jakub odkręcił się w drugą stronę, aby widzieć wejście do stajni.

- Myślisz, że mógłbym zostać legionistą i być jednocześnie dobrym wierzącym?

Linuks przeszedł do następnego boksu i zaczął oskrobywać ścianę.

- Pytasz niewłaściwego człowieka.

Muchy bzycały wokół koni, które tego dnia nie były używane do służby, i które drzemały w czasie upału. Linuks przechodził w pośpiechu z jednego boksu do drugiego, przynaglany świadomością, że wkrótce wrócą stajenni.

Zanim dotarł do końca, zaczął się obawiać, czy nie zawiodła go pamięć, albo czy informacja, którą otrzymał, nie okaże się zwykłą plotką.

Gdy Linuks po raz pierwszy przybył do Jerozolimy, służył pod trybunem, którego rodzina mieszkała w Judei od czasów Heroda Wielkiego. Linuks bardzo szanował tego oficera i lubił słuchać jego opowieści o zamierzonych czasach. Pewnej nocy, po wielu kielichach piwa, trybun opowiedział Linuksowi, jak to stary władca Judei kazał sobie przebić specjalne wejście do Świątyni, które prowadziło przez ścianę. W ten sposób Herod Wielki mógł wchodzić na teren Świątyni bez konieczności mieszania się z pospółstwem. W rzeczywistości zrobił to dlatego, że kapłani świątynni go nienawdzili. W oczach Sanhedrynu Herod wcale nie był Judejczykiem; pochodził z pustynnego plemienia Hasmoneuszy, a judejskie obywatelstwo przyjął jedynie po to, by pretendować do tronu. Zapewnienie sobie prywatnego wejścia na teren Świątyni było jego sposobem na podkreślenie swoich praw i pokazanie kapłanom swojej władzy.

Linuks przypomniał sobie tę historię w środku kolejnej bezsennej nocy. Wciąż nie był pewien, czy przyjmie ofertę gubernatora, lecz chciał zyskać nieco czasu i wolności, by podjąć decyzję. Dlatego wolał, by Marcellus sądził, że przynajmniej próbuje wywiązać się z zadania.

Nagle Linuks uświadomił sobie, że zeskrobuje brud z tajemnego wejścia.

- Ono naprawdę istnieje! - z jego gardła wydobył się zachrypnięty szept.

- Panie?

- Nie, nic. Pilnuj wejścia.

- Na ulicy nie widać nic prócz upału i kurzu, panie.

- Dobry chłopak.

Boks, w którym stał Linuks, był najbardziej oddalony od wejścia, zawalony połamanymi narzędziami i starymi siodłami. Tylna ściana, zamaskowana brudem, skrywała drewniane drzwi. Trzonkiem od grabi Linuks zeszkrobał wystarczająco dużo, by mieć pewność, co ma przed sobą. Pchnął drzwi, a drewno wydało pusty dźwięk.

Linuks oparł zawinięte w materiał narzędzia o odsłonięte drewno i poszedł z powrotem do Jakuba. Im bliżej podchodził, tym bardziej widział, że chłopaka coś gnębi.

- Co się stało?

- Coś strasznego.

Pierwszą myślą Linuksa było, że nowy prefekt zwrócił się przeciwko ich sekcje. Było to logiczne. Pozbywając się tej kłopotliwej grupy ludzi zyskałby przychylność Sanhedrynu. Linuks poczuł, jak strach ściska mu klatkę piersiową.

- Coś z Abigail?

- Nie, u niej wszystko dobrze, panie. No, może nie aż tak dobrze. Ale nic jej nie jest - Jakub kopnął drewniane listwy. - Tak samo, jak każdego innego dnia.

- No to mów, co się stało!

Jakub wciąż kopał w drewnianą barierkę.

- Piotr zabił człowieka.

- Co?

- I jego żonę.

- To nie może być prawda. Piotr jest szanowanym przywódcą waszej wspólnoty.

- Nie było mnie przy tym, ale słyszałem od innych. Piotr do nich przemówił, a oni umarli.

Linuks podszedł bliżej do siedzącego na barierce Jakuba.

- Zaczynaj od początku i wszystko mi opowiedz.

Jakub opowiedział wszystko, co słyszał. Kiedy skończył, Linuks z trudem próbował poukładać to sobie w głowie.

- Czyli dwoje członków waszej wspólnoty okłamało przywódcę co do sumy pieniędzy, jaką otrzymali ze sprzedaży swojej ziemi.

- Abigail i Szczepan mówią, że to Duch Święty ich zabił. Że okłamali Boga, a nie Piotra - Jakub potarł twarz rękoma. - Nie rozumiem, co oni

chcą przez to powiedzieć.

- Ja też nie.

- Abigail mówi...

- Co mówi?

- Że nasz Pan żąda od nas, byśmy byli przed Nim szczerzy w naszych sercach - Jakub mówił głośniej. - Ale *moje* serce mówi mi, że chcę zostać legionistą!

- I zostaniesz.

- Abigail mówi, że nie mogę. Że nie będę wtedy wierny mojemu Bogu!

- A rozmawiałeś o tym z Albanem?

- Próbowałem. Wczoraj wieczorem i znowu dziś rano. Kazał mi czekać. Obawiam się, że może podzielać zdanie Abigail - spojrzał w dół, na ziemię. - A co jeśli się nie zgodzi?

Linuks położył rękę na ramieniu chłopaka.

- Myślę, że już czas, żebyśmy obaj porozmawiali z naszym przyjacielem. Ale najpierw odwiedzimy łaźnię.

\*\*\*

Godzinę później Jakub prowadził Linuksa w stronę południowych bram. Całe miasto wyglądało, jakby zarzyło się na rozgrzanym do czerwoności kowadle. Większość mijanych przez nich straganów miała pozamykane okiennice, a uliczki były raczej puste. Nieliczni ludzie, których mijali, przemykali z jednego zacienionego miejsca w drugie. Dokładnie na ich drodze, dysząc ciężko, leżały dwa psy i żaden nie miał siły, żeby zejść im z drogi. Linuks zrobił krok nad nimi i szedł dalej. Znow był samotnym Rzymianinem idącym przez ulice Jerozolimy, ale nikt nawet nie spojrzał w jego stronę. Dziś jego tarczę ochronną stanowił upał.

Myśli oficera przeplatały się i mieniły jak słońce odbijające się od bruku. Przypominał sobie Abigail tańczącą z radości po tym, jak została uzdrowiona, jej pełną ekstazy twarz - widok, który do tej pory wprawiał go w zachwyt. Znow usłyszał nakazujący głos Piotra i czuł tę desperacką wręcz tęsknotę, której zaznał tamtego wieczoru.

Przypominał sobie pałacowe ogrody, lśniąca fontannę i blask słońca odbijający się w oczach prefekta. Teraz, gdy szedł pustą uliczką, Linuks słyszał, jak gubernator proponuje mu wypełnienie misji – kradzieży w Świątyni. Czy okradnie judejskiego Boga? Z tego, co wiedział na temat ich religijnych przywódców, oni też raczej rozkradali to złoto.

Idący obok niego Jakub wziął głęboki oddech i odciągnął go z powrotem w pustą uliczkę. Najwyraźniej chłopak nosił w sercu ogromny ciężar.

- Spokojnie, chłopcze.

- Myślałem o tym strasznym dniu. Wysłali mnie, żebym coś dostarczył. Kiedy wychodziłem, wszystko było w porządku. A kiedy wróciłem...

Linuks dokończył za niego myśl, starając się samemu to zrozumieć.

- Oni już nie żyli.

Przez jakiś czas obaj szli dalej w milczeniu, po czym Jakub dodał:

- To wszystko jest takie pogmatwane. Przez całe miesiące czekałem na powrót Albana. A teraz, kiedy już tu jest, nic nie jest prostsze. Wszystko się coraz bardziej komplikuje w jakimś straszliwym zamęcie...  
- wzruszył ramionami. - Nie wiem, jak to opisać.

Linuks odczekał dłuższą chwilę, po czym sam coś wyznał:

- Tego lata minie pięć lat, odkąd pierwszy raz przybyłem do Judei. I czuję się, jakbym spędził te pięć lat czekając, aż coś się wydarzy. Aż nadejdzie mój czas – spojrzał na Jakuba przez ramię. - Masz pojęcie, o czym mówię?

- O tak, panie. Czuję się tak samo, odkąd zacząłem pracować u cieśli.

- A teraz dostaję ciosy z każdej strony. Najpierw mój brat kazał mi przyjechać do Umbrii i przypomniał mi o wszystkim, co nigdy nie będzie mogło być moje. Potem Rzym... Mam przeczucie, że imperium zmierza ku... - Linuks urwał. Nie mógł powiedzieć więcej, nawet temu chłopakowi. - Następnie wracam do Judei i znów spotykam Abigail. A teraz to spotkanie u was w podwórzu i jej uzdrowienie.

Jakub odwrócił się do niego.

- Masz czasem wrażenie, że wszystkie te rzeczy są ze sobą jakoś powiązane?

- Jakubie, równie dobrze mógłbyś wyciągnąć tę myśl z mojej własnej głowy.

- Ale to przecież niemożliwe - Jakub lustrował twarz Linuksa. - Prawda?

- Logika podpowiada, że to niemożliwe. Ale moje serce...

Jakub powoli pokiwał głową.

- Tak się boję, ale nie wiem dokładnie, czego.

- Przyznanie się do słabości to oznaka silnego mężczyzny - Linuks rozejrzał się dookoła. - Dokąd mnie zabierasz?

Jakub wskazał na bramę miasta.

- Alban czeka przy sadzawce Betesda.

- Ale... to miejsce dla karawan.

- Tak, panie. Alban jest strażnikiem karawany.

Oślupiały Linuks wciąż przetrawiał tę ostatnią nowinę, gdy przechodzili przez Bramę Damasceńską, wkraczając prosto w chaos i wrzawę.

Pustynna równina za bramą miasta była podzielona na parcele, a na każdej stała inna karawana. Dwóch kupców przygotowywało swe konwoje do odjazdu. Poganiacze bydła pokrzykiwali i gwizdali, zwierzęta ryczały i beczały, kurz się unosił i wirował. Jakub poprowadził Linuksa ścieżką z wyłobionymi koleinami, prowadzącą do obozowiska wysuniętego najbardziej na północ. Było tu nieco mniej hałasu, a kurz odleciał w innym kierunku.

W migocącym świetle Linuks zobaczył sylwetkę, która wydałaby mu się znajoma, gdyby ten mężczyzna nie miał brody, nie był ubrany w strój wieśniaka i nie był przepasany kawałkiem materiału. Jego stopy i łydki były białe od przypominającego kredę pustynnego pyłu. Stał schylony nad tylną nogą konia i skrobał w jego kopycie zakrzywionym nożem. Dopiero gdy mężczyzna podniósł wzrok, pomachał i pospieszył ku nim, Linuks nabrał pewności, że to Alban.

Nawet jego uśmiech był inny. Szerszy, mocniejszy, bardziej otwarty niż Linuks pamiętał. Linuks odwzajemnił mocny uścisk Albana.

- Witaj, przyjacielu. Jak się miewasz? - pierwszy odezwał się Alban.

- Coś mi się zdaje, że lepiej niż ty.

- Jesteś tego pewien?

- To ja nadal noszę mundur rzymskiego żołnierza.

- To prawda. Przejdź się z nim kawałek i sprawdź, czy jeszcze kuleje  
- Alban zwrócił się do poganiacza, który trzymał lejce.

- To ty teraz leczysz konie? - spytał Linuks.

- Daje mi to satysfakcję - Alban poklepał Jakuba po ramieniu. -  
Chodźcie, znajdziemy jakiś cień.

Weszli do beduińskiego namiotu. Jakub kręcił się niespokojnie,  
patrzając raz na jednego, raz na drugiego mężczyznę.

- Nie usiądziesz z nami, Jakubie? - spytał Alban.

- Ja... ja nie...

Alban westchnął.

- To idź i przynieś nam, proszę, trochę wody.

Gdy Jakub wyszedł, Linuks powiedział:

- Jest mocno zatroskany.

- Jak my wszyscy.

Linuks zauważył powagę w rysach przyjaciela.

- Czyli wasz przywódca naprawdę zabił tych dwoje ludzi.

Alban długo nie odpowiadał.

- Dowiedziałem się o tym wczoraj, kiedy przyjechałem. Sam ledwie  
mogłem w to uwierzyć. Całą noc się w tej sprawie modliłem.

Linuksa nękały różne wrażenia i przypuszczenia; jedno kłębiło się  
na drugim. Alban natomiast wydawał się bezgranicznie spokojny. Jego  
twarz była wydłużona i napięta z wyczerpania, co nie było akurat żadną  
niespodzianką, bo pewnie szedł wiele dni, a może nawet tygodni  
z karawaną, a potem nie spał całą noc. Mimo to jego głos pozostawał  
mocny, a oczy patrzyły trzeźwo. I co więcej, rozmawiał z Linuksem,  
jakby nie widzieli się jedynie kilka godzin, a nie ponad dwa lata.

- Czy twój Bóg ci odpowiedział? - spytał Linuks.

- Być może - rysy Albana znów rozciągnęły się w pokrytym kurzem  
uśmiechu, gdy u wejścia pojawił się Jakub z chlupiącym skórzanym  
bukłakiem.

- Jak to dobrze was widzieć, Jakubie. Ciebie i wodę - obaj  
przyjaciele zachichotali, natomiast chłopak wysilił się jedynie na słaby  
uśmiech.

Alban wziął bukłak i podał Linuksowi. Obaj napełnili kubki i solidnie  
się napili, nim oddali go Jakubowi.

- Myślałem, że wasz Bóg jest Bogiem pokoju - odezwał się Linuks.

- On jest Panem wszystkiego - nawet jeśli Alban zauważył, że Jakub wciąż patrzy na Linuksa, nie dał tego po sobie poznać. - Czas pokaże, czy moje wnioski są słuszne. O ile wiem, nasz Pan nie przemówił do nikogo z wyjaśnieniem tego, co się wydarzyło. Ale jeśli chcesz, podzielę się z tobą tym, co ja na ten temat myślę.

- Czy ten twój Bóg często do ciebie mówi?

- Nie. Ale daje znać, jaka jest Jego wola. Jego Święty Duch porusza się między nami, a ja ćwiczę się w słuchaniu Go i byciu Mu posłusznym.

Alban napełnił znowu kubek i napił się wody. Następnie oparł się wygodniej i rozprostował nogi. Linuks wiedział, że jego przyjaciel będzie czekał cały dzień i nie odezwie się pierwszy bez zachęty z jego strony.

- W takim razie mów - rzekł Linuks.

- Słyszałeś o cudownych uzdrowieniach dokonywanych przez Piotra i innych apostołów, tak?

- Nawet jedno widziałem.

- Był obecny przy tym, jak Piotr uzdrowił Abigail - odezwał się Jakub.

- Aha, czyli wiesz, że ta moc jest prawdziwa. *Przyznajesz to?*

Linuks niechętnie skinął głową.

- Wiem, co widziałem.

- To czemu, jeśli mogę spytać, nie chcesz się ze mną pomodlić i znaleźć odpowiedzi samemu?

Linuks zauważył, że jego powolne kiwanie głową przeszło w kołysanie w przód i w tył całego ciała. Utkwił wzrok w świetle słonecznym bijącym od wejścia, za którym ryczały osły, a poganiacze była właśnie ruszali z wielbłędami.

Alban też pokiwał głową, jak gdyby Linuks dał mu taką odpowiedź, jakiej się spodziewał.

- Abigail miała wypadek miesiąc przed naszym ślubem, lecz Piotr pomodlił się o jej uzdrowienie dopiero w chwili, gdy ty i ten drugi mężczyzna przyszliście prosić o jej rękę. Jak on się nazywa?

- Ezdrasz - wtrącił Jakub.

- Jak myślisz, dlaczego Bóg czekał aż do tego dnia? Czy jest możliwe, że chciał objawić ci swoją moc? Pomóc ci zrozumieć, że On



naprawdę jest tym, za kogo się podaje? Pozbawić cię wszelkich wymówek, jakie wymyślisz, by Go odrzucić?

- Rozmawialiśmy o śmierci dwóch osób - powiedział Linuks.

- Rozmawiamy o cudach. Linuksie, to nie Piotr uzdrowił Abigail. Pan Bóg uczynił cud *używając* do tego Piotra. Apostoł pozwolił, by Bóg go użył. Starał się słuchać, gdy Bóg mówił, a potem czynić Jego wolę - Alban zerknął na chłopaka siedzącego przy wejściu. - Tak samo każdy z nas powinien starać się służyć Bogu.

Linuks zauważył, że Jakub się skrzywił i spuścił głowę. Poczł przyływ gniewu. Chciał chronić chłopaka. Oparł się jednak pokusie, by dać upust swym emocjom.

- Popeniłbyś morderstwo, gdyby twój Bóg ci kazał?

Teraz to Alban spuścił wzrok. Wyglądało, jakby odczuł fizyczny ból, a gdy się odezwał, jego głos się załamywał.

- Całą noc zadawałem sobie to pytanie. Gdy tu przyjechałem, rozmawiałem z wieloma świadkami tamtego wydarzenia. Piotr nie wydał polecenia zabicia tych dwojga, ani ich nie dotknął. Zganił ich za kłamstwo, lecz raczej za kłamstwo przeciw Bogu i Jego Duchowi. Gdy tylko Piotr do każdego z nich wypowiedział te słowa, mężczyzna, a potem jego żona padli na ziemię i umarli.

- Nie dotknął... - Linuks spojrzał na Jakuba, który miał wzrok utkwiony w Albanie. - Nie rozumiem.

Alban zaczął rysować na piasku u swych stóp.

- Już ci mówiłem, Bóg nie przemówił do mnie bezpośrednio. Modliłem się o prowadzenie, błagałem, by Bóg mnie oświecił. Rozmawiałem też ze Szczepanem. Ale nie wiem... Mogę wam jedynie powiedzieć, co podpowiada mi serce. Myślę, że nadchodzi czas wielkiej próby. Czas zdawania egzaminu. Czas podziałów - mówiąc to nadal rysował coś na piasku. - Sądzę, że my, wierzący, będziemy wypróbowani... Że niektórych czeka śmierć.

Linuks odchylił się do tyłu, by ogarnąć przyjaciela wzrokiem od stóp do głów.

- Ależ ty się zmieniłeś.

Alban nie dał znaku, że w ogóle to usłyszał.

- Sądzę, że Bóg uczynił ten straszliwy znak, żebyśmy jasno zrozumieli, że musimy dokonać wyboru. Albo jesteśmy w pełni z Nim,

albo trzymamy ze światem. Wkrótce zostaniemy zmuszeni określić, komu jesteśmy wierni, i jeśli pozostaniemy wierni Bogu, to musimy zaakceptować, że świat nas odrzuci.

- Ale to wasz własny przywódca potępił tych dwoje! - zaprotestował Linuks.

Alban powoli pokiwał głową.

- A jednak to Bóg uczynił ten straszliwy cud. A w jakim celu to zrobił? Oto jest pytanie, które musimy sobie zadać. Cuda niosą ze sobą różnorakie przesłania. Bóg uczynił to z *jakiegoś powodu*. A może z wielu powodów.

Na zewnątrz namiotu słychać było okrzyki mężczyzn. Sąsiednia karawana ruszała w drogę. Linuks patrzył, jak długa procesja powoli kieruje się w stronę judejskich wzgórz. Poczul w piersi nagle szarpnięcie, jakby on także miał wyruszyć w nieoczekiwaną podróż, której celu nie potrafił pojąć.

Poczul na sobie spojrzenie Albana. Odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. Miał wrażenie, że Alban wie, co on zaraz powie, i czeka tylko, aż Linuks sformułuje myśl.

- Chciałbym... - Linuks oblizał suche wargi. - Chciałbym poślubić Abigail. Proszę cię, byś porozmawiał z nią w moim imieniu.

Alban zwrócił się do Jakuba:

- Czy mógłbyś pójść do właściciela karawany i powiedzieć mu, gdzie jestem? Obiecałem, że dziś po południu pójdę z nim do miasta.

Jakub wyglądał, jakby chciał zaprotestować, lecz w końcu wzruszył ramionami i wyszedł.

- On naprawdę chce zostać legionistą - powiedział Linuks.

- Dobrze wiem, czego chce Jakub. Lecz czekam, by usłyszeć, że szuka Bożej woli dla swojego życia.

Liniuks przyjrzał się uważnie Albanowi, uświadamiając sobie zmiany, które w nim zaszły, odkąd się spotkali po raz pierwszy.

- Kim ty tak naprawdę jesteś?

- To ja powinienem zadać ci to pytanie - powiedział Alban. - I dopóki nie poznam odpowiedzi, nie mogę nic zrobić w kwestii twojej prośby.

Liniuks skrzywił się na te słowa, które odczytał jako upomnienie.

- Po tym wszystkim, co zrobiłem dla ciebie, żebyś zdobył kobietę, której ty pragnąłeś? A ty byłeś taki szlachetny, kiedy zabiegałeś, by ją poślubić? Wszyscy wiedzą, że postrzegałeś ją jedynie jako szczebel do kariery.

- Niczego nie zapomniałem - odparł cicho Alban. - Tak, moimi pragnieniami kierowała ambicja. Ale to się zmieniło. *Ja* się zmieniłem. Nie jestem dumny z moich pierwotnych pobudek. Lecz - dzięki Bogu - zszedłem z tej ścieżki i teraz podążam w zupełnie innym kierunku - zamilkł na chwilę, spojrzał Linuksowi prosto w oczy i powiedział: - Abigail też jest na tej nowej ścieżce, ma w sobie to nowe życie. To samo, co ja i Lea.

- Czyli twierdzisz, że nie mogę być częścią waszego świata?

- Mój drogi przyjacielu, nic nie sprawiłoby mi większej radości, niż gdybyś został jednym z nas. Ale czy ty tego chcesz?

Linuks zacisnął zęby i nie odpowiedział.

- Abigail jest wyznawczynią Drogi. Nie mogę spełnić twojej prośby, dopóki nie jesteś jednym z nas.

W gardle Linuksa zbierała się żółć. Wcześniej wyobrażał sobie różne kierunki, w które mogła pójść ta rozmowa, lecz w życiu nie spodziewałby się, że Alban postawi mu taki skandaliczny warunek.

- Człowieku, gdzie ty masz oczy i uszy? Ci wyznawcy są postrzegani jako coraz większe niebezpieczeństwo dla Rzymu! Gdyby ci tak zależało na tej kobiecie, jak mówisz, to wiedziałbyś, że ze mną będzie znacznie bezpieczniejsza!

- Może i bezpieczniejsza, ale niewypowiedzianie nieszczęśliwa. Wiara jest dla niej wszystkim. I to, że tej wiary nie podzielasz...

- Chciałbym ci przypomnieć, że mam szlachetne zamiary. Nie zażądałbym, żeby porzuciła swoją wiarę. Ja kocham tę kobietę.

- Kochasz? - Alban powoli potrząsnął głową. - Nie, Linuksie, widzę, że ty jej pożadasz.

Linuks wstał. Poczucie porażki dusiło go w gardle.

- Nie do twarzy ci z tą pompatyczną, zabobonną religijnością.

- To wiara - odpowiedział cicho Alban nie wstając z miejsca. - Wiara, która zawiera w sobie wszystko.

- Miałem cię za dobrego przyjaciela. Teraz widzę tylko fanatycznego głupca, który nie chce zaakceptować tego, co

nieuniknione.

Linuks wychodząc na światło dzienne omal nie zderzył się z Jakubem.

Po jednym spojrzeniu na twarz Linuksa, z Jakuba uleciała cała nadzieja.

- Tobie też odmówił?

Linuks oparł się pokusie, by wznieść pięści ku niebu i wykrzyczeć swój gniew.

- Jak będziesz gotowy, przyjdź do mnie. Zrobię dla ciebie, co będę mógł.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rodzina Ananiasza zebrała się na okres zwyczajowej żałoby.

U dzieci Ezdrasza śmierć ciotki przywołała tragiczne wspomnienia i uczucia, które w nich pozostały po utracie matki. Ezdrasz wiedział, że nie jest wystarczająco dobrym ojcem. Choć zabierał dzieci ze sobą podczas licznych podróży, nie spędzał z nimi odpowiednio dużo czasu. Kochał je jak każdy ojciec, który jednocześnie zarządza handlowym imperium, lecz potrzebował żony, która będzie też matką dla...

Jego myśli podążyły w tym kierunku tylko po to, by zderzyć się z faktem, że to przecież wspólnota tej kobiety, Abigail, *była przyczyną śmierci jego siostry!* Co więcej, on tylko z powodu owej kobiety wszedł w kontakt z tymi tak zwanymi wyznawcami Drogi. Tak, to prawda, że Gamaliel poprosił go o wybadanie tych ludzi. Ale może gdyby Ezdrasz się w to tak nie zaangażował... Może gdyby oparł się urokowi Abigail, byłby w stanie uratować siostrę...

Ezdrasz wiedział, że te myśli oraz poczucie winy nie mają żadnego odzwierciedlenia w rzeczywistości. Lecz nie mógł ich powstrzymać, tak samo jak nie był w stanie powstrzymać narastającej wściekłości.

Skupił uwagę na mężczyźnie siedzącym naprzeciw niego przy stole. Znajdowali się w osobnym pokoju, z dala od dużej grupy żałobników, których zawrodoenie słychać było przez ściany. Ezdrasz przemówił głosem, którego nie rozpoznawał jako własnego:

- Oni są niebezpieczni i trzeba ich zmieść z powierzchni ziemi.

Gamaliel przychodził codziennie, dołączając do rodziny podczas modlitwy za niedawno zmarłych. Starszy faryzeusz i członek Rady stał ramię w ramię z Ezdraszem i resztą starszyny. Dzięki jego obecności udawało się gasić wszelkie szemranie i plotki dotyczące niezwykłych okoliczności śmierci tych dwojga.

Lecz tutaj, w odosobnionej komnacie, wątpliwości i wahanie Gamaliela wzięły górę nad pozorami.

- Wiesz, że nawet Tytus do nich dołączył? - zwrócił się do Ezdrasza.

W Ezdraszu wzbierał gniew i już chciał powiedzieć swemu najstarszemu przyjacielowi, że nie ma tu dziś miejsca na jego mało istotne problemy. Powstrzymał jednak w porę swój wybuch złości. Ostatnio często musiał to robić. Wszystko zdawało się doprowadzać go do granic wytrzymałości i omal nie tracił kontroli nad sobą, co normalnie mu się nie zdarzało.

Musiał wyteńczyć umysł, żeby sobie przypomnieć, o kim Gamaliel mówi. Tak! Tytus to ten szczupły uczeń, z brodą. Zaufany młody człowiek, który uczył jego syna. Gamaliel wysyłał również Tytusa, by ten zbierał informacje na temat owej sekty.

Ezdrasz usłyszał chrzęst tłumionego gniewu we własnym głosie, gdy w końcu powiedział:

- Przykro mi z powodu jego zdrady. Ale nie rozumiem, co ta wiadomość ma wspólnego z naszą dzisiejszą dyskusją.

- Tak, oczywiście, masz rację - odpowiedział skruszony Gamaliel, gładząc brodę. - Mimo wszystko chciałbym ci opowiedzieć, co się wydarzyło. Tytus przyszedł do mnie kilka dni temu. Powiedział, że badał Torę oraz swoje serce. Stwierdził, że przesłanie, które głoszą ludziom tak zwani wyznawcy Drogi, przemawia do niego. Prosił o moje błogosławieństwo. Oczywiście, powiedziałem mu, że to wykluczone. Ostrzegłem, że jeśli podejmie tę niedorzeczną decyzję, wyrzucę go ze swego domu i wymażę jego imię spośród członków społeczności skrybów. Takiego słowa użyłem. *Niedorzeczna*. Mimo to Tytus tylko się uklonił i odszedł. Od tamtej pory go nie widziałem.

- Chyba nie porównujesz tego okropnego czynu, który spowodował śmierć mojej siostry, z faktem przyłączenia się twojego ucznia do tej

sekty? Ich barbarzyńskie czyny muszą zostać pomszczone, bez względu na to, co ten twój pomocnik – Tytus, tak? – cokolwiek by zrobił.

Gamaliel spojrział na przyjaciela, a na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki wskazujące na cierpienie.

- Logika nakazywałaby nam zaatakować. Tak też twierdzi wielu członków Rady. Ale...

Ezdrasz czuł, że zaraz wybuchnie. Podniósł się z krzesła, a ogień w jego wnętrzu sprawił, że wraz ze słowami posypały się iskry gniewu:

- *Niemożliwe, że ty jeszcze myślisz o bronienu tej hołoty!*

Gamaliel sprawiał wrażenie, jakby próbował się podnieść, lecz poruszał się jak zagubiony starzec.

- Muszę w tej kwestii dalej modlić się i studiować Pisma.

- Oni zamordowali mi siostrę!

- Twoja ukochana Safira z pewnością nie żyje – odpowiedział Gamaliel głosem cienkim jak piszczałka. – Ale z czyjej ręki?

- Ty chyba nie mówisz poważnie!

- Wiem tylko tyle, ile usłyszałem. Z tuzina różnych źródeł. Od naocznych świadków – stopy starszego faryzeusza poruszały się powoli po kamiennej podłodze. – Człowiek oskarżył ich o kłamstwo. Dwoje ludzi, którzy działając w zмовie poświadczyli nieprawdę, padło na ziemię i wyzionęło ducha. Co ci to przywodzi na myśl?

Ezdrasz walnął w stół obiema pięściami.

- To mi nic nie *przywodzi!* To wymaga *zemsty!*

- Pomodlić się – idący w kierunku wyjścia Gamaliel już nie odwrócił się do Ezdrasza. – Muszę się nad tym pomodlić.

\*\*\*

Abigail obawiała się, że tej nocy w ogóle nie zaśnie. Jej życie nigdy tak bardzo się nie odmieniło w tak krótkim czasie. W najśmielszych snach ani tęsknotach nie ośmielała się życzyć sobie aż takiej odmiany losu.

Wszystko zaczęło się podczas kolacji, którą zaplanowała na cześć Albana. Lecz już wtedy, gdy starannie przygotowywała pieczoną jagnięcinę, przyprawioną tak, jak Alban lubił najbardziej, miała poczucie, że tego wieczoru wydarzy się coś ważnego. Nie było dalszych

rozmów na temat ofert matrymonialnych, choć Alban chciał szybko podjąć decyzję. Abigail wiedziała, że kolejne rozmowy jeszcze przed nimi. Podczas gotowania jej nastrój się wahał. Najpierw z przyjemnością czekała na ten wieczór, a potem się martwiła. *Przecież Alban na pewno nie każe mi wychodzić za żadnego z nich...*

Kolacja przebiegała tak, jak Abigail oczekiwała. Zaproszeni goście z ożywieniem rozmawiali o tym, co Bóg czyni pośród nich. Alban opowiadał, co się dzieje wśród wierzących w Galilei, jak ich liczba również stale się zwiększa. Kolejni poszukujący i odnajdujący Boga pojawiali się w wioskach i miastach pomiędzy Jerozolimą a Kafarnaum. Nawet zagrożenie ciągłymi prześladowaniami nie gasiło ich entuzjazmu, choć każdy siedzący przy stole wiedział, że zaczną się one nasilać w niedalekiej przyszłości.

Gdy sprzątnięto ze stołów, Marta nalegała, że ona i inne osoby z kuchni dokończą zmywanie, żeby Abigail mogła spędzić trochę czasu z Albanem zanim wyjedzie. Abigail usiadła cichutko na końcu stołu, a mieszane uczucia przyprawiły jej ciało o drżenie.

Temat rozpoczął Piotr:

- Jesteś oczywiście świadom, Albanie, że dwóch mężczyzn poprosiło o rękę Abigail. Dałem słowo, że bez twojej zgody nie zapadnie żadna decyzja. Ale nie mogę pozwolić, byś wyjechał tak, bym ja nie dotrzymał słowa.

- Rozumiem.

Dla Abigail było jasne, że Alban tak samo pali się do podjęcia tej decyzji, jak ona sama. Odchrząknął, co Abigail odczytała jako grę na zwłokę. Następnie odezwał się do Piotra:

- Czy mógłbyś powiedzieć mi, co myślisz o tych dwóch mężczyznach?

Piotr, jak zawsze, był bezpośredni.

- Pierwszy z nich, Ezdrasz, jest wysokiej klasy kupcem, posiadającym duże bogactwa tego świata. Nieco starszy, lecz bardzo szanowany w swej społeczności. Ma dwoje małych dzieci. Może nieco zbyt pompatyczny. Ale bez wątplenia potrafiłby dobrze zatroszczyć się o żonę i uważam, że robiłby to ze szczerą troską o jej dobro. Drugim kandydatem jest twój przyjaciel - Linuks. Rzymianin. Całkiem



przyzwoity, jak na Rzymianina. Jeśli dobrze pamiętam, to on kilka lat temu pomógł ci w ucieczce.

Alban tylko skinął głową. Abigail czuła, jak jej serce łomocze o ramiona skrzyżowane na piersi.

- Lecz żaden z nich nie jest wyznawcą Drogi. Linuks nawet nie jest bojącym się Boga. Ezdrasz uparcie odmawia przyłączenia się do nas. W Linuksie widzę załączek zmiany, lecz na tym etapie zaliczam go do niewierzących. Wziąwszy pod uwagę te okoliczności, nie mogę zarekomendować żadnego z nich.

Alban ponownie skinął głową.

- Jest tak, jak mówisz. Żaden z nich nie jest odpowiedni dla Abigail.

- W takim razie zgadzamy się. Powiem im obu, że nie przyjmujesz ich ofert.

*Jestem bezpieczna.* Ręce Abigail opadły na kolana. Spuściła też oczy, by nie wyczytano z nich ulgi.

Alban potarł miejsce na kostce, w którym zapewne uwierał go rzemień od sandałów.

- Ale to może nie być takie proste. Obaj mają władzę i wpływy. Obaj są reprezentantami grup, które chcą nas zniszczyć. Nie chcę niepotrzebnie stwarzać kolejnego pretekstu do konfliktu.

- A masz jakąś propozycję?

- Myślę, że mądrze będzie, jeśli Abigail i Jakub wrócą ze mną do Galilei.

Abigail ujrzała, że jej brat pochyla się do przodu i rozgląda z oczami rozszerzonymi w akcie protestu, po czym z powrotem odchylił się w cień. Wiedziała, że Jakub ze wszystkich sił będzie walczył z tym pomysłem.

Lecz Alban musiał również zauważyć reakcję Jakuba. Abigail dostrzegła smutek w oczach Albana, gdy rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Porozmawiam z właścicielem karawany - mówił dalej Alban. - Nie jesteśmy, co prawda, przygotowani do przewożenia młodych kobiet, ale być może...

- Jest też inne wyjście - Piotr gładził brodę i zgiętymi palcami przeczesywał jej gąszcz. - Możesz ją wydać za jednego z naszych. Mamy kilku odpowiednich mężczyzn we wspólnocie.

Kręgosłup Abigail wyprostował się w szoku jak struna. Czy zostanie wydana za kogoś innego, kogo nie zna i kto w ogóle jej nie interesuje? A co z miłością? Zmusiła się do oparcia plecami o kamienny murek, a jej wirujące w głowie myśli sprawiały, że ledwie słyszała dalszą dyskusję na temat swojej przyszłości.

- Tak - powiedział Alban. Najwyraźniej ten pomysł mu się spodobał. Pochylił się do przodu opierając ręce na stole. - Tak. To by się dało zrobić. Moglibyśmy wyprawić im zaręczyny zanim wyjadę. I wtedy nie będzie już dalszych wątpliwości.

Abigail chciała podskoczyć i wykrzyknąć, że tego nie chce. Lecz, podobnie jak Jakub, nie odezwała się ani słowem, tylko przycisnęła plecy mocniej do muru i starała się nie rozplakać. Nie mogła i nie chciała podważać autorytetu swojego opiekuna.

Alban mówił dalej:

- Spotkałem jednego młodzieńca, który zrobił na mnie duże wrażenie. Co możesz mi powiedzieć na temat Szczepana?

*Szczepan? Abigail miała ochotę uciec i gdzieś się schować. Proszę, proszę, błagała w duchu, nie wpychajcie mnie w ręce Szczepana. To dobry i szlachetny człowiek, lecz zbyt wrażliwy i troskliwy. Będzie się czuł w obowiązku mnie poślubić tylko po to, by mnie uratować przed nieodpowiednim kandydatem. Nie znacie Szczepana. To człowiek wielkiej wiary, którą codziennie przekłada w czyn. On całkowicie oddaje siebie innym...*

Abigail wstrzymała oddech. Właśnie wymieniła cechy, których szukałaby w przyszłym mężu.

- Szczepan - zastanawiał się głośno Piotr. - Tak, Szczepan. Sam nie dokonałbym lepszego wyboru.

Myśli Abigail były tak pogmatwane, że nie wiedziała już, co zostało powiedziane. Wezwano Szczepana, a ona wycofała się zawstydzona, choć zdała sobie sprawę, że pragnie usłyszeć, co powie, gdy stanie przed starszyzną.

Alban streścił mu dotychczasową dyskusję. Następnie zapytał Szczepana wprost, czy byłby skłonny zaręczyć się z Abigail.

Choć miała spuszczoną głowę, zauważyła, że Szczepan robi niewielki krok w tył. Potem odwrócił się i jakoś odnalazł ją wzrokiem

w półmroku. Abigail zobaczyła w jego spojrzeniu łagodność i wyraz twarzy, jakiego jeszcze nigdy nie widziała.

- To największy zaszczyt dla każdego mężczyzny - odpowiedział Szczepan. - Lecz, panie - zwrócił się do Albana - ja nic nie mam. Jestem ubogim człowiekiem, którego Bóg powołał do służby. Nie mam nic do zaoferowania w zamian za taki dar. Nic.

Alban odpowiedział mu prędko:

- Właśnie masz do zaoferowania wszystko, czego pragnę dla Abigail. Wiarę, prawość, uczciwość, dobrą wolę. Czym są bogactwa tego świata w porównaniu z tymi cnotami? A jeśli odczytuję twoje zachowanie właściwie, to mógłbyś jej również obiecać miłość.

- Tak - odpowiedział Szczepan. - Ja już ją pokochałem. Służę innym z sercem pełnym współczucia. Pragnie tylko tego, co chce dać jej Bóg. Tak, kochałbym ją jako żonę.

Abigail zamknęła oczy i pozwoliła, by ogarnął ją zachwyty tą chwilą. Szczepan wyraził swoją miłość do niej. Zadeklarował przed tymi ludźmi, że będzie ją kochał.

Potem nastąpiło spontaniczne świętowanie. Alban i Piotr przy pomocy uczonego sporządzili stosowne dokumenty. Szczepan nie zawahał się ani chwili przy ich podpisywaniu. Uśmiechnięta Marta wypchnęła Abigail do przodu, swą siłą i prostoliniowością dodając jej otuchy. Abigail stanęła przed Piotrem, Albanem i Szczepanem okazując pewność siebie, którą jeszcze niezupełnie czuła. Lecz gdy została zapytana, czy chce tych zaręczyn, odpowiedziała, że tak.

Piotr uderzył dłonią w stół.

- No to załatwione. Jutro ogłosimy twoje zaręczyny ze Szczepanem.

Marta objęła Abigail silnym ramieniem, a reszta kobiet zaczęła podchodzić, by ją uścisnąć i wypowiedzieć słowa błogosławieństwa. Abigail czuła, że ich słowa oraz płynąca prosto z serc radość wylewają się na nią jak namaszczający olejek. Jej oczy napełniły się łzami do tego stopnia, że gdy stanął przed nią Alban, ledwie go widziała.

Usłyszała silny, łagodny głos swego opiekuna:

- Abigail, życzę ci, byś ze Szczepanem doświadczyła tej samej radości i zadowolenia z życia, którą ja odnalazłem u boku Lei.

Podziękowała mu mówiąc coś, co miała nadzieję, posiadało jakiś sens i skład. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko się dzieje

naprawdę. Człowiek, którego podziwiała, którego niezłomna wiara budowała jej własną wiarę, miał zostać jej mężem.

Były tylko dwie sprawy, które zakłócały jej radość tego wieczoru. Po pierwsze, Lea nie była przy tym obecna i nie mogła dzielić z nią szczęścia.

A po drugie, Jakub gdzieś zniknął.

# ROZDZIAŁ

## DWUDZIESTY TRZECI

Linuks po raz pierwszy od przyjazdu do Judei nie miał żadnego pilnego zajęcia. Z uwagi na „specjalne zadanie”, które otrzymał, został zwolniony przez prefekta ze wszystkich innych obowiązków. Choć odkrył potajemne przejście prowadzące na teren Świątyni, wciąż oficjalnie nie przyjął zadania skradzenia kosztowności.

Nazajutrz trybun Bruno Aetius miał opuścić twierdzę Antonia, zabierając ze sobą większość oficerów. Wieść tę przyniósł jego adiutant. Oficer przeprosił w imieniu trybuna, który chciał porozmawiać z Linuksem osobiście, lecz został wezwany w pilnej sprawie.

- Zeloci zaatakowali jeden z naszych granicznych garnizonów - wyjaśnił, po czym dodał: - Trybun życzy ci szczęścia.

- Przekaż mu, proszę, życzenia bezpiecznej podróży, które kieruję również do ciebie.

Był to gładko ogolony mężczyzna o kilka lat młodszy od Linuksa.

- Trybun chciał, abym ci przypomniał, że jego zaproszenie, byś dołączył do niego w Damaszku jest nadal... - zatrzymał się w połowie zdania, gdyż drzwi przesłonił cień sylwetki.

- Pozdrowienia od prefekta - powiedział przybysz. - Czy oficer Linuks jest tu obecny?

- Jestem.

- Gubernator Marcellus pyta, czy jesteś gotowy złożyć mu raport.

- Jeszcze nie. Ale wkrótce...

- Prefekt przypomina, że sprawa jest niezwykle pilna.

- Przekaż gubernatorowi wyrazy szacunku i powiedz, że raport będzie gotowy za dwa, góra trzy dni.

Strażnik z pałacu prefekta zasalutował i wyszedł. Adiutant przyglądał się drzwiom, po czym powiedział cicho:

- Czy nie wydaje ci się interesujące, Linuksie Aureliuszu, że osobisty strażnik prefekta pojawia się dokładnie w chwili, gdy zaczynamy rozmowę o zaproszeniu od trybuna?

Linuks nic nie odpowiedział.

- Rozumiem - powiedział szorstko adiutant. - Dobrze, zatem przekażę trybunowi... twoją odpowiedź.

Linuks zasalutował i wyszedł na podwórze twierdzy, gdzie żelazo brzęczało o żelazo. Stał i przyglądał się młodym rekrutom, w upalny, letni dzień w pocie czoła uczącym się rzymskiej sztuki wojennej. Próbował wmówić sobie, że nie miał w tej sprawie wyboru, że prefekt rozkazał mu zostać. Co więcej, posłaniec prefekta dał mu właśnie do zrozumienia, pod jak ścisłą kontrolą i obserwacją Linuks się znajduje. Wiedział jednak bardzo dobrze, że gdyby tylko chciał, mógł wymknąć się w nocy i dołączyć do ludzi trybuna maszerujących do Damaszku. A kiedy już by się tam znalazł, ochroniłby go człowiek, który miał wszelkie powody, by pogardzać gubernatorem Judei i ignorować jego protesty. Nie, Linuks zamierzał zostać, bo...

Nie potrafił nawet w myślach powtórzyć imienia tej kobiety tak, by jego serce nie podskoczyło w piersi. Abigail. Rozczarowanie z powodu faktu, że Alban odmówił mu pomocy w tej sprawie zmieniło się w wykalkulowany gniew i wściekłość. O świcie, gdy znów nie mógł zasnąć, Linuks podjął decyzję. Pójdzie do Marcellusa i zgodzi się wykonać zadanie. Ukradnie dla prefekta złoto ze Świątyni - ale dopiero wtedy, gdy Marcellus zdobędzie dla niego tę judejską dziewczynę.

Czemu prefekt miałby mu odmówić? Przecież formalnie oddał Linuksowi opiekę nad rodziną jego brata i obiecał go zabić. Co to dla niego za różnica, kogo Linuks poślubi?

Lecz najpierw Linuks da Albanowi ostatnią szansę, by mu pomógł, być może odwodząc go tym samym od planu kradzieży, której perspektywa wywoływała w nim duży niepokój.

Jednak ostatnia rzecz, jakiej Linuks się spodziewał, to taka, że zastanie swego przyjaciela stojącego w cieniu naprzeciw bram twierdzy. Jego serce zabiło mocniej.

- Alban? Myślałem, że trzymasz się z dala od miasta. Co tutaj robisz?

- Czekam na ciebie, oczywiście - odepchnął się od ściany i wyszedł z cienia. - Główny stajenny powiedział, że zostałeś wezwany przez trybuna. Jak on się miewa?

Linuks machnął ręką.

- Masz jakieś wieści na temat Abigail?

- Owszem - Alban wziął głęboki oddech. - Przyszedłem, bo chciałem, byś usłyszał o tym ode mnie osobiście. Znam twoje serce i dlatego nie jest to dla mnie łatwe. Abigail jest zaręczona z jednym z naszych.

Linuks poczuł, jak serce zaczyna mu kołatać jeszcze gwałtowniej, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej.

- Nie możesz na to pozwolić.

- To już się stało, przyjacielu. Młodzieniec ma na imię Szczepan. To dobry człowiek. Z czasem może z powodzeniem zostać jednym z przywódców we wspólnocie.

- A jeśli ja stałbym się jednym z was? Co wtedy?

Alban najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania.

- Zrobiłbyś to naprawdę?

- Odpowiedz na moje pytanie. Przynajmniej tyle jesteś mi winien - naciskał Linuks. - Rozważyłbyś jeszcze raz moją prośbę, gdybym się do was przyłączył?

- To nie jest... - Alban urwał w pół zdania i westchnął. Zwiesił głowę i zacisnął powieki.

Linuks zorientował się, że jego przyjaciel się modli. Nie miał innego wytłumaczenia, dlaczego Alban tak nagle zamilkł. Zaczął krzyczeć, żądając od niego odpowiedzi. Lecz nagle przypomniał sobie o niewidzialnej obecności, która wypełniła tamto podwórze, silnej jak płomień pochodni, silnej jak noc. Zdał sobie sprawę, że właśnie ovladnęło go znów to samo uczucie. Z niewytłumaczalnego powodu odczuł skruczę, tak realną jak fizyczny ból.

Alban podniósł głowę. Spojrzał na Linuksa ze spokojem, który wytrącał go z równowagi tak samo jak wieści o Abigail, a może nawet bardziej.

- Chodź ze mną – powiedział Alban.
- Dokąd idziemy?
- Chcę ci coś pokazać.

Pusta uliczka naprzeciw twierdzy szybko zmieniła się w jedną z ruchliwych ulic rynku. Skręcili w lewo i poszli do skrzyżowania z główną ulicą, przechodzącą przed bramami Świątyni. Linuks starał się jej zawsze unikać. W tej okolicy koncentrowała się cała wrogość, niechęć i bolączki, odczuwane przez judejską społeczność względem Rzymian. Jeśli w Jerozolimie miałyby się rozpocząć jakiegokolwiek zamieszki, to stałoby się właśnie tu, gdzie był największy tłok i najgorętszy ferwor religijny, a strażnicy świątynni spoglądali na każdego przechodzącego Rzymianina z nieukrywaną nienawiścią.

Jednak Alban z łatwością przeciskał się przez tłumy. Choć wielu rzucało w kierunku Linuksa nienawistne spojrzenia, na Albana prawie nikt nie zwracał uwagi. Zatrzymawszy się, odwrócił się tyłem do Świątyni, a przodem w kierunku Starego Miasta i wskazał Linuksowi wnękę z boku.

- Tam możemy zaczekać.

Linuks usiadł obok niego.

- Stałeś się jednym z nich. Judejczykiem.
- Prawidłowo mówi się: bojącym się Boga. Tak, stałem się nim.
- To dlaczego ja też nie mógłbym...
- Prosiłem cię, przyjacielu, poczekaj. Zaraz wszystko stanie się jasne.

Linuks z niecierpliwym westchnieniem powstrzymał irytację i oparł się wygodniej o ścianę. Alban kilkakrotnie zerkał w kierunku nieba. Linuks zorientował się, że jego przyjaciel ocenia z pozycji słońca na niebie, ile minęło czasu.

- Na co czekamy?
- Na popołudniowe modlitwy.
- Te w Świątyni? No to co my robimy *przed* Świątynią?

Alban podniósł rękę.

- Cierpliwości. Już niedługo.



Lecz dla Linuksa czekanie wydawało się nie mieć końca. Zdążył wymyślić tuzin argumentów, którymi mógłby zasypać Albana. Myślał też o tym, że mógłby jak najszybciej pobiec do Marcellusa żądając, aby ten natychmiast coś uczynił, nim odbędą się zaręczyny. Z każdą minutą w umyśle Linuksa wzbierało szaleństwo. Wreszcie Alban powiedział:

- Już.
- Ale co się dzieje?
- Idź i sam zobacz.

Linuks zmrużył oczy, chroniąc je przed światłem słonecznym. Ulica wydawała się jeszcze bardziej tłoczna niż zwykle. Nagła luka w tłumie pozwoliła Linuksowi zauważyć, że to nie tłumy się zwiększały, lecz ktoś blokował ulicę. A gdy zrozumiał, kto i w jaki sposób, włosy na karku stanęły mu dęba.

Ludzie przynosili na noszach chorych i kładli ich na ulicy. Inni podtrzymywali ludzi starszych lub niepełnosprawnych i usadawiali ich pod ścianą. Trwało to tak długo, aż jedna strona ulicy została całkowicie wypełniona. Co ciekawe, nikt nie wołał ani nie lamentował, co byłoby normalne w takim zbiorowisku żebraków i innych ludzi odczuwających ból i cierpienie. Nie, oni po prostu czekali, a ich przyjaciele i rodziny czekały razem z nimi.

- Czemu oni się zbierają wzdłuż jednej ściany? Przecież jest jeszcze miejsce...

- Zaczekaj.
- Na co?

- Na odpowiedź na wszelkie twoje pytania i ponaglenia. Oto nadchodzi.

Ludzie na ulicy zupełnie ucichli. Nawet wiatr przestał wiać. Linuksowi wydawało się, jakby nagle całe miasto wstrzymało oddech. W tym momencie zauważył grupę ludzi idących w ich kierunku. Na czele kroczył wysoki, brodaty przywódca, którego Linuks rozpoznał z podwórza - to ten człowiek uzdrowił Abigail. Miał na imię Piotr i nazywano go apostołem. Jego spojrzenie bardzo niepokoiło Linuksa. Wciąż przypominał je sobie w trakcie bezsennych, pełnych zmartwień nocy.

Lecz Piotr, który szedł teraz w jego kierunku, był jakby przemieniony.

Wydawał się jeszcze wyższy, większy. Nie dlatego, że jeszcze urósł, lecz raczej z powodu wielkiej wewnętrznej siły; takiej, że niemożliwością było, by jakikolwiek fizyczny kształt mógł ją w sobie zamknąć. Jego twarz jaśniała nieziemskim światłem.

Gdy przechodził, ludzie zaczęli wykrzykiwać, wstawać, wołać głośno. I *tańczyć*.

Piotr nie patrzył bezpośrednio na nikogo z nich. Nawet nie wyciągał ręki, by ich dotykać. On tylko szedł dalej w kierunku Świątyni. Jego cień przechodził po osobach ustawionych wzdłuż ulicy, po stronie przeciwnej niż słońce.

Jeden po drugim ludzie wstawali z noszy i posłań, a ich twarze przemieniały się w tej samej ekstazie, którą Linuks widział u Abigail po uzdrowieniu. I znów owładnęła go ta sama bolesna tęsknota, jak gdyby to objawienie cudownej mocy oświeciło ciemne knowania jego serca.

Alban odwrócił się ku niemu, a w jego oczach świeciło to samo niebiańskie światło, co u Piotra.

- To nie jest kwestia stania się wierzącym, żebyś mógł mieć kobietę, której pragniesz. Tu chodzi o twoje życie. Czy chcesz, by Pan Jezus stał się centrum wszystkiego, czym jesteś i co robisz? Czy chcesz zostać przemieniony? Czy chcesz zostać wewnętrznie uzdrowiony?

W sercu Linuksa odezwała się gorycz. Ciemność, z którą się zmagał, pragnienia, gniew, lata zmagania - wszystko to zjednoczyło się i ugasiło nagły płomień jego tęsknoty. W ustach miał jakby smak popiołu, gdy powiedział:

- W takim razie mi nie pomożesz.

Na twarzy Albana pojawił się głęboki ból.

- Bracie, właśnie *dokładnie to* próbuję zrobić.

## ROZDZIAŁ

# DWUDZIESTY CZWARTY

Abigail wstała po nocy wypełnionej różnymi, sprzecznymi snami. Tak wiele się wydarzyło, i to w tak szybkim tempie, że jej umysł jeszcze tego wszystkiego nie ogarniał. Dopiero co przerażała ją sytuacja, w której goniono za nią dwóch niechcianych zalotników, a teraz była zaręczona z mężczyzną, którego głęboko podziwiała.

Ceremonia zaręczyn miała mieć miejsce po wieczornej modlitwie, na otwartym podwórzu, by było wystarczająco miejsca dla wszystkich przyjaciół. Nie będą to wystawne zaręczyny, lecz Marta nalegała, by goście dostali odświeżające napoje. Z drugiej strony, miały zostać zachowane w pełni rytuały prawne i religijne. Od tego dnia będzie znana wśród społeczności jako żona Szczepana – choć jeszcze nie wyznaczono daty, kiedy małżeństwo miało zostać dopełnione.

Abigail wiedziała z całą pewnością, że dzisiejszy dzień zmieni całe jej życie.

Był jednak pewien problem – ciemność, która ogarniała jej duszę nawet tego dnia, gdy chciała czuć jedynie radość. Alban i Jakub wciąż się nie pogodzili, i pozostało już mało czasu, by zakończyć ich spór. Wkrótce Alban będzie musiał wracać z karawaną do domu. Odczuwał już stres z powodu bycia tak daleko od Lei i bardzo chciał do niej wracać. Dziecko miało przyjść na świat dopiero za dwa miesiące, ale Alban martwił się o żonę.

Alban poprosił Jakuba, by wyjechał razem z nim, gdyż w jego małym gospodarstwie było wystarczająco pracy dla nich obu. Mogliby być wspólnikami, a Jakub zarządzałby wszystkim, kiedy Alban wyjeżdżałby w podróż jako strażnik karawany. Mógłby nawet przeszkolić chłopca w tym fachu, gdyby Jakub zechciał. Lecz nawet taka obietnica nie przekonywała chłopaka.

Abigail już wyobrażała sobie, jak Jakub cynicznie rozważa, czy lepiej zostać cieślą, czy rolnikiem. Miał serce nastawione na to, że zostanie legionistą i w emocjonalny sposób oznajmił, że jeśli Alban mu nie pomoże, to na pewno Linuks nie odmówi. Wykrzyczawszy te gniewne słowa, znowu gdzieś uciekł.

Alban wyszedł za nim i szukał go w ciemnościach, ale jego znajomość tylnych uliczek i zaułków nie dorównywała wiedzy Jakuba.

Gdy Alban wrócił z poszukiwań, wyczerpany i zmartwiony, powiedział Abigail, że powinna się położyć i spróbować zasnąć. Upewnił się, że jest bezpieczna w swoim mieszkaniu i obiecał, że rano przyjdzie na podwórze sprawdzić, czy Jakub wrócił. Ale chłopak nie wrócił. Abigail jeszcze długo nie mogła zasnąć tej nocy, daremnie nasłuchując jego kroków.

Teraz, gdy wstało słońce, wiedziała, że ona również musi wstać. Zwlekła się z posłania i przygotowała do wyjścia z myślą, że jeśli się nie pospieszy, spóźni się na poranne modlitwy.

\*\*\*

Abigail brakowało tchu, gdy weszła na podwórze. Zebrał się już tłum ludzi, a Tomasz przemawiał do nich słowami zachęty. Abigail znalazła sobie miejsce z tyłu i poprawiła szal. Uważnie słuchała Tomasza, gdy poczuła, że ktoś otarł się o nią. Odwróciła się, całym sercem mając nadzieję, że to Jakub, ale zamiast brata obok niej stanął Alban. Miał podkrążone oczy i wyglądał mizernie. Spojrzał pytająco, a ona tylko pokręciła głową.

Wszyscy zaczęli się modlić. Wiele głosów wzniosło się w żarliwych prośbach o mądrość, o odwagę by żyć wiarą i śmiało głosić ją przy każdej nadarzającej się okazji. Modlili się za swoich przywódców, za tych, którzy codziennie zbierali się w jedno i za tych spoza

wspólnoty, którzy jeszcze nie usłyszeli, że Jezus jest Chrystusem, długo oczekiwanym Mesjaszem.

Abigail zauważyła, że miejsce obok niej zwolniło się. Albana nie było. Rozejrzała się i zauważyła go pod wschodnią ścianą, klęczącego przy ławce przeznaczonej dla zmęczonych podróżnych. Ręce miał złożone, a głowę pochyloną w modlitwie. Jego ramiona się trzęsły.

Abigail szybko wstała z miejsca i podeszła do niego. Alban płakał. *Czy on płacze nad Jakubem, który zboczył z drogi?* Przez chwilę ogarnął ją gniew. Jak Jakub mógł to zrobić jej i Albanowi? Jak mógł tak bardzo zranić człowieka, który kiedyś uratował mu życie? Alban dał mu wolność, choć miał pełne prawo zatrzymać go sobie jako niewolnika. Był jego opiekunem. Jakub nie miał prawa się buntować. Postępował niezgodnie z prawem pisany, ale również z sumieniem.

Abigail uklękła nieopodal Albana, a łzy przeciekały jej przez palce i spadały na ławkę. Przysunęła się bliżej i powiedziała:

- Tak mi przykro. Tak mi przykro, że mój brat nie jest ci posłuszny i potraktował cię bez szacunku, podczas gdy ty tyle dla niego zrobiłeś. Ja...

- Nie - odpowiedział Alban odwracając się ku niej i kręcąc głową. Potarł twarz dłońmi. - Nie z tego powodu jestem smutny. Chłopak nie jest mi nic winien. Nic. Przez te wszystkie lata przyjaźń z nim sprawiała mi tylko radość.

- Uratowałeś mu życie...

Alban odegnał jej słowa machnięciem ręki.

- Czuję... Mam głębokie przekonanie, że Bóg ma swój plan dla Jakuba. Ten chłopak nie należy do mnie. I to mnie martwi: Jakub nie buntuje się przeciw mnie - obawiam się, że on buntuje się przeciw Bogu. Chętnie bym mu powiedział: „Idź za swoimi marzeniami i zostań legionistą”, gdyby to tylko było takie proste. Ale sam przez to przechodziłem. Wiem, do czego ta praca prowadzi, jakie są wymagania wobec rzymskiego żołnierza. A czasy robią się coraz trudniejsze. Obawiam się, co przyniesie przyszłość. Obawiam się, że niedługo nadejdzie czas, kiedy Rzym będzie wymagał...

Spojrzał w oczy Abigail i urwał.

- Wybacz mi - powiedział. - Nie chcę cię przestraszyć. Ale wyczuwam rosnące napięcie. Musimy być gotowi, cokolwiek miałyby

się wydarzyć. Musimy przyłgnąć do naszej wiary każdym naszym oddechem, a bycie legionistą temu nie sprzyja. Dlatego płaczę, Abigail. Mogę wytrzymać to, że mieszkamy z Jakubem daleko od siebie, lecz nie chcę go stracić jako brata w Chrystusie. Jego dusza, Abigail. To jego dusza jest teraz najważniejsza.

Abigail poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu. Spojrzała w górę i ujrzała swoje dwie najwierniejsze przyjaciółki. Nie spytały, jak mogą pomóc. Po prostu uklękły i przyłączyły się do jej modlitwy.

\*\*\*

Wczesnym popołudniem Abigail wraz z trzema innymi osobami udała się do synagogi Libertynów. Była to dłuższa wyprawa, a Abigail nigdy przedtem tam nie była. Wiedziała, że miejsce to jest położone w pobliżu bramy damasceńskiej, bardzo blisko rynku uczęszczanego przez właścicieli karawan. Była to okolica ciesząca się złą sławą, a kobietom, zwłaszcza młodym, odradzano chodzenie tam w pojedynkę.

Ale dziś było inaczej, bo została zaproszona przez Szczepana. Gdy widzieli się rano, wyjaśnił jej, że uczęszczający do tej synagogi, jako byli niewolnicy, nie są mile widziani w innych. Wielu z nich czuje się wyrzutkami, odrzuconymi i pogardzanymi przez społeczeństwo, któremu niegdyś służyli. Abigail była dumna i szczęśliwa z powodu tego, że Szczepan chce, by zobaczyła jego pracę, w którą tak bardzo się zaangażował. Nie mogła się doczekać, by usłyszeć, jak przemawia w tej odrzucanej przez społeczeństwo części miasta.

Spodziewała się, że Szczepan przywita ją z błyskiem oczekiwania w oczach, że może podejdzie do niej nieco szybszym krokiem, lecz on pozdrowił Abigail tak samo, jak jej towarzyszki - w ten sam, nacechowany szczerą troską sposób. Mimowolnie poczuła się tym zawiedziona, ale szybko odsunęła od siebie to uczucie. Na tym polegała przecież służba Szczepana, skierowana do ludzi, którzy potrzebowali kogoś, kogo by obchodził ich los, kto chciałby zaopiekować się zarówno ich ciałem, jak i duszą.

Dopiero gdy Szczepan skończył przemawiać i przechodził przez tłum, pozdrawiając, wyciągając rękę, zatrzymując się, by się pomodlić, Abigail zaczęła coś rozumieć. Szczepan nie zaprosił jej na spotkanie

tylko po to, żeby popatrzyła jak pracuje. On chciał, by Abigail z nim tę pracę *dzieliła*.

Rozejrzała się po miejscu dla kobiet, w którym siedziała i dostrzegła tak wiele potrzeb. Stare kobiety o przymglonych oczach wymacały drogę przez tłum z laskami w dłoniach. Matki w łachmanach, mające nadzieję na jakiś posiłek, przyciskały do piersi niemowlęta, również owinięte łachmanami. W drzwiach kręciły się sieroty, nie mające śmiałości, by przestąpić próg świętego miejsca, proszące wzrokiem o drobne pieniądze lub kawałek chleba. Byli ludzie kalecy, ze śladami pobicia, złamani na duchu. Jakże ona mogłaby się od nich odwrócić?

Abigail zaczęła również krążyć pomiędzy kobietami. Z początku próbowała naśladować Szczepana. Chodziła, rozmawiała z nimi, modliła się, kładła ręce na te, które potrzebowały oznaki czyjejś akceptacji. I wtedy coś się zmieniło. Nie chodziło już o Szczepana, ani nawet o jego służbę. To sam Święty Boży Duch służył tym ludziom przez jej ręce, stopy, usta. To sam Bóg przyprowadził ją dziś w to miejsce, by zobaczyła potrzebujących i zdała sobie sprawę, że może im przynieść błogosławieństwo w Jego imieniu, by robiła to, co On chciałby, aby robiła dla odrzuconych przez społeczeństwo. To byli ludzie, których On kochał, za których umarł. Ci, których przyszedł zbawić.

Sama myśl o tym prawie całkowicie nią owładnęła. Nigdy nie marzyła, że Duch Święty mógłby jej użyć. Lecz widziała to w oczach tych, których dotknęła i za których się modliła. I jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa.

\*\*\*

Wieczór był zarówno radosny, jak i trudny. Abigail bardzo się cieszyła, że Alban może uczestniczyć w ceremonii jej zaręczyn - najszcześniejszym wydarzeniu w jej dotychczasowym życiu. Wyobrażała sobie, że kiedyś radość tę przewyższy jedynie ich poślubna noc, kiedy ona i Szczepan będą mogli naprawdę rozpocząć wspólne życie.

Ale nie było z nimi Jakuba. Bolało ją to bardziej niż była w stanie wyrazić. Wyrzekł się nie tylko Albana, lecz również jej. Wciąż wznosiła do Boga modlitwy, aby trzymał się wiary.

Gdy otrzymywała błogosławieństwa i życzenia od mnóstwa ludzi, którzy zebrali się wysłuchać ich przysięgi, Abigail starała się trzymać na wodzy lęk o brata i rozczarowanie.

Kiedy tłum w końcu się przerzedził, Szczepanowi udało się porozmawiać z nią przez chwilę sam na sam.

- Chciałbym, Abigail, żebyś wiedziała, że jestem ogromnie zaszczycony, iż zgodziłaś się zostać moją żoną. Nawet nie śmiałem mieć nadziei, że Bóg pobłogosławi mnie taką towarzyszką życia. Podziwiam twoje oddanie dla Boga i ludzi, twoje poświęcenie i współczucie dla tych, którzy cię otaczają. Obiecuję ci, że będę starał się z całych sił o ciebie troszczyć, Abigail. Zawsze.

Gdy wypowiadał te wzruszające, płomienne słowa, Abigail wyczuła w jego głosie napięcie.

- Nie wiem, jak szybko będziemy mogli zacząć wspólne życie - kontynuował. - Modlę się, by nasza ceremonia ślubna odbyła się wkrótce. Lecz nasz świat jest wystawiany na próbę. My jesteśmy wystawiani na próbę. Nasza wiara spotyka się z ogromnym sprzeciwem, który rośnie, tak samo jak rośnie liczba wyznawców. Najważniejszą dla nas rzeczą jest teraz to, byśmy mocno trwali w wierze i dzielili się z braćmi prawdą, którą otrzymaliśmy. I choć bardzo bym chciał być z tobą, Abigail, poświęcić ci cały mój czas i uwagę, Boga kocham jeszcze bardziej i muszę być posłuszny Jego powołaniu. Mam nadzieję i modlę się o to, byś to rozumiała.

Abigail skinęła głową. Te słowa sprawiły, że szanowała go jeszcze bardziej.

- Rozumiem. I chciałabym, żebyś dokładnie to robił. Tego właśnie od ciebie oczekuję. Z tego powodu tak bardzo cię szanuję. Przekonałam się o twojej wierności. O tym, że Bóg jest dla ciebie na pierwszym miejscu. I tak powinno być, zarówno w moim, jak i twoim przypadku.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Odkąd Ezdrasz skończył czternaście lat, nigdy nie czuł się tak obco, wchodząc w bramy Świątyni. Z powodu śmierci siostry w tak niewiarygodnych okolicznościach, czuł się w jakiś sposób skażony, nieczysty, co oczywiście było absurdem.

Przyszedł po niego jeden z odzianych na czarno uczniów Gamaliela. Ezdrasz nie rozpoznał tego wysokiego młodzieńca, który przyniósł dokument z oficjalną pieczęcią Sanhedrynu. Kurier poprosił, by Ezdrasz niezwłocznie udał się wraz z nim do Świątyni. Normą było, że przestrzegający praw Judejczyk nie wychodzi z domu w trakcie żałoby, a skoro Gamaliel przychodził tu każdego ranka, to Sanhedryn z pewnością wiedział o wszystkim, co działo się w domu Ezdrasza. Jeśli więc go teraz wzywano, musiała to być sprawa najwyższej wagi.

Prawdę powiedziawszy, Ezdrasz cieszył się, że może gdzieś wyjść. W domu było pełno ludzi, którymi kierowały różne motywacje. Część z nich korzystała z okazji, by go o coś prosić, wiedząc, że w trakcie żałoby im nie odmówi. Niewiele osób przychodziło po to, by naprawdę opłakiwać siostrę Ezdrasza i jego szwagra. Kobiety z rodziny Ananiasza siedziały na niskich stołkach żałobnych o trzech nogach i od czasu do czasu jęczały, gdyż ich płacz i lamenty osłabły już z powodu zmęczenia. Rodzina zbierała się przed modlitwami o świcie i pozostawała u Ezdrasza przez cały dzień. Jego słudzy pilnowali, by na ustawionych

na podwórzcu stołach nie brakowało jedzenia i picia. Wciąż przychodzili odwiedzający. Wielu ścisnęło dłoń Ezdrasza i wypowiedało słowa, tradycyjnie kierowane do pogrążonych w żałobie.

- Niech Bóg pocieszy ciebie wraz ze wszystkimi żałobnikami Syjonu i Jerozolimy.

Nawet gdy to mówili, w niektórych spojrzeniach Ezdrasz odczytywał ukryte motywy, chęć, by zapamiętał, że przyszli złożyć kondolencje w tym tragicznym czasie.

*Podejrzany.* Ezdrasz słyszał, jak niektórzy żałobnicy używają tego słowa, gdy sądzą, że siedzi on za daleko, by ich usłyszeć. Wyrażali się wystarczająco jasno. Nikt nie wiedział na pewno, co się wydarzyło, czemu ta rodzina doznała takiego cierpienia, na ile mąż i żona sami byli winni swej śmierci i w końcu, kto był winien tej zbrodni.

Tak naprawdę, gdzieś głęboko w zakamarkach niewypowiedzianych myśli, Ezdrasz miał własne podejrzenia na ten temat - że siostra z mężem zrobili dokładnie to, za co apostoł ich potępił.

Lecz nawet jeśli to była prawda, szybko tłumził tę myśl, tłumacząc sobie, że apostołowie nie mieli prawa tak postąpić. Żadnego. I zapłacą za to - a razem z nimi tylu wyznawców, ilu tylko zdoła osiągnąć zemsta Ezdrasza.

Takie właśnie były myśli Ezdrasza, gdy wchodził na teren Świątyni przez Bramę Chuldy. Wtem, zdumiony, zatrzymał się w pół kroku.

- A to co?

- Oto powód, dla którego Gamaliel zdecydował się zakłócić twój spokój - odpowiedział ponuro student. - Chodź. To jeszcze nie wszystko. Ezdrasz podążył za młodzieńcem.

- Jak się nazywasz?

- Szaweł.

- A skąd jesteś?

- Z Tarsu. Lecz zawsze uważałem Jerozolimę za swój prawdziwy dom. A ta Świątynia stanowi jego serce - Szaweł przyglądał się tłumom z ponurym niesmakiem. - Ostatnio uległo to zmianie.

Ezdrasz zerknął na położenie słońca, zastanawiając się, czy może stracił poczucie czasu. Ale nie, popołudniowe modlitwy powinny rozpocząć się dopiero za jakieś dwie godziny. Skąd zatem te nieprzebrane tłumy?

Młody faryzeusz, mamrocząc coś pod nosem, przeciskał się między ludźmi, a Ezdrasz szedł za nim. Brodaci mężczyźni burczeli na niego z niezadowoleniem, gdy się przepychał, lecz gdy tylko zauważali jego szaty faryzeusza, ustępowali z drogi. Przeciskając się przez zatłoczone podwórze świątynne, Ezdrasz czuł, jak po kręgosłupie spływa mu strużka potu, co nie było wywołane jedynie upałem. Słyszał w oddali beczenie zwierząt, które miały być złożone w ofierze, lecz poza otaczającym go z każdej strony tłumem nie dostrzegał nic.

Wreszcie przedarli się przez tłum i wyszli na jakąś pustą przestrzeń. Kawalek dalej jednakże, ich oczom ukazało się kolejne ludzkie zbiorowisko – przed nimi w ciasnym kręgu stało grono mężczyzn. Oba zgromadzenia zdawała się dzielić jakaś niewidzialna bariera.

Wtedy Ezdrasz zorientował się, co ma przed oczami.

Krużganek Salomona, znajdujący się obok Bramy Pięknej, położony był naprzeciwko muru świątynnego, w miejscu najbliższemu Świątemu Świętych. Za murami Świątyni wznosiła się mniejsza budowla, gdzie spotykał się Sanhedryn jako Rada Świątyni. Przestrzeń pomiędzy krużgankiem, Świątynią i budynkiem Rady była teraz doszczętnie wypełniona przez ten drugi tłum.

W Krużganku Salomona, w miejscu tradycyjnie zarezerwowanym dla starszych faryzeuszy i skrybów świątynnych stało kilku apostołów. Był z nimi też ten młody mężczyzna, Szczepan. Ezdrasz wyraźnie słyszał jego głos, który docierał do uszu obu zgromadzonych grup. Szczepan mówił o fragmentach Pism odnoszących się do obiecanego Mesjasza.

Ezdrasza ogarnął taki gniew, że słyszał już tylko dzwonięcie w uszach, a nie słowa Szczepana. Odwrócił się do Szawła i syknął:

- Myślałem, że Rada zabroniła im przemawiać!
- Tak, Rada uczyniła to, a nawet więcej – odpowiedział młodzieniec.
- Czy zobaczyłeś już to, co chciałeś?
- Znacznie więcej niż było mi potrzebne – mruknął Ezdrasz.
- Gamaliel prosi, byś przyszedł do niego. Jest w budynku Rady.

Ale tłum był tak gęsty, że musieli wycofać się przed Świątynię, przejść pomiędzy stołami rozmieniających pieniądze, następnie obok świątynnych kapłanów przyjmujących zapłaty za ofiary, i w końcu obejść Świątynię od strony północnej, przez strefę zarezerwowaną dla obcokrajowców bojących się Boga.

Gdy mogli już znów normalnie odetchnąć, Ezdrasz zapytał:

- Czy ci wyznawcy często tak robią?

- Każdego ranka, popołudnia i wieczoru. Przed modlitwami i po ich zakończeniu. Przychodzą, zaraz zbiera się przy nich tłum i przemawiają, po czym odchodzą. Za każdym razem mamy nadzieję, że to już koniec, ale kolejnego dnia znów jest to samo. I każdego kolejnego dnia tłum robi się coraz większy.

- I ten podział pomiędzy ich wyznawcami a całą resztą... - zauważył Ezdrasz.

- To coś nowego. Przedtem ciekawscy dołączali do ich grupy, przynajmniej na jakiś czas.

- A kiedy nastąpiła ta zmiana?

Szaweł popatrzył na niego przez chwilę, po czym odpowiedział:

- W tym tygodniu.

Za Ezdraszem stały klatki z gołębiami, ustawione jedna na drugiej, aż sięgały ponad jego głowę. Odgłos trzepoczących skrzydeł zsynchronizował się z biciem jego serca.

- Czyli rozniosła się wieść... o śmierci mojej siostry?

- Całe miasto mówi niemal jedynie o tym. Ludzie się boją. Obawiają się zdolności widzenia głębi ludzkich serc, którą posiadają apostołowie. Dlatego patrzą i słuchają, ale trzymają się na dystans - Szaweł pociągnął Ezdrasza za rękaw. - Chodźmy, Rada czeka.

Ezdrasz usłyszał wrzawę, zanim jeszcze weszli do sali. Młodzieniec pchnął drzwi i hałas z każdej strony przypuścił szturm na Ezdrasza. Komnata, w której zbierała się Rada, była prawie tak szeroka, jak wewnętrzne podwórze jego domu, a mimo to wydawała się ledwie mieścić wszystkich obecnych. Ezdrasz rozpoznał liczących się faryzeuszy i wielu spośród saduceuszy, do których dołączyli przełożeni strażników świątynnych i inni urzędnicy miejscy. Wszyscy jednocześnie coś wykrzykiwali. Stół Rady znajdował się na podwyższeniu, a każde z krzeseł było zajęte. Członkowie Sanhedrynu wykrzykiwali coś do zebranych i do siebie nawzajem.

Gamaliel, gdy tylko zobaczył Ezdrasza, wstał i dał mu znak ręką, by podszedł bliżej. Wszyscy szybko zamilkli.

- Widziałeś to? - spytał Gamaliel.

- Widziałem - Ezdrasz poczuł jak paznokcie wbijają mu się we wnętrze dłoni. - Tych ludzi trzeba *powstrzymać!*

Całe zgromadzenie natychmiast znów zaczęło krzyczeć i kłócić się. Kajfasz, najwyższy kapłan, zawołał, prosząc o ciszę. Zebrani niechętnie się uciszyli. Kajfasz, zwróciwszy się do przełożonych strażników, powiedział:

- Aresztujcie ich przywódców.

\*\*\*

Abigail cała się trzęsała, gdy następnego ranka zebrali się na modlitwę w większej grupie wyznawców niż zwykle. Zeszłego wieczoru doszły do nich wieści o kolejnych aresztowaniach. Ich przywódcy, z Piotrem włącznie, oczekiwali w więzieniu na decyzję Sanhedrynu.

Chłód przerażenia ścisnął żołądek Abigail, trzymając ją w niewoli wątpliwości i lęków. Tę samą panikę wyczuwała we współwyznawcach. Wszyscy błakali się w gmatwaniu zamętu i zmartwienia, którą mogła rozplątać jedynie modlitwa. Czy obietnica Mesjasza dotycząca przyszłości kiedykolwiek się wypełni? A może w końcu ich wszystkich dosięgnie identyczny los - więzienie, śmierć?

Dlatego się modlili - z całego serca, żarliwie, w pokorze. Prosilili o mądrość, śmiałość, wytrwałość, o Bożą moc. A co z ich małymi dziećmi? Czy niektóre rodziny nie powinny opuścić miasta?

Abigail została nagle wypełniona pokojem - było to jak świeży powiew Bożego błogosławieństwa - poczucie wyciszenia i spokoju, pozostawiające po sobie wewnętrzny, ciepły żar. Podniosła głowę, żeby zobaczyć, czy inni też to czują, lecz wtem na podwórzu rozległ się odgłos szybkich, ciężkich kroków. Piotr i inni uwięzieni apostołowie pojawili się pod bramą!

Wierzący jak jeden mąż pobiegli w ich kierunku, wykrzykując słowa powitania i chwając Boga. Nawal pytań sprawił, że Piotr wreszcie uniósł ręce, pokazując gestem, by wszyscy usiedli.

- Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem - zaczął. - Siedzieliśmy w więzieniu, zakuci w kajdany, i czekaliśmy, aż nasz los zostanie przesądzony, gdy nagle bardziej poczułem niż zobaczyłem w celi czyjąś obecność. Z początku myślałem, że śnię, lecz szybko

doszedłem do wniosku, że to niemożliwe. Widziałem twarde ściany, czułem wilgoć od podłogi i słyszałem, jak strażnicy dla zabicia czasu opowiadają sobie nawzajem sprośne dowcipy. Wtedy ta... ta niebiańska istota, ten Boży posłaniec, pojawił się przed nami i dał nam znak ręką, byśmy za nim poszli. Przeszliśmy tuż obok straży, a oni chyba w ogóle nas nie widzieli. Potem anioł otworzył drzwi więzienia - bez najmniejszego odgłosu brzęknięcia żelaza. Wyszliśmy prosto w ciemną noc. Wcześniej padało, lecz gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, gwiazdy świeciły jaśniej niż zwykle. Powietrze pachniało chłodem i świeżością. Stałem tak, mrugając oczami, i zastanawiałem się, czy to jakaś wizja. Anioł odwrócił się, zamknął za nami bramę i zniknął. Tak po prostu - Piotr machnął ręką w powietrzu. - Zniknął w mgnieniu oka - powtórzył i zamilkł na chwilę, by rozejrzeć się wśród uważnie słuchających go ludzi. - A myśmy stali i patrzyli jeden na drugiego.

Wtedy chichocząc wtrącił się Jan:

- I chyba byśmy tak stali aż do wschodu słońca, gdyby Jakub nie powiedział: „No to chyba możemy iść do domu”.

Wszyscy parsknęli pełnym ulgi i radości śmiechem, klepiąc się wzajemnie po plecach i ściskając.

- Tak też zrobiliśmy - zakończył Piotr, a jego zazwyczaj poważna twarz, również rozjaśniła się z powodu komizmu całej sytuacji.

Abigail rozejrzała się po twarzach ludzi. Tam, gdzie wcześniej były wątpliwości i lęk, teraz widziała dziękczynienie. Czuła jak napięcie opadło - zarówno z innych, jak i z niej samej.

Wzrokiem odszukała Szczepana. Stał w zwartej grupie, która została cudownie uwolniona z więzienia, najwyraźniej rozemocjonowany ich opowieścią. Jego głowa co jakiś czas kiwała się w potwierdzeniu, a usta wypowiadały „amen”.

Ale Piotr nie skończył. Jego twarz znów spoważniała.

- Nie będą zachwyceni, gdy odkryją, że nas nie ma. Już nas ostrzegali, żebyśmy przestali nauczać. Lecz, bracia i siostry, Bóg dał nam przesłanie, które musi być głoszone. Nie ma czasu do stracenia. Nie możemy być nieposłuszni naszemu Panu.

- Co zamierzasz? - ktoś, kogo Abigail nie dostrzegła, wypowiedział pytanie, które było na ustach wszystkich.

- Pójdziemy na podwórze przed Świątynią i będziemy nauczać - powiedział Piotr i ruszył się z miejsca, chcąc odejść.

- I zanim nastanie wieczór znów znajdziecie się w więzieniu - powiedział ktoś inny z tłumu.

- To nic - zawołał kolejny głos. - Aresztują ich, a anioł Boży ich wypuści.

Inne głosy dołączyły do niego ze śmiechem.

Ale Piotr podniósł rękę uciszając ich.

- Bracia i siostry, to nie ma znaczenia. Być może następnym razem, gdy zostaniemy aresztowani, Bóg nas nie wyratuje. Mimo to musimy robić, co nam nakazał. Módlcie się, by każdy z nas miał śmiałość i odwagę, by głosić Boże słowo.

# ROZDZIAŁ

## DWUDZIESTY SZÓSTY

Zaraz po wyrecytowaniu porannej modlitwy Ezdrasz pospiesznie ruszył do Świątyni. Ulice Jerozolimy skąpane były w delikatnych pastelach świtu. Powietrze miało słodki zapach, gdyż oczyścił je wcześniej - niezwykła rzecz - letni deszcz, który trwał prawie do brzasku. Teraz niebo było bezchmurne, wiał lekki wietrzyk. Byłby to dla Ezdrasza miły spacer znajomymi uliczkami - gdyby nie to, co go czekało.

Gdy wszedł do sali, ze zdziwieniem spostrzegł, że zebrała się już cała Rada, a wraz z nią wielu ze starszych i urzędników miejskich, którzy byli obecni wczoraj.

Wyglądający na wielce zmartwionego Gamaliel przywołał go gestem ręki.

- Lada chwila powinni przyjść strażnicy z naszymi więźniami.

- Czy coś się stało?

- Przygniatają mnie problemy... - faryzeusz urwał, gdyż drzwi do sali powoli się otworzyły. W progu stanęło trzech strażników o twarzach bladych jak kreda.

- Gdzie więźniowie? - odezwał się arcykapłan.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym najodważniejszy z nich odparł:

- Panie, wybacz mi. Nie ma ich.



Kajfasz skoczył na równe nogi, a na jego twarzy pojawiła się złowieszcza mina.

Starszy strażnik szybko dodał:

- Moi ludzie byli na posterunku jak zawsze, na zewnątrz więzienia. Drzwi były zamknięte na klucz. Ale kiedy dziś rano weszliśmy do środka, wszystkie cele były puste.

- Twoi ludzie zasnęli na służbie!

- Panie, w pierwszej chwili też tak pomyślałem. Ale to moi najlepsi ludzie. Powierzyłbym im własne życie. I przysięgają mi na wszystko, że żaden z nich nie zasnął ani na chwilę.

- Jak mam w to...?

Arcykapłan urwał na dźwięk zatraskujących się głośno zewnętrznych drzwi. Do sali wpadł strażnik z rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Oni wrócili! - wrzasnął.

- Kto? Gdzie?

- Ludzie od Proroka, apostołowie. Są znowu w Krużganku Salomona i nauczają tłumy!

Oszołomiony tą wiadomością Ezdrasz rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystkim bez wyjątku odebrało mowę.

Wreszcie arcykapłan krzyknął:

- Przyprować ich!

- Czekać! - Gamaliel odezwał się z takim autorytetem w głosie, że strażnicy zawrócili jak jeden mąż. Faryzeusz zwrócił się do arcykapłana proszącym tonem: - Musimy zachować najwyższą ostrożność.

Twarz arcykapłana stała się niemal purpurowa od gniewu.

- Ci ludzie zostali aresztowani z mojego rozkazu, uciekli z więzienia, a ty mi mówisz, że mam być *ostrożny*?

- Dokładnie tak - Gamaliel odwrócił się do strażnika. - Jak duże są te tłumy?

- Większe niż wczoraj, panie. Tysiące przychodzą, żeby ich posłuchać.

- Właśnie tego się obawiałem. Jeśli zaaresztujemy ich po raz drugi w miejscu publicznym, to może się skończyć zamieszkami. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby kilka tysięcy osób zaczęło rozruchy na

terenie Świątyni. Dałoby to Rzymianom świetną wymówkę, by wejść siłą do naszego świętego miejsca i przejąć nad nim kontrolę.

Arcykapłan osunął się z powrotem na swoje krzesło, a jego usta zaczęły się bezdźwięcznie poruszać, nim zdołał powiedzieć zachrypniętym głosem:

- Przyprawdźcie ich tu, ale bez użycia siły.

Strażnicy stali chwilę niepewnie, aż zięć arcykapłana, również zasiadający na najwyższym stanowisku w Radzie, warknął na nich:

- Wykonać rozkaz.

\*\*\*

Zebrani w sali czekali w absolutnej ciszy. Ezdraszowi zdawało się, że słyszy bicie własnego serca. Czas włókł się niemiłosiernie. Wreszcie drzwi otworzyły się raz jeszcze. Strażnicy wprowadzili małą grupkę mężczyzn.

- Czy to oni? - spytał gniewnie arcykapłan.

- Wszyscy, którzy dziś rano przemawiali, panie.

- Zamknąć drzwi i dobrze ich pilnować - arcykapłan spojrzał groźnie na stojących przed nim mężczyzn. - My, Najwyższa Rada Judei, nakazaliśmy wam nie przemawiać już nigdy więcej w imię waszego zmarłego Proroka!

Jeden z apostołów, który wydawał się być przywódcą ich wszystkich, Galilejczyk o szerokich ramionach, o którym mówiono, że jest rybakiem, odpowiedział:

- Musimy słuchać raczej Boga niż rozkazów pochodzących od ludzi. Bóg wskrzesił Jezusa z martwych i ogłosił Go Mesjaszem, aby doprowadzić Izrael do pokuty. My jesteśmy tego wszystkiego świadkami, tak samo jak Duch Święty, którego Bóg dał tym, którzy są Mu posłuszni.

Ezdrasz miał uczucie, jakby z jego oczu nagle ktoś podniósł zasłonę. Nie chodziło o słowa tego człowieka, które były oburzające dla wszystkich uczonych znajdujących się w sali. A już na pewno nie chodziło tu o sposób, w jaki ów człowiek się wypowiadał, bo był to język dość prosty, pasujący do jego społecznego statusu. Lecz w tym

mężczyźnie coś było, jakaś siła; tak wielka, że uciszyła wszystkich obecnych.

Nagle salę wypełniły głośnie i ostre głosy; wszystkie nawoływały, by ukarać apostołów śmiercią.

Lecz ktoś znów zawołał głośniejsz niż cały ten gwar:

- Czekaście!

Nie tylko donośny głos Gamaliela, lecz również siła jego reputacji uciszyła zebranych. Arcykapłan zwrócił się do niego:

- Mów.

- Proszę, by zabrano tych ludzi z sali.

Arcykapłan niecierpliwym gestem nakazał strażnikom, by to uczynili.

- Róbcie, co mówi.

Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącymi mężczyznami, Gamaliel rzekł:

- Widzieliśmy już w życiu wystarczająco wielu fałszywych proroków i samozwańczych mesjaszy. Mamy niebezpieczne czasy i nasz lud może zostać łatwo wyprowadzony na manowce. Lecz co działo się w przeszłości? Ci nauczyciele zostali zabici, a ich wyznawcy się rozproszyli.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Kajfasz najwyraźniej kontrolował się z największym wysiłkiem.

- Nic ponad to, co powiedziałem. Moja rada brzmi, by puścić tych ludzi wolno.

Ezdrasz patrzył na swego przyjaciela z trwogą i zdumieniem. Był on szaleńcem, czy... bohaterem?

Kolejne słowa Gamaliela zostały zagłuszone przez gwar i krzyki. Poczekał cicho, aż wszyscy znów się uciszą, po czym rzekł:

- Jeśli ich cel oraz czyny pochodzą z ciała, poniosą porażkę. Lecz jeśli to pochodzi od Boga, jak moglibyśmy ich powstrzymać? Co, jeśli okaże się, że walcycie z samym Bogiem?

Ku zdziwieniu Ezdrasza, cała Rada siedząca wokół głównego stołu ucichła. Jedyne głosy, które podniosły się w proteście, należały do osób spoza Rady. Ci, którzy mieli władzę, by osądzić i potępić apostołów, najwyraźniej zastanawiali się nad tym, co właśnie powiedział Gamaliel.

Ezdrasz zmusił się, by nie wykrzyknąć na głos słów protestu. Bo i co by to dało? Nie był przecież członkiem Rady. Spojrzał na Gamaliela i poczuł, jak znów wzbierają w nim gorycz oraz gniew. Został zdradzony przez najlepszego przyjaciela.

Stał w milczeniu, gdy z powrotem przyprowadzono apostołów. Arcykapłan poważnym tonem nakazał im, by nigdy więcej nie przemawiali w imię Jezusa, po czym rozkazał strażnikom ich wyprowadzić i publicznie wychłostać.

Ezdrasz opuścił komnatę zaraz po tym, jak apostołowie zostali wyprowadzeni. Słyszał, że ktoś go woła, lecz nie odwrócił się. Jego umysł i serce zaciśnięte były w przepełnionej gniewem pewności, że to jeszcze nie koniec. Zemsta będzie musiała nadejść z innej strony.

\*\*\*

Linuks dryfował w niejasnym stanie pomiędzy spaniem a czuwaniem. Za każdym razem, gdy głębiej zapadał w sen, śniły mu się oczy Albana proszące, by zrozumiał, zaakceptował, a także ludzie ustawiający się po jednej stronie ulicy. W śnie tym, sam Linuks również tam leżał, przykuty do noszy, razem z innymi chorymi, kalekami i szaleńcami. Czekał, aż padnie na niego cień pewnego brodatego Judejczyka.

Było już blisko świtu, gdy usłyszał dziwny, cichy dźwięk, jakby jakiś cień przesuwający się nad jego łóżkiem. Wiedział, że powinien otworzyć oczy i to sprawdzić, był jednak wyczerpany wieloma nocami wypełnionymi przerywanym, niespokojnym snem. Hałas dalej go budził, lecz zdecydował, że jeśli to jest złodziej, to niech sobie weźmie, co tylko znajdzie, o ile tylko oznaczałoby to dlań kilka godzin przyzwoitego odpoczynku.

Gdy się wreszcie obudził, słońce świeciło już mocno, wypełniając blaskiem całe pomieszczenie. Nie wstając z łóżka przyglądał się odciskom stóp na piasku. Przechodziły one przez pokój i kończyły się przy jego łóżku.

- Kto tu jest?
- To tylko ja, panie.
- Jakub?

- Tak, panie.
- Co robisz pod moim łóżkiem?

Jakub wyturlał się, pociągając za sobą brudne okrycie. Jego koc śmierdział potem i końmi, co sugerowało, że znalazł go w jednym z boksów w stajni i przyniósł tu ze sobą.

- Panie, proszę, nie odsyłaj mnie. Jak wiesz, jestem świetnym sługą. Mogę być na twoje posyłki do czasu, aż...

- Czyj to głos? - odezwał się ktoś z drugiego pomieszczenia.

Twarz Jakuba wykrzywiła się w strachu. Wczołgał się z powrotem pod łóżko, gdy z przyległego pokoju dobiegł odgłos niepewnie stawianych kroków.

W drzwiach ukazał się stary sługa, Julian, z kubkiem w dłoni.

- Czy oddajesz się teraz rozmowom z duchami?  
- Nie, chyba że te duchy mają brudne nogi i jedzą tyle, co dziesięciu chłopca.

- Ach, to ten chłopak, o którym mi mówiłeś.

- Nie inaczej - Linuks usiadł na łóżku, wziął od Juliana kubek i kopnął jedną ze stóp chłopaka wystających spod łóżka. - Wychodź. Niech no Julian ci się przyjrzy.

Były legionista popatrzył na chłopaka.

- Co ty masz we włosach? Trociny?  
- Uczy się na cieśle. Ale nie jest z tego powodu szczęśliwy.  
- Nienawidzę tej pracy - przytaknął Jakub. - Proszę cię, panie, błagam...

- Daj mi się napić łyka herbaty, zanim znów zaczniesz te swoje błaganie.

Linuks wskazał kubkiem na chłopca.

- Daj mu coś do jedzenia.

Julian przyjrzał się Jakubowi z niesmakiem.

- Sugerowałbym, żeby najpierw się umył.  
- Chłopcy w tym wieku mogą przeżyć kilka tygodni bez mycia, natomiast muszą być stale dokarmiani - gdy Julian, kuśtykając, opuścił izbę, Linuks zwrócił się do Jakuba.

- Czy coś się stało?

- Uciekłem, kiedy... No cóż, uciekłem - niechętnie odpowiedział chłopak. Wczoraj wróciłem do pracy, bo musiałem coś zjeść. A potem

dowiedziałem się... Boję się.

To było coś nowego. Chłopak zawsze wykazywał się dużą dozą odwagi.

- Czego się boisz?

- Sanhedryn aresztował apostołów.

Julian gwałtownie się zatrzymał, niosąc chleb i ser. Linuks i starszy sługa wymienili spojrzenia.

- Kiedy to się stało? - spytał Linuks.

- Wczoraj po południu.

- Wiesz, o co ich oskarżono?

- Nauczali w Krużganku Salomona.

Linuks znów spojrział na swego sługę, który wzruszył ramionami. Linuks pociągnął chłopaka wolną dłonią, pomagając mu wstać.

- Chodź, siadaj przy stole.

Jakub jadł z wilczym apetytem, a pomiędzy kęsami snuł opowieść. Julian oparł się o framugę drzwi, obserwując go czujnym okiem żołnierza. Chłopak nie przestał jeść ani mówić, aż talerz został opróżniony do ostatniego okruszka.

- Powiedz, czy dobrze zrozumiałem - powiedział Linuks. - Rządzący tam Judejczycy traktują to patio za budynkiem Rady jako miejsce święte, które mają prawo używać jedynie starsi nauczyciele. A apostołowie zaczęli je traktować jak swój własny posterunek.

- Jakby specjalnie chcieli sprowokować Radę - wtrącił Julian.

- Niezupełnie - zaoponował Jakub, głaszcząc się leniwie po brzuchu. - Oni uważają, że Sanhedryn już nie mówi w imieniu Boga. Celem religijnych przywódców jest trzymanie się u władzy, a nie pomaganie ludziom.

- A apostołowie? W czym imieniu przemawiają? - spytał Linuks.

- Oni otrzymali autorytet od Pana - odparł Jakub. - Wypełnia ich Duch Święty i wtedy przemawiają. Dla nich jest to logiczne, że powinni mówić do ludu z miejsca świadczącego o autorytecie, takiego właśnie, jak Krużganek Salomona.

Brwi Juliana uniosły się w zdumieniu.

- Sam to wszystko wymyśliłeś?

Młodzieniec potrząsnął głową.

- Nie, ale potrafię słuchać. A Abigail ostatnio nie mówi o niczym innym.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego uciekłeś - powiedział Linuks.

- Alban chce, żebym pracował u niego, w Galilei. Ale ja chcę mieszkać tu i zostać legionistą. Abigail mówi, że muszę z nim jechać. A nasi przywódcy... - Jakub posmutniał. - Nie wiem, co robić.

Linuks pomyślał, że Abigail należy teraz do innego mężczyzny i zastanawiał się, czy kiedykolwiek uwolni się od palącego pragnienia, by należała do niego.

- Wróćmy jeszcze do tego, co powiedziałaś, chłopcze - zagadnął Julian. - Ci, którzy chcą, żebyś wyjechał na północ kraju, to ci sami przywódcy, którzy zostali aresztowani przez Sanhedryn?

- Tak, ale apostołowie znów są wolni.

- Sanhedryn już ich uwolnił?

- Nie, panie. W nocy do więzienia przyszedł anioł i to on ich uwolnił. A dziś rano poszli znów nauczać w Kruźganku.

- Nadal tam uczą, choć im zabroniono? - twarz Juliana wyrażała zdziwienie zmieszane z urazą. - Sanhedryn im głowy pourywa.

Linuks również był zdumiony.

- Po co oni prowokują Radę?

- Nie obchodzi ich, co Rada powie, ani co zrobi. Słuchają rozkazów naszego Pana. Ale ja... - urwał i zatrzymał wzrok na pustym talerzu.

- Wiesz, że wkrótce nastanie dzień, kiedy Sanhedryn ukarze was wszystkich - zauważył cicho Linuks.

- Abigail mówi, że to wszystko dzieje się w jakimś celu - Jakub patrzył to na jednego mężczyznę, to na drugiego. - Mówi, że musimy być silni i ufać Bogu. Mówi, że jesteśmy oddzielani od wszystkiego, co nieczyste, od wszystkiego, co nie pochodzi od Boga. A ja nie rozumiem, o czym ona mówi! Widzę tylko... śmierć.

Linuks wstał.

- Dobrze zrobiłeś, Jakubie, że tu przyszedłeś.

- Dokąd idziesz? - spytał Julian.

- Wychodzę. Postaram dowiedzieć się, ile będzie możliwe.

Wiek i stan zdrowia nie pozwalały Julianowi na szybkie poruszanie się, ale i tak udało mu się stanąć w drzwiach tak, by zagrozić drogę

Linuksowi.

- Dobrze przemyśl, co chcesz uczynić. Jeśli prefekt jest taki, jak o nim mówią, nie możesz pozwolić, by choć przez chwilę pomyślał, że stoisz po stronie ludzi, których on być może zechce zgładzić.

Linuks ominął swego sługę.

- Przestraszysz chłopaka - powiedział szeptem.

- To najlepszy czas, żeby się dobrze schować i siedzieć cicho.

- Zostań z Julianem. Wróć niebawem - powiedział Linuks do Jakuba. Gdy doszedł do schodów, usłyszał, jak ktoś woła go z dołu po imieniu.

- Tu jestem!

Żołnierz z domu prefekta wszedł po schodach i rozejrzał się po komnacie z nieukrywaną pogardą.

- Gubernator Marcellus przesyła pozdrowienia i zaprasza, byś dołączył do niego jutro na arenie.

Linuks słyszał już, jak żołnierze w twierdzy mówili o nadchodzących igrzyskach, które organizował prefekt. Niektórzy się cieszyli, lecz większość traktowała tę sprawę z pogardą. Większość prawdziwych wojowników nie miała czasu na arenę. Zapach krwi zmieszanej z piachem przywoływał wspomnienia z bitew, o których woleliby nie pamiętać. Lecz Linuks wiedział, że jest to rozkaz, a nie zaproszenie, które może odrzucić.

- Powiedz, proszę, gubernatorowi, że dziękuję za zaproszenie i jestem zaszczycony.

Żołnierz zasalutował, po czym dodał:

- Na dole czai się jakiś mężczyzna. Wygląda, jakby pracował przy karawanach, albo jak złodziej.

- Dziękuję. Już schodzę.

Gdy żołnierz się oddalił, spanikowany Jakub skoczył do Linuksa.

- Alban po mnie przyszedł!

- Nigdzie cię nie zabierze.

- Ale on jest moim opiekunem! Może mi kazać...

- Jesteś pod opieką rzymskiego oficera. Zejdę i zobaczę, co ma do powiedzenia.

Linuks zastał Albana w stajni, gdzie czyścił konia zgrzeblem i rozmawiał z uśmiechniętym stajennym. Długimi pociągnięciami



szcotkował lśniący bok zwierzęcia i przemawiał w takt swoich ruchów. Zbliżywszy się, Linuks usłyszał, że Alban mówi o Rabbim Jezusie. Zatrzymał się przed stajnią i słuchał, jak jego dawny przyjaciel przemawia łagodnym tonem, który uspokajał zarówno konia, jak i człowieka. Poczul nagły, palący gniew na tego judejskiego Boga, który nie dał mu poślubić kobiety, której pragnął. Miał w zanadrzu tuzin powodów, dla których Alban powinien był mu pomóc w załatwieniu tej sprawy. Zamiast tego Alban i inni wyznawcy przywoływali imię tego zmarłego Proroka, jakby wznosząc mur pomiędzy sobą a resztą świata. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że ta myśl jest tak samo niedorzeczna jak jego gniew. Dziewczyna została obiecana innemu, a jeśli ci ludzie chcieli wznosić mur, by się oddzielić od ludzi takich jak on, to czemu ryzykowali życiem wracając na Krużganek Salomona?

Alban oddał stajennemu zgrzebło i zaprosił go dziś wieczorem na kolację z innymi wierzącymi. Poklepał bok konia, podniósł głowę, a ujrawszy Linuksa podszedł do niego.

- Nie tęsknię za zbyt wieloma rzeczami w mojej dawnej żołnierskiej służbie. Ale muszę przyznać, że strażnicy karawan nie dosiadają tak pięknych koni.

- Czego chcesz?

Alban musiał usłyszeć w głosie Linuksa więcej niż tylko to pytanie.

- Mój stary przyjacielu...

- To chyba proste pytanie. Czego?

- Przyszedłem po Jakuba. Słyszałem jego głos na górze, więc proszę, nie zaprzeczaj, że jest u ciebie.

- Nie zaprzeczam. Dlaczego miałbym zaprzeczać? Chłopak jest tu z własnej woli.

- Muszę z nim porozmawiać.

- Jakub chce zostać legionistą. Sam zaszczepiłeś w nim to pragnienie. I jest to jak najbardziej szczytny cel.

- On jest Judejczykiem i wyznawcą Księcia Pokoju. Jego przyszłość jest wśród jego ludu.

Linuks nie mógł się już dłużej powstrzymać.

- Tak samo jak kobieta, której mi odmówiłeś. Teraz jest zaręczona z innym - gorycz przepełniła usta Linuksa tak, że ledwie mógł mówić. - Jakub nie chce więcej z tobą rozmawiać.

- Nie odmawiaj z zemsty, widzenia się z nim. Chłopak jest w niebezpieczeństwie.

Linuks się odwrócił.

- Jakub dokonał wyboru. Tak samo jak ty.

- Czeka! - ręka Albana znalazła się na ramieniu Linuksa. - Powiedz Jakubowi, że obawiam się o jego życie. Czeka nas wszystkich więcej kłopotów.

- Nie jest to coś, czego Jakub już by nie wiedział - rzekł Linuks, strząsając dłoń Albana. - Gdybyś był takim przyjacielem, za jakiego się masz, pozwoliłbyś mi uchronić Abigail i jej brata.

- Abigail jest zaręczona z mężczyzną, którego pokochała, gdy razem służyli Bogu. Tego jestem pewien. Teraz rozmawiamy o *chłopcu*. Słyszałeś o wczorajszych wydarzeniach?

Spojrzenie Albana sprawiło, że Linuks się zatrzymał.

- Masz na myśli uwięzienie apostołów? Tak, Jakub mi powiedział.

- Wczoraj w nocy uwolnił ich anioł Boży. Dziś...

- To też mi powiedział. Rozumiem, że młody chłopak powtarza takie bzdury wierząc, że to się rzeczywiście wydarzyło. Ale ty, były legionista, były *oficer*, powinienes się lepiej zastanowić nad tym, jakie plotki powtarzasz.

Linuks spodziewał się, że zaraz wybuchnie między nimi kłótnia. Właściwie ucieszyłby się z tego, bo miałyby wymówkę, by raz na zawsze zerwać kontakt z przyjacielem.

Lecz Alban spojrzał tylko jeszcze uważniej na niego.

- Z twojego punktu widzenia, przyjacielu, twe słowa jak najbardziej mają sens. Ale wysłuchaj mnie. My, wyznawcy zmartwychwstałego Pana, codziennie oglądamy takie niezwykle wydarzenia. Jesteśmy otoczeni cudami. To, że Boży posłaniec uwolnił naszych uwięzionych przywódców jest niesamowite i rzeczywiście niewiarygodne - tak, zgadzam się. Lecz z mojego punktu widzenia jest to jedynie kolejny z serii cudów, które miały swój początek w dzień Pięćdziesiątnicy, gdy zstąpiły na nas języki ognia, a ja usłyszałem prawdę o sobie w mojej ojczystej mowie, wypowiedzianą przez kogoś, kto przedtem w ogóle nie znał ani nie słyszał o moim języku.

Linuks poczuł niejasne poruszenie gdzieś głęboko w duszy. Było ono odbiciem tego, co po raz pierwszy poczuł w mroku podwórza w szabat,

a następnie gdy patrzył, jak cień człowieka uzdrawia chorych i kalekich.

Alban musiał wyczuć tę zmianę, bo pochylił się jeszcze bliżej ku Linuksowi.

- Dołącz do nas, Linuksie, a zaznasz tej samej mocy. Ona uzdrowi ból w twoim sercu, ten ból, który jest cięższy niż jakiegokolwiek fizyczne cierpienia.

Linuks poczuł się rozdarty, jakby to zaproszenie było ostrzem, które mogłoby odciąć go od wszystkiego, co znał do tej pory i zostawić z czymś zupełnie nieznanym, a nawet przerażającym. Mimo to... Odwrócił się do Albana.

- To, co mówisz, z każdym słowem ma mniej sensu.

Lecz jego głos zabrzmiał niepewnie nawet w jego własnych uszach.

Alban patrzył na niego dłuższą chwilę, po czym westchnął.

- Powiedz Jakubowi, żeby pojechał ze mną do Galilei. Może podróżować jako strażnik karawany i zobaczyć świat z zupełnie innej perspektywy niż do tej pory. Już dawno powinienem był to zrobić. Ale myślałem, że lepiej będzie nie oddzielać go od siostry i że nauczy się więcej, co to znaczy być naśladowcą Jezusa, gdy będzie przebywał w towarzystwie apostołów. Widzę jednak, że być może się pomyliłem. Powiedz mu... Powiedz, że muszę wyruszyć za dwa dni. Mam nadzieję i modlę się o to, żeby pojechał ze mną. Wie, gdzie mnie znaleźć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Gdy Ezdrasz u boku Gamaliela przekraczał bramy Świątyni, atmosfera między nimi wciąż nie była oczyszczona. Gamaliel powiedział, że sprawa jest zakończona i nie będzie się więcej spierał ze swoim najstarszym przyjacielem i najbliższym doradcą. Ezdrasz milczał, a w środku aż kipiał od niewypowiedzianych słów.

Strażnicy świątynni powitali Gamaliela, lecz ten nie odpowiedział. Doszedłszy do placu przed Świątynią, skierował się w stronę tłumu zebranego pomiędzy Świątynią a zewnętrznym murem. Choć było prawie południe, wyglądało, jakby ludność Jerozolimy przybyła na poranne modlitwy i jeszcze nie wyszła.

Gdy zbliżali się do tłumu, Ezdrasz doznał nagłej wizji - tak wyraźnej, że przez moment poczuł, jakby cofnął się w czasie do dni swej młodości. Na nowo przeżywał dzień, w którym razem z Gamalielalem przechodzili przez podobny tłum. Byli tak pochłonięci dyskusją na temat fragmentu z Pisma, że nie zauważyli, jak ludzie się rozstępują, a potem idą za nimi. Szli wtedy do swojego nauczyciela, starszego faryzeusza, który czekał na nich przy Krużganku Salomona. Tego dnia ich nauczyciel stanął z boku i ruchem ręki nakazał Gamalielowi i Ezdraszowi, by kontynuowali dyskusję. Oni zaś zagłębili się z powrotem w ożywionej debacie z taką pasją, że nie zdawali sobie sprawy, że słucha ich całe zgromadzenie. Wreszcie Ezdrasz spojrzął na

nauczyciela, który zamiast irytować się, że zajęli jego mównicę, uśmiechał się. Podszedł do nich i chwycił ich za ramiona, po czym ogłosił słuchaczom:

- Zostawiam dzieło mojego życia w dobrych rękach.

A tłum zaśmiał się i zaczął klaskać.

Teraz jeden z głównych faryzeuszy w Radzie odwrócił się i spojrzał na Ezdrasza. Oblicze Gamaliela było tak posępne i pełne refleksji, że Ezdrasz zastanawiał się, czy jego przyjaciel nie przypominał sobie właśnie tego samego wydarzenia sprzed lat.

- Nie będę już więcej spierał się z tobą, Ezdraszu. Po prostu wyjaśnię ci, na tyle, na ile potrafię, z czego wynika moja troska. Czy uczynisz mi zaszczyt i wysłuchasz, co mam do powiedzenia?

*A czemu miałbym cię słuchać - chciał rzec Ezdrasz - skoro ty odmówiłeś owego zaszczytu mnie?* Lecz powiedział tylko:

- Wysłucham cię.

- Chodźmy więc - Gamaliel zaczął przeciskać się przez tłum.

Było to jeszcze trudniejsze niż poprzedniego dnia. Mężczyźni ustępowali im z drogi, cisnąc się tak, że ich szaty stały się dwoma ciemnymi ścianami. W normalnych okolicznościach, jako szanowany kupiec i uczonego oraz starszy członek Rady, byliby witani z pomrukiem świadczącym o szacunku, lecz dziś mężczyźni stali w milczeniu, a ich oczy płonęły wściekłością. Ich gniew nie był jednak wymierzony w Ezdrasza. On tylko szedł obok Gamaliela. Niewątpliwie rozeszły się już wieści o jego wystąpieniu przed Radą, powstrzymującym tych, którzy mieli władzę, by wylać swój gniew na wyznawców Drogi. Teraz Gamaliel szedł z pochyloną głową, patrząc na kamienie pod swymi stopami i nie dając po sobie znać, że zauważył reakcję stojących wokół ludzi.

Lecz Ezdrasz zauważył. Wściekłość zebranych wsiąkała w niego niczym eliksir, który pewnego dnia być może przyniesie ulgę jego palącej ranie.

Podobnie jak wczoraj, doszli do tego samego pasma kamieni, na którym nikt nie stał. Po przeciwnej stronie tego niepisanego podziału stała druga grupa, która zajmowała całą długość Krużganku Salomona.

- Czyli ich liczba się zwiększa - wymruczał do siebie Gamaliel.

- Co stanowi kolejny powód dla Rady, by zacząć działać - wysyczał Ezdrasz.

Choć jego słowa były przeznaczone tylko do uszu Gamaliela, mężczyźni stojący najbliżej wymamrotali gniewnie pod nosem, że Ezdrasz ma rację.

Gamaliel złapał Ezdrasza za ramię i pociągnął do przodu. Przeszli przez pustą przestrzeń i dotarli do końca drugiego tłumu, starając się usłyszeć, co mówią mężczyźni stojący na najwyższym stopniu krużganka.

- Spróbuj posłuchać nie skupiając się wyłącznie na swojej stracie, przyjacielu - powiedział Gamaliel. - Dla dobra nas wszystkich, błagam cię, spójrz i zobacz, co tu się dzieje. My, religijni Judejczycy, uciskany naród, musimy stać w jedności mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni niebezpieczeństwami. Zeloci, Rzymianie, Hasmoneusze - oni wszyscy mogą nas doszczętnie zniszczyć. Jeśli nasz naród kiedykolwiek potrzebował Mesjasza, to właśnie *teraz*.

- Ty chyba nie sugerujesz, że...

Gamaliel przerwał mu, pchając tak mocno na innych, że Ezdrasz poczuł, jak broda Gamaliela ociera się o jego ucho.

- Błagam cię, przestań się kłócić, tylko słuchaj. Prorocy mówią o tym czasie, kiedy Wybraniec Boży nas podzieli. Oddzieli wierzących od tych, którzy zostaną wyrzuceni na zewnątrz, w ciemności. Czy w całym swoim życiu pamiętasz czas, w którym ten podział był wyraźniejszy? Czy przypominasz sobie czas, kiedy cuda spadały jak deszcz z pustego nieba, kiedy słowa proroków wypełniały się tak dosłownie?

Ezdrasz poczuł uścisk Gamaliela na swym ramieniu.

- Ale przecież ich Nauczyciel *nie żyje*.

- Doprawdy? Jesteś tego pewien? - oczy Gamaliela przeszywały na wylot. - A zadałeś sobie choć trochę trudu, by posłuchać, co oni mówią? Wczoraj znów ogłosili swoje przesłanie, stojąc przed grupą ludzi, którzy grozili im śmiercią. Wyznają Mesjasza, który odszedł, aby Boży Duch mógł tchnąć na nich wszystkich; Mesjasza, który żyje *w nich*.

Ezdrasz wyszarpnął ramię z uścisku Gamaliela i odstąpił od niego o krok.

- Własnym uszom nie wierzę. Że też ze wszystkich ludzi dopadło to właśnie ciebie...

Gamaliel uczynił gest jakby chciał znów dotknąć ramienia przyjaciela, lecz zatrzymał dłoń, chwytając tylko powietrze.

- Błagam cię, pomyśl o tym, co mówię. Dla własnego dobra. Dla dobra naszego narodu. *A co, jeśli oni mają rację?*

Desperacka prośba wykrzywiła rysy Gamaliela w wyrazie prawdziwej udręki. Ezdrasz nigdy nie widział przyjaciela w takim stanie. Przez krótką chwilę poczuł, jakby dziedziniec Świątyni wypełnił jakiś wiatr nie z tego świata, jakaś moc tak silna, że przebiła się przez jego skórę, mięśnie i kości, wprawiając jego duszę w drżenie.

Spojrzał na tłum po drugiej stronie. Jeśli to w ogóle możliwe, ich gniew płonął jeszcze bardziej. Ezdrasz poczuł, jak ich gniew na nowo rozpalał wściekłość w jego własnym sercu. Świat znów wrócił do normy. Letni upał pozbawiał go sił.

Ezdrasz przeszedł z powrotem przez puste miejsce dzielące obie grupy. Ludzie nie tyle zrobili mu miejsce, co wchłonęli go jak jednolita masa. Spojrzał po raz ostatni na Gamaliela stojącego na krańcu drugiej grupy, wpatzonego w kamienną podłogę, pogrążonego w zamęcie i smutku.

Potem Ezdrasz został odciągnięty przez tłum.

\*\*\*

Nabierając wodę Abigail spojrzała w górę i zobaczyła znajomą postać w pustynnym odzieniu.

- Alban, jak cudownie! Myślałam...

- Nie mogę zostać zbyt długo - ostrożnie rozejrzał się po podwórzu, zanim usiadł, opierając się o kamienną ścianę studni. - Właściwie w ogóle nie powinno mnie tu być. Mam inne obowiązki.

- Na pewno masz chwilę, żeby coś zjeść.

- Ostatni raz jadłem przed świtem, więc twoja propozycja jest bardzo kusząca.

- Biegiem ci coś przyniosę - obiecała Abigail.

Chichot Albana ją zaskoczył.

- Proszę cię, idź normalnie. Aż tak szybko nie zniknę.

Wróciła niebawem, niosąc kubek świeżej wody ze studni i talerz z plackiem od Marty, nadzianym kozim serem i zieloną cebulką.

- Chodź - powiedziała kładąc jedzenie na najbliższym stole. Zjedz, proszę. Co cię sprowadza w środku dnia pracy?

- Jakub.

Jej serce podskoczyło.

- Znalazłeś go?

- Jest z Linuksem - Alban ugryzł kęs i obficie popił chłodną wodą. - Wygląda na to, że chce tam zostać.

Abigail posmutniała równie szybko, jak wcześniej poweselała.

- Nie podoba mi się to.

Alban przytaknął.

- Mnie to również martwi. Nie tylko wybór towarzysza. Martwię się o jego bezpieczeństwo.

- Co zrobimy?

Alban poruszył się na ławce, żując przy tym w zamyśleniu.

- Jest jeszcze coś, Abigail. Martwię się również o ciebie. Wszędzie krążą plotki. Właściciele karawan opowiadają sobie historie przy ogniskach, ludzie szepczą po domach. Sanhedryn coraz bardziej piekło się o to, że wyznawcy Drogi codziennie rosną w liczbę. Nawet Rzymianie boją się, że wkrótce stracą nad tym kontrolę.

Lecz myśli Abigail wciąż krążyły wokół brata.

- Musi być coś, co możesz powiedzieć, żeby Jakub...

- Ty też musisz jechać ze mną do Galilei - przerwał jej Alban. - Mogłabyś pomóc Lei przy dziecku, kiedy się urodzi.

Abigail spojrzała na swego przyjaciela i opiekuna z nikłym uśmiechem.

- Zapomniałeś już? Przecież jestem zaręczona.

- Szczepan może po ciebie przyjechać, kiedy będzie gotowy do ślubu. Sprawy powinny się niedługo uspokoić i wtedy będziesz mogła bezpiecznie wrócić. Albo Szczepan może pojechać z nami już teraz. Jest mnóstwo pracy...

- Szczepan ma swoje obowiązki tutaj. Zajmuje się dystrybucją żywności wśród najbiedniejszych. Przemawia w synagodze Libertynów. Och, Albanie, gdybyś tylko mógł go posłuchać. Ludzie go kochają, a on



kocha ich. Jestem pewna, że nie mógłby stąd wyjechać. Tu jest jego miejsce i powołanie. A teraz moim powołaniem jest służyć wraz z nim.

Choć Alban wciąż wyglądał na wielce zatroskanego, powiedział tylko:

- Wygląda na to, że jesteś bardzo pewna tego, co chcesz robić w przyszłości.

- Długo i żarliwie się w tych sprawach modliłam, Albanie. Ja też słyszałam różne pogłoski. Wiem, że sytuacja jest niepewna, lecz Bóg pozostaje Bogiem pełnym mocy. Moje miejsce jest tu, u boku Szczepana. Gdzie bylibyśmy bezpieczniejsi niż w miejscu, w którym Bóg nas postawił?

Alban wyciągnął do niej rękę, ale zaraz je opuścił.

- Moja droga Abigail, nawet nie wiesz, jak piękne są twoje słowa.

- Jeśli w moich słowach jest jakieś piękno, to tylko dlatego, że Bóg je we mnie zaszczepił.

- Powiem o tym Lei - Alban wstał. - Oczywiście, będzie rozczarowana, ale zrozumie.

Abigail również wstała.

- A co zrobimy z Jakubem?

- Widziałas się z nim w ogóle od...

- Nie. Jego nauczyciel w stolarni powiedział, że pewnego ranka Jakub wrócił do pracy, a potem znowu przepadł. Nie wrócił do naszego mieszkania. Bardzo się martwię - zawahała się, po czym wyznała: - W mojej duszy trwa nieustanna bitwa. Czemu w niektórych sprawach tak łatwo jest zaufać Bogu, a jednak... obawiam się, że z powrotem przyjmuję na siebie ciężar troski o Jakuba.

- Bóg o nim nie zapomniał - zapewnił ją Alban. - Módl się dalej. To może trochę potrwać, lecz jestem pewien, że odpowiedź z nieba w końcu nadejdzie i Jakub powróci.

\*\*\*

Tego wieczoru Abigail przygotowywała się do pójścia do małej izdebki, którą nazywała domem, gdy z cienia wyłonił się Szczepan.

- Martwię się o ciebie, kiedy wracasz po ciemku, Abigail. To niedobrze, że chodzisz tak sama. Zwłaszcza teraz...

- Większość drogi idę z innymi ludźmi. Tylko w tej ostatniej uliczce jestem sama.

- Myślę o tym, żeby porozmawiać z Piotrem. Może udałoby się urządzić ci jakiś pokój na górze nad magazynami żywności.

- Proszę cię, Szczepanie. Nie ma powodu do zmartwień

- Ale ja się martwię.

Rzeczywiście, ton jego głosu oraz wyraz twarzy wyrażał to jeszcze lepiej niż same słowa.

- I jestem ci za to głęboko wdzięczna. Ale naprawdę wolałabym na razie zostać tam, gdzie jestem.

- Obiecuj, że będziesz zawsze wracać w towarzystwie innych. A może znajdzie się kilka osób, które zgodzą się odprowadzać cię pod sam dom? Popytam wśród wierzących.

Abigail chciała zaprotestować, ale Szczepan uciszył ją podniesieniem ręki.

- Bądź ostrożna. Nie chcę cię stracić, jeszcze zanim cię poślubię - powiedział z błyskiem w oku.

Uśmiechnęła się, lecz zaraz jej twarz przybrała poważny wyraz.

- Pamiętaj o naszym Panu. Bóg, który wyprowadził naszych przywódców z więzienia, jest tym samym Bogiem, który kroczy ze mną co noc.

On również się uśmiechnął. Jego uśmiech był bardzo łagodny i czuły.

- Oczywiście. Niech Bóg będzie z tobą.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Linuks i Jakub wspinali się drogą wychodzącą z miasta, obchodząc dookoła Górę Oliwną. Ludzie zmierzający w tym samym kierunku stanowili wesołe towarzystwo. Przeciwna strona drogi przedstawiała się zupełnie inaczej. Judejczycy przybywający do Jerozolimy pochodzili zwykle z otaczających ją wiosek. Wielu z nich było bardzo ubogich, wielu wyglądało na chorych. Najślabi byli przewożeni na wozach ciągniętych przez osły lub transportowani na noszach. Po osiągnięciu każdego kolejnego wzniesienia - i ujrzeniu na nowo murów miasta pojawiających się na horyzoncie, pielgrzymów, nawet tych w największej potrzebie, ogarniała nowa nadzieja.

Idący w kierunku przeciwnym starali się ignorować judejską biedotę. Wszyscy byli albo Rzymianami, albo ich sprzymierzeńcami. Szli do amfiteatru zbudowanego na takie właśnie okazje. Nowy gubernator Judei ogłosił dzisiejszy dzień świętem.

Gdy okrążyli Górę Oliwną, mury Jerozolimy oraz błyszczący dach Świątyni w końcu zniknęły im z oczu na dobre. Wkrótce potem skręcili w brukowaną drogę prowadzącą na północ. Od tego miejsca cała droga należała do tych, którzy przysięgali wierność Rzymowi. Fakt, że już nie musieli dzielić jej z kalekami i chorymi, był dla wszystkich ulgą. Przez kilka krótkich godzin mogli zapomnieć o rozciągającym się za nimi mieście, z jego kipiącym niezadowoleniem ludem. Rzym panował nad

setką różnych plemion i ras, lecz żadna z nich nie wierzyła pod rzymskim butem tak długo jak Judejczycy.

Linuks poczuł, że coś go gnębi. Zszedł z drogi i odwrócił się.

Jakub spojrział na niego pytająco.

- Chwileczkę.

Linuks wszedł na strome wzniesienie, z którego widać było tamte dwie przecinające się drogi. W oddali ciągnęła się droga z Cezarei, którą zewsząd nadciągał nieustający strumień chorych, biednych i udręczonych.

Jakub podszedł do Linuksa i stanął obok niego.

- Na co patrzysz, panie?

Linuks nie odpowiedział. Jego uwagę przykuło morze ludzi wlewające się do miasta. Przypomniawszy sobie, jak Piotr szedł ulicą do Świątyni. Gdy jego cień padał na ludzi leżących wzdłuż wschodniej ściany, wszyscy wyskakiwali z łoża cierpienia i chwalili swego judejskiego Boga.

- Panie?

Linuks spojrział na chłopaka. Jakub stał w jego cieniu, a jego twarz wyrażała zakłopotanie. Linuks czuł, jak żołądek wywraca mu się do góry nogami, gdy pomyślał, co czeka ich na końcu tej drogi. *Jaki ja mam wpływ na Jakuba?* Jego cień nie przynosił zdrowia, życia i radości. Zamiast tego ten młody człowiek, który mu zaufał, wiedziony był w kierunku...

- Dość tego - wymamrotał Linuks do samego siebie. - Idziemy.

Droga do amfiteatru została ostatnio naprawiona. Mimo to oczywistym dla Linuksa było, że dawno tędy nikt nie podróżował. Poncjusz Piłat gardził prowincjonalnymi igrzyskami. Nienawidził też Jerozolimy. Droga do areny nie była używana przez dziewięć długich lat. Pomiedzy nią a miastem rozciągał się jeden z trzech obozów, rozbijanych przez Judejczyków przyjeżdżających na czas świąt. Dziś obóz był pusty, jeśli nie liczyć kamieni położonych dla oznaczenia granic oraz śladów ognisk. Droga służyła jako naturalna granica, bo żaden religijny Judejczyk nie pomyślałby nawet o zbliżeniu się do miejsca krwawych igrzysk choćby o krok bliżej, niż było to konieczne.

Nowy prefekt przywiózł ze sobą rzymską żądzę krwi rozlewanej na piaskach areny. Marcellus ogłosił trzydniowy festiwal igrzysk i swawoli,

by uczcić nowego cesarza.

Gdy zza horyzontu wyląniał się już rzymski stadion, Jakub przerwał Linuksowi jego zamyślenie.

- Przyszli do mnie zeloci - w jego głosie słychać było nutę dumy.

Linuks zatrzymał się i spojrzał na Jakuba.

- Przynajmniej tak sądzę, że to byli oni - powiedział. - Znaleźli mnie przez wspólnego przyjaciela. Pytali, czemu spędzam z tobą czas - twarz Jakuba poczerwieniała. - Powiedziałem, że jesteś moim przyjacielem. Nie spodobało im się to.

Linuks chwycił za rękaw tuniki Jakuba i poprowadził go na bok zatłoczonej drogi.

- Co dokładnie ci powiedzieli?

- Że są lepsze sposoby na spędzanie czasu dla silnego Judejczyka niż...

Jakub wbił wzrok w ziemię.

- Mów, chłopcze. Bywałem wyzywany gorzej niż cokolwiek, co oni o mnie powiedzieli.

- Powiedzieli, że rzymskie psy nie pozostaną już zbyt długo w Judei. I że uciekniesz razem z innymi.

- Tak powiedzieli?

- I że mogą mi dać cel i kierunek, abym zachował swoje dziedzictwo. Ale jeśli pójdę z nimi, to nigdy nie wrócę - na twarzy Jakuba malowała się powaga. - Powiedziałem im, że chcę zostać legionistą. Oni...

Jakub kopnął kamyk pod stopami.

- Tak? Mów dalej.

- Splunęli na kurz u moich sandałów. Powiedzieli, że takie coś wyklucza mnie na zawsze z judejskiej rodziny.

Linuks widział, że Jakub jest z tego powodu wewnątrznie rozdarty. I miał w głowie wszelkie argumenty, żeby chłopaka przekonać. Rzymianie władali największym imperium, jakie świat do tej pory widział. Wstąpiwszy do legionów, Jakub stałby się częścią najpotężniejszej armii na świecie. Lecz w tej chwili Linuks potrafił myśleć tylko o tym, jak cień Piotra padał na ludzi na ulicy w Jerozolimie, a ci wstawali zdrowi i zaczęli tańczyć.

Linuks poprowadził chłopaka z powrotem na drogę.

- Chodź, chłopcze. Czeka nas dzień pełen wrażeń.

Przy drodze stały teraz prowizoryczne stragany. Greccy kupcy sprzedawali mięso przyrządzone na słodko lub pieczone, karafki taniego lokalnego wina, owoce i ryż. Pospólstwo używało kolorowych parasoli, by ochronić się przed słońcem. Bliżej areny przybysze tłoczyli się wokół straganów przyjmujących zakłady. Ich właściciele zachęcali klientów, wykrzykując stawki. Rywalizujący ze sobą mężczyźni wiwatowali lub buczeli, gdy robiono zakłady, stawiając na konkretnych zawodników.

Linuks i Jakub, otoczeni przez najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Judei, zmierzali w kierunku południowych bram, gdzie obok sztandaru cesarza wystawiony był sztandar prefekta.

Wejście było strzeżone przez osobistych strażników konsula. Linuks odwzajemnił ich salut i wkroczył do zacienionego przejścia. Kamienne, świeżo wyczyszczone ściany lśniły, pachnąc cytryną oraz tymiankiem. Linuks wyszedł znów na słońce i spojrzał w dół schodów, na miejsce gubernatora. Wtedy zorientował się, że nie ma przy nim Jakuba.

Szybko zawrócił i dobiegł do miejsca, gdzie schody wynurzały się z cienia. Jakub stał u wejścia z rozdziawioną buzią i rozglądał się po stadionie.

Dla Linuksa był to amfiteatr jak sto innych znajdujących się w różnych rzymskich prowincjach. Zbudowany został na szczycie wzgórza, na północny zachód od Getsemane i Góry Oliwnej. W przeciwieństwie do teatru zlokalizowanego na południowy wschód od Jerozolimy lub hipodromu na południowym zachodzie, ten stadion mógł służyć za miejsce różnych wydarzeń. Był wystarczająco duży, by pomieścić całą rzymską ludność zamieszkałą w tym regionie oraz dużą liczbę ich hellenistycznych sojuszników. Na kamiennej podstawie ustawione były tradycyjne rzędy drewnianych siedzeń. Cała konstrukcja wydawała się stroma i jakby niewykończona, jakby ktoś zaczął budowę, po czym stracił entuzjazm w połowie pracy. Jednak w porównaniu z rzymskim Koloseum, które mogłoby pomieścić cztery takie prowincjonalne areny, Linuks nie widział w tym miejscu nic aż tak niezwykłego.

Linuks chwycił chłopaka za ramię i poczuł, jak ten zaczyna iść, jakby zbudzony ze snu.

- Chodź.
- Ten stadion sięga aż do chmur!
- Niezupełnie.

Gdy schodzili po schodach, Jakub wpatrywał się w piaski areny.

- Patrz, dwa niedźwiedzie tańczące na tylnych łapach!

Linuks ledwie spojrzał.

- Zdumiewające.

- I tam, mężczyźni wskakujący jedni na drugich, tworzą ludzką piramidę! Jak oni...?

- To akrobaci, spędzają na takich ćwiczeniach całe życie.

Linuks zajrzał do łoża królewskiej. Różnokolorowy daszek zapewniał przyjemny cień. Przy jego drewnianych filarach, udekorowanych kwitnącą winoroślą stało trzech wartowników. Dwa dymiące kadzidła dawały miły zapach. Siedziało tam już pół tuzina ludzi, jedząc, śmiejąc się i nie zwracając zbyt uwagi na występy na arenie. Linuks upewnił się, że konsula jeszcze nie ma i wrócił do Jakuba.

- Chodź, mamy coś do zrobienia.

Pod piaskami areny znajdował się mroczny świat słabo oświetlonych pomieszczeń. Kamienne ściany nie przepuszczały dźwięków na zewnątrz, więc miejsce to było wypełnione taką wrzawą, iż nie sposób było odróżnić poszczególnych odgłosów. Nieliczne okna umieszczono wysoko w zewnętrznych ścianach, a światło słoneczne wpadało przez ciasno okratowane otwory. Wzdłuż ciemnych korytarzy trzeszczały i dymiły pochodnie. Większe pomieszczenia podzielone były na klatki, w których mieściły się wszelkiej maści dzikie bestie: hieny, tygrysy, niedźwiedzie - i ludzie.

Trzy rampy prowadziły w górę do zakratowanych drzwi, przez które wlewały się strzępy światła słonecznego oraz wrzawa tłumu. Linuks wszedł do kwater przeznaczonych dla naczelnika areny, położonych nad trzecią rampą.

- Spóźniłeś się - przywitał go przysadzisty żołnierz, o wysuszonych i spalonych słońcem rysach byłego mieszkańca pustyni. Miał na imię Krasjusz. Mówił niskim, zachrypniętym głosem, co niewątpliwie było spowodowane przez ranę, która kiedyś przecięła mu szyję.

Linuks polecił Jakubowi, by stanął w słabo oświetlonym rogu pomieszczenia.

- Gdzie twoi ludzie?

- Ta oferta, o której mi powiedziałeś, to prawda?

- Zbierz ludzi - powiedział Linuks. - Nie będę dwa razy powtarzał.

Żołnierz już chciał się spierać, lecz w końcu wstał i ciężkim krokiem udał się w kierunku drzwi. Najwyraźniej jego ludzie czekali na znak od niego, gdyż na zawołanie Krasjusza szybko pojawiło się ośmiu legionistów. Krasjusz usadowił się z powrotem w swoim skórzanym krześle i warknął na Linuksa:

- Streszczaj się.

Linuks sięgnął do przewieszzonego przez ramię worka i powoli wyjął zwój z pieczęcią gubernatora.

- Potrzebuję ludzi gotowych zrobić wszystko, żeby wypełnić wolę prefekta.

- A jakie to zadanie? - warknął Krasjusz.

- Dowiedcie się dopiero w dniu wykonania zadania. I tylko jeśli się wcześniej zgodzicie.

- Co to za tajemnicza umowa? - roześmiał się drwiąco jeden z mężczyzn.

- Taka, która uwolni was z tego miejsca - Linuks machnął zwojem tak, że orzeł na pieczęci zalśnił w świetle pochodni. - Zadanie jest niebezpieczne. Lecz w zamian za wykonanie rozkazów prefekta wszyscy zostaniecie przywrócenii do swoich dawnych pozycji. Ale nie tutaj. Zostaniecie wysłani, że tak powiem... do miejsca bardziej przyjaznego.

Zebrani żołnierze wyglądali na najemników. Mieli okrutny wyraz oczu, chytre rysy twarzy i odznaczeni się brutalną siłą. Bez wątplenia byli to awanturnicy, złodzieje i bestie posługujące się tylko siłą pięści. Zostali tu przydzieleni w ramach kary za różne zbrodnie, lecz zdecydowano, iż są zbyt cenni, by ich zabić lub okaleczyć. Ich zwierzchnicy mieli nadzieję, że pobyt we wnętrzu areny nauczy ich posłuszeństwa. Zostali tu przydzieleni niedawno, co oznaczało, że mieli przed sobą perspektywę miesięcy, a może nawet lat uwięzienia w tym miejscu, w piwnicach pełnych zwierząt, hałasu, smrodu i strachu.

- I dostaniecie sositą zapłatę. W złocie - dodał Linuks.

- To tylko słowa - zadrwił Krasjusz.



- Będziecie to mieli na piśmie. A pierwszą część zapłaty dostaniecie, gdy się zgodzicie.

- To może oznaczać tylko jedno: nikt nie spodziewa się, że przeżyjemy.

- Ryzyko jest ogromne. Tak samo jak nagroda.

Żołnierz wskazał na Jakuba.

- A chłopak co tu robi?

- Służ mi. I odgrywa kluczową rolę w tym zadaniu - Linuks wstał. - Idę zobaczyć się z konsulem. Oczekuję waszej odpowiedzi w ciągu godziny.

Gdy wrócili do łoża królewskiej, Linuks usadził Jakuba przy frontowej barierce.

- Zaczekaj tu na mnie. Oglądaj przedstawienie. Potem będziemy mieli coś do zrobienia.

- Tak, panie - uwaga Jakuba była już bardziej skupiona na pokazach odbywających się na piaskach areny.

- Wracam niedługo.

Linuks wspiął się po schodach i ukłonił postaci siedzącej na miniaturowym tronie.

- Panie, przyjmij najszczerze wyrazy wdzięczności za dzisiejsze zaproszenie.

- A, Linuks. Wspaniale.

Marcellus siedział na podwyższeniu, by jego oczy mogły znajdować się na tym samym poziomie, co ludzi stojących obok. Jego krzesło było połączane i znajdowało się w samym środku zacienionej łoży. Teraz, gdy gubernator już przybył, miejsce to zaroilo się od ludzi, których paplanina tryskała jeszcze większą wesołością. Marcellus wyglądał na rozdrażnionego.

- Zastanawiałem się już, co cię zatrzymało.

- Wybacz, panie. Musiałem załatwić jeszcze jedną sprawę, nim będę mógł zdać ci raport.

- Raport? Ach, tak, oczywiście... No, dobrze. Czyli chcesz powiedzieć, że to, czego szukałeś, znalazłeś na arenie?

- Tak, panie.

Linuks był zbity z tropu. Przypuszczał, że prefekt kazał mu tu przyjść, żeby móc go wypytać o skarbiec świątynny. Zamiast tego

Marcellus zachowywał się tak, jakby zapomniał o całej sprawie.

- To bardzo dobrze. Lecz moją uwagę przyciągnęło coś innego i chciałbym posłuchać twojej rady na ten temat - skinął na sługę, który stał w gotowości przy jego ramieniu. - Przynies Linuksowi krzesło.

Na te słowa odwróciło się kilka głów. Linuks w zdumieniu obserwował, jak na podwyższeniu umieszczono drugie pozłacane krzesło. Był to zaszczyt przysługujący zwyczajowo jedynie odwiedzającym arenę monarchom, bliskim sojusznikom lub bliskim członkom rodziny prefekta.

Marcellus musiał zauważyć zdziwienie Linuksa, bo powiedział:

- Czy to nie ja dobieram sobie zaufanych doradców? Nie mam do tego prawa? Czy może łamię kolejny zwyczaj tych przeklętych Judejczyków?

Sługa odpowiedział gładko:

- Jest to jak najbardziej chwalebny czyn, wasza wysokość - po czym przytrzymał oparcie krzesła i kiwnął głową na Linuksa, by ten usiadł.

Linuks spoczął na krześle ostrożnie, jakby testując, czy wytrzyma ono ciężar jego ciała. Prefekt świsnął w powietrzu bogato zdobionym wachlarzem, którego rączka wykonana była z rzeźbionej kości słoniowej i złota.

- Jestem w tym kraju niecały miesiąc, a już go nie znoszę.

Sługa przybliżył się znów, tym razem oferując Linuksowi wysadzany klejnotami kielich. Linuks chciał machnąć ręką dając znak, że go nie chce, lecz zauważył ostrzegawczy błysk w oku służącego. Wziął więc kielich, ale postawił go na poręczu krzesła.

- Proszę, powiedz mi, że ta kraina zyskuje przy bliższym poznaniu - powiedział Marcellus.

- Chciałbym, panie. Ale może twoje doświadczenia okażą się zupełnie inne niż moje.

Sługa pochylił się nad ramieniem prefekta i wyszeptał:

- Panie, twoi goście.

- Ach, no dobrze. Chyba nie mam wyboru - powachlował się nieco szybciej. - Ten upierdliwy trybun wyniósł się wreszcie do Damaszku, a mój dowódca wojsk wciąż jest gdzieś na morzu pomiędzy Judeą a Rzymem. Dlatego ty musisz mi posłużyć za doradcę.

Linuks ugryzł się w język, by nie wypowiadać od razu tego, co myśli. W twierdzy Antonia wciąż było obecnych kilku wyższych od niego rangą oficerów.

- Jestem na twoje rozkazy, panie - powiedział.

- Mój adiutant poinformował mnie o twoim obecnym miejscu zamieszkania. Linuksie, doprawdy? Nad garnizonowymi stajniami? To hańba, że oficer pełniący oficjalne obowiązki dla gubernatora śpi w komnatach niezdatnych nawet dla judejskiego pasterza kóz - Marcellus znów się powachlował. - To bez wątpienia robota tego nikczemnego Bruno Aetiusa. Dobrze, że się go pozbyliśmy.

Linuks otworzył usta, by to wyjaśnić, lecz szybko je zamknął. Co miał powiedzieć? Że kiedyś to miejsce wybrał jego przyjaciel, okryty złą sławą setnik, który przystąpił do sekty? Że cenił sobie swobodę i jednoczesne bliskie sąsiedztwo twierdzy Antonia oraz innych żołnierzy? Że spędził całe życie znajdując się w takiej właśnie sytuacji, blisko władzy, lecz jednak od niej odizolowany?

- Mogę tylko przypuszczać, że w twierdzy dla żołnierzy są jakieś odpowiednie apartamenty? - kontynuował gubernator.

- Tak, panie. Lecz są zarezerwowane dla trybuna i jego współpracowników.

- Ach, nonsens. Jestem prefektem czy nie? Trybun słucha moich rozkazów - przywołał sługę wachlarzem. - Napisz edykt. Jako mój doradca w sprawach wojskowych, Linuks Aureliusz ma dostać w twierdzy apartamenty, które sobie wybierze. I ma wybrać sobie współpracowników spośród żołnierzy. Do jego wynagrodzenia ma być dodana odpowiednia premia i wszelkie inne zwyczajowe udogodnienia.

Linuksowi zakręciło się w głowie od tych nagłych zmian. Patrzył, jak wachlarz porusza się w przód i w tył, mając świadomość tego, że owa szczodrość może się równie szybko zakończyć.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, panie - zdołał wypowiedzieć słabym głosem.

- Dobrze. Miło mi - Marcellus zwrócił się znów do służącego: - Wprowadź judejskich gości.

Gdy Linuks wstał, żeby odejść, prefekt dał znak wachlarzem, by usiadł z powrotem.

Chaotyczny gwar areny odbijał się echem w głowie Linuksa. Rozglądał się wokół siebie, lecz nic nie widział. Upił nieco z kielicha, ale nie wiedział nawet, co pije. Zauważył Jakuba stojącego za frontowym filarem łoży. Chłopak wydawał się czymś bardzo zaniepokojony. Lecz Linuks nic nie mógł na to teraz poradzić.

Sługa wrócił, prowadząc dwóch Judejczyków w uroczystych szatach. Ujrawszy ich, Linuks zapomniał o całym świecie. Starszy nosił się po królewsku. Skraj szaty miał owinięty wokół lewego ramienia. Ukłonił się, podnosząc lewą rękę jeszcze wyżej, jakby chciał zapobiec dotknięciu swą szatą kamiennej podłogi.

- Dziękuję, że zechciałeś z nami porozmawiać, ekscelencjo - powiedział tonem tak samo sztywnym jak jego ukłon.

- Nie rozumiem, dlaczego sprawy dotyczące waszej judejskiej Świątyni nie mogły zaczekać do następnej audiencji - rzekł Marcellus z irytacją.

- Panie, gdyby to była sprawa dotycząca jedynie Świątyni, nie śmielibyśmy niepokoić cię w czasie takiego święta.

- No, dobrze, dobrze - Marcellus wskazał na Linuksa. - Znacie zapewne mojego doradcę do spraw wojskowych, Linuksa Aureliusza.

- Do tej pory nie miałem tego zaszczytu - starszy z mężczyzn ukłonił się po raz drugi. - Jestem Verres.

- Verres jest moim emisariuszem w Radzie... Jak wy się nazywacie?

- Sanhedryn, ekscelencjo. Choć ja osobiście nie dostąpiłem zaszczytu zaliczania się do tej grupy wybranych. Jestem jedynie ich rzecznikiem.

- A kogóż to ze sobą przyprowadziłeś?

- To mój wspólnik, Ezdrasz, reprezentant judejskich kupców. Pomyśleliśmy, że głos warstwy kupieckiej mógłby zilustrować waszej ekscelencji, jak poważne...

- Tak, tak, wszystko rozumiem. Ale czemu twój ziomek jest tak ubrany?

Emisariusz był zdeorientowany.

- Panie?

Linuks oderwał wzrok od twarzy drugiego Judejczyka i wyjaśnił cicho:

- Verres jest saduceuszem, panie, a Ezdrasz faryzeuszem.

- A co mnie to właściwie powinno obchodzić?
- Saduceusze to zhellenizowani Judejczycy dominujący w Radzie. Faryzeusze stanowią tam mniejszość i postrzegają saduceuszy jako...
- Jako wrogów - odezwał się drugi z Judejczyków, a jego ciemne oczy wbiły się w Linuksa.

Zarówno Marcellus, jak i Verres, spoglądali to na jednego, to na drugiego.

- Znasz tego człowieka? - spytał Marcellus.
- Spotkaliśmy się już przelotnie - powiedział Linuks starając się, by jego głos nie drżał. - Ale nigdy nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni.

- No, no. Fascynujące - Marcellus był najwyraźniej zadowolony z widocznych oznak wrogości. - Dobrze, Verresie, mów dalej.

- Ekscelencjo, jak twój doradca słusznie stwierdził, my saduceusze nie zgadzamy się z faryzeuszami pod niemal każdym względem. Jednak ta sprawa jest tak ważna, że przedkładamy ją ponad stulecia nieporozumień i niezgody. Przychodzimy dziś do ciebie zjednoczeni głęboką troską w obliczu nowego zagrożenia dla rzymskiego panowania.

Eleganckie czarne szaty Ezdrasza były pozbawione ozdób, uszyte z lekkiego materiału, który powiewał w lekkim wietrze. Mężczyzna stał z dłońmi wetkniętymi w przeciwne rękawy.

- Jest to zagrożenie dla nas wszystkich.
- To prawda - Verres spojrzał na swego współnika, po czym mówił dalej: - Mówimy, panie, o tych, których nazywają wyznawcami Drogi.
- Ach, o tych uczniach zmarłego Proroka. Jak Mu było na imię?
- Jezus z Nazaretu - odpowiedział Linuks, słuchając uważnie.
- Znasz ich?
- Tak, panie. Miałem z nimi kontakt.
- Czy stanowią zagrożenie dla Rzymu?
- Z tego, co zaobserwowałem, panie, ich postępowanie jest zawsze pokojowe.
- Ekscelencjo, proszę - wykrzyknął Verres. - Pozwól mi...
- Czekał - warknął prefekt, po czym zwrócił się do Linuksa:
- Mów dalej.

- Ich przywódca rzeczywiście ogłosił, że jest władcą wszystkich Judejczyków. Ale został też ubiczowany i ukrzyżowany, nigdy nie nawołując swoich wyznawców do użycia przemocy.

- Czyli ta grupa wierzy w zmarłego?

- Oni twierdzą, panie, że Jezus został wskrzeszony z martwych przez judejskiego Boga.

- Nedorzeczność!

- Dokładnie, panie - powiedział natychmiast Verres. - Jednak takie oburzające historie przyciągają prosty lud. Wskutek tego w naszej społeczności tworzą się głębokie podziały.

Marcellus zmierzył obu Judejczyków badawczym spojrzeniem.

- Tak głębokie - spytał aksamitnym głosem - jak między dwoma waszymi ugrupowaniami?

- Głębsze. Znacznie głębsze - odpowiedział Ezdrasz.

- Lecz jeśli ta grupa nadal będzie postępować pokojowo - nalegał Marcellus - to jakie zagrożenie stanowi ona dla Rzymu?

- Będzie zakłócać wasze pokojowe panowanie.

- Co za bzdury! - Marcellus gwałtownie wstał z krzesła. Judejczycy cofnęli się o krok, robiąc mu miejsce. Linuks zauważył, że obaj stoją plecami do areny, najwyraźniej nic chcąc mieć nic wspólnego z rzymskim rozumieniem sportu.

- To wasza Rada, starszyzna i wasi zeloci są *niekończącą się* przyczyną zakłócania spokoju! - warknął Marcellus. - Na każdym rogu napastujecie mnie żądaniami i swoją sztywną arogancją! A teraz psujecie mi uroczystości twierdząc, że grupa pokojowo nastawionych Judejczyków stanowi zagrożenie dla Rzymu!

- Bo stanowi, panie.

Linuksa zadziwiła śmiałość mężczyzny.

- Nonsens. Oni stanowią zagrożenie *dla was!*

Emisariusz z Sanhedrynu nie wycofał się.

- Tak, to prawda, panie. Oskarżają nas, rządzącą z waszego pozwolenia Radę, o odpowiedzialność za śmierć tego tak zwanego Proroka. Używają Jego krwi jako środka, by podzielić twoich poddanych i zamienić ich w...

- Dosyć tych bredni! Usłyszałem wystarczająco, więcej nie ścierpię! Odejdźcie, obaj! A następnym razem, gdy będziecie prosili o pilną

audycję, mam nadzieję, że będzie to coś naprawdę pilnego, bo inaczej sam wam wywołam sytuację kryzysową!

Judejczycy pokłonili się po raz ostatni i szybko wycofali się z łoża. Wzrok mieli wbity w kamienie pod swymi stopami. Nawet po tym, jak się oddalili, wszyscy dookoła wciąż wstrzymywali oddechy. Prefekt przechadzał się jeszcze chwilę tam i z powrotem, po czym znów usiadł na swym krześle.

- Przynieście więcej wina! - krzyknął gniewnie.

Ledwie skończył zdanie, sługa trzymał już przed nim pełen kielich. Prefekt napił się, skrzywił, po czym odrzucił kielich od siebie.

- Nie te judejskie pomyje. Wnętrznosci mi się od tego wywracają. Przynieście mi trunku z Rzymu!

Sługa zniknął.

Linuks wiedział, że powinien coś powiedzieć, jakieś słowo porady. Lecz teraz, gdy Judejczycy odeszli, jego myśli wypełnił dźwięk słodkiego imienia dziewczyny, która nigdy nie będzie należała do niego. Jak to się stało, że kobieta, którą widział zaledwie kilka razy, tak zawładnęła jego sercem? Linuks westchnął.

Marcellus źle zinterpretował owo westchnięcie, ponieważ rzekł:

- Lepiej bym tego nie ujął. Ci Judejczycy i ich nieustanne skargi są jak wrzody.

Linuks wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w skąpaną w słońcu arenę. Jego umysł bezskutecznie próbował znaleźć jakieś dobre wyjście z tej sytuacji. Lecz Abigail była zaręczona z innym. Osaczyły go prochy zakazanych marzeń.

- A jednak - rzekł Marcellus do samego siebie - w tej skardze Judejczyków coś się może kryć.

Linuks powoli odzyskiwał zdolność skupienia uwagi. Odwrócił się do prefekta.

- Z pewnością nie byłoby to dla mnie korzystne, gdyby się okazało, że ta grupa jednak stanowi zagrożenie, i w jakiś sposób by się wydało, że zostałem ostrzeżony, a nic nie zrobiłem - rysy twarzy Marcellusa napięły się. - Chwilowo chyba musimy odłożyć na później dalsze kroki... jeśli chodzi o nasz projekt. Jeśli zagrożenie rewoltą rzeczywiście jest realne, nasze działania mogłoby wszystko pogorszyć i skłonić do otwartego buntu.

Linuks poczuł, jakby ktoś zdjął z jego ramion niewidzialny ciężar.

- Jak rozkażesz, mój panie.

- Nie powiedziałaś nikomu?

- Nikomu, panie. Nie było takiej potrzeby. I nie będzie do dnia, gdy każesz mi działać.

- Niech twoje plany pozostaną na razie w zawieszeniu. Porozmawiamy o nich znowu, gdy będziemy już mieli za sobą ten najświeższy problem - Marcellus odwrócił się do sługi czekającego tuż przy jego łokciu. Wziął od niego nowy kielich, spróbował i wydał z siebie jęk. - Ach! Ten słodki smak Rzymu! Niech imperium pokona tych wszystkich barbarzyńców i rządzi nimi w splendorze chwały!

Linuks wstał ze swego krzesła, co było od niego w tym momencie oczekiwane, i podniósł swój kielich.

- Za Rzym!

Reszta zgromadzenia wzniosła toast, a każdy próbował krzyczeć głośniejsze niż inni. Prefekt skinął głową, przyjmując te wrzaski jako należne mu uznanie.



## ROZDZIAŁ

# DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Prefekt znów skupił uwagę na arenie i Linuks wycofał się z ukłonem. Czuł ulgę, że Marcellus nie każe mu zostać. Sługa natychmiast zabrał puste krzesło z podwyższenia i wyniósł je. Podczas gdy inni goście zebrali się wokół prefekta, by wznosić w powietrze kolejne puste okrzyki na jego cześć, Linuks poszedł odnaleźć Jakuba, który próbował ukryć się za filarem. Jego ramiona się trzęsły, a dłonie zakrywały twarz. Linuks popchnął chłopaka do przodu i dyskretnie wyszedł.

Wrócili do miejsca, gdzie droga w stronę areny łączyła się z główną drogą prowadzącą do Jerozolimy. Jakub nic nie mówił, a Linuks go o nic nie pytał.

Linuks nie patrzył w ogóle na igrzyska. Nigdy nie podobały mu się krwawe zapasy. Jako wojownik pogardzał gladiatorami, okaleczaniem ludzi i zwierząt w ramach rozrywki. Lecz dla Jakuba, młodego Judejczyka niemającego pojęcia o rzymskich igrzyskach, był to najwyraźniej straszny szok. Od czasu do czasu drżały mu ramiona, co wskazywało, jak bardzo go to dręczy.

Droga przecinająca Górę Oliwną wciąż była pełna ludzi idących do miasta. Linuks i Jakub dołączyli do cichego tłumu i poddali się tempu marszu. Dla Linuksa było to zdecydowanie dziwne doświadczenie - być otoczonym przez judejski tłum, który nie zwraca na niego uwagi. Wzrok idących był skupiony na celu przed nimi. Prawdę powiedziawszy,

Linuksowi nie przeszkadzało wmieszanie się w tę zbieraninę. Bycie jedną z wielu osób idących w znoju, w popołudniowym upale i wśród pustynnego wiatru dodawało mu otuchy.

Jak fatamorgana w upale zamajaczyła przed nim piękna twarz Abigail i jego serce znów przeszła świadomość tego, że ona nigdy nie będzie należała do niego. Lecz bolał go również fakt, że wypaczył ludzkie pragnienie, czyniąc z niego coś, co gniło i wciągało go w mroczne myśli. Przez zgorzknienie i gniew był gotowy obrabować Świątynię. I po co? Żeby nowy prefekt zamordował jego brata. Marcellus służy cesarzowi, o którym Linuks wie, że to naprawdę zły człowiek. A wchodząc w ten układ, Linuks tylko dodał swoje nazwisko do zwoju złoczyńców i będzie musiał ponieść tego konsekwencje. Mógłby ubrać swoje czyny w słowa, jakie mu się spodobają. Może to nazwać zemstą. Może stwierdzić, że jest tylko posłusznym oficerem, dobrym dowódcą. Lecz niczego to nie zmieniało. Linuks prawie już stał się tym, czym najbardziej pogardzał, jeśli chodzi o imperium.

Złapał chłopaka mocniej za ramię, żeby nie zbaczał z drogi. Jakub wciąż się jeszcze nie odezwał, a Linuks z wyrazu jego twarzy mógł odczytać jedynie to, że chłopak jest zdruzgotany czymś, co zobaczył na arenie.

Linuks nabrał powietrza, żeby się odezwać, ale co miał powiedzieć? Że wszystko będzie dobrze? Jak ma mu przejść przez gardło takie kłamstwo, gdy sam był wcześniej gotowy posłużyć się tym judejskim chłopakiem, by dokonać straszliwej zbrodni wobec jego ludu? Bo taki był plan. Spełniłby marzenie chłopaka o zostaniu legionistą, deprawując go przy tym, zmieniając jego ambicję w czyny tak mroczne jak te, które Linuksowi zlecił prefekt. Zamiarem Linuksa było posłać Jakuba do Świątyni, gdzie Rzymianom nie wolno było wchodzić, żeby zobaczyć, do którego miejsca na jej terenie prowadzą drzwi w stajni. Miał też oszacować dystans stamtąd do budynku Rady i dowiedzieć się, gdzie dokładnie mieści się skarbiec. Jakub miał przejść się dookoła, obliczając odległość w określony sposób oraz zobaczyć, ilu strażników zostaje na warcie, gdy Świątynia jest zamykana na noc.

Linuksa przepełniał tak gorzki wstyd, że aż zaczął iść bardziej chwiejnym krokiem. Do tej pory jego bronią przeciw goryczy życia był cyniczny dowcip i ironiczny uśmiech. Teraz nawet z tego został odarty.

I wtedy, między jednym krokiem a drugim, to wszystko jakby z niego spadło.

Nie chodziło o to, że jego troski nagle zniknęły. Ale ich moc, by go schwytać, trzymać w żelaznym uścisku, oślepić i dławić jego serce – wszystko to nagle odpadło z jego duszy. I po raz pierwszy od tego wieczoru na judejskim podwórzu, Linuks *przejrzał na oczy*.

Owo uczucie objawienia wychodzące poza jego zdolność rozumowania czy postrzegania było dokładnie takie samo, jak tamtej niezwyklej nocy. Rozejrzał się po otaczających go wyrzutkach społeczeństwa i ujrzał siebie jako kogoś nie mniej potrzebującego niż oni, tak samo bezradnego wobec wewnętrznych udręk. To, co ujrzał, poniósł pokonując ostatnie wzniesienie i przechodząc przez bramy Jerozolimy. Nie czuł się już lepszy od potrzebujących, którzy szli obok niego wyboistą drogą. Nie obchodziło go, co pomyślą mieszkańcy miasta o pokrytym pyłem rzymskim oficerze wlokącym się z innymi, z dłonią na ramieniu smutnego judejskiego chłopaka.

Dotarli do szerokiej ulicy, prowadzącej ze Starego Miasta do głównej bramy Świątyni. Skierował Jakuba na bok i oparli się o wschodnią ścianę. Niedaleko nich stała para staruszków, tak słabych i wątłych, że trzymając się siebie nawzajem, wydawali się ledwie stać na nogach. Po drugiej stronie Jakuba na prowizorycznych noszach leżała wychudzona młoda dziewczyna.

Zniżające się stopniowo słońce zaczęło mu właśnie świecić prosto w oczy. Wzdłuż ulicy wiał gorący popołudniowy wiatr, ale Linuks prawie tego nie zauważył. Nie potrafił już nawet powiedzieć, dlaczego tu jest. Wiedział jedynie, że jego dotychczasowe postępowanie i to, do czego siebie doprowadził, nie ma już racji bytu. Czuł, że gdyby teraz puścił ramię chłopaka, zostałyby zdmuchnięty, stałyby się jeszcze jednym kamykiem miotanym to tu, to tam po ulicy.

Jego myśli wciąż wracały do tamtego wieczoru na podwórzu. W tej chwili zdał sobie sprawę, że cały czas uciekał od cudu, za którym tak tęskniło jego serce. Zamknął się w bólu, który odczuł z powodu utraty Abigail i pozwolił, by skusiły go ciemne knowania prefekta, wznosząc przeszkody w poznaniu prawdy. Jego rana była lepiej ukryta niż rana Abigail, lecz nie mniej niż ona potrzebował uzdrowienia.

Linuks jeszcze raz przywołał w pamięci jaśniejące oblicze apostoła, który zawołał potężnym, przecinającym nocne powietrze głosem. Mimo popołudniowego upału, Linuksa znów przeszedł dreszcz, bo były to słowa pełne mocy. *Niech będzie uzdrowienie w imieniu Twojego Syna, naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa z Nazaretu. Bądź uzdrowiona!*

Tłum wokół niego poruszył się, a wszystkie głowy zwróciły się na lewo. Linuks odepchnął się od ściany. Nie wiedział, dlaczego tu jest, lecz także patrzył, jak znany mu rosły mężczyzna podchodzi do niego.

- Linuks?

Cień Piotra padł na niego, a apostoł wyciągnął rękę, by chwycić Linuksa za ramię. Następnie spojrzał mu w oczy i powiedział:

- Drzwi pozostają dla ciebie otwarte.

\*\*\*

Wierzący szli dalej w kierunku Świątyni. Alban zatrzymał się naprzeciwko chłopaka stojącego obok Linuksa.

- O, Jakub, tak się martwiłem. Gdzie byłeś?

Gdy Jakub nie odpowiedział, Linuks nachylił się ku niemu i powiedział zachrypniętym głosem:

- Posłuchaj mnie uważnie. Nie ma dla ciebie miejsca w rzymskich legionach. To, co widziałeś na arenie, jest najoczywistszym powodem.

Jakub wyprostował się i wytarł twarz rękawem.

- Co się stało? - Alban był wyraźnie zaniepokojony.

Linuks uniósł rękę, prosząc go o ciszę, po czym zwrócił się do Jakuba:

- Alban chce cię ze sobą zabrać do Galilei. Musisz z nim jechać.

- Ale ja...

- Nie - powiedział Linuks kategorycznym tonem. - *Nie chcesz tego.* To nie będzie spełnieniem twoich marzeń. To, czego pragniesz, nie istnieje. Za blichтром, pompą i władzą kryje się brutalna siła, moc bezbożnego imperium, a nazbyt często śmierć.

- Posłuchaj go, chłopcze - dodał Alban. - Linuks mówi ci prawdę.

- Jedź z nim do Galilei - powtórzył Linuks, po czym wyprostował się powolnym ruchem, jakby był starcem.

Alban spytał raz jeszcze, tym razem ciszej:

- Co się stało?

Linuksowi przychodziło do głowy kilka odpowiedzi. Wreszcie rzekł po prostu:

- Myliłem się. Co do wielu rzeczy - i odwrócił się, by odejść.

- Zaczekaj - Alban chwycił go za ramię. - Przyjacielu, pomodlisz się ze mną?

Linuks nie dał rady zaprotestować. Stał i pochylił głowę. Alban, trzymając cały czas dłoń na jego ramieniu, zaczął mówić. Linuks nie słyszał wyraźnie jego słów. Czuł się, jakby zaczął na niego padać chłodny deszcz i zmywał wszystko, o czym Linuks był przekonany, że jest nieuniknione. Zmywał wszystko, co było niemożliwe do zmienienia.

Wreszcie Alban przestał się modlić. Pochylił się bliżej i powiedział:

- Przyjacielu, słuchaj głosu Ducha, który jest w tobie. On cię poprowadzi w następnej godzinie, następnego dnia, i wskaże ci przysłą drogę.

\*\*\*

W pomieszczeniach, gdzie magazynowano żywność, było duszno z powodu porannego upału. Kurz podnoszący się z ziaren zbóż drapał Abigail w gardle. Marzyła, by był jakiś inny sposób zważenia i porcjowania dziennych racji. Lecz zadanie to było częścią służby, którą pełniła we wspólnocie wierzących. Każdego ranka zachęcała samą siebie myślą, że jest to zadanie, które powierzył jej Bóg, a służenie Mu jest dla niej przywilejem. I była niedaleko Szczepana.

Właśnie otwierała kolejny worek, aby odmierzyć rację żywnościową dla czteroosobowej rodziny, gdy usłyszała na podwórzu jakiś hałas. Nie był to gwar bawiących się dzieci, krzatanie się tych, którzy przyszli po zapasy, ani głośny śmiech któregoś z mężczyzn. Były to krzyki kogoś sfrustrowanego, czy wręcz zagniewanego.

Po kręgosłupie Abigail przeszedł dreszcz lęku. Wcześniej podwórze wypełniło się nowymi pogłoskami, że religijni przywódcy judejscy spotykają się z Rzymianami, chcąc wspólnie dać kres rosnącej liczbie wyznawców Proroka.

Uchyliła drzwi i zobaczyła niektórych współbraci w ożywionej dyskusji z Piotrem i Jakubem, bratem Pańskim. Obserwowała ich przez

chwilę, po czym wróciła do odmierzania zboża. O cokolwiek chodziło, Piotr rozwiąże ten problem.

Rozmowa na zewnątrz stopniowo cichła. Gdy Abigail znów wyjrzała na podwórze, zobaczyła Piotra i Jakuba obejmujących tych, którzy do nich przyszedli. Jakub prowadził ich w modlitwie. Najwyraźniej dyskusja, czegokolwiek dotyczyła, została pomyślnie rozwiązana.

Szczepan z dwoma młodymi chłopakami przyszedł po odmierzone ziarno. Niewdzięczne zadanie przenoszenia odmierzonych worków z magazynu na podwórze zawsze wykonywali mężczyźni. Szczepan wrzucił po worku na ramiona obu chłopców, po czym chwycił za swój własny.

- O co chodziło? - odważyła się wyszeptać Abigail.

Szczepan odłożył worek i przysunął się ku niej z z troskaniem w oczach.

- Zhellenizowani Judejczycy nie są zadowoleni z procesu dystrybucji żywności. Uważają, że ich sieroty i wdowy nie otrzymują odpowiedniej opieki.

Jeśli ktokolwiek miałby wiedzieć, jak jest naprawdę, to właśnie Szczepan. Dlatego Abigail spytała:

- A co ty o tym myślisz?

- W mojej obecności wszyscy czuwają nad tym, by dawać taki sam przydział wszystkim, którzy do nas przychodzą - powiedział ostrożnie Szczepan.

- A kiedy cię nie ma?

Szczepan odwrócił się i popatrzył przez otwarte drzwi na zewnątrz magazynu.

- Wdowy i sieroty z grupy libertynów to chyba najbardziej potrzebujący z nas wszystkich. Wielu pochodzi z dalekich prowincji. Wielu było kiedyś niewolnikami, bez oszczędności, dochodu, miejsca do spania. A my pomagamy zatroszczyć się o *wszystkie* ich potrzeby. Zwłaszcza o tych, którzy nie mają własnego ogrodu, pola czy winnicy.

- Ani rodziny, która mogłaby im pomóc - powiedziała cicho Abigail.

Spojrzał na nią.

- Gdyby każdy miał takie serce dawcy jak ty i takiego troskliwego ducha, w ogóle by takiej sytuacji nie było.

Abigail przyglądała się stojącemu przed nią mężczyźnie. Szczepan zawsze bardzo się troszczył o innych. Jej serce wezbrało uczuciem tak nowym, że musiała się chwilę zastanowić, by je nazwać. Czuła się dumna z niego i z tego, co będzie w przyszłości ich wspólnym udziałem.

- Co możemy zrobić? - spytała.

- Piotr mówi, że apostołowie, którzy uczą i uzdrawiają, nie powinni być odciągani od żadnego z tych powołań. Na dziś planowane jest spotkanie, na którym zapadnie jakaś decyzja w tej sprawie. Piotr mówi, że według niego jest to zbyt duże zadanie dla jednej osoby. Sugeruje, by wybrać więcej ludzi, którzy będą za to odpowiedzialni. W ten sposób damy radę zaspokoić potrzeby wszystkich.

- A ty co myślisz?

- Zgadzam się z nim - odpowiedział Szczepan. - To rzeczywiście jest ogromna odpowiedzialność, a ja nie mogę być w kilku miejscach jednocześnie. I sądzę, że ciebie by to też nieco odciążyło. Robisz znacznie więcej niż powinnaś.

Uśmiechnęła się.

- Bóg daje mi siłę.

- Ale przyda się więcej rąk do pracy. Masz jakieś pomysły, kto sprawdziłby się w tej służbie?

Abigail pomyślała o kimś, ale nie powiedziała tego głośno.

- Będą rzucać losy?

- Zwykle tak robią. Ale dziś być może ogłoszą, że kogoś wybrali.

- Nieważne, jak ci ludzie zostaną wybrani - odrzekła Abigail. - Tak czy inaczej trzeba się wcześniej dużo modlić. Bóg poprowadzi do tych, którzy będą się najlepiej nadawać do tego zadania.

- Racja, oczywiście. Dobrze, że o tym przypominasz, Abigail.

Uśmiechnął się do niej i odwrócił się w stronę worków z ziarnem. Dwaj chłopcy wracali już po kolejne porcje zboża.

\*\*\*

Wieczorem Abigail siedziała z innymi kobietami i słuchała, jak Piotr objaśnia sytuację.

- Musimy skupić pełną uwagę na szerzeniu Dobrej Nowiny i na modlitwie. Ale trzeba też troszczyć się o potrzebujących. To również

jest Bożym nakazem dla nas i nie możemy zaniedbać tego zadania. Spędziłem popołudnie na modlitwie, inni apostołowie również, a teraz jesteśmy gotowi do działania. Chcemy, abyście wybrali siedmiu mężczyzn, pełnych Ducha i mądrości, i na nich scedujemy tę odpowiedzialność.

Całe zgromadzenie przez chwilę trwało w ciszy, po czym ludzie zaczęli się uśmiechać i kiwać głowami.

- Podzielcie się, proszę, na siedem grup - powiedział Piotr do mężczyzn. - I módlcie się, by Bóg pokazał wam osobę, która sprosta temu zadaniu. Gdy grupa zgodnie kogoś wybierze, przyjdźcie do nas i podajcie nam imię tej osoby.

Po chwili niepewności mężczyźni zaczęli zbierać się w grupki. Piotr stał licząc, ile jest grup i przydzielając niektórych, by dołączyli do konkretnego zgromadzenia. Wszyscy zorganizowali się według instrukcji Piotra w zaskakująco szybkim czasie i nad podwórzem zaczęły się wznosić głosy modlitwy.

Abigail wraz z innymi kobietami również modliła się, by Pan przeprowadził wybór odpowiednich ludzi. Zobaczyła, że ktoś idzie do siedzących obok apostołów, mówi coś do nich cicho, po czym wraca na swoje miejsce. Inni dość szybko poszli w jego ślady, a Piotr zapisywał imiona wybranych osób.

Gdy wstał, wszyscy odwrócili się w jego stronę.

- Bóg objawił imiona siedmiu mężczyzn odpowiednich do tego zadania - powiedział patrząc na pergamin, który trzymał w dłoni. - Razem będą oni odpowiedzialni za to, by wszyscy potrzebujący dostali wsparcie, i żeby było ono rozdane sprawiedliwie. Nie chcemy, by ktokolwiek poczuł się zlekceważony czy pominięty. Ci mężczyźni będą nadzorować stoły, a jeśli ktoś czegoś potrzebuje, a nie może przyjść do stołu, dopilnują, by dostarczono mu zapasy.

Piotr rozejrzał się po zebranych.

- Wyczytam teraz imiona.

Odchrząknął, po czym podniósł wyżej papirus.

- Szczepan.

Abigail poczuła, jak jej serce podskoczyło z dumy i radości. Spojrzała na Szczepana, wiedząc już, w którym miejscu stoi. Gdy Piotr wyczytał jego imię, Szczepan wyprostował się nieco, dotknął ręką



twarzy i skłonił głowę. Abigail wiedziała, że on już teraz się modli o Bożą pomoc i prowadzenie w powierzonym mu zadaniu.

Piotr kontynuował wyczytywanie:

- Filip, Prochor, Nikanor, Tymon, Parmenas i Mikołaj z Antiochii.

*O, jak dobrze, że wśród nich jest przynajmniej jeden Grek - zauważyła Abigail. - W ten sposób potrzebującym z Grecji łatwiej będzie poczuć, że są traktowani na równi z innymi.* Usłyszała szmer zgody i zadowolenia wśród reszty zgromadzenia.

Piotr poprosił siedmiu wybranych, by podeszli, aby apostołowie mogli się za nich pomodlić, wysyłając ich do służby.

Abigail ledwie знаła innych mężczyzn z listy, ale imię Szczepana padło jako pierwsze. Czy to znaczyło, że on, jako ktoś już odpowiedzialny za księgowanie wszystkiego, będzie tak naprawdę nadzorował pozostałych sześciu?

Jeśli tak, było to ogromne wyzwanie. Ale była pewna, że Szczepan da radę. A ona będzie się za niego modlić. Nie mogła się doczekać, żeby móc z nim porozmawiać.

\*\*\*

Krótką okazją do rozmowy nadarzyła się, nim towarzysze Abigail udali się na noc do domów.

Szczepan odnalazł ją w tłumie. Abigail, nieco speszona, podniosła na niego wzrok.

- Cieszę się, Szczepanie, że zostałeś wybrany - nie była pewna, czy wypada jej tak mówić, ale chciała, żeby wiedział, co o tym myśli.

Nie odpowiedział tak, jak się tego spodziewała.

- To wielkie zadanie, a ja nie jestem go godzien - odrzekł.

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

- Przydzielenie mi ewidencji żywności i wydatków odczuwałem jako dar od Boga - mówił dalej ściszym głosem. - Ja, z moim pochodzeniem, dostałem taką służbę... Byłem też taki młody w wierze. Jestem tak bardzo wdzięczny Jezusowi Chrystusowi, mojemu Panu, i apostołom, i współpracownikom, którzy wyznaczyli mnie w mojej grupie.

- Masz do tego odpowiednie zdolności - powiedziała Abigail, choć czuła się bezradna wobec jego niepewności.

- Ale żeby zostać wybranym i wywyższonym do grona naszych przywódców... - zmarszczył brwi wpatrując się w kamienie pod stopami. - Czuję się zupełnie niegodny i nieprzygotowany.

Abigail mocniej zaciągnęła szal na twarz, przygotowując się do powrotu do domu. Wyciągnęła dłoń i lekko dotknęła jego ramienia.

- Szczepanie, zostałeś dziś wybrany, bo nasi bracia w wierze tak odczytali wolę Bożą. Gdy każda grupka modliła się i dyskutowała, Pan był z nimi. „Pełni Ducha i mądrości” - czy nie tak powiedział Piotr?

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Linuks spał lepiej niż kiedykolwiek pamiętał. Obudził go Julian krzątający się w sąsiednim pokoju. Gdy stopy Linuksa dotknęły podłogi, starszy sługa pojawił się w drzwiach i ogłosił:

- Zaparzyłem herbatę. Jest też gorąca woda do golenia. Przybył żołnierz w stroju pretorianina i przywiózł zwój od prefekta.

Linuks kiwnął w podziękowaniu i podszedł do wykonanego z brązu lustra, by się ogolić.

- Wyglądasz dziś... jakoś inaczej - zauważył Julian, przynosząc śniadanie oraz wetknięty pod pachę zwój.

- I dokładnie tak się czuję - powiedział Linuks, skrobiąc twarz ostrym nożem.

- To dobrze. Ostatnio miałeś taki słaby apetyt.

- Byłem chory - odpowiedział cicho Linuks.

- Przywiozłeś jakąś chorobę z Umbrii?

- Nie. To coś, co trawiło mnie dużo dłużej.

- Ale już ci przeszło - powiedział starszy mężczyzna, kładąc tacę z jedzeniem na stole.

Linuks przyglądał się chwilę swemu odbiciu w lustrze i zastanawiał się, czy zmiana, która w nim zaszła, będzie widoczna dla wszystkich.

- *Mogę tylko mieć nadzieję, że tak* - pomyślał.

Na zwoju widniała pieczęć prefekta. Tak jak Marcellus obiecał, przydzielił mu komnaty w twierdzy Antonia, podwładnych, dał większą pensję i wyższy stopień wojskowy. Brwi Juliana uniosły się, gdy Linuks czytał na głos.

Linuks właśnie kończył śniadanie, gdy usłyszał głos Albana.

- Mogę wejść?

- Tak, zapraszam.

Alban wspiął się po schodach i powitał go:

- Jak się masz, przyjacielu?

- Od dawna nie czułem się tak dobrze, choć ledwie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz - odparł krótko Alban. - Uwierz też, że moje serce rośnie, gdy słyszę od ciebie te słowa.

- Myślałem, że dziś odjeżdżasz.

- Właściciel karawany zdecydował, że odłoży nasz wyjazd o kilka dni - Alban chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zatrzymał się i dodał tylko: - Tak będzie najlepiej.

Linuks miał wrażenie, że Alban chce powiedzieć coś o Abigail, ale nie naciskał.

- A co z Jakubem?

- Zgodził się pojechać ze mną.

Linuks wstał.

- Chciałbym z nim porozmawiać.

- Po to właśnie Jakub przyszedł ze mną - Alban wyszedł za Linuksem z komnaty, lecz zatrzymał go przed schodami. - Jest z nami jeszcze ktoś - powiedział.

Linuks zauważył wahanie przyjaciela.

- Kto taki?

Alban wziął głęboki oddech.

- Ma na imię Szczepan.

- Znam go?

- Widziałeś go już kilka razy - Alban znów wziął oddech. - Szczepan jest narzeczonym Abigail.

- Przyprowadziłeś go tu? Po co?

- Modliliśmy się za ciebie wczoraj wieczorem. Potem Szczepan przyszedł do mnie i powiedział, że Bóg przemówił do niego. W twojej

sprawie.

Zdumiony Linuks nie wiedział, co odpowiedzieć, tylko patrzył na Albana.

- Mamy taki zwyczaj, że nowi wierzący otrzymują instrukcje od jednego z naszych przywódców - dodał Alban.

Linuks powoli pokiwał głową. Nie tylko jako potwierdzenie, że zrozumiał, ale również, by dać sobie czas na oswojenie się z tym.

- I twój Bóg powiedział temu człowiekowi, że ma przekazać mi takie instrukcje?

Alban uśmiechnął się krótko, po czym poprawił Linuksa:

- *Nasz Bóg.*

- Muszę się wiele nauczyć - rzekł Linuks. Zajrzał w głąb swej duszy i znalazł tam jedynie ten sam pokój, z którym obudził się dziś rano. - A on jest w tym szczery? Naprawdę chce mnie uczyć?

- Chodź i sam to oceń.

\*\*\*

Młody chłopiec przyniósł wiadomość dla Abigail. Dziewczyna czuła, że drży, kiedy wezwano ją na podwórze. Chłopiec był zdenerwowany i przejęty. Abigail przypuszczała, że jest to jego pierwsze zadanie tak wielkiej wagi, a sposób, w jaki zaciskał pięść zdradzał, że kurczowo trzyma w dłoni monety, które dostał w zamian za swe usługi.

- Tak? - zachęciła go.

- Człowiek o imieniu Alban prosi, żebyś wróciła do swojego mieszkania. Czeka tam, żeby z tobą porozmawiać - powiedział szybko.

Dłoń Abigail powędrowała do piersi. Jakub.

- Czy... czy wszystko dobrze z moim bratem?

- Z twoim bratem?

- Z Jakubem. Czy on...?

- Nie wiem - chłopak potrząsnął głową. - Przekazuję tylko wiadomość - dokładnie tak, jak mi powiedziano.

Abigail starała się opanować niepokój.

- Dziękuję. Możesz odejść.

Odwrócił się na pięcie i wybiegł z podwórza. Abigail również śpiesznym krokiem udała się do kuchni. Gdy tam dotarła, brakowało jej

tchu.

- Marto, muszę iść. Wygląda na to, że Alban ma jakieś wieści na temat Jakuba.

- Czy wszystko dobrze?

- Nie... Nie wiem.

- Idź i niech Bóg będzie z tobą - powiedziała starsza kobieta.

Abigail prawie wybiegła, owijając się po drodze szalem.

Nim jeszcze dotarła do swojej uliczki, zrobiło się jej niedobrze, zarówno z powodu upału, jak i z powodu niepewności, co usłyszy od Albana. Spiesząc uliczką, zobaczyła go siedzącego w cieniu przybudówki.

*I Jakub...*

Jakub stał nieopodal i opierał się o ścianę budynku.

Idąc ku nim Abigail wyszeptała żarliwą modlitwę dziękczynną.

Alban wstał, ale to Jakub ruszył ku niej.

- Przepraszam - zaczął. - Przepraszam, że przysporzyłem ci zmartwień. Nie powinienem był tak odchodzić bez słowa.

Stojąc przed nim starała się kontrolować emocje.

- Ale już jesteś. Tylko to się liczy. Jesteś.

Wyciągnęła rękę, a on mocno ją uścisnął.

Spojrzała Jakubowi w twarz, ale nie potrafiła odczytać z jej wyrazu, co myśli. Pojawiło się w nim coś nowego - coś, czego nie potrafiła nazwać.

- Wejdźmy do środka - powiedział w końcu Alban.

Abigail poszła za nim bez słowa, ledwie poznając własne mieszkanie. Alban wskazał, by usiadła na jedynym stołku, jaki posiadali, a sam z Jakubem zajęli miejsca na macie.

- Zdaje się, że Linuks wyświadczył mi jeszcze jedną przysługę - zaczął Alban.

- Linuks?

- Tak. To on wysłał Jakuba z powrotem do nas. Teraz chłopak rozumie, że niektóre marzenia trzeba oddać Bogu, by je przekształcił i zmienił tak, aby były zgodne z Jego wolą. Czasem nasze plany nie przystają do Bożych planów. Linuks pomógł...

Alban przerwał. On i Abigail spojrzeli na Jakuba, który gapił się przed siebie przez otwarte drzwi wejściowe, ze wzrokiem utkwionym

w bramę i drogę za nią. Jego uwaga zdawała się być skupiona na czymś lub kimś poza terażniejszością, poza słowami Albana.

- Linuks powiedział mi tylko to, o czym sam wcześniej zdałem sobie sprawę - odezwał się. - Sam to zobaczyłem.

Wahał się, jakby samo przyznanie się do tego było aż nazbyt trudne.

- Gdzie byliście? - spytała cicho Abigail. - Co się wydarzyło?

- Byliśmy na arenie.

- *Gdzie?* - Abigail poczuła, jak wzbiera w niej gniew. - Coś ty robił w tak ohydny miejscu?

- Linuks go tam zabrał, chyba bezwiednie - wyjaśnił Alban. - Albo żeby mu pokazać, co tak naprawdę oznacza bycie legionistą.

- To było naprawdę okropne - mówił dalej Jakub ledwie słyszalnym głosem. - Walczyło sześciu żołnierzy, tak zwanych gladiatorów. Dwóch już konało, leżąc na piasku. A ludzie krzyczeli, śmiali się i żądali więcej krwi. Traktowali to... to okropieństwo jak jakąś grę. Dla rozrywki. Śmierć. Ból. Cierpienie. Słyszałem, jak wojownicy jęczyli i wzywali swoich bogów. Bali się umierać. Bali się też żyć. To było widać. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie mogę zostać rzymskim żołnierzem. Sądziłem... sądziłem, że ich zadaniem jest utrzymywanie pokoju. Służenie prawu. Walka z wrogiem. A nie... nie walka przeciwko sobie nawzajem na arenie wypełnionej wrzeszczącym tłumem. Nie śmierć na kupie piachu w chmarze much. Zdałem sobie wtedy sprawę, że nie mogę zostać żołnierzem. To było przesiąknięte złem. Nikczemne.

Chłopak zwrócił ku nim pobladłą twarz.

- Wcześniej przyszli do mnie zeloci. Pokazali mi jeszcze inną stronę bycia żołnierzem. Inną, a jednak taką samą. Gdybym wstąpił do legionów albo dołączył do zelotów, byłbym zmuszony walczyć z Judejczykami. Zabijać ich. W imię czego?

Jakub ukrył twarz w dłoniach. Abigail była pewna, że jej brat widzi całą tę okropną scenę jeszcze raz. Zsunęła się ze stołka i uklękła przy nim, przyciągając go do siebie.

- Już dobrze, Jakubie. Już jesteś bezpieczny.

Jakub na jakiś czas zwinął się w kłębek i pozwolił jej obejmować się. Gdy się odsunął, Abigail nie wiedziała, czy ślady łez na jego policzku były jego, czy może jej łzami.

Jakub wziął głęboki oddech, potem kolejny. Alban przemówił łagodnie.

- Jakubie, kogo widziałeś tam, na arenie?

Chłopak potrząsnął głową.

- Nie wiem, kim byli ci ludzie. Poranieni, zakrwawieni, leżący na ziemi. Niektórzy wciąż krzyczeli lub jęczeli, wzywali swoich bogów - spojrzał w dół. - A ja się modliłem. Wiedziałem, że muszę się modlić. Za nich.

Jakub przełknął ślinę, starając się kontrolować emocje.

- Zapytałem Boga, co powinienem zrobić. Poprosiłem, by mnie prowadził. Zawsze chciałem być żołnierzem, ale wiedziałem, że nie mogę zostać ani legionistą, ani zelotą. Nie wiedziałem, co robić. I On... On mi pokazał.

Abigail trudno było się powstrzymać i poczekać, aż chłopak wyjawi, jaka była Boża odpowiedź. Zajęło mu to chwilę, lecz w końcu podniósł głowę i rzekł:

- Jadę z Albanem.

- Właściciel karawany już prawie wszystko tu pozałatwiał - powiedział Alban. - Powinniśmy wyjechać w ciągu tygodnia. Tymczasem Jakub zostanie ze mną i dowie się więcej o swoich nowych obowiązkach strażnika karawany.

Abigail odczuła zarazem ogromną ulgę, jak i wewnętrzny smutek.  
*Co ja zrobię bez Jakuba?*

Odepchnęła od siebie tę myśl i nawet zdobyła się na nikły uśmiech.

- Będę za tobą tęsknić, braciszku.

- Ale ty też musisz z nami jechać - powiedział szybko Jakub. - Nie możesz tu zostać.

- Właśnie muszę tu zostać - odparła Abigail. - Jestem zaręczona ze Szczepanem.

- Jeśli chce pojąć cię za żonę, też może jechać z nami. Niech pojedzie z nami.

- Jego powołanie jest tutaj. Właśnie został wyznaczony...

- Bóg może go użyć wszędzie - argumentował Jakub. - Galilea też potrzebuje wierzących. Prawda, Albanie? - chłopak mówił błagalnym tonem.



- Tak, to prawda. Ale każdy z nas musi służyć tam, gdzie Bóg nas postawił. Jeśli Szczepan czuje, że Bóg powołał go do służenia tutaj, to musi tu zostać do czasu, aż Bóg wyznaczy mu inne miejsce. Postanowiłeś zostać Bożym żołnierzem, zamiast żołnierzem rzymskim, więc teraz to Bóg jest twoim autorytetem. To On wydaje rozkazy, a ty musisz nauczyć się posłuszeństwa. Ta prawda odnosi się również do Szczepana.

- A ja muszę zostać z nim - dodała Abigail. - Będziemy razem służyć Bogu. Potrzeby są ogromne, a Szczepan to dobry człowiek. Jest całkowicie oddany Panu i ludziom. Pragnie oddać swoje życie na służbę. A ja...

- Ale... - widać było, że Jakub jest wielce strapiiony.

- Co takiego? - spytała Abigail.

Jakub skłonił głowę, a jego ramiona zatrzęśły się, jakby przebiegł przez nie zimny dreszcz.

- Jest coś jeszcze, co chciałbyś powiedzieć?

Jakub podniósł głowę, lecz jego powieki były mocno zaciśnięte.

- Kiedy modliłem się w arenie, miałem jakby sen. Wizję, czy coś takiego. Zamiast gladiatorów widziałem... naszych ludzi. Wyznawców Drogi. Wierzących - otworzył oczy i spojrzał na Albana. - Tam na arenie byli nasi ludzie - powiedział ściszym głosem. - Widziałem to. To było tak realne, jakby działo się naprawdę. A tłum wciąż krzyczał, śmiał się i żądał więcej krwi.

Jakub odwrócił się do Abigail.

- Proszę. Proszę cię, siostró, pojedź z nami.

Abigail jeszcze raz objęła brata.

- Jakubie, tak bardzo cię kocham. Choć bardzo ciężko mi się z tobą rozstawać, cieszę się, że jedziesz z Albanem. Będziesz z nim, z Leą, z ich dzieckiem. Ale ja nie mogę jechać. Moje miejsce jest tu, z mężczyzną, którego pokochałam. On mnie potrzebuje. Jeśli... jeśli dane nam będzie cierpieć, to cierpienie też jest w Bożych rękach. Nie rozumiesz? Bóg wie, co nas czeka, i On mi nie pokazał, albo przynajmniej jeszcze nie pokazał, że mam wyjechać do Galilei.

Przeczesała dłonią jego zmierzwione włosy.

- Opowiem Szczepanowi o... o twojej wizji, i poproszę, by był ostrożny. On zajmie się tym, by ostrzec innych.

- A co Bóg powiedział ci o tym, co mamy robić? - spytał łagodnie Alban.

Jakub podniósł głowę i spojrzał najpierw na Albana, a potem na Abigail.

- Musicie być gotowi.

## ROZDZIAŁ

# TRZYDZIESTY PIERWSZY

Linuks wspinał się wąską uliczką w stronę Starego Miasta. Towarzyszył mu chłopak, którego imienia nie pamiętał. Prowadził go na kolejne spotkanie ze Szczepanem. Choć świat Linuksa zachwiał się w posadach i widział wszystko innymi oczyma, wciąż był Rzymianinem, który wkraczał na starożytny judejski teren. Fakt, że prowadził go hebrajski chłopak, był znakiem dla każdego, kto na nich spojrzał, że Linuks przyszedł tu na zaproszenie kogoś miejscowego.

Gdy tylko wszedł na plac, ogarnęły go wspomnienia. Tyle tu się wydarzyło: ślub Albana, ucieczka młodej pary przed gniewem Heroda, spotkanie Abigail, a teraz to. Przez krótką chwilę Linuks miał pokusę, by zawrócić.

Czekał na niego młody mężczyzna o łagodnych, lecz przenikliwych oczach, narzeczony kobiety, o której Linuks wciąż myślał z bólem w sercu. Jak on, rzymski oficer i arystokrata z pochodzenia, ma przychodzić do takiego człowieka na nauki? Jednak siła, która przywiodła go aż do tego miejsca, nadal była przy nim. Narastała w nim determinacja, by doprowadzić to do końca.

Chłopiec pchnął wewnętrzne drzwi, przez które kiedyś Linuks rozmawiał z Abigail... Czy to możliwe, że było to zaledwie kilka tygodni temu? Tak wiele się wydarzyło od tego czasu.

- Poczekaj tu - chłopak odezwał się do Linuksa po raz pierwszy od ich spotkania.

Wewnętrzne podwórze było pełne ludzi, w większości kobiet. Wiele z nich tłoczyło się wokół głównego stołu tak, że chłopak nie mógł się przecisnąć.

- Szczepan? - zawołał.

- Tu jestem.

- Przyszedł Rzymianin!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Linuksa. Patrzył na twarze, szukając pośród nich Abigail. Wiedział, że nadaremnie, lecz zrobił to mimowolnie. Zobaczył tylko starsze twarze i oczy, w których wyczytał ciekawość, a w niektórych też wrogość lub strach.

Szczepan musiał jakoś przecisnąć się przez tłum, bo pojawił się przed Linuksem z uśmiechem.

- Witaj, witaj. Chyba wygodniej nam będzie rozmawiać na zewnątrz.

Linuks poszedł za Szczepanem z powrotem na zewnętrzne podwórze.

- Pomagam w służbie wdowom ze zhellenizowanej społeczności. Wiesz, co to słowo oznacza?

- To Judejczycy z innych zakątków imperium.

- Chcemy mieć pewność, że miejscowi wierzący traktują ich uczciwie.

- A dlaczego ty się tym zajmujesz, jeśli mogę zapytać?

- Właśnie, czemu ja? Chciałem odmówić, kiedy mnie o to poproszono, ale...

Szczepan poprowadził Linuksa w kierunku stojącej w cieniu ławki.

- Siadaj, proszę. A teraz powiedz, dlaczego tu jesteś?

- Posłałeś po mnie.

- Tak, tak, oczywiście. Ale posłuchaj mnie uważnie. *Dlaczego tu jesteś?* Co doprowadziło cię do tego punktu, że chciałeś dziś usiąść tu ze mną i rozmawiać o sprawach naszego Pana?

Linuks oparł się pokusie, żeby zacząć się niespokojnie wiercić.

- Nie lubię mówić o sobie.

Ku jego zaskoczeniu, Szczepan nie naciskał. Być może w ogóle nie oczekiwał od niego odpowiedzi.

- Spróbuję ci podpowiedzieć. Jeśli się mylę, przerwij mi. Jesteś tu, bo znalazłeś się w pułapce. W twoim życiu działają siły, nad którymi nie masz kontroli. Jesteś człowiekiem posiadającym władzę, wpływ, bogactwo. Mimo to czujesz się bezradny.

Zaskoczenie Linuksa było ogromne.

- Skąd...?

- Inni też doświadczali podobnych prób. Pozwól, że opowiem ci, co myślała jedna z takich osób. Inny człowiek będący u władzy. Król. To pochodzi z naszych świętych tekstów, nazywamy je Psalmami - Szczepan zamknął oczy i zaczął recytować:

Wybaw mnie, Boże,  
bo woda mi sięga po szyję.  
Ugrzązłem w mule topieli  
i nie mam nigdzie oparcia,  
trafiłem na wodną głębinę  
i nurt wody mnie porywa.  
Zmęczyłem się krzykiem  
i ochrypło mi gardło,  
osłabły moje oczy,  
gdy czekam na Boga mojego.  
Liczniejsi są od włosów mej głowy  
nienawidzący mnie bez powodu;  
silni są moi wrogowie,  
nieprzyjaciele zakłamani;  
czyż mam oddać to, czegom nie porwał?  
Boże, Ty znasz moją głupotę  
i występki moje nie są zakryte przed Tobą.  
Niech przeze mnie nie wstydzą się ci, co Tobie ufają,  
Panie, Boże Zastępów.

- Dlaczego mi to mówisz? - Linuks ledwie zdołał wypowiedzieć te słowa.

Szczepan otworzył oczy.

- Chcę ci wyjaśnić więcej o naszym Panu Bogu poprzez święte Pisma. Dawid był mężem wybranym przez Boga, namaszczonego na króla, ale on również cierpiał, jak my wszyscy. A oto klucz do

wszystkiego: nasz Bóg był i jest z nami przez cały czas. On czeka na moment, kiedy zwrócimy się do Niego i poprosimy o przebaczenie, o błogosławieństwo, o Jego namaszczenie, o Jego pokój.

Linuks rozejrzał się po pustym podwórzu. Para wróbli sfrunęła z bezchmurnego nieba, napiła się wody ze studni, po czym odleciała. Gdzieś w oddali zaryczyła osioł. Zza pleców Linuksa, przez jakieś okno, słychać było śmiech dziecka.

- Nic z tego nie rozumiem, a jednak to do mnie przemawia.

Szczepan powoli skinął głową, w międzyczasie kołysząc się w przód i w tył.

- Wszyscy tak mamy. To ogromna zmiana - z niewiary do poznania Bożej obecności, z postrzegania tylko tego, co widzimy, słyszymy, czujemy, do nowej rzeczywistości, do świata duchowego. Wchodzimy tam jak niemowlęta. Posłuchaj, Linuksie. Nie spotykamy się tu na zewnątrz, z dala od innych wierzących, bo jesteś Rzymianinem, kimś wykluczonym. Spotykamy się tu, żeby nie rozpraszało nas to, co się dzieje tam w środku. I nie rozmawiamy dlatego, że trzeba cię nawrócić i namówić na członkostwo w takiej czy innej sekcji. Jesteś tu, bo ty już znasz Boga. On już dotknął twojego serca. Mam rację?

Linuks przełknął ślinę tak głośno, że sam to wyraźnie usłyszał. Skinął głową.

- Tak.

- Bóg cię dotknął, lecz wciąż jest tyle rzeczy, których jeszcze nie rozumiesz. Jak masz zgłębić wszystko to, co się dzieje? Jaki będzie teraz kierunek twoich myśli? Jak będziesz żył? Dokąd pójdziesz? Odpowiedzi, mój przyjacielu, można znaleźć w świętych tekstach. Zaczniemy je razem studiować, ja i ty. Nauczysz się mówić do Boga bezpośrednio. I odkryjesz, jak Go usłyszeć, kiedy będzie mówił do ciebie.

\*\*\*

Pogrążony w rozmyślaniach Ezdrasz obserwował, jak jego dzieci bawią się ze służącą. Dziewczynę osobiście wybrała Miriam, żona Gamaliela. Służąca miała siedemnaście lat i pochodziła z biednej, ale bardzo religijnej rodziny. Dała już dzieciom kolację, po czym przyprowadziła je do komnaty, w której Ezdrasz udawał, że pracuje.

Światło świec rzucało na ich dziecięce twarze rudawe cienie, a ich śmiech wypełniał zazwyczaj ciche pomieszczenie. Córeczka Ezdrasza podeszła do jego krzesła ustawionego przy otwartym oknie i pociągnęła go za rękaw. Ezdrasz podniósł ją i posadził sobie na kolanach. Pachniała świeżością, a jej głosik był dźwięczny i słodki. Pozwoliła potrzymać się tak kilka chwil, po czym zaczęła się wiercić, zeszła na podłogę i wróciła do zabawy ze służącą i z bratem.

Dziewczyna była dość atrakcyjna, miała miłą twarz i melodyjny głos, który uspokajał i zachęcał dzieci do zabawy. Jednak Ezdrasz nigdy by nie pomyślał o wzięciu kogoś takiego za żonę. Jak mógł pozwolić, by omotała go ta sierota, ta praczka, należąca do sekty, która ma taką władzę nad swoimi członkami? Potrząsnął głową na bolesne wspomnienie swojej siostry.

Jego wzrok przeniósł się na zasłony powiewające na wietrze. Na końcu każdej zasłony wszyty był ołowiany ciężarek, a materiał był cienki niczym welon panny młodej. Zasłony miały za zadanie chronić przed nocnymi stworzeniami i robactwem, przepuszczając jednocześnie powietrze. Ezdrasz słuchał, jak ślizgają się po kafelkach podłogi w takt śmiechu jego dzieci. Przypomniawszy sobie inne noce w tym pokoju. Kiedy jego żona była w ciąży, lubiła przychodzić tu i patrzeć, jak pracuje. Siedziała z dłońmi na brzuchu i nikłym uśmiechem na twarzy. Sposób, w jaki patrzyła na niego, jej oczy wypełnione matczyną miłością – dawało mu to poczucie, jakby był najbardziej błogosławionym ze wszystkich mężczyzn w Judei. Znowu potrząsnął głową, odganiając kolejne bolesne wspomnienie.

W drzwiach pojawił się główny służący.

- U bramy czeka mężczyzna, panie. Chciałby z tobą porozmawiać.

- Późno już. Powiedz, żeby przyszedł jutro.

Sługa zerknął na dziewczynę.

- On przyszedł z domu Gamaliela.

- Dobrze, wprowadź go tutaj - Ezdrasz wstał z krzesła. - Spytaj, czego potrzebuje. Jeśli zechce coś zjeść, każ kucharzowi rozpalic ogień.

Ezdrasz kiwnął na służącą, która poszła za nim razem z jego synem, podczas gdy Ezdrasz niósł protestującą córeczkę do łóżka. Tego wieczoru chciał być dłużej blisko niej. Dopiero później zaczął się zastanawiać, czy może przeczuwał, że ma nadejść jakaś zmiana.

Poszedł do pokoju syna i porozmawiał z nim o kończącym się dniu, a także o dniu jutrzejszym, jakby którykolwiek z nich mógł odgadnąć, co on przyniesie.

Wreszcie przeszedł z powrotem do swej komnaty przez podwórze i korytarz z filarami. Stał przez chwilę skryty w cieniu i obserwował znajdującego się tam młodego człowieka. Szaweł z Tarsu czekał na niego w takim napięciu, że powietrze wokół niego zdawało się wirować jak żywe. Przechadzał się w tę i z powrotem wzdłuż północnej ściany, naprzeciw półek ze zwojami. Znajdowała się tam kolekcja zwojów Tory, prawa biblijnego. Ów mężczyzna o szerokich barkach był wyprostowany jak ktoś, kto zaznał już w swym życiu ciężkiej pracy. Nie był to blady uczony, dzień w dzień zgarbiony nad starożytnymi zwojami w synagodze.

Ezdrasz przestąpił próg.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz - rzekł do gościa.



# ROZDZIAŁ

## TRZYDZIESTY DRUGI

Twierdza Antonia składała się z kwadratowych bloków, z których każdy otaczał oddzielne wewnętrzne podwórze. Przejścia pomiędzy nimi były długie i wąskie, jakby Herod Wielki obawiał się buntu swoich oddziałów i wybudował twierdzę oraz przylegający do niej pałac w taki sposób, by poszczególne części można było od siebie odizolować i tym samym łatwiej się bronić. Najwspanialsze apartamenty oraz prywatne komnaty trybuna położone były wzdłuż zewnętrznej ściany, z widokiem na południowe wzgórze Jerozolimy. Było tu lepsze światło, a pokoje były osłonięte zarówno od odgłosów miasta, jak i od gwaru żołnierzy.

Linuks wybrał komnaty, w których prawdopodobnie mieszkał kiedyś starszy rangą sługa. Miały widok na jeden z oddzielonych wewnętrznych dziedzińców. Julian przechadzał się od komnaty do komnaty, zaglądając tu i tam i mrużąc coś do siebie, lecz nie wyraził otwartego sprzeciwu.

Dwa dni później przybył z Rzymu trybun, który miał zastąpić Bruno Aetiusa. Lucjusz Vittelus Metellus całym sercem popierał senat i był człowiekiem przywykłym do żeglowania zgodnie z kierunkiem politycznych wiatrów. Każdego ranka posyłał po Linuksa, który stawał się na rozkaz i czekał na wezwanie. Trybun od czasu do czasu przechodził obok niego w otoczeniu pomocników i urzędników. Ponieważ ignorował Linuksa, jego słudzy czynili to samo. Co dzień, tuż

przed popołudniowym posiłkiem, z gabinetu wyłaniał się starszy urzędnik i kazał Linuksowi zgłosić się znowu następnego dnia. Linuks salutował i odchodził.

Prawdę powiedziawszy, Linuks nie liczył tych dni i nie marnował czasu. Każdego popołudnia spotykał się ze Szczepanem, który go nauczał. Materiały, które Szczepan mu przedstawiał, oraz konsekwencje tego, co Linuks słyszał, były tak rozległe, że Rzymianin potrzebował tych wypełnionych czekaniem porannych godzin, by rozmyślać przed każdą kolejną lekcją.

Szczepan codziennie rozdzielał naukę na dwie części. Po pierwsze czytał z Linuksem pisma judejskich proroków, zwłaszcza to, co mieli do powiedzenia o przyjściu Mesjasza. Stopniowo Szczepan budował obraz Mesjasza – wskazywał na zapowiedzi mówiące, kim On będzie i jaką odegra rolę tu na ziemi.

Druga codzienna lekcja dotyczyła postawy wierzącego odnośnie modlitwy i przykazań, zarówno tych tradycyjnych, danych ludziom przez Mojżesza, jak i ich interpretacji w słowach Jezusa. Linuksowi ciężko było stwierdzić, które z nich były dla niego bardziej szokujące.

Przedsionek u trybuna był tak duży jak całe mieszkanie Linuksa. Miał kształt prostokąta szerokiego na dwadzieścia kroków, długiego na piętnaście i wysokiego na dziesięć, o ścianach w kolorze ochry. Dwa kwadratowe okna umiejscowiono w grubej zewnętrznej ścianie twierdzy, dlatego miało się wrażenie, jakby światło musiało się do środka przekopywać niczym przez tunel. Poranne słońce wpadało do środka, a jego promienie tworzyły na wypolerowanej kamiennej podłodze dwa jasne filary. Linuks często wstawał ze swojego miejsca i przechadzał się, by rozprostować nogi. Odległe, zielone i złote wzgórza Judei zdawały się naśladować jego ruchy, jakby okoliczna przyroda śledziła jego postęp.

Proces rozmyślenia nad lekcjami zmuszał go do zbadania całego swego życia od podszewki. Im więcej studiował ze Szczepanem, tym większej nabierał pewności, że godziny spędzone w przedsionku u nowego trybuna, mające na celu upokorzenie oficera, który pozostawał w bliskich relacjach z konsulem, były właściwie błogosławieństwem danym mu przez... przez kogo?

Dokończenie tego zdania zajęło Linuksowi cztery dni siedzenia, rozmyślenia i chodzenia po przedsionku.

*Były mi dane przez Boga.*

- Linuksie Aureliusz.

- Aaa... tak? - Linuks poruszył się gwałtownie, jakby się właśnie obudził. Zorientował się, że doszedł do najdalszego rogu przedsionka. Odwrócił się na pięcie. - Tak? - powtórzył.

- Trybun chce cię zobaczyć.

- O, to znaczy, dziękuję.

Linuks rozprostował tunikę i przeszedł za pomocnikiem trybuna przez wysokie podwójne drzwi. Zatrzymał się przed szerokim stołem i zasalutował.

- Linuks Aureliusz melduje się gotów do służby, panie.

Trybun nie podniósł wzroku znad zwoju, który właśnie czytał.

- Domyślam się, że złożyłeś już zażalenie u konsula.

- Zażalenie w jakiej sprawie, panie?

Trybun nie był człowiekiem okazałej postury. Szerokość ramion z ledwością przystawała do standardowej zbroi legionisty. Nadgarstki były wąskie jak u młodej dziewczyny, palce długie i elastyczne niczym u muzyka. Włosy miał rzadkie i cienkie, szyję o wiele za długą, głowę raczej jajowatą niż okrągłą. Jedyne imponujących rozmiarów nos miał się nijak do reszty ciała.

- Musiałeś tyle czekać, bo odkąd przyjechałem, jestem zmuszony rozwiązywać miliony problemów. Są to, obawiam się, sprawy znacznie większej wagi, niż wysłuchanie raportu młodego oficera, którego dokładnej roli jeszcze nie znam.

- Jestem na wszelkie rozkazy trybuna - odpowiedział Linuks. - A co do mojego czekania, panie, jestem wdzięczny za ten czas.

Oczy trybuna miały jasny odcień szarości; były tak blade, że wydawały się bezbarwne. Była to cecha charakterystyczna dla rodu Metellusów, tak samo jak wątła budowa, z której słynął ich dziad. Przedstawiciele rodu nawet się tym szczycili twierdząc, że prawdziwi przywódcy to ci, którzy jedynie kupują ludzi oraz stal, a potem rządzą jednym i drugim z bezwzględną brutalnością.

- Jesteś wdzięczny? A dlaczego?

- Odkąd wróciłem z Rzymu, czułem się jakby złapany w trąbę powietrzną. To był dobry czas, by to wszystko sobie przemyśleć.

Trybun odłożył zwój na bok.

- Nie jestem pewien czy podoba mi się, kiedy moi oficerowie spędzają tak dużo czasu na myśleniu. Twoją rolą jest służyć. Myśleniem zajmą się twoi dowódcy. Zbyt wiele myślący podwładni mogą pójść w niebezpiecznym kierunku i zagrozić właściwemu biegowi spraw imperium.

Linuks wiedział, że trybun szuka zwady. Wiedział też, że powinien bardziej się tym przejmować. Poczuł jednak, że to rosnące w nim przez ostatnie dni uczucie uwidacznia się dopiero teraz. Czy tu, w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, potrafił zajrzeć w głąb siebie i nazwać owo nowe doświadczenie? To, co odczuwał, to pokój.

- No więc? Nie masz mi w tej sprawie nic więcej do powiedzenia?

- Jestem gotów do twych usług, trybunie.

- Doprawdy? *Doprawdy?* A powiedz mi, co takiego robiłeś, że nasz konsul nagroził cię mieszkaniem i ludźmi do dyspozycji? Danie ci tego to przywilej *trybuna!*

- Panie, służyłem konsulowi pod nieobecność trybuna. Jeśli sobie życzysz, z chęcią wyprowadzę się w ciągu godziny.

- Ale to nie odpowiada na moje pytanie, nieprawdaż? Jakie usługi świadczyłeś dla konsula?

- To powinien oznajmić ci sam konsul, panie. Ja otrzymałem rozkaz, by z nikim nie rozmawiać na temat moich obowiązków.

Metellus skoczył na równe nogi.

- Odwołuję ten rozkaz!

Linuks czuł duże oparcie w stabilności swego umysłu oraz tonu głosu.

- Panie, nie stanowią żadnego zagrożenia dla ciebie ani twojego dowodzenia.

- Tak twierdzisz - wykrztusił gniewnie Metellus i zaczął przechadzać się po komnacie. - Ale dlaczego mam w to wierzyć?

Linuks postanowił nie odpowiadać. Patrzył tylko, jak Metellus chodzi w tę i z powrotem. Jego pancerz zrobiony był ze złota i wysadzany drogimi kamieniami. Gdy przechodził przez padający z okna snop światła, kosztowności rozbłyskiwały niemym ostrzeżeniem.

- Nie wiem, co mam z tobą zrobić, Linuksie Aureliusz. Twój brat ostrzegał mnie przed tobą. Kastor jest moim przyjacielem. Wiedziałeś o tym? Miał całkiem wiele do powiedzenia na temat tego, jak niebezpieczny i niegodny zaufania możesz się okazać.

W przeszłości takie dowody knucia ze strony brata wywołałyby w Linuksie atak wściekłości. Tym razem ze zdziwieniem odkrył, jak daleki jest od swych poprzednich reakcji. Był całkowicie skupiony i świadomy powagi sytuacji, gdy Metellus rozważał jego przyszłość, ale czuł jedynie spokój.

Jeśliby miał szukać potwierdzenia, że nowy kierunek jego życia jest autentyczny, i że ten Bóg jest tak prawdziwy, jak twierdzili Szczepan i Alban, owo uczucie było wystarczającym potwierdzeniem.

Trybun gwałtownie się zatrzymał i obrócił, by usiąść z powrotem za biurkiem. Położył pięści na zwojach i rzekł:

- Możesz odejść. W swoim czasie zadecyduję o twym losie.

Gdy Linuks opuszczał komnatę, wojskowy dowódca Judei krzyknął za nim:

- Ja zadecyduję, słyszysz?! Nie konsul! *Ja!*

Gdy Linuks wyszedł, uczucie bycia otoczonym przez niewidzialną barierę ochronną jeszcze bardziej się w nim spotęgowało. Skierował się głównym wejściem prosto na zatłoczone ulice. Wszedł na Stare Miasto, wspiął się po schodach i stanął na placu. Był odrobinę zdyszany, gdyż przemierzył miasto dość szybkim krokiem. Patrzył na wdowy, które zbierały się na drugim końcu placu. Wiedział, że nikt nie spodziewa się go o tej porze i że może nie być teraz mile widziany. Ale mógł poczekać, jeśli trzeba. Mógł czekać nawet cały dzień.

I wtedy ją zobaczył.

Abigail grała w jakąś grę z grupką małych dzieci. Jej śmiech był tak samo nieskrępowany jak śmiech dzieci, prawie tak samo melodyjny i wysoki. To na jego dźwięk Linuks się odwrócił, choć nigdy wcześniej nie słyszał, jak Abigail się śmieje. Był pewien, że nikt inny nie uczyniłby tego w taki sposób, z przejrzyistością blasku gwiazd w zimową noc, z właściwym sobie pięknem.

Jak to możliwe, zastanawiał się, zaznać takiego smutku i poczucia straty z powodu kobiety, której nie może mieć, lecz jednocześnie być otoczonym takim pokojem? Jak to możliwe, że czuje, jakby cały jego

świat znów legł w gruzach, a jednocześnie na jakimś wyższym poziomie poznania ma pewność, iż jest tam, gdzie być powinien? W tym tragicznym momencie, wypełniony niemożliwymi do spełnienia pragnieniami, wciąż potrafił normalnie oddychać, a jego serce było spokojne.

Po raz pierwszy w życiu pojął znaczenie słowa *cud*.

Abigail musiała go zauważyć. Powoli się wyprostowała i przestała się śmiać. Żałował, że swoim pojawieniem się przeciął tę bezkresną radość. Patrzył, jak dziewczyna zakrywa twarz szalem, po czym odwraca się, by powiedzieć coś do jednej ze starszych kobiet. Razem przeszły przez plac i skinęły głowami w zwyczajowym pozdrowieniu.

- Pozdrowienia w imieniu naszego błogosławionego Pana, Linuksie Aureliuszu.

Również skinął głową.

- Moja siostrze Abigail.

- Przepraszam, Szczepan spodziewał się ciebie dopiero po południu.

- Dziś rano coś się wydarzyło. Chciałem... potrzebowałem... - przerwał. Ale nie z powodu powściągliwości Abigail, ani nie z powodu starszej kobiety, która obserwowała go z takim zatroskaniem, a nawet z obawą.

Linuks odwrócił twarz. Wiedział, że kobiety czekają, aż dokończy zdanie, jednak w tej chwili było to jedyne, co mógł zrobić, by nie poddać się wściekłemu požądaniu trawiącemu jego duszę. Miał wolę, możliwość oraz środki, by ją teraz porwać...

Zacisnął pięści, po czym równie mocno zacisnął powieki. Słońce prażyło jego zwróconą ku górze twarz. W tej chwili ciszy usłyszał inny głos, tak nowy, że nie potrafił rozpoznać, jaki to język. Wiedział, że ów głos zwraca się do niego szeptem zbyt cichym, by mógł go usłyszeć. Czuł, że śpiewa, nawołuje go.

Odwrócił się. Nie w sensie fizycznym, bo w jego formie zewnętrznej nic się nie zmieniło. Pozostał na swoim miejscu, z twarzą zwróconą ku słońcu, z całym swoim jestestwem zatrzaśniętym w konflikcie. Ale było już po wszystkim. Wiedział, że nic nie robi bez względu na to, jak bardzo jej pragnął. Westchnął.

- Linuksie, czy wszystko...? - jej pytanie było ledwie słyszalnym szeptem.

Pochylił głowę i otworzył oczy.

Abigail i jej towarzyszka cofnęły się o krok. Zauważył niepewność w jej oczach. Nie wiedziała, kogo ma przed sobą: rzymskiego oficera czy brata w wierze. Widział, że chciała ofiarować mu pokój, z jakim oni wszyscy się wzajemnie pozdrawiają. Wiedział też, że było to coś więcej niż zwykłe pozdrowienie. To było prawdziwe. Teraz nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ów pokój oraz moc mieszkały w nim. A on przyjął to, że jest ich częścią. *Jednak... Wierzący, który ma nowe życie, nowy cel, nowy pokój. Ale nie może mieć jej...*

- Proszę, nie martwcie się mną - powiedział wreszcie, wzdychając. - Posiedzę tu i poczekam na Szczepana.

Nie musiał czekać długo. Choć, prawdę powiedziawszy, czas mało się dla niego liczył. Siedział i patrzył, jak wróble piją wodę z fontanny. Najśmielszy z ptaków podfrunął i usiadł obok niego na ławce, a jego małe oczka zalśniły w blasku słońca. Linuks nie zaoferował mu nic do jedzenia, więc wróbel w końcu odleciał, a jego skrzydełka zatrzepotały cicho w powietrzu.

- Linuksie, wybacz, że musiałeś na mnie czekać. Nie wiedziałem, że tu jesteś, dopiero... Czy wszystko dobrze? - Szczepan stanął obok ławki, zasłaniając sobą słońce, którego promienie przeświecały teraz przez jego zmierzwione włosy.

Linuks westchnął i oblizał wargi.

- Nie. Z całą pewnością nie.

Szczepan usiadł obok niego.

- Mogę ci jakoś pomóc?

W uszach Linuksa to pytanie zabrzmiało jak potępienie. Nie mógł przestać porównywać swojego stanu wewnętrznego rozdarcia ze szczerym przekonaniem i łagodną naturą tego mężczyzny. Tak się zawstydził, że nie mógł spojrzeć Szczepanowi w oczy.

- Już mi pomogłeś.

- Chciałbyś o tym porozmawiać?

Linuks chciał powiedzieć, że nie, lecz słowa wypłynęły jakby same, bez jego woli.

- Mam... ogromny problem. W mojej głowie walczą ze sobą dwa głosy. Dwa kierunki. Dwie siły - wykonał dłońmi gest, jakby rozrywał

coś niewidzialnego w powietrzu przed sobą. - Jestem rozdzierany z jednej strony przez moc, a z drugiej przez...

- Pokusę - powiedział cicho Szczepan. - Tylko teraz jesteś świadomy, że nie możesz iść jednocześnie w dwóch różnych kierunkach.

Linuks opuścił dłonie i zapatrzył się w plac, który teraz był pusty. Nie był pewien, co myśli o tym, że ktoś tak dobrze rozumie jego najskrytszy wewnętrzny konflikt.

- Czas, abym opowiedział ci o kilku bardzo ważnych rzeczach, które kierują życiem wierzącego - powiedział Szczepan. - O grzechu, pokucie i odkupieniu.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Abigail poszła do pokoju na górze, by zaznać trochę samotności przed kolejnymi obowiązkami czekającymi ją po południu. Nie potrafiła wytłumaczyć, czemu podeszła do okna. Być może myśli o problemach skłoniły ją, by wyjrzeć na podwórze. Może potrzebowała, by widok z okna odwrócił jej uwagę, zapewnił ją, że wszystko jest tak, jak było. Patrzyła na studnię, mury otaczające podwórze, ławki porozstawiane w miejscach, gdzie ona i inni często chronili się przed upałem dnia. Ludzie, których znała i pokochała jak własną rodzinę przechodzili tu i tam, wypełniając codzienne obowiązki.

Tak, wszystko było na miejscu, tak jak wczoraj i przedwczoraj. Bóg, którego kochali i któremu służyli, na pewno zachowa ten stan rzeczy.

W cieniu muru trzy małe dziewczynki bawiły się z kotkiem. Kobieta niosła dzban z wodą zaczerpniętą ze studni. Dwie młode kobiety myły warzywa obok studni, a dwie starsze siedziały w cieniu, mieląc pszenicę na mąkę do chleba. Czterech mężczyzn i dwóch chłopców przebudowywało drzwi do podwórza. Na rogu, przy stole, w cieniu, dwóch mężczyzn rozmawiało, a trzeci zapisywał coś na tabliczce.

Oczy Abigail przebiegły przez te wszystkie scenki. Były to widoki znajome i dające pociechę. W dalekim kącie podwórza zauważyła dwóch pograżonych w rozmowie mężczyzn. Jej serce od razu zabiło szybciej, gdy w jednym z nich rozpoznała Szczepana. Drugim

mężczyzną był Linuks. Zrozumiała, że Szczepan znów naucza go tajemnic wiary.

Patrzyła, jak jej narzeczony wyciąga rękę i kładzie ją na ramieniu tego drugiego. A potem obaj pochylili głowy. Wiedziała, że się modlą. Modlili się żarliwie.

Abigail również dołączyła do nich w modlitwie.

Może to była droga do tego, by byli bezpieczni. Sprawienie, by ich oprawcy, jeden po drugim, przyjmowali Mesjasza jako swojego Zbawiciela.

- Niech tak będzie, Panie - wyszeptała Abigail. - Bądź wola Twoja.

Przez resztę dnia podczas pracy Abigail nosiła z sobą w sercu obraz tych dwóch mężczyzn modlących się na podwórzu. Dopiero po wieczornych modlitwach miała okazję krótko porozmawiać ze Szczepanem. Siedzieli naprzeciwko siebie przy pustym stoliku.

- Widziałam cię na podwórzu z Rzymianinem.

- Linuks okazuje się być bardzo pojętnym uczniem.

- Czy on... kiedykolwiek mówił coś o trudnościach, które są przed nami?

Szczepan potrząsnął głową.

- Studiujemy Pisma i rozmawiamy o wierze, a nie o świecie.

- Gdy mnie wezwano, bym pożegnała się z Jakubem, był z nim Alban. Rzymianin, ten z którym rozmawiasz, zabrał Jakuba do areny. Mój brat widział okropne rzeczy. To wystarczyło, by go przekonać, że nigdy nie mógłby zostać legionistą i jednocześnie służyć Bogu. Był głęboko wstrząśnięty.

Abigail przerwała, gdyż sama była wstrząśnięta wspomnieniem tego, co powiedział Jakub.

- Ale to nie wszystko, co widział. Gdy wychodził z areny, nie chcąc już oglądać umierających mężczyzn i czuć zapachu krwi, miał wizję.

Przez chwilę Abigail nie mogła dalej mówić. Starła się opanować emocje.

- Nagle ci umierający, leżący tam na piasku zamienili się w... wierzących. Nie rozpoznawał nikogo konkretnego, ale wiedział na pewno, że to są ludzie spośród nas. Wtedy Jakub... zaczął się modlić. Pytał Boga, co mamy robić. I otrzymał odpowiedź. Bóg powiedział: „Muszą być gotowi”. Tylko tyle. „Być gotowi”.

Gdy Abigail mówiła, brwi Szczepana powoli się zmarszczyły. Gdy skończyła, skinął głową.

- Miałem to samo wrażenie. Otrzymałem tę samą wiadomość, choć w inny sposób.

- Co mamy zrobić? Dokąd pójść? Jak mamy się obronić przed potęgą Rzymu?

- Myślę, że to nie Rzym nam teraz zagraża - powiedział powoli.

- Nie? To co...

- Nasz własny lud, Abigail. To judejscy przywódcy nie chcą zobaczyć w Chrystusie swego Mesjasza. Król, o którego się modliliśmy, przyszedł. To oni się z tym nie zgadzają i boją się tej mocy, którą Bóg powierzył w nasze ręce. Boją się... bo nie rozumieją.

- Ale przecież... - lecz zanim Abigail dokończyła myśl, wiedziała, że Szczepan ma rację. Widziała te gniewne grymasy na twarzach i błyski w oczach. Słyszała, jak syczą między sobą, gdy napotykają na ulicy grupkę wierzących. Tak, Szczepan miał rację.

- Jeśli wystąpią problemy z naszymi własnymi ziomkami, Rzym nie zawaha się wkroczyć w środek konfliktu. Nie będzie tolerował niepokojów społecznych lub zamieszek. I wtedy naprawdę możemy znaleźć się w pułapce.

Szczepan mówił tonem tak poważnym, że Abigail przeszedł dreszcz.

- Powiem o tym apostołom - zdecydował. - Musimy się modlić jak nigdy przedtem.

- Więc myślisz, że to możliwe? Będziemy mieli kłopoty?

Mówił teraz łagodnym tonem, a nawet położył dłoń na jej ręce spoczywającej na stole.

- Abigail, nie mamy złudzeń. Oni zabili naszego Pana. Piotr od początku nam mówił o słowach Jezusa, że będziemy prześladowani. Tamci Go odrzucili i nienawidzili. Nas czeka taki sam los. Nie powinniśmy być tym zaskoczeni.

- To... ty się nie boisz?

- Jestem przerażony.

- Myślisz, że czeka nas śmierć...?

- Nie boję się śmierci, Abigail. Boję się, że mógłbym się wycofać i nie być śmiały w głoszeniu ewangelii - zawahał się, po czym

powiedział: – I boję się, że mógłbym się nie ostać. Że przyparty przez wrogów do muru, w bólu, mękach, mógłbym zaprzeć się mojego Pana.

Choć jej serce zadrżało na taką perspektywę, Abigail powiedziała z całkowitą pewnością:

– Nawet przez moment nie potrafię sobie wyobrazić, że taki lojalny i oddany człowiek jak ty mógłby choćby pomyśleć o zaparciu się swego Pana.

Uśmiechnął się krzywo.

– A słyszałaś, jak Piotr opowiadał swoją historię? Sądził, że jeśli trzeba, będzie gotów iść na śmierć razem z naszym Panem. Lecz kiedy pojмали Chrystusa, Piotr nie stanął przy Nim. Zaparł się Go, Abigail. To złamało mu serce, ale być może również uczyniło go tym człowiekiem, którym jest dziś. Z drugiej strony, Piotr ciągle nas ostrzega, że nie jesteśmy w stanie ostać się własnymi siłami. Potrzebujemy Bożej obecności. Musimy się modlić, by Bóg dał nam siłę na to, co nas czeka, i abyśmy wiernie wytrwali do końca. I musimy się wzajemnie zachęcać. Codziennie.

Takie słowa mogłyby wnieść jeszcze więcej obaw w serce Abigail, lecz tym razem ją pocieszyły. Szczepan miał rację. Bóg ich nie opuści.

Ktoś musiał usłyszeć przynajmniej urywek ich rozmowy, bo oto rozległ się męski głos:

– Dobrze powiedziane, bracie.

Spojrzeli przez ramię i zobaczyli Albana oraz Martę stojących w drzwiach budynku, gdzie światło pochodni rzucało głębokie cienie. Abigail i Szczepan wstali szybko.

– Alban, myślałam że o tej porze będziecie już w drodze! – wykrzyknęła Abigail.

Ten spojrział na Martę i oboje wymienili uśmiechy.

– Porozmawiałem z Piotrem i zdecydowaliśmy, że Jakub i ja opóźnimy trochę nasz wyjazd, żeby uczestniczyć w uroczystości.

– Uroczystości? – zdziwił się Szczepan.

– Tak, w uroczystości weselnej.

Marta się roześmiała.

– Spójrz tylko na ich twarze.

Abigail ośmieliła się rzucić prędkie spojrzenie na Szczepana i zobaczyła wyraz jego twarzy, jakiego do tej pory nie widziała.

Zastanawiała się, czy jej twarz wyglądała podobnie, z tym samym wyrazem podziwu i oczekiwania, może też z odrobiną zmartwienia. Nie ufała swym emocjom na tyle, by się odezwać.

- O, właśnie idzie Piotr - zauważył Alban.

Abigail instynktownie sięgnęła ręką, by przygłodzić włosy. Jej ubranie było poplamione po całym dniu pracy, włosy w nieładzie i czuła, że nie jest w najlepszej formie po długich godzinach pracy przy obsłudze kolejek potrzebujących.

Szczepan zdawał się tego wszystkiego nie zauważać. Posłał jej uśmiech, który dotarł do niej ponad dzielącym ich stołem i zrobiło jej się ciepło na sercu. Abigail wzięła głęboki oddech.

W tym momencie lekkim krokiem podszedł do niej Jakub, który wyglądał na zadowolonego. Wyciągnęła ręce, by go objąć, gdy tymczasem Piotr podniósł ręce uciszając tych, którzy jeszcze pozostali na podwórzu.

- Wkrótce Alban wyjedzie z powrotem do Galilei i w związku z tym zdecydowaliśmy się urządzić uroczystość weselną Szczepana i Abigail w dniu jutrzejszym - ogłosił.

Abigail potrzebowała chwili, żeby przetrawić tę informację. Ma być gotowa do ślubu... jutro?

Piotr mówił dalej:

- Tradycyjnie judejska panna młoda nie zna dnia ani godziny, kiedy pan młody po nią przyjdzie, ale z racji tego, że pan młody może ją zastać z rękami w workach z ziarnem, wydzielającąienne racje żywności dla potrzebujących, ogłaszamy to tak, żeby słyszała.

Grupa zebranych zaczęła się śmiać i klaskać, a Abigail potrząsnęła głową i zdobyła się na nerwowy uśmiech. Szczepan musiał dostrzec jej zaskoczenie, bo cicho przeszedł dookoła stołu i podał jej rękę. Poczwała, jak przez ten fizyczny kontakt przepływa do niej jego siła, dobroć i... tak, miłość.

- Jutro - powiedziała drżącym głosem. - Niech tak będzie.

Będzie gotowa. Nie wiedziała jeszcze, jakie musi poczynić przygotowania, ale będzie gotowa. Tego była pewna.

\*\*\*

Uroczystość była prosta, lecz radosna. Nie potrzebowali niczego wyszukanego. Wielu wierzących zebrało się, by życzyć młodej parze wszystkiego najlepszego na nowej, wspólnej drodze życia. Gdy Abigail wkroczyła na podwórze, rozpoznała mnóstwo twarzy – zdawało się, że stawili się wszyscy, którym ona i Szczepan pomagali, a ich oblicza jaśniały niezwykłą radością. Tego dnia wszędzie, gdzie Abigail spojrzała, widziała jedynie szczęście i radość. Uświadomienie sobie, że ich ślub podnosił na duchu tak wiele osób, było dla niej wielkim darem.

Jakub kręcił się niedaleko niej i Abigail zauważyła, że wydawał się wyższy i bardziej wyprostowany. Przypominał jej chudego i wygłodniałego psa pasterskiego – włosy miał, jak zwykle, w nieładzie, choć próbował je przygładzać rękami. Abigail przylgnęła do niego na tak długo, ciesząc się, że nie odepchnął jej zawstydzony.

Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- No, to moja siostra będzie mężatką. Czy poczciwy Szczepan sądzi, że da sobie radę z taką niezależną żoną?

Abigail usłyszała wokół siebie tłumione śmiechy i sama też się roześmiała. Wiedziała, że ten komentarz był wyrażeniem miłości i troski przez Jakuba i jeszcze raz go uściskała.

Wziął ją pod rękę i poprowadził wśród zebranych.

- Gdzie będziecie mieszkać?

- Szczepan uważa, że powinniśmy zamieszkać u mnie.

- Cieszę się, że nie będziesz sama. Martwię się o ciebie – rzekł Jakub. Zastanawiała się, czy w jego oczach nie zauważyła cienia smutku, lecz chłopak uśmiechał się i kiwał głową z zadowoleniem. Walczyła z nagłą potrzebą rozplakania się.

Wtem u jej boku zjawił się Szczepan, ze spojrzeniem przeznaczonym jedynie dla niej.

- Jakubie, będziesz zawsze mile widziany w naszym skromnym domu – wyciągnął rękę do chłopaka. - Strych należał do ciebie i tak pozostanie. Będziemy się cieszyć, że jesteś częścią naszej nowej rodziny.

Jakub wyglądał na zaskoczonego i przez chwilę poddał się wzruszeniu. Abigail zobaczyła, jak zaciska mu się gardło, kiedy próbował coś przełknąć.

- To bardzo miłe - zdołał wreszcie odpowiedzieć, po czym wskazał na stojącego nieopodal Albana. - Ale na razie moja życiowa droga zmierza w inną stronę.

- Zmierza tam, gdzie powinna - powiedział Szczepan z uśmiechem. Pomachał Piotrowi, który właśnie go zawołał. - Ale wiedz, że kiedykolwiek zechcesz wrócić, nasz dom zawsze będzie twoim domem.

Abigail raz jeszcze uścisnęła Jakuba, po czym przeszła przez roześmiany tłum, by zająć miejsce przy panu młodym.

Popołudnie minęło aż nazbyt szybko. Zanim Abigail się obejrzała, zebrani już wiwatowali i rzucali kwiaty w kierunku małego podwyższenia, na którym klęczeli, podczas gdy Piotr się za nich modlił. Poczowała jak Szczepan bierze ją za rękę. Teraz należała do niego. Gdy wróci do swojego prostego mieszkania, nie będzie już szła przez życie sama. Nigdy więcej nie będzie się czuła samotna.

# ROZDZIAŁ

## TRZYDZIESTY CZWARTY

Kilka dni po pamiętnej rozmowie, Ezdrasz spotkał się z Szawłem w Świątyni. Jedno spojrzenie na twarz młodego człowieka wystarczyło, by Ezdrasz domyślił się, że Szaweł przynosi niepokojące wieści.

- Kilku kapłanów świątynnych dołączyło do tej sekty - wyrzucił z siebie.

Zszokowany Ezdrasz cofnął się o krok.

- Jesteś pewny?

- Gamaliel dziś rano otrzymał tę wiadomość od arcykapłana. Byłem przy tym.

- A co Gamaliel mówi na ten temat?

- To samo, co wczoraj, przedwczoraj i w zeszłym tygodniu. Musimy sprawdzić, czy oni naprawdę głoszą Słowo Boże.

Ezdrasz poczuł się, jakby ktoś wykręcał mu wnętrzności. Tracił swego najstarszego i najlepszego przyjaciela.

- Czy on też do nich *dołączy*?

- Nie mogę się pogodzić z tym, że coś takiego mogłoby się wydarzyć.

Ezdrasz zmusił się, by skupić uwagę na Szawle. Czuł się wewnętrznie pusty.

- Powinniśmy kontynuować tę rozmowę gdzie indziej.

- Oni znów zbierają się w Krużganku Salomona.



- Nie chcę już ich więcej oglądać - odpowiedział ponuro Ezdrasz. - Nigdy.

Skreślił w główną ulicę prowadzącą do bogatej dzielnicy przy północno-zachodnim murze miasta. Była to jedyna część Jerozolimy, w której mogli się bezpiecznie gromadzić zhellenizowani Judejczycy. Szeroki plac wypełniali mężczyźni i kobiety w kwieciste kolorowych szatach. Ezdrasz zauważył nawet kilku Judejczyków w rzymskim odzieniu, z wyperfumowanymi brodami, natłuszczonymi olejkami i zakręconymi w greckim stylu. Ezdrasz poprowadził Szawła do herbaciarni, gdzie przy wejściu stały trzy podróżne lektyki czekające na właścicieli. Ezdrasz zauważył, że usta Szawła wykrzywają się drwiąco. Taki środek transportu był w dzisiejszych czasach rzadkością w Jerozolimie, gdyż wielu Judejczyków w zacienionych uliczkach obrzucało je kamieniami w odpowiedzi na to ekstrawaganckie popisywanie się bogactwem.

Właściciel sklepu rozpoznał Ezdrasza i zaprosił go wraz z Szawłem do bogato zdobionej wnęki. Ezdrasz złożył zamówienie, poczekał, aż zasłona zostanie zaciągnięta, po czym rzekł:

- Czasem załatwiam tu interesy. Możemy rozmawiać otwarcie, nikt nas nie będzie podsłuchiwał.

Szawel pochylił się nad stołem i powiedział:

- Trzeba zniszczyć tę całą grupę.

Ezdrasz uważnie przyglądał się swemu rozmówcy. Szawel z Tarsu był faryzeuszem z rodzaju tych, których Ezdrasz zwykle unikał. Sztywny i uparty, jeśli chodzi o poglądy, wypowiadał każde zdanie z zaciętą pewnością, jakby tylko on jeden wiedział, co jest właściwe. Ezdrasz i Gamaliel byli wychowani w duchu zupełnie innej filozofii. Ich rabbi twierdził, że tylko Bóg może ogłosić, co jest tak naprawdę poprawnym punktem widzenia, a swoją wolę obwieszcza przez proroków. Rodziło to pewną elastyczność w studiowaniu Pism; rabbi prezentował dwa różne spojrzenia na ten sam fragment i kazał studentom odnaleźć prawdę w *obu* komentarzach. Owe wspomnienia jednak wywołały tylko jeszcze jedno przeszywające poczucie żalu z powodu rozłamu pomiędzy Ezdraszem a jego najlepszym przyjacielem.

Ezdrasz odsunął te myśli na bok i wypowiedział na głos to, o czym zdecydował tuż przed świtem:

- Nie możemy zaryzykować bezpośredniego ataku na apostołów.  
Broda Szawła uniosła się w oburzeniu.

- To oni są powodem tych wszystkich problemów! Pozbądźmy się ich, a tłumy się rozpiezchną!

- Tak? Jesteś tego pewny? Czyż nie dokładnie tego samego argumentu użył Sanhedryn wobec Jezusa z Nazaretu? Ukrzyżowali Go, a sekta i tak rośnie w siłę - Ezdrasz machnął ręką, powstrzymując dalszy spór z Szawłem. - Mamy znacznie większy problem.

Ezdrasz opowiedział o swej wizycie w arenie i o tym, jak nowy prefekt, Marcellus, odrzucił ich ostrzeżenia dotyczące wyznawców Jezusa.

Szaweł spochmurniał.

- Jeśli otwarcie ich zaatakujemy, rzeczywiście może dojść do zamieszek - zgodził się. - Wtedy prefekt mógłby oskarżyć nas o wzniecenie buntu.

- Tego musimy uniknąć za wszelką cenę - przytaknął Ezdrasz. Taki scenariusz nie dawał mu spać po nocach. - Jeśli Rzymianie stwierdzą, że wznieciliśmy zamieszki prześladując apostołów, to skończymy na krzyżach Golgoty.

- Więc co proponujesz?

Ezdrasz nachylił się nad stołem i wyszeptał:

- Wybierzemy jednego z przywódców, ale nie z samej góry. Postawimy mu zarzuty przed Sanhedrynem.

- Jakie zarzuty? Wszyscy oni są znani z tego, że surowo przestrzegają Prawa! To jest właśnie...

- Pomyślałem o tym. Masz sojuszników wśród rabinów, nieprawdaż? Wśród ludzi, którzy boją się tego, czego nauczają wyznawcy?

- Są przerażeni - odparł Szaweł ponuro.

- Przeprowadź człowieka przed Sanhedryn i załatw, aby kilku z nich go oskarżyło.

Ezdrasz przedstawił w skrócie, co rabini mogą powiedzieć, a Szaweł zaczął kiwać głową tak energicznie, że aż poruszała się górna część jego ciała.

- Takie zarzuty są na tyle poważne, że Rada będzie zmuszona go potępić.

- W ten sposób możemy zacząć od jednego człowieka i sprawdzić ich ducha walki, a potem stopniowo zaatakować całą grupę.

Szaweł wstał, a Ezdrasz zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Najlepiej będzie, jeśli wystąpisz przeciw nim gdzie indziej niż w Świątyni. Nie chcemy, by było zbyt wielu świadków.

- Mam już upatrzone odpowiednie miejsce i odpowiedniego człowieka - powiedział Szaweł z błyskiem w ciemnych oczach.

Ezdrasz zdjął dłoń z jego ramienia.

- W takim razie ruszaj. Nie ma czasu do stracenia.

\*\*\*

Linuks szedł znajomą mu uliczką prowadzącą z centrum miasta do podwórza, gdzie po raz pierwszy spotkał Piotra. Droga pełna była Judejczyków ścigających się z czasem, by zdążyć do domów, nim dźwięk szabatowego szofaru zabrzmiał ponad wzgórzami. Dzięki Bogu, najgorszy upał nieco zelżał. Z północy wiał łagodny wiatr, dając niewyraźną obietnicę świeżego powietrza i nowego początku. Słońce zwiędziało zachodnie wzgórze, a jego czerwona poświata rozlewała się po górzystym terenie. Jastrząb okrążał zalesione wzniesienia tuż poza granicami miasta.

Linuks miał na sobie prostą tunikę o niewyszukanym splocie i płaszcz z pasem - ubiór noszony przez większość judejskiego społeczeństwa. Nabył je u zdumionego kupca dziś po południu, przebrał się u niego na zapleczu, a swoje rzymskie odzienie schował do płóciennej torby. Gdy Szczepan go zapraszał, nie mówił nic o ubiorze, lecz Linuks widział spojrzenia rzucone w jego kierunku przez tych, którzy słyszeli ich rozmowę. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, ani stawiać swego nauczyciela w niekorzystnym świetle przed innymi wierzącymi. Prosty judejski ubiór był jego sposobem na zamaskowanie.

Od tamtego krótkiego spotkania nowy trybun nie kontaktował się z nim. Od gubernatora też nie nadchodziły żadne nowe wieści. Aby się czymś zająć i zużytkować nieco energii, Linuks zaczął trenować rekrutów. Większość oficerów z jego rangą i doświadczeniem - był przecież członkiem osobistej straży prefekta - pogardziłaby takim zajęciem. Jednak Linuks nie był stworzony do bezczynności. Jego

prośba o przydział do służb patrolujących została odrzucona – przez kogo i dlaczego, tego mu nigdy nie wyjaśniono. Dlatego sam zapełniał sobie czas oraz czekał na codzienne spotkania ze Szczepanem.

Gdy Linuks dotarł do placu, zewnętrzne drzwi stały otworem, co było rzadkością w tych niepewnych czasach. Dołączył do innych spóźnionych i wśliznął się do środka mając nadzieję, że nie zwraca niczyjej uwagi, jednak i tak rzucał się w oczy swoim wysokim wzrostem, gładko ogoloną twarzą oraz wyglądem obcokrajowca. Jeden z mężczyzn stojących w środku, tuż przy wejściu, spojrzał na niego ze zmarszczonym czołem, lecz inny wziął go za ramię i szepnął coś, czego Linuks nie słyszał. Nie rozpoznał tego, który się za nim wstawiał. Strażnik, choć wciąż niechętnie, kiwnął Linuksowi głową na znak, że może wejść.

Ile razy Linuks znajdował się wśród wierzących, instynktownie miał się na baczności. Nawet wobec Szczepana czuł pewien dystans, lecz tłumaczył to sobie faktem, że po pierwsze Szczepan był Judejczykiem, on zaś Rzymianinem, a po drugie, w grę wchodziła Abigail. Nawet gdy nie uczestniczyła w ich spotkaniach, stanowiła pewien problem w ich relacji. Ale nie dzisiejszego dnia. Linuks wszedł na podwórze i od razu poczuł się w pełni zaangażowany i na miejscu.

Jakby na potwierdzenie tej zmiany, usłyszał głos Szczepana:

– Linuksie!

Patrzył, jak Szczepan przeciska się przez tłum w jego kierunku.

– Niech Bóg będzie z tobą, bracie. Życzę ci błogosławionego szabatu.

Te słowa poruszyły Linuksa do głębi. Choć nigdy wcześniej nikt ich do niego nie wypowiedział, Linuks rozpoznał tradycyjne pozdrowienie, którym religijni Judejczycy obdarzali się wzajemnie każdego tygodnia.

– Wzajemnie, Szczepanie – odpowiedział lekko zawstydzony i niepewny, jaka odpowiedź byłaby odpowiednia.

– Chodź.

Szczepan zaprowadził go do wolnego miejsca przy jednym ze stołów. Podniósł dłoń i siedzący przy tym stole zamilkli.

– To jest Linuks, mój uczeń, bojący się Boga. Proszę, bądźcie wobec niego gościnni. A to są bracia ze zhellenizowanej społeczności – zwrócił

się do Linuksa. – Rozumiesz, tak? Dobrze. A teraz musisz mi wybaczyć, proszono mnie o pomoc w rozdawaniu chleba i wina.

Szczepan zrobił krok, po czym zatrzymał się i odwrócił. Położył dłoń na ramieniu Linuksa i powiedział:

– Cieszę się, że przyszedłeś świętować z nami szabat.

– Ja również – Linuks poczuł się tak poruszony, że nie potrafił tego wyrazić. Rozumiał, że te słowa były przeznaczone do uszu wszystkich przy stole.

Szczepan czekał, aż Linuks usiądzie, po czym pochylił się nad nim tak nisko, że otarł się o niego brodą.

– Znaki i cuda. Czy te słowa coś dla ciebie znaczą?

– Nie wydaje mi się....

Ręka Szczepana uniosła się, po czym opadła.

– Czuję, mój bracie, że Bóg dzisiejszej nocy do ciebie przemówi. A kiedy przemówi, proszę cię, abys Go *posłuchał*.

\*\*\*

Abigail widziała, jak Linuks wchodzi na podwórze i jak jej mąż spieszy, by go powitać. Sama obecność Rzymianina wywołała w niej niepokój. Żołnierz łamiący się chlebem z braćmi był zjawiskiem dość niespotykanym. Co on tutaj robił? Szczepan regularnie się z nim spotykał, ale może to był podstęp i ten człowiek ich szpiegował? Czy on naprawdę stał się wierzący?

Poczuła niepokój i pomodliła się znów za Szczepana – o jeszcze większą mądrość w znajomości z Linuksem oraz o ochronę dla nich wszystkich...

Zauważyła, że niektórzy dzielają jej obawy. Spojrzenia i szepty sygnalizowały ich niepokój. Nawet wielu zhellenizowanych wierzących, którzy siedzieli trochę na uboczu, miało na twarzach wymalowane zdziwienie.

Lecz Szczepan zdawał się tego nie zauważać. Pociągnął Linuksa do miejsca przy stole pośród zhellenizowanych Judejczyków, porozmawiał z nimi chwilę, po czym poszedł na swoje miejsce przy głównym stole.

Abigail spojrzała na Linuksa. Wyglądał na nieco speszonego, ale uspokajał się. Skupił wzrok na Szczepanie i na tych, którzy mieli wraz

z nim usługiwać. Szczepan siedział obok Mikołaja, którego Abigail podziwiała. Choć był on Grekiem, zdecydował się czcić judejskiego Boga i uznał Jezusa jako Mesjasza, którego śmierć i zmartwychwstanie przyniosły odpuszczenie grzechów wszystkim tym, którzy uwierzą. Cała grupa bez problemu uznała intencje Mikołaja za szczere. Człowiek ten, razem ze Szczepanem i pięcioma innymi, został wybrany do rozdawania żywności wśród potrzebujących.

Abigail zobaczyła, że Szczepan nachyliła głowę w stronę Mikołaja i coś do niego po cichu mówi. Ten drugi pokiwał głową. Gdy tak rozmawiali, Szczepan położył dłoń na oparciu krzesła Mikołaja nie dotykając jego ramion, ale pokazując wszystkim, że uważa go za prawdziwego brata, w każdym znaczeniu tego słowa. Abigail znów była głęboko poruszona śmiałością Szczepana i jego przekonaniem, by dobra nowina była przekazywana zarówno Żydom, jak i Grekom. Jej ukochany naprawdę był mądrym i Bożym człowiekiem. Poczwała, jak jej policzki rumieniać się pod szalem, gdy pomyślała o tych nielicznych, lecz jakże cudownych dniach, które zdążyli spędzić jako mąż i żona.

Abigail spojrzała znów w kierunku głównego stołu, przy którym apostołowie właśnie powstali. Piotr dał znak Szczepanowi, by poprowadził pierwszą modlitwę. Następnie połamali chleb i rozlali wino. Szczepan, Mikołaj i inni wzięli kosze z chlebem oraz kielichy z winem, by porozstawiać je na stołach, przy których zebrani byli wierzący.

Szczepan zaskoczył ją po raz kolejny. Podczas gdy inni poszli usługiwać wierzącym Hebrajczykom, Szczepan skierował się do grupy zhellenizowanych. Dostaną chleb i wino w tym samym czasie, co ich judejscy bracia. Linuks również.

Abigail przyglądała się uważnie nie tylko temu, co zrobił Szczepan, ale również reakcji Linuksa. Nawet z tej odległości widoczne było, że Rzymianin jest głęboko poruszony. Patrzyła, jak skłania głowę i zastanawiała się, o czym w tej chwili myśli. Czy naprawdę był na tyle śmiały i na tyle w potrzebie, by wyciągnąć rękę do ich Boga jako swojego Zbawiciela?

\*\*\*

Siedząc pomiędzy tymi, którzy z odrobiną niechęci zrobili mu miejsce, Linuks patrzył na apostołów i siedmiu innych, o których Szczepan mówił, że są diakonami. Wszystko, co widział i słyszał, było dla niego nowe, lecz pragnął tego. Nie wiedział dokładnie, czego, ani z jakiego powodu, lecz odczuwał dokładnie to samo, czego doświadczał przed spotkaniami ze Szczepanem.

W przeciwieństwie do wielu rzymskich oficerów odbywających służbę w Judei, Linuks świetnie mówił po aramejsku. Niektórzy apostołowie mówili po grecku, lecz większość posługiwała się aramejskim. Poproszono Szczepana, by się pomodlił. Zrobił to w obu tych językach, przeskakując z jednego w drugi z taką łatwością i płynnością, że zmiana była ledwie zauważalna.

Linuks otworzył oczy i uniósł głowę zauważając, że jego głos przyciąga też innych. Wszyscy, również Abigail, która siedziała z innymi kobietami, spoglądali na Szczepana. Nie dostrzegł jej wcześniej, ponieważ stoły dla kobiet ustawione były nieco dalej od stołu głównego. Poza tym wszystkie kobiety nosiły niemal identyczne szale. Lecz twarz Abigail była odrobinę odsłonięta, z pewnością dlatego, że dziewczyna była tak pochłonięta tym, co słyszała. Jej twarz jaśniała wewnętrznym światłem, takim jak to, które zdobiło rysy Szczepana. Patrzyła na swego męża z podziwem. *Jej mąż.*

Linuks znów miał to wrażenie wewnętrznego rozdarcia. Z jednej strony, ogarnęły go wszelkie uczucia, jakie do tej pory żywił wobec Abigail, co było tak samo wyraźne i bolesne. Dojmująco odczuwał oskarżające myśli na temat swych nieczystych pobudek i pragnień, jakby właśnie obudziła się w nim jakaś wewnętrzna świadomość. To uczucie wzrastało wraz z każdym kolejnym słowem modlitwy wypowiedzianym przez Szczepana. Z drugiej strony, każde z tych pragnień, każda z tęsknot była ukazywana do wglądu. Zdał sobie sprawę, że nie tylko do jego wglądu. Było w nim coś jeszcze, coś nowego... Owo „coś” mógł określić jedynie jako Boga. *Lecz nie był to po prostu judejski Bóg. To był jego Bóg.*

Bóg pomagał mu przesiewać i układać myśli: samolubne i złe pragnienia odkładać na jedną stronę, a głód prawdy i życie w świętości zbierać po drugiej.

Linuks z niewymowną jasnością zobaczył, że nigdy tak naprawdę nie kochał Abigail. Pragnął jej, pożądał, chciał ją posiadać. Ale *miłość*? Czymże jest miłość? Czy cokolwiek w całym jego życiu, aż do dziś, ukazało mu, co to słowo tak naprawdę znaczy?

Szczepan i inni mężczyźni przy stole łamali chleb ustawiony przed nimi w koszach, po czym kolejna osoba przy stole modliła się nad rozbitym naczyniem, nad ostateczną ofiarą. Linuks rozumiał te słowa, bo Szczepan podczas dwóch ostatnich spotkań wyjaśnił mu, co ma miejsce podczas łamania chleba. Apostołowie robili to, co pokazał im Mesjasz podczas ich ostatniej wieczerzy w czasie Paschy, na dzień przed tym, jak Go zabrano. Linuks wiedział to wszystko, lecz nie był przygotowany na to, co się właśnie działo. Nie przy głównym stole, gdzie teraz rozlewano, błogosławiono i dzielono się winem. Nie – chodziło o to, co działo się *w nim*.

Linuks spojrzał na Abigail, która wciąż przypatrywała się swemu mężowi. Linuks widział na jej twarzy wypisaną miłość – tak czystą i intensywną, że był tym wstrząśnięty i zawstydzony. Patrzył na coś tak intymnego, że czuł się intruzem, nawet z takiej odległości. Wiedział też, że sam nie zasługuje na taką miłość; że w całym swoim życiu nie zrobił nic, by zasłużyć na to, aby inna osoba troszczyła się o niego w taki sposób.

Spojrzał na swoje dłonie, wypuszczając w tym momencie kobietę, która i tak nigdy nie należała do niego. Odwrócił się również od gniewu i pożądania, które nie były już więcej częścią jego świata. Zrobił tym samym w swoim sercu miejsce na miłość Zbawiciela, która już na niego czekała.

*Znaki i cuda.* Wróciły do niego słowa Szczepana. Teraz Linuks zrozumiał, co tamten miał na myśli. Bo nie miał wątpliwości, że to, czego właśnie doświadczył, nie pochodziło od niego. Był to znak jego przemiany, a już z pewnością był to cud.

Czysta, głęboka miłość wypaliła wszystko, czym Linuks był wcześniej. Nie był już dłużej tym drugim synem, mniej ważnym księciem, który nigdy nie dostanie dziedzictwa, człowiekiem o udaremionych ambicjach, samotnym oficerem uwięzionym na stanowisku i ziemi, które nienawidziły jego oraz wszystkiego, co sobą



reprezentował. Nic z tego nie miało już znaczenia. Nie w obliczu tej miłości.

Linuks zorientował się, że płacze, ale nie przejął się tym. Owe łzy miały rację bytu i były jak najbardziej na miejscu – tu, pośród tych ludzi. Oni już nie byli dla niego obcy. To byli wierzący – tak samo jak on.

# ROZDZIAŁ

## TRZYDZIESTY PIĄTY

Spotkanie zakończyło się niepostrzeżenie, w miarę, jak zebrani zaczęli się rozchodzić. Większość z tych, którzy siedzieli z Linuksem przy jednym stole wciąż zachowywała wobec niego rezerwę, lecz kilku, wychodząc, pożegnało się z nim. Linuks pozostał na miejscu, siedząc samotnie przy stole poczuł się bardziej komfortowo niż kiedykolwiek wcześniej. Czuł taki dziecięcy spokój ducha, ochronę i akceptację, że mógł odsłonić najbardziej skrywane słabości, lęki i niepewności, wiedząc jednocześnie, że wszystko jest mu wybaczone, że jest obdarzony błogosławieństwem. Kamień, który nosił w sercu, wreszcie się rozpadał. Jego wewnętrzne rany otworzyły się na uleczające światło, a dar nadziei rozciągał się wokół niego niczym jasna poświata.

Szczepan przyszedł do niego, tak jak wcześniej obiecał. Towarzyszyła mu starsza kobieta. Szczepan mu ją przedstawił, ale Linuks niemal od razu zapomniał jej imienia. Po chwili dołączyła do nich Abigail, jednak nawet jej obecność nie była w stanie wymazać z jego myśli tego doświadczenia *znaków i cudów*. Gdyby Linuks potrzebował jakiegoś dowodu, że cud naprawdę się wydarzył, to był to właśnie ten moment.

Szczepan wskazał kobietom miejsce na ławce naprzeciw Linuksa, po czym usiadł obok żony. Nawet w tych okolicznościach Linuks czuł

pokój i akceptację. *Obym któregoś dnia odnalazł taką miłość...* - przeszło mu przez myśl.

Szczepan najwyraźniej chciał dać Linuksowi tyle czasu, ile ten potrzebował.

Patrząc na swoje dłonie spoczywające na stole, Linuks zaczął powoli:

- Tak... tak, dziękuję ci, Szczepanie, że mnie ostrzegłeś zawczasu. Wierzę, że ten moment - „znaki i cuda”, jak go nazwałeś - przydarzył się i mnie.

Podniósł wzrok, a Szczepan położył mu rękę na dłoni.

- Dziękujemy Ci, Panie, za ten dar, którym obdarzyłeś naszego nowego brata. Przygotowuj go - jego ciało, duszę i ducha - na cokolwiek, co dla niego przygotowałeś.

Linuks powiedział tylko „amen”, któremu zawtórowało ciche „amen” ze strony kobiet. Przez chwilę zapanowała cisza, po czym Linuks spojrział na całą trójkę.

- W twierdzy żołnierze rozmawiają między sobą o... możliwe, że wszyscy będziemy mieli kłopoty.

Abigail ścisnęła dłonie Szczepana i kobiety.

- Nie wiem nic konkretnego - kontynuował Linuks - ale wielu niższych rangą żołnierzy znalazło sobie przyjaciół czy współników wśród judejskiej społeczności. To mogą być właściciele straganów, gdzie Rzymianie robią zakupy, albo ludzie, którym Rzymianie pomogli w niebezpieczeństwie, kupcy, którzy na nich zarabiają, a nawet kilku kapłanów i strażników świątynnych. Mówi się, że Sanhedryn podzielił się na takich, którzy wolą poczekać i zobaczyć, co będzie dalej i na takich, którzy chcą działać natychmiast.

- Nasz Pan nas ochroni.

Linuks pomyślał, że Szczepan powiedział to bardziej ze względu na kobiety niż z przekonania.

- A co jeśli Bóg używa Linuksa, aby nas ostrzec? - spytała Abigail drżącym głosem.

Szczepan zamyślił się, skłonił głowę i zamknął oczy. Linuksa zalało poczucie czegoś niewidzialnego, co nie tyle działało, ile *wypełniało* ten czas modlitwy.

Na podwórzu rozległ się szmer głosów. Rozejrzawszy się, Linuks dostrzegł, że stojące obok pojedyncze osoby oraz małe grupki modlą się. Niektórzy stali, inni siedzieli lub klęczeli. Kilku miało głowy zakryte tradycyjnymi szalami modlitewnymi, podczas gdy inni zbierali się w kręgach i nakładali ręce na tych, którzy stali w środku.

Linuks nie wiedział, co myśleć o sugestii Abigail, że może być Bożym posłańcem. Jedyne, co mógł rzec, to fakt, że miał poczucie przynależności do tego miejsca i tych ludzi. To, co się tu działo, było dla niego czymś naturalnym: to, że wszyscy dookoła się modlą, to, że Szczepan wciąż modli się po cichu, a obie kobiety cierpliwie czekają, aż otworzy oczy. Było to dla Linuksa naturalne, a zarazem tak nowe.

Wreszcie Szczepan spojrział na niego i odezwał się spokojnym głosem:

- Jak wiesz, otrzymałem powołanie do służby w społeczności zhellenizowanej. Czuję, że Bóg wezwał mnie, bym przemawiał do moich braci w synagodze Libertynów. Niebezpieczeństwo nie zmienia niczego w moim powołaniu.

- Ale co z... - Abigail urwała. Zamknęła oczy i pochyliła głowę tak samo, jak Szczepan. I znów ich stół otoczyło coś znacznie większego niż cisza.

W końcu Abigail podniosła głowę, choć nadal miała spuszczone oczy. Westchnęła cicho.

- Też to poczułaś? - spytał łagodnie Szczepan.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Wreszcie skinęła głową. Tylko raz.

Szczepan wstał i odezwał się do Linuksa:

- Odprowadzę cię.

Przeszli przez wyludniające się stopniowo podwórze. Przy bramie wyjściowej Szczepan zwrócił się do wychodzącej właśnie grupki:

- Idziecie do miasta?

Gdy skinęli głowami, spytał:

- Pozwolicie, by ten brat wam towarzyszył? Obawiam się o jego bezpieczeństwo.

Dwóch z zagadniętych miało na sobie ciemne szaty faryzeuszy. Zmarszczyli brwi, lecz ten wieczór najwyraźniej i na nich wywierał swą moc.

- Dobrze, chodźmy - powiedział jeden z nich.
  - Chwileczkę - Szczepan odciągnął Linuksa na bok. - Mam do ciebie prośbę.
  - Co tylko zechcesz - odparł Linuks i mówił to szczerze, z głębi serca.
  - Jeśli coś by mi się stało, czy mógłbyś wywieźć Abigail z Jerozolimy? Do Albana i Lei?
- Linuks poczuł, jakby jakaś niewidzialna pięść ścisnęła go za serce.
- Myślisz, że coś może... ci się...?
  - Nastaly niebezpieczne czasy - rzekł cicho Szczepan. - Sam to powiedziałeś. Alban i Lea są jej oficjalnymi opiekunami. Zabierz ją do nich do Galilei. Będę spał spokojniej wiedząc, że przystałeś na moją prośbę.
- Linuks w swoim głosie usłyszał coś jakby żal:
- Zrobię, jak prosisz. Ale...
- Znów Szczepan nie dał mu dokończyć:
- Niech Bóg zajaśnieje nad tobą za to, że mi to obiecałeś. Jestem ci niezmiernie wdzięczny, mój bracie.

\*\*\*

Abigail już dawno nie odczuwała tak niesamowitego Bożego pokoju. Mimo że pierwszego dnia tygodnia na podwórze przychodziło mnóstwo osób, poranek upłynął w spokoju. Ludzie czuli się, jakby to było jakieś święto, choć faktycznie był to zwykły dzień. Abigail wciąż miała poczucie Bożej obecności wśród wierzących.

Poprzez głoszenie ewangelii i moc Ducha Świętego widziała wielkie cuda, które stawały się powszechne - cuda ponownych narodzin, uzdrowień. Wiedziała jednak, że Szczepan i inni przywódcy czekają na cuda wymagające jeszcze głębszej wiary - takiej, która poprowadzi ich poprzez to, co przyniosą kolejne dni i da im śmiałość do dalszego dzielenia się słowem Bożym. Nie dalej jak godzinę temu ona i Szczepan rozmawiali o tym po drodze na podwórze.

W ten poranek na podwórzu zebrał się pokaźny tłum ludzi oczekujących kolejnego przesłania od Boga, liczących na to, że może

jeden z apostołów dostał prorocze słowo od Pana, albo Bóg objawił coś całej grupie. Jeśli tak, Abigail była gotowa słuchać – i przyjmować.

Okazało się, że to Szczepan, a nie żaden z apostołów wystąpił naprzód z zakrytą głową i rozwinął zwój. Przeczytał fragment z Księgi Powtórzonego Prawa, po czym zwinął ją i podał swemu pomocnikowi, by go bezpiecznie schował. Następnie Szczepan przypomniał zgromadzonym o prawach, które Bóg dał im przez Mojżesza: o tym, jak ważne jest, by się gromadzili, i dlaczego Bóg w swej mądrości tak nakazał.

- Potrzebujemy siebie nawzajem – zachęcał. - Nie zostaliśmy stworzeni jako uwielbiający Boga w pojedynkę. Jesteśmy jednym ciałem, braćmi i siostrami. „A powróż potrójny niełatwo się zerwie”. Czerpiemy z jego siły za każdym razem, gdy się gromadzimy. Bo dla tych z nas, którzy wierzą w Mesjasza, ten powróż nabrał nowego znaczenia. Nasz Ojciec, nasz Zbawiciel oraz Duch Święty, który w nas zamieszkuje, daje nam mądrość oraz prowadzenie. Potrzebujemy i przyjmujemy obecność tych trzech w naszym życiu. A dziś rozejdziemy się do swoich spraw wraz z początkiem nowego dnia, nowego tygodnia, lecz nim to nastąpi, przychodzimy razem do Boga, nie jako pojedynczy ludzie, lecz jako społeczność wierzących. Czerpiemy od siebie nawzajem siłę i zachętę. Wznosimy wspólną modlitwę o Boże prowadzenie. Prosimy o siłę i odwagę, abyśmy nadal pręźnie głosili przesłanie Jezusa wszystkim ludziom.

Abigail znów poczuła ukłucie strachu. *A co, jeśli...?* Wróg będzie nadal próbował zniszczyć to, kim się stali. Jedność ich celu, poczucie wspólnoty, błogosławieństwo jednomyślności. Nie mogła sobie wyobrazić, jak będzie w stanie przetrzymać...

Lecz gdy te myśli jeszcze krążyły w jej umyśle, zaczął je zastępować pokój. *Jestem tu* – usłyszała cichy, ale wyraźny głos. W tym momencie poczuła się nie tylko bezpieczna, lecz też skupiona na tym, co wieczne, na Bogu. To było tak, jakby po raz pierwszy w pełni zrozumiała poprzez własne doświadczenie słowa, które powiedział do nich Mistrz: „Królestwo jest tu. Teraz. *W was*”.

*Emmanuel. Bóg z nami. Ze Szczepanem...* Starła się przycisnąć tę obietnicę jak najmocniej do serca.

\*\*\*

Gdy członkowie wspólnoty opuścili podwórze, udając się do swoich codziennych obowiązków, Abigail poszła w kierunku małej grupki, z którą modlił się Szczepan. Gdy modliła się sama tego ranka, otrzymała coś od Boga. Czekwała, aż skończą się modlić i żegnać ze sobą. Miała nadzieję, że Szczepan zdoła rozświetlić to, co Bóg jej pokazał. Czy była to tylko jej niespokojna wyobraźnia, czy może Duch Boży do niej przemówił?

Kiedy zwrócił się ku niej, zaczęła:

- Potrzebuję z tobą porozmawiać, ale nie wiem nawet, jak to opisać.

Kilku ich współpracowników stało już w kolejce i czekało na instrukcje, co mają robić. Szczepan wydał kilka krótkich poleceń, poprosił ich o cierpliwość, po czym zaprowadził Abigail do zacisznej wnęki.

- O co chodzi, kochanie? - spytał, gdy usiedli na ławce.

- Mam takie przeczucie, nic więcej. No, może...

Poranne cienie w cichej wnęce dawały poczucie prywatności, choć byli widoczni dla każdego, kto przebywał na podwórzu. Bardzo ceniła sobie ten spokój, niewidzialną siłę, którą czuła zawsze, gdy byli blisko siebie. Abigail zauważyła, że czerpie z obecności Szczepana większe poczucie jasności.

- Zastanawiam się, czy Bóg czasem nie przekazał mi... wiadomości - rzekła. - Takiej skierowanej wprost do mnie.

Szczepan, gdy kogoś słuchał, przybierał pewną postawę. Prostował plecy, krzyżował nogi, składał ręce i wpatrywał się w mówiącego uważnie, prawie nie mrugając oczami.

- A czemuż Bóg *nie miałby* do ciebie mówić, Abigail?

- Nie chodzi o to, że nie powinien. Tylko że jeszcze nigdy wcześniej tego nie zrobił - Szczepan dawał jej poczucie, że nic innego na świecie nie ma znaczenia, nawet mijający czas. Oparła się o ścianę.

- Wiesz, że dużo się martwię. Czasem mam wrażenie, że prawie cały czas żyję w lęku. Wiem, że Bóg jest z nami. I ty się o mnie troszczysz, ale...

- Ty akurat masz powody, by czuć się niepewnie - wtrącił Szczepan.  
- Doświadczenie aż zanadto nauczyło cię, że pokój może być zniszczony w jednej chwili przez wydarzenia, na które nie masz wpływu.

- Chcę mieć wiarę. Czemu Bóg nie zabierze moich lęków? - nie zdawała sobie sprawy, że podnosi głos, dopóki stojący nieopodal ludzie nie spojrzeli w jej kierunku. - Czemu nadal czuję się tak, jakby zmartwienia miały nade mną kontrolę? - dokończyła ciszej.

- Czyli chciałabyś, aby Bóg zabrał również twoje wspomnienia?

- Nie, to znaczy... - przyglądała mu się dłuższą chwilę. - Może czasem tak. Zwłaszcza nocami, gdy budzą mnie koszmary. Choć ostatnio nie zdarzało mi się to tak często.

Uśmiechnęła się do siebie, a Szczepan wziął ją za rękę.

- Abigail, chciałbym móc powiedzieć, że wszystko będzie w porządku. Z tobą, z nami. Wszystko bym oddał... - odwrócił się w kierunku placu, a jego twarz była w połowie w słońcu. Nigdy nie wyglądał łagodniej, ani bardziej bezbronne. - Być może Bóg ma jakiś cel w tym, by zostawić ci te wspomnienia. A nawet lęki.

Napięcie, jakie w niej narastało, nagle znalazło ujście.

- Od wielu dni czułam rosnącą potrzebę ucieczki. Przed naszym ślubem Alban zaprosił mnie do Galilei. Byłam wtedy pewna, że powinnam zostać tu, gdzie mogę służyć we wspólnocie i być blisko ciebie - zawahała się. - Ale odkąd Alban i Jakub wyjechali, tak bardzo się bałam mieszkając tutaj. Chciałam, żebyś mnie stąd zabrał. W Jerozolimie jest takie ogromne napięcie. I ciągle wzrasta... A może mi się tylko tak wydaje.

- Nie - odparł Szczepan łagodnie. - Nie wydaje ci się.

- Wiem, że Bóg dał mi służbę tutaj. Ale przyznaję... przyznaję, że byłam gotowa ją zostawić, gdybym tylko potrafiła przekonać cię do wyjazdu.

Szczepan nic na to nie powiedział. Siedział i patrzył na nią błyszczącymi oczyma. Czowała, jakby chciał dać jej czas, by sama znalazła odpowiedź.

- Ostrzeżenie, które dostałeś od Linuksa - podjęła wątek - w jednej chwili znów wywołało we mnie lęk i niepokój. Lecz gdy się później modliłam w tej sprawie, przekonałam się, że potrzebowałam usłyszeć, co on miał do powiedzenia, a potem stawić czoła tym lękom. To



polecenie było tak silne, tak wyraźne, że czułam, jakby Bóg wypowiedział te słowa wprost do mojego serca. Muszę polegać na obietnicach, które Bóg nam dał. I, jeśli trzeba, wypuścić z rąk nawet własne życie i przyjąć Jego powołanie.

Podniosła głowę, by spojrzeć Szczepanowi w oczy.

- I być może... być może najtrudniejsze jest to, że muszę to zrobić nie tylko dla siebie, ale też dla tych, których kocham.

Szczepan nie tylko skinął głową, ale pochylił się całym tułowiem. Kołysząc się, patrzył na nią spojrzeniem tak intensywnym jak blask porannego słońca.

Abigail wzięła głęboki oddech i powiedziała to, co właśnie stało się dla niej jasne w sercu:

- Nie będę cię prosiła, żebyśmy szukali bezpieczniejszego miejsca - powiedziała, choć głos jej drżał. - Musisz podążać za naszym Mistrzem, a nie za nerwowym widzimisię twojej żony. Będę się nadal modlić, ale daję ci wolność, abys wypełniał Boże powołanie, cokolwiek by to miało oznaczać dla ciebie lub dla nas. Tu jest twoja służba. I jak długo Bóg pozwoli, będzie to również moje miejsce. Będę służyć razem z tobą. Jesteś w Bożych rękach. A Bóg wie najlepiej. A jeśli... jeśli... - ledwie mogła wypowiedzieć te słowa. - Jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, to modlę się, by Bóg dał ci wtedy siłę, abys trwał w Nim i wytrwał aż do... - nie mogła wypowiedzieć ostatniego słowa.

Szczepan trzymał ją mocno w ramionach i dokończył cicho:

- Aż do końca.

\*\*\*

Wieczorem, gdy wrócili już do swego małego mieszkanka, Szczepan postawił lampę oliwną na stoliku, po czym powiedział:

- Abigail, wyglądasz na zmęczoną.

Ton jego głosu, bardziej niż same słowa sprawił, że Abigail wyprostowała ramiona. Nie chciała dodawać mu zmartwień. Prawda była taka, że Abigail była wyczerpana. Dzień był długi i pełen wrażeń. Pomimo modlitw i jak najlepszych zamiarów wciąż odczuwała napięcie. Do tego doszedł jeszcze wysiłek pracy wśród ludzi w potrzebie, włącznie ze świeżo owdowiałą kobietą, która wyplakała się na ramieniu

Abigail, zmartwiona, jak sama wyżywi trójkę małych dzieci. Abigail próbowała ją pocieszać, wypowiadała prawdy na temat Bożej opieki i zaopatrzenia, lecz ta rozmowa wysała z niej siły. Jak ona sama zareagowałaby na miejscu tej kobiety? Czy jej wiara byłaby wystarczająco silna, by przeprowadzić ją przez... taką stratę?

Odepchnęła od siebie te myśli i odwróciła się do męża z uśmiechem.

- To był długi dzień. Widzę, że dla ciebie również.

- Jaki dobry jest nasz Pan, że podarował nam coś takiego jak sen.

Usiadł na stołku i patrzył, jak Abigail rozplata swoje ciemne włosy.

- Do rana wypoczniemy na tyle, by rozpocząć kolejny dzień pracy.

Abigail skinęła głową i odwiązała pas wokół szaty. Nie chciała teraz myśleć o tym, czego będzie wymagał jutrzejszy dzień.

W ciszy oboje przygotowywali się do snu. Abigail rozłożyła dla nich matę do spania i okrycie. Szczepan zgasił lampę oliwną i położył się obok żony. Abigail widziała przez okno gwiazdy, które Boża ręka trzymała na swoich miejscach. Jasny księżyc czuwał nad dachami pobliskich budynków. Lekka bryza ślizgała się po zasłonie, dając wytchnienie po całodniowym upale.

Z ust Abigail wydobyło się ciche westchnienie. Ufanie Bogu w takiej spokojnej chwili było łatwe. Szczepan chyba myślał o tym samym, bo wyszeptał:

- Jesteśmy bezpieczni, moja kochana. Czasem bywamy tak zajęci, że nie potrafimy otworzyć naszych serc na Boga lub na siebie nawzajem.

Abigail odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy. Bardzo lubiła powściągliwy i spokojny charakter swego męża. Rozumiała go i akceptowała. Ona również miała wiele myśli i uczuć, które trudno by jej było dzielić z kimś innym.

- Wiem, Abigail, że jesteś zmęczona. Ale muszę ci coś powiedzieć. Nie chcę w tej kwestii pozostawiać niedomówień przez kolejny dzień, ani nawet przez godzinę. Wybacz, że tak niezręcznie się wyrażam. Nie przychodzi mi to łatwo. Czy będzie to dla ciebie obciążeniem, jeśli spróbuję ci to powiedzieć teraz?

Księżyc częściowo oświetlał twarz Szczepana, pozwalając Abigail widzieć w tym łagodnym świetle rysy twarzy człowieka, którego kochała. Ciężka praca przez cały dzień i poważne sprawy zaprzątające

myśli zdawały się nie mieć teraz znaczenia. Czuła pokój, gdy jego ciało dotykało jej ciała. Cicho wyraziła zgodę, by mówił dalej.

- Zawsze cię podziwiałem. Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem. Byłaś taka piękna. Tak doskonała, że... aż mnie to przerażało. Sam z siebie nigdy bym nie próbował zdobyć twojego serca. Nigdy. Nie miałem prawa, nie miałem nic do zaoferowania, by móc o ciebie zabiegać. To by było tak, jakby... jakby bezdomny chłopak prosił o perłę.

Abigail prawie się zachłysnęła.

- Wtedy przyszli do mnie nasi przywódcy i zapytali, czy mógłbym cię poślubić. Wyobraź sobie, w jakim byłem szoku. Prowadziłem wewnętrzne walki. Modliłem się. Jakże mógłbym to zrobić? Czy Bóg naprawdę oddaje tę wspaniałą kobietę pod moją opiekę? Ale wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że nie powinienem aż tak podziwiać twojej piękności. Powinienem był podziwiać twojego ducha, twoją wiarę, całkowite oddanie Bogu i innym ludziom. Twoje śliczne oczy wciąż wypatrywały, jak można komuś usłużyć. Twój uśmiech dawał innym pocieszenie, współczucie, zachętę - wziął jej dłoń w swoje obie ręce. - Te silne, szczodre dłonie ciągle służą potrzebom ludzi, a twoje szczupłe ramiona niosą aż nazbyt duże ciężary. Nawet uzdrowienie twojej nogi zbudowało tak wiele osób. Lecz najbardziej cenię twoją wiarę, moja ukochana. Twoje trwanie w Bogu. Ufasz Mu, i ufasz mnie, co daje nam przeżyć kolejny dzień. Tak, mówisz o swoich lękach, ale nawet w obliczu strachu nadal służysz, ufasz i wierzysz w Boże obietnice.

Czuła, jak jej ciało drży. Szczepan wiedział o jej lękach więcej niż ktokolwiek inny, a mówił o jej niezachwianej wierze. Czy wiedział, jak czasem strach ściska ją mocno i jak daleka jest od pewności? Czy mówiłby tak, gdyby wiedział...?

- To prawda, że każdego z nas atakują lęki - kontynuował. - Nie rozmawiamy o tym, ale tak jest. W takich momentach bardziej niż kiedykolwiek indziej zdajemy sobie sprawę, że potrzebujemy Boga. Wtedy modlimy się z największą szczerością. I również wtedy On odpowiada z największym ojcowskim współczuciem. Jego obecność jest najbardziej intymna, najcenniejsza, najbardziej podnosząca - właśnie w czasie, gdy się lękamy.

Abigail czuła, jak jego słowa uspokajają ją i trafiają prosto do jej serca. Myślała o tym, co mu odpowiedzieć, gdy wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

- Wiesz, czego się obawiam, Abigail? Czego się boję codziennie? Że cię stracę. Borykam się z tym, odkąd złożyliśmy sobie śluby narzeczeńskie. Podczas moich porannych modlitw, a także w ostatnich chwilach dnia, modlę się o ochronę dla ciebie. Gdyby nie Boża łaska, już dawno bym cię stąd porwał i uciekł z tobą. Jesteś moją ostoją, Abigail. Przypominasz mi o tym, dlaczego Boże powołanie w moim życiu jest takie ważne. Musimy głosić Jego prawdę, zmieniać ten świat, czynić go miejscem pełnym miłości zamiast nienawiści, miejscem pokoju, a nie wojny, miłosierdzia, a nie zemsty, świętości, a nie zła. Jest to moim pragnieniem i modlitwą jako mężczyzny, aby poprzez Jego słowo ten świat był przemieniany. By był bezpieczniejszym miejscem dla ciebie i w przyszłości - dla naszych dzieci. Zawsze chciałem je mieć. I gdybym miał sobie wyobrazić kobietę, która będzie matką moich dzieci, byłaby dokładnie taka jak ty. Silna, oddana Bogu. I piękna. Dopiero teraz, odkąd zostałam moją żoną zaczynam rozumieć, czym tak naprawdę jest miłość i czego nasz Pan pragnie dla *swojej* Oblubienicy, dla *swoich* wyznawców. Teraz wiem, dlaczego był gotowy umrzeć.

Abigail poczuła ciepło łez, które spływały jej po policzkach. Ze wzruszenia nie mogła mówić. Jej serce było zbyt pełne emocji. Obróciła twarz tak, by położyć głowę na jego ramieniu. Bóg pobłogosławił ją cudownym mężem, na jakiego nigdy nie potrafiłaby zasłużyć.

*Kocham cię* - wykrzykiwało jej serce. - *Tak bardzo cię kocham.*

Jak tylko otrze łzy i będzie w stanie mówić, znajdzie odpowiednie słowa, by mu to powiedzieć.

## ROZDZIAŁ

# TRZYDZIESTY SZÓSTY

Ezdrasz stał przed synagogą Libertynów. Prawie nie czuł słońca palącego go w głowę i w plecy oraz strużek potu ciekących mu po szyi i kręgosłupie. Wiedział, że pod daszkiem po jego lewej i prawej stronie jest cień, lecz był zadowolony z tego, że cierpi niewygodę, pasującą właśnie do tej chwili, do przepelniającej go złości. Dokona zemsty, odbierze zapłatę za to, co uczyniono jego siostrze.

- Za Safirę - wymruczał pod nosem. Zignorował dręczący go głos, który mówił, że to są ludzie prawdziwie przestrzegający Prawa, że nie spowodowali jej śmierci, lecz że to Safira w jakiś sposób okazała nieposłuszeństwo Bogu. I że wydarzenia, które zaaranżował, były złe - tak samo złe jak kłamstwo Safiry.

Ezdrasz odepchnął od siebie te myśli. Stawał się w tym coraz lepszy, odrzucając wszelkie argumenty, zanim jeszcze w pełni docierały do jego świadomości. Gniew i złość stały się codzienną częścią jego życia, tak samo jak słońce, upał, jego własny urywany oddech.

Szaweł czekał po przeciwnej stronie placu, otoczony grupką ubranych na czarno faryzeuszy. Nawet z tej odległości Ezdrasz widział rodzący się wśród nich gniew i napięcie. Szaweł napotkał jego wzrok. Ezdrasz dał mu szybki znak ręką, aby jeszcze zaczekał.

- O, właśnie idą - burknął mężczyzna stojący obok niego.

- Możesz mi mówić „panie” - odparł gniewnie Ezdrasz.

Mężczyzna zeszywniał. Ezdrasz odwrócił się, by na niego spojrzeć. Cokolwiek tamten zobaczył w jego twarzy, wystarczyło, by powstrzymać go od komentarza, który cisnął mu się na usta. Odparł tylko:

- Tak, panie.

Ezdrasz odwrócił się.

- Bądźcie w gotowości. Ruszacie dopiero na mój sygnał.

Był otoczony tuzinem wybranych wcześniej mężczyzn. Większość wzięła ze swoich magazynów i karawan, ponadto wezwał kilku strażników i byłych żołnierzy. Ezdrasz podejrzewał, że jeden z nich jest szpiegiem zelotów. Dwóch innych pracowało u niego w biurze. Wszyscy świetnie posługiwali się pięściami, maczugami, sztyletami i mieczami. Wszyscy wzięli od niego zapłatę. Zrobią, co Ezdrasz im każe.

- Dobrze. Działamy zgodnie z planem. Rozproście się w tłumie i czekajcie na mój znak.

Mężczyźni ruszyli, skradając się jak wytrawni wojownicy, mieszając się w przedSIONKU synagogi z gęstniejącym tłumem. Z pewnością ludzie przyszedli tu ze względu na Szczepana. Tłum wokół niego był największy. Lecz Ezdrasz przypatrzył się już wcześniej tym ludziom i był coraz pewniejszy, że nie podejmą żadnej walki. Na pewno będą protestowali, ale gdy dojdzie do rękoczynów, przemocy, będą stać i płakać, i nie ruszą się, żeby obronić tego człowieka - tak samo, jak to miało miejsce na Golgocie z ich Prorokiem. Ezdrasz i jego najemnicy nie powinni napotkać żadnego problemu. A jeśli nawet, no cóż, jego ludzie mieli broń poukrywaną pod płaszczami i przywiązaną do ud.

Ezdrasz przeciskał się przez tłum i rozglądał, ale nikt nie miał przy sobie broni. A jego ludzie wiedzieli, co mają robić.

Synagoga Libertynów została wzniesiona przez zhellenizowanych Judejczyków odwiedzających swoją świętą ziemię. Wielu z nich urodziło się niewolnikami, inni mieli niewolników wśród swoich przodków. Synagoga stała nieopodal Bramy Damasceńskiej oraz stajni używanych przez karawany. Marmurowa budowla wzniesiona została w greckim stylu. Portyk z filarami przypominał Krużganek Salomona. Miała cztery szerokie kamienne stopnie, które witały wychodzących z przedSIONKA.

Szczepan stał na najwyższym z tych stopni. Z boku, z dala od miejsca, w którym stał Ezdrasz, osobno zebrał się tłum kobiet.

Większość z nich miała na głowach szale. Zastanawiał się, czy jest wśród nich Abigail, co jeszcze pogłębiło jego zgorzknienie.

To, co zobaczył następnie, nieco zachwiało jego postanowieniem.

Szczepan nie zwrócił się od razu do zebranych ludzi. Zamiast tego klękał przy rozciągniętych na drugim stopniu schodów noszach i posłaniach chorych, kładąc na nich ręce. Dołączyła do niego grupa innych uczniów, otaczając kolejnych chorych kręgiem, modląc się intensywnie nad każdym. Raz za razem leżący na noszach oraz inni zebrani wokół nich wykrzykiwali z radości tak potężnie, że czasem brzmiało to jak głośny płacz. Tłum odpowiadał okrzykami.

Wreszcie Szczepan podniósł się i zaczął przemawiać. Ezdrasz nie chciał słuchać tego, co ten człowiek ma do powiedzenia. Przeciskał się przez tłum, zyskując tym kilka gniewnych spojrzeń, choć większość ludzi była zbyt zajęta słuchaniem, by zauważyć, że ktoś się przepycha.

Nagle Ezdrasz ujrzał wizję tak silną, jak jego gniew. Pomiędzy nim a Szczepanem pojawiła się zasłona. Była ona uszyta z jego kłamstw, oszustw i wściekłości. Przez jedną krótką chwilę zasłona uniosła się. I wtedy Ezdrasz *przejrzał*.

Rysy Szczepana były otoczone światłem tak intensywnym, że zmieniało dzień w mrok. Wypowiedział dwa słowa, które Ezdrasz usłyszał wyraźnie. *Mesjasz. Miłość*.

Potem zasłona znów go ukryła.

Ezdrasz się zachwiał. Owo wahanie nie wystąpiło jedynie w jego myślach. Czuł, jakby jego dusza była rozdierana i wykręcana. Stał na linii tak wyraźnej, jak ta pomiędzy ludźmi zebranymi wtedy przed Świątynią. I jeszcze raz miał wybór.

Lecz zaszedł już za daleko. Zbyt wiele poświęcił na swój gniew i żądzę zemsty. W końcu był kupcem. Wiedział, co to znaczy dobijać targu i przeciw naprzód niezależnie od okoliczności.

Podniósł pięść nad głowę i wykrzyknął:

- Błóżnierca!

Nie miał zamiaru zrobić tego tak głośno. Zaskoczył nawet siebie samego. Ludzie dookoła niego cofnęli się jak od płonącego ognia.

Lecz jego ludzie przyjęli to nie tylko jako znak, lecz również jako bodziec do działania. Ich głosy dały się słyszeć równie głośno i przeraźliwie. Najdonośniej krzyczeli faryzeusze otaczający Szawła.

- Pojmać go! - rozkazał Ezdrasz. - Zabrać go do Rady!

\*\*\*

Abigail stała z innymi kobietami i słuchała swojego męża. Poczowała dreszczyk, gdy to wciąż nie do końca znajome, a tak cudowne słowo przyszło jej na myśl. *Mój mąż*. Objęła się ramionami, rozmyślając nad tym, jak ich wzajemna miłość wzrosła w tak krótkim czasie. Zaręczeni zaledwie kilka tygodni temu, a teraz już po ślubie... Ale nie przyszła tu rozmyślać nad wspaniałością błogosławieństw, które ostatnio na nią spłynęły. Przyszła posłuchać, jak Szczepan głosi.

Rozpoczął popołudniowe nauczanie streszczeniem historii ludu Bożego. Słuchanie o tym nigdy nie nużyło Abigail, zwłaszcza, gdy Szczepan wyjaśniał, jak te wszystkie wydarzenia wskazywały na Mesjasza. Lecz teraz zamilkł na chwilę i patrzył ponad najwierniejszymi słuchaczami, na grupkę stojących nieco dalej mężczyzn. Abigail też spojrzała w tamtym kierunku i od razu zaniepokoił ją wyraz ich twarzy, napięcie w ich ruchach, jak gdyby szykowali się do czegoś...

- Proszę was wszystkich, rozpoznajcie i przyjmijcie waszego Mesjasza, Jezusa z Nazaretu... - mówił głośno Szczepan.

- Błuźnierca! - przerwał mu gromki krzyk.

To jedno słowo wywołało chaos i przerażenie niczym pustosząca wszystko powódź.

\*\*\*

Oślupiała ze zgrozy Abigail patrzyła, jak Szczepana wyciągnięto przed synagogę. Dwóch mężczyzn trzymało go za ramiona i popychało do przodu. Inni szarpali go za ubranie i za włosy. Tłum napierał i falował jak szalejąca burza na morzu, wykrzykując słowa, których nie rozumiała i nawet nie chciała rozumieć. Ledwie dawała radę utrzymać się na nogach. *Co tu się dzieje?*

Obok niej jakiś chłopiec wycofywał się z oczami rozszerzonymi ze strachu. Wyglądał, jakby chciał się odwrócić i uciekać w obawie o swoje życie. Abigail rozpoznała go. Przychodził często na podwórze.

Odezwała się do niego szybko, zanim zdążyłby uciec:



- Lewi, co się tu dzieje? Co oni robią?

- Nie wiem!

- Nie słyszałeś nic?

- Powiedzieli, że zabierają go przed Radę. Nie wiem, dlaczego. Ja nie... - uciekł nie dokończywszy zdania.

- Przed Radę? Dlaczego?

Lecz nikt nie zważał na jej pytania. Abigail rozejrzała się gorączkowo wokół siebie. Przecież musiał być tu ktoś, kto by jej coś wyjaśnił, kto mógłby pomóc Szczepanowi! Tak, rozpoznawała niektórych, lecz byli oni tak samo przerażeni i zagubieni jak ona.

- Co się stało? Dlaczego Szczepan? - pytała błagalnym głosem, ciągnąc kogoś za rękaw. Jedyne odpowiedzi, które otrzymywała, było wzruszenie ramion lub potrząśnięcie głową.

- Nie mogliście ich powstrzymać? - spytała podchodząc do grupki mężczyzn. Odwrócili się i odeszli, przyspieszając kroku.

Na drugim końcu placu dwóch rzymskich żołnierzy odpoczywało w cieniu. Przez chwilę Abigail poczuła przypływ nadziei. Pośpieszyła ku nim, lecz nim do nich dotarła, podszedł do nich mężczyzna w ciemnych szatach faryzeusza i powiedział coś, czego nie słyszała. Żołnierze spojrzeli na siebie, po czym jeden powiedział coś do drugiego i wzruszył ramionami. Faryzeusz odszedł, a żołnierze wrócili na swoje miejsca, opierając się o kamienny murek. Usłyszała ich prostacki śmiech. Nie, oni jej raczej nie pomogą. Odwróciła się, by porozmawiać z kilkoma świadkami całego zajścia, którzy jeszcze pozostali przed synagogą.

- Co się stało? Co on takiego zrobił? - prosiła w nadziei, że ktoś okaże zrozumienie.

Człowiek stojący najbliżej niej, z oczami wciąż wypełnionymi strachem, odparł:

- Nie widzieliśmy, żeby zrobił coś złego.

- No to dlaczego...?

- Nie potrafię powiedzieć. Otoczyli go i po prostu pojмали. A on nawet nie próbował się opierać. Wyglądało to na zaplanowaną akcję.

Zrobiło jej się niedobrze i czuła, że zaraz zemdleje. Co mogła zrobić? Szczepan potrzebował pomocy - *natychmiast*. Apostołowie byli w Świątyni na popołudniowych modlitwach. Wiedziała, że po modlitwie zawsze tam jeszcze zostawali, żeby posłuchać, jak Piotr przemawia.

Inne znajdujące się tu kobiety były tak samo bezradne jak ona. *Panie, co mogę zrobić...?*

Tak, *modlić się*. Te słowa przyszły jej na myśl. Mogła powiedzieć jedynie „Boże, proszę Cię, pomóż!”. Cały czas powtarzała to zdanie w myślach.

Gdyby tylko Alban... Ale on był daleko.

*Linuks!* Czy Linuks zechciałby im pomóc? Zaprzyjaźnił się przecież ze Szczepanem. Na pewno zechce przyjść mu z pomocą. Abigail odwróciła się w kierunku twierdzy Antonia. Nigdy przedtem tam nie była. Zawsze ostrzegano ją, by trzymała się z daleka od rzymskich żołnierzy, lecz teraz jej to nie powstrzymało. Owinęła tylko ciaśniej szal wokół siebie, przytrzymała szatę i pobiegła co sił w nogach.

Gdy dotarła na miejsce, brakowało jej tchu i miała trudności z wysłowieniem się, tak żeby żołnierz stojący w bramie ją zrozumiał.

- Oficer o imieniu Linuks - wydyszała. - Muszę się z nim widzieć. Natychmiast. Proszę, panie.

Wartownik uśmiechnął się pogardliwie i burknął:

- Obawiam się, że przychodzisz za późno. Dostał jakieś zadanie i pojechał.

- Dokąd pojechał? - błagała Abigail. - Kiedy wróci?

- Nie moja sprawa. Ani nie twoja - uśmiechnął się znowu. - Nie jestem jego przełożonym, nie pytam, dokąd wychodzi. A teraz lepiej już odejść. W ogóle nie powinno cię tu być.

Abigail odwróciła się i odeszła chwiejnym krokiem. Co ma teraz zrobić? *Świątynia*. Świątynia znajdowała się niedaleko. Może uda jej się znaleźć Piotra albo Jana. Kogokolwiek, kto mógłby pomóc Szczepanowi.

Lecz gdy przybyła na miejsce, dziedziniec przed Świątynią był niemal całkowicie pusty. Jeśli przedtem było tu dużo ludzi, to musieli się oni już rozejść. Spojrzała w kierunku budynku Rady, ale wyglądało na to, że tam też nikogo nie ma. Nie było tłoku przed budynkiem, nie dało się słyszeć żadnych gniewnych głosów. Zauważyła strażnika. Gdy do niego podchodziła, starała się zachować kontrolę nad własnym głosem. Nie chciała, żeby pomyślał, że jest szalona.

- Proszę, czy mógłbyś mi powiedzieć, czy jest teraz spotkanie Rady?

- Nikt nie wchodził od kilku godzin. A ja stoję tu całe popołudnie.

Abigail była zbyt zdenerwowana, by mu podziękować. Owładnął ją przytłaczający strach. *Dokąd oni go zabrali? I po co?*

Chwiała się na nogach i bała się, że nie da rady wrócić na podwórze.

- Drogi Boże - szlochała - błagam Cię, niech on tam będzie.

Sama myśl o tym dodała jej sił w osłabłych kolanach.

## ROZDZIAŁ

# TRZYDZIESTY SIÓDMY

Ogarnięty obrzydzeniem Linuks zatrzymał się w przedsionku na końcu pałacowego korytarza. Dookoła niego otwartych było pięcioro drzwi, za którymi widział grupki ludzi w różnych stadiach upojenia i rozpusty. Gubernator Marcellus urządzał przyjęcie z okazji urodzin cesarza. Goście pili przez cały dzień i wielu z nich porzuciło wszelkie pozory skromności.

Posłaniec gubernatora dał Linuksowi wyraźnie do zrozumienia, że zaproszenie jest tak naprawdę rozkazem. Linuks zdecydował, że zostanie na tyle długo, by go zauważono, a potem wymknie się niespostrzeżenie. Utkwił wzrok w wyłożonej marmurem podłodze, przeszedł przez najmniej zatłoczony pokój i wyszedł na zewnątrz. Przypomniawszy sobie jak Ezdrasz i kapłan odwracali oczy od tego, co działo się na arenie... Czy to możliwe, że miało to miejsce zaledwie kilka tygodni temu? Wydawało mu się, jakby minęły całe lata, jakby była to scena wyciągnięta z życia innego człowieka. Machnięciem ręki odprawił służącego oferującego wino z przyprawami i zszedł schodami prowadzącymi do ogrodu. Gdy bujna roślinność przesłoniła mu widok pałacowych komnat, przestał odczuwać ucisk w klatce piersiowej i wreszcie był w stanie oddychać swobodnie.

Przystanął przy ławce zacienionej przez trzy palmy daktylowe. Gdy na niej siadał, przypomniał sobie pewną rozmowę z dzieciństwa. Jego

dziadek zmarł, gdy Linuks miał dziewięć lat. Przez dziewięć lat walczył z Germanami, a potem służył przez trzydzieści siedem lat w Rzymie jako senator. Dopóki żył, starał się zaszcześcić nieco zaniedbanemu chłopcu twarde, żołnierskie wychowanie. Uczył go, że dawne rzymskie cnoty i zasady kładły nacisk na dyscyplinę, prostotę, ciężką pracę i przyjmowanie osobistej odpowiedzialności dla większego dobra. Dziadek często patrzył na rodzinną posiadłość i lamentował nad zachodzącymi w niej zmianami.

Lecz dziś modnym słowem w Rzymie było *otium*, postrzegane jako sposób na życie w tych czasach, w erze rzymskiego imperium. Dawniej oznaczało ono po prostu czas odpoczynku. Teraz – pobłażanie sobie, ciągle próżniactwo i natychmiastowe zaspokajanie każdej, nawet najbardziej prymitywnej zachcianki.

Z komnat dał się słyszeć krzyk kobiety, po czym dwóch mężczyzn zawyło w pijackim uniesieniu. Linuks pochylił się, położył pięści na kolanach i mocno zacisnął powieki. Czuł się bezsilny i wyobcowany.

Nie próbował jeszcze mówić bezpośrednio do Boga. Przyglądał się i słuchał, jak inni modlą się nad nim lub dookoła niego. Szczepan kończył każdą ich lekcję modlitwą. Lecz teraz, słuchając odgłosów hulanki w pałacowych komnatach, Linuks wspominał, jak Szczepan zareagował na zagrożenie niebezpieczeństwem: zwrócił się wtedy do Boga. Linuks pamiętał też, jak się czuł w tej niewyobrażalnej chwili.

Przycisnął pięści do czoła. *O, Boże, którego się zapierałem całe życie, którego nie znam tak dobrze. Mimo to przychodzę i błagam Cię o pomoc. Uwolnij mnie od tego. Nie zasługuję na nic, ale i tak Cię proszę. Uwolnij mnie od tego świata, w którym już nie ma dla mnie miejsca, ani we mnie nie ma miejsca na ten świat.*

- Linuksie Aureliuszu!

Linuks przez moment zastanawiał się, czy nie jest to głos jakiegoś niewidzialnego Bożego posłańca. Podniósł głowę, zamrugał oczami i spojrzał na pustą ścieżkę.

- Szukam Linuksa Aureliusza!

- Tu jestem!

Stanął przed nim strażnik pałacowy i zasalutował.

- Prefekt rozkazuje ci, byś się przed nim stawił.

*Czy to jest Twoja odpowiedź?* – zastanawiał się Linuks wstając powoli.

\*\*\*

Abigail nie zaszła daleko, gdy usłyszała gniewne okrzyki i tupanie nogami. Nawet w tym rozpaczliwym stanie zorientowała się, że na ulicy powstało jakieś zamieszanie. Przecisnęła się przez wnękę między dwoma sklepami i zaciągnęła szal mocniej na twarz. Tego się obawiała – *Szczepan!* Jej mąż znajdował się w centrum tłumu, który rzucał w jego stronę obelgi i przekleństwa. Jego ubranie było rozdarte tak, że jedna część ciągnęła się za nim po ziemi. Wydawało jej się, że widzi też siniaka na jego policzku, ale nie była pewna. Może to tylko piach...

Wyglądało na to, że zmierzają w kierunku komnat Rady. Na przedzie szli faryzeusze, zarzucając swe szaty z arogancją. Strażnicy świątynni trzymali Szczepana za ramiona. Abigail zauważyła, że z jego nadgarstków zwisały łańcuchy, jakby był jakimś niebezpiecznym kryminalistą. *Och, mój Szczepanie...* Stłumiła w gardle szloch, nim zdążył znaleźć ujście w jej ustach.

Trzymała się muru, by nie upaść i wycofała się w cień czekając, aż tłum przejdzie obok, po czym wyszła z ukrycia i poszła za nim w pewnej odległości.

Gdy przemierzali ulice, do zgrai dołączało coraz więcej ludzi. Krzyki były teraz tak głośne i gniewne, że Abigail ledwie mogła zebrać myśli. Wiedziała, że jest bezradna wobec tej irracjonalnej wściekłości. Cóż mogła zrobić? Dokąd się zwrócić o pomoc?

Znów pomyślała o Linuksie. *Musi go jakoś odnaleźć.*

\*\*\*

Idąc obok strażnika Linuks czuł jednocześnie lęk i podniecenie. Nie miał wątpliwości, że otrzymuje właśnie odpowiedź na swą modlitwę. Strażnik przyszedł dokładnie w chwili, gdy Linuks się modlił – to nie mógł być przypadek. Linuks widział już wiele cudów. Choć wcześniej opierał się rzeczom, które widział na własne oczy, czas wątpliwości i niepewności dobiegł końca.

Czy miał siłę przyjąć to, co na niego czeka? Bo wiedział, że to pochodzi od Boga. A to oznaczało, że jeśli czeka go niebezpieczeństwo, ryzyko, czy nawet śmierć, jest to Bożym zamierzeniem. I mocno go to przerażało.

Jednak z drugiej strony, Linuksa przepełniało poczucie, że Bóg jest z nim. Co do tego również nie miał wątpliwości. Już nie. Był przekonany, że żyje w czasach znaków i cudów. Był *częścią* tych czasów i wydarzeń. Bóg ze swym cichym głosem i tajemnymi zamiarami znajdującymi się poza kontrolą Linuksa działał w jego życiu. Ta myśl wywoływała w nim dreszcz emocji.

Służący pokłonił się i zaanonsował:

- Linuks Aureliusz, ekscelencjo.
- Możesz podejść.

Linuks wszedł z mocnego dziennego światła w cień, co chwilowo go oślepiło. Podeszedł bliżej i zasalutował.

- Chciałeś mnie widzieć, panie?
- Tak. Dochodzą mnie słuchy o czymś, co bardzo mnie niepokoi.

Linuks słuchał uważnie ze wzrokiem skupionym w ścianie za Marcellusem. Lecz kątem oka dostrzegał wiele szczegółów. Na podwyższeniu stało nie jedno pozłacane krzesło, lecz dwa. Na drugim siedział Lucjusz Metellus, nowy trybun twierdzy Antonia.

- Głęboko żałuję, jeśli w jakikolwiek sposób zakłóciłem spokój waszej ekscelencji - odpowiedział Linuks.

- Spokój, tak. To interesujące słowo. Nazbyt rzadko się zdarza na tej okropnej ziemi, zgodzisz się ze mną?

Linuks nie miał pojęcia, czy to pytanie było zaadresowane do niego, więc nie odpowiedział. Za tronami tłoczyła się grupka pochlebców prefekta w falujących, kolorowych szatach. Patrzyli na Linuksa zimnym wzrokiem publiczności oczekującej na krwawą rozrywkę na arenie.

Lucjusz Metellus kontynuował:

- Nim tu przyjechałem, ostrzegano mnie, że utrzymanie pokoju w Judei będzie wymagało rządów silnej ręki. I że moje panowanie będzie zagrożone w każdym swym aspekcie.

Linuks dziwił się, jak może czuć takie przerażenie, a jednocześnie tak ogromny pokój.

- Moja wierność Rzymowi pozostała niezachwiana przez cały czas, panie.

- Doprawdy? Czyżby? - prefekt skinął ręką na mężczyznę siedzącego obok niego. - Powtórz temu oficerowi najnowsze wieści.

- Kazałem cię śledzić - głos trybuna niósł się przenikliwym echem w zbyt dużej komnacie. - Wiem, że brałeś udział w zgromadzeniu tej nowej sekty.

- Jak oni siebie nazywają? - spytał prefekt. - Zapomniałem.

- Wyznawcy Drogi - powiedział drwiąco trybun. - Nie próbuj zaprzeczać, Linuksie. Mam na to dwóch świadków, którzy czekają pod drzwiami.

- Nie zaprzeczam, panie.

- Rzymski oficer przystający z jakąś wyjętą spod prawa judejską sektą - powiedział trybun. - Niewiarygodne i odrażające.

- Powiedz mi, co tu się dzieje - zażądał prefekt.

Odpowiedź pojawiła się w umyśle Linuksa tak wyraźnie, że równie dobrze mogła być wypisana w powietrzu przed jego twarzą.

- Poncjusz Piłat był bardzo przejęty ich sprawą, panie. Sam słyszałeś, że nadal sprawiają kłopot Sanhedrynowi...

- Czyli poszedłeś tam sprawdzić, czy stanowią zagrożenie dla Rzymu? - przerwał mu prefekt. - I co ustaliłeś?

- Panie, ci ludzie kierują się pokojem i braterską miłością. Tego jestem pewien.

- Słyszałem, że są w zмовie z zelotami - odparł trybun. - I że zostałeś jednym z nich.

Linuks zdecydował się odpowiedzieć tylko na pierwsze stwierdzenie.

- Zelotami kieruje wojna i chęć zemsty. Wyznawcy być może i chcieliby, tak jak zeloci, odzyskać swoją ojczystą ziemię judejską, ale nie podejmą zbrojnej walki z Rzymem.

Gubernator nieco się rozluźnił. Jego pięść przestała stukać o poręcz krzesła.

- Oto, co myślę, że zaszło - powiedział, a w jego głosie nie było już słychać lodowatego tonu. - Chciałem nagrodzić zaufanego doradcę, dając mu do dyspozycji komnaty w twierdzy. Przybył nowy trybun i zastał tam człowieka, którego wziął za szpiega. A jest to człowiek



lojalny ponad wszystko wobec mnie, nie zaś wobec trybuna. Czyż nie tak, Lucjuszu Metellusie?

Trybun skrzywił się.

- Obaj służyliśmy senatowi.

- To dobra odpowiedź. I to senat nakazał nam utrzymywać pokój w Judei. Pokój za wszelką cenę. Co oznacza, że ty, Linuksie Aureliusz, który nie zawiniłeś niczym poza swą wiernością, musisz za to zapłacić. Jasne jest, że nie możesz pozostać na swoim obecnym stanowisku. Nie chcę, by zakłócano mój spokój kolejnymi oskarżeniami, które nie będą miały w sobie więcej prawdy niż te teraz. Pozostaje tylko kwestia, co mam z tobą zrobić.

Zagniewany trybun wiercił się na swoim krześle, tracąc strategiczną przewagę.

Linuks milczał. Ale nie ze strachu. Po prostu czekał. Prefekt i trybun byli do siebie bardzo podobni. Nie musiał patrzeć im prosto w oczy, by to dostrzec. Choć byli odporni na otaczające ich dekadentkie zachowania, obaj wpadli w sidła chęci posiadania władzy. Obaj mieli wygląd ascetów, lecz były to jedynie pozory. Obaj byli tak owładnięci przyjemnością płynącą z posiadania w swych rękach siły i władzy, że żadne żądze kierujące pomniejszymi śmiertelnikami nie mogły ich skusić.

- Nie możesz odesłać go z powrotem do Rzymu. Zabraniam. Nie pozwolę, by powtarzał kłamstwa senatorom i im podobnym ludziom - powiedział trybun.

Prefekt aż się roześmiał:

- Ty mi zabraniasz?

Lucjusz Metellus nie wycofał się ze swego stwierdzenia.

- Obaj mamy wrogów, gubernatorze.

Zdawało się, jakby cała komnata zamarła w bezruchu. Jedynym dźwiękiem było lekkie stukanie paznokci gubernatora o krzesło.

W tym momencie musiała do niego przyjść odpowiedź. Prefekt odwrócił się i spytał:

- Linuksie Aureliuszu, a czego ty sobie życzysz?

- Naprawdę chcesz dać temu żołnierzowi *wybór*? - zadrwił trybun.

- Radzę się wszystkich, którym ufam. Mów, Linuksie. Powiedz, co byś nam radził w tej sytuacji?

- Przydziel mnie do dowodzenia garnizonem niedaleko Kafarnaum - odpowiedział Linuks.

Obaj mężczyźni na tronach oraz gapie stojący za nimi patrzyli na niego z niedowierzaniem.

- Co? Czyś ty zmysły postradał, Linuksie? - powiedział gubernator.

- Będzie dla mnie zaszczytem służyć w tylnej straży prefekta. Wzgórza Golan stały się schronieniem zarówno dla partyjskich bandytów, jak i dla zelotów. Jedni i drudzy zagrażają pokojowo nastawionym społecznościom zamieszkującym ten region oraz osadom na drodze do Damaszku. A jest to ważne połączenie handlowe i musi za wszelką cenę pozostać otwarte.

Gubernator nie spieszył się z odpowiedzią, tylko z góry na dół taksował wzrokiem mężczyznę stojącego przed nim na baczność.

- Czyli szukasz okazji do bitwy, tak?

- Panie, ja chcę tylko ci wiernie służyć.

- Cóż, nie widzę powodu, by nie spełnić życzenia tego oficera. A ty, Lucjuszu?

Trybun tylko jeszcze bardziej się skrzywił.

- Nadal twierdzę, że nie należy mu ufać.

- Musimy więc przyjąć, że w tym punkcie się ze sobą nie zgadzamy. No dobrze. Linuksie Aureliuszu, niniejszym mianuję cię dowódcą garnizonu w Kafarnaum. Przygotuj się bezzwłocznie do wyjazdu - prefekt machnął ręką. - Możesz odejść.

## ROZDZIAŁ

# TRZYDZIESTY ÓSMY

Gdy Abigail wróciła pod bramę twierdzy Antonia, natrafiła na innego strażnika. Trzęsa się, czując na sobie jego twarde spojrzenie, lecz nie miała wyboru. Zmusiła się, by podejść bliżej.

Nim zdążyła coś powiedzieć, strażnik spytał ostrym tonem:

- Kto po ciebie posłał?

Miał tak silny akcent, że z trudnością zrozumiała, co powiedział.

- Nikt, panie. Przyszłam...

- Czyli możesz należeć do tego, który będzie miał ochotę, tak?

Abigail poczuła jak płoną jej policzki.

- Szukam oficera Linuksa Aureliusza.

- Oficera, tak?

- Tak, panie... Znasz go?

- Zwyczajni mężczyźni nie są dla ciebie wystarczająco dobrzy? - spojrzał na nią pożądliwie.

Abigail skłoniła głowę, czując się upokorzona.

- To mój przyjaciel.

- Na pewno - zaśmiał się strażnik. - Już nieraz to słyszałem.

- Proszę cię, panie - błagała Abigail. - Mam do niego bardzo pilną sprawę.

- No dobra - parsknął. - Pójdę i go zawołam, jeśli tylko zdejmiesz szal i pokażesz mi, kim naprawdę jesteś. Nie chciałbym wzywać tego

oficera do jakiejś starej wiedźmy – zaśmiał się ponownie.

Abigail nie wiedząc, co innego może w tej sytuacji zrobić, właśnie miała już odsłonić twarz, gdy do bramy podszedł jakiś oficer.

- Co tu się dzieje?

- Ta kobieta mówi, że chce się widzieć z Linuksem – powiedział strażnik, cofając się o krok. – Próbowałem jej wytłumaczyć, że...

- Linuksa Aureliusza tu nie ma – powiedział oficer. Musiał dostrzec zdenerwowanie Abigail, bo jego ton złagodniał. – Jest na audiencji u gubernatora. Chciałabyś zostawić dla niego wiadomość?

- Nie. Nie – Abigail zaczęła się wycofywać. Strażnik wciąż patrzył na nią pożądliwie zza pleców oficera. – Obawiam się... obawiam się, że będzie już za późno.

Odeszła spod bramy potykając się i dotarła za zakręt, do zatłoczonej głównej ulicy. Tam wszystko zaczęło jej wirować przed oczami. Nie zdołała już utrzymać się na nogach i osunęła się na ziemię. Naciągnęła szal mocniej na twarz i poddała się szlochaniu, które tak bardzo starała się powstrzymywać. Nic nie mogła zrobić. Choć rozpaczliwie chciała trzymać się nadziei, miała okropne przeczucie, że już nigdy nie ujrzy Szczepana.

\*\*\*

Ezdrasz stał z tyłu komnaty. Był częścią tłumu wypełniającego budynek Rady, stojącego przed drzwiami i na szerokich frontowych schodach. Znajdujący się w środku krzyczeli do tych na zewnątrz, przekazując informacje o rozwoju sytuacji.

Szczepan stał przed Radą ze skutymi łańcuchem rękami, otoczony przez strażników oddzielających go od tłumu, traktowany jak ktoś, kto stanowi zagrożenie dla samych członków Rady.

Ezdrasz zerknął przez otwarte drzwi, za którymi wciąż zbierało się coraz więcej ludzi. Gdy się odwrócił, usłyszał oskarżający krzyk:

- Słyszeliśmy, jak bluźni przeciw Świątyni i przeciw Prawu!

Gdy powtórzono to na zewnątrz, tłum odpowiedział pomrukiem przypominającym głos dzikiej bestii.

- Twierdził, że Jezus z Nazaretu zniszczy to miejsce i porzuci zwyczaje dane nam przez Mojżesza!

Długi stół Sanhedrynu umieszczony był na podwyższeniu po jednej stronie sali tak, że członkowie Rady ze swoich podobnych do tronów krzeseł mogli obserwować Szczepana, cały tłum, a nawet dołączających na zewnątrz kolejnych gapiów. Dochodzące przez otwarte drzwi światło słoneczne rzeźbiło w ich pełnych powagi twarzach głębokie bruzdy. Gamaliel wyglądał, jakby w jeden dzień postarzał się o kilka lat.

W przeciwieństwie do nich Szczepan stał w jakimś nieziemskim świetle. Jego twarz pozbawiona była choćby cienia zmartwienia czy lęku. Ezdrasz stwierdził, że ten człowiek wygląda zupełnie tak, jakby nie pochodził z tego świata.

- Czy te oskarżenia są prawdziwe? - spytał srogo arcykapłan.

Szczepan zaczął mówić cicho i tonem pełnym szacunku. W jego głosie i zachowaniu nie było niepokoju. Nie przemawiał też wystarczająco głośno, by przyciągnąć uwagę zbiorowiska. Ezdrasz był pewny, że tamci nie są w stanie go usłyszeć, jednak już od pierwszej chwili, gdy Szczepan otworzył usta, motłoch ucichł. Jakby ktoś zabrał z sali całe powietrze. Nie było miejsca na nic innego poza głosem tego jednego człowieka.

Szczepan rozpoczął, odnosząc się do Sanhedrynu i do słuchających z najwyższym szacunkiem.

- Bracia i ojcowie - była to forma grzecznościowa, jakiej mógłby użyć uczeń przed judejskimi władcami lub starszyzną swego plemienia.  
- Bóg chwały ukazał się naszemu ojcu, Abrahamowi...

Ezdrasz zauważył, że słowa tego człowieka przemawiają do niego. Szczepan mówił niczym rabbi do zgromadzenia w szabat, rozpoczynając od powiązania celu wypowiedzi z Pismem oraz Prawem. Używając spokojnej intonacji Szczepan przeprowadził słuchaczy przez historię Izraela, przechodząc od Abrahama do patriarchów w Egipcie, a następnie przypominając, jak Mojżesz uratował Boży lud. Jego głos zaczął się podnosić dopiero wtedy, gdy zaczął opisywać, jak Izrael buntował się przeciw Bogu i odlewał bożki, podczas gdy Mojżesz szedł na górę, by otrzymać Prawo. Następnie Szczepan mówił o zbudowaniu przybytku na pustyni, potem o Salomonie i pierwszej Świątyni. Następnie powiedział:

- Lecz Najwyższy nie mieszka w świątyniach uczynionych ludzką ręką. Jak mówi prorok: „Niebo jest moją stolicą, a ziemia podnóżkiem

stóp moich. Jakież dom zbudujecie Mi?” – mówi Pan.

W tym momencie Rada mocno się zaniepokoiła. Choć Szczepan nie wskazał, w jakim kierunku zmierza jego przemowa, oni już wiedzieli. Czujność zmieniła się w popłoch tuż przed tym, jak Szczepan podniósł dłonie i wykrzyknął:

- Twardego karku i opornych serc i uszu! Wy zawsze sprzeciwiacie się Duchowi Świętemu. Jak ojcowie wasi, tak i wy!

Ezdrasz zobaczył, że ten komentarz autentycznie zabolął każdego z mężczyzn siedzących za stołem Rady. Znow poczuł siłę swojej własnej winy, żalu i niepokoju.

Szczepan zakończył słowami:

- A wyście się stali zdrajcami i mordercami. Wy, którzy otrzymaliście Prawo za pośrednictwem aniołów, lecz nie przestrzegaliście go!

Ezdrasz poczuł jedność z członkami Rady w poczuciu oburzenia. Wiedział, że został potępiony razem z nimi. Lecz Szczepan pozostał niewzruszony, a otaczająca go poświata jeszcze bardziej się rozjaśniła, jakby całe światło w sali zostało przyciągnięte do tego jednego człowieka.

Szczepan podniósł oczy w kierunku sufitu i wykrzyknął:

- Spójrzcie! Widzę niebo otwarte i Syna Człowieczego, stojącego po prawicy Boga!

Na te słowa zarówno członkowie Rady, jak i tłum zawrzeli gniewem. Komnata wypełniła się piskliwymi wrzaskami żądającymi, by go skazać na śmierć.

Ezdrasz wycofał się w róg pomieszczenia, gdy tłum ruszył naprzód, by porwać Szczepana. Kamienne ściany rozbrzmiewały echem od siły ich krzyków. Ezdrasz zauważył, że trzęsie się jakby w gorąccze.

Wreszcie dokonywała się jego zemsta.

## ROZDZIAŁ

# TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Poczucie wolności, z którym Linuks opuścił pałac zniknęło w chwili, gdy dotarł do ulicy nieopodal twierdzy Antonia. Został tam Abigail skuloną w rogu. Jej ramiona unosiły się i opadały w szłochu. Linuks zorientował się od razu, że przyszła go szukać, że musiała zostać upokorzona lub zastraszona przez gruboskórnego strażnika i wycofała się, lecz coś ją tu zatrzymało. Coś tak strasznego, że nie mogła odejść. Dlatego czekała tu skulona, na tyle blisko głównej ulicy, by strażnicy już jej nie zaczepiali.

- Abigail - kucnął obok niej. Gdy tylko zobaczył jej mokrą od łez twarz, wiedział, że stało się coś naprawdę złego. - Co tu robisz?

Właściciel straganu po drugiej stronie ulicy zawołał do niego:

- Już dwa razy do niej podchodziłem spytać, co się stało. Nic nie chce powiedzieć. Zgaduję, że jeden z twoich żołnierzy jej uchybił.

- Nie chodzi o żołnierzy - wykrztusiła Abigail.

Linuks pomógł jej wstać.

- Opowiedz, co się stało.

- Ej, ty! - właściciel straganu odważnie przepychał się przez zatłoczoną ulicę. - To nie uchodzi, żeby żołnierz dotykał judejską dziewczynę.

Linuks obawiał się, że jeśli ją puści, Abigail znów osunie się na ziemię.

- Nie zrobię jej nic złego.

- A ja ci mówię, że wyszła z twierdzy i wyglądała jak rażona piorunem - kupiec najwyraźniej był gotowy do bijatyki, a teraz jeszcze przyciągał uwagę przechodniów.

- Abigail - nalegał Linuks. - Musisz mi powiedzieć, czy mam...

- Tłum zabrał Szczepana do Świątyni - wypowiedziała to szlochając, więc słowa były ledwie zrozumiałe. - Strażnicy skuli go i zaprowadzili przed Sanhedryn.

Gdy kupiec usłyszał, że zamieszana jest w to Rada, wycofał się, ale Linuks nie miał zamiaru mu na to pozwolić.

- Ty. Stój!

- Nie chcę kłopotów z Sanhedrynem.

- Większość twojego utargu pochodzi od legionistów. Rób co ci każę. Stań obok tej kobiety albo każę zlikwidować twój stragan!

Linuks odwrócił się na pięcie i puścił się biegiem.

Przebiegł przez bramę twierdzy i wpadł na otwarty plac do ćwiczeń. Na szczęście służbę właśnie pełnił tam człowiek, któremu Linuks pomagał szkolić rekrutów.

- Potrzebuję oddziału. Natychmiast - wydyszał.

Dowódca, weteran wieloletniej służby w Judei, spytał tylko:

- Są kłopoty?

- Być może. Trzeba działać szybko.

- Mam tylko tych rekrutów.

Byli uzbrojeni i nosili standardowe pancerze armii.

- Wybierz takich, którym ufasz i spotkajmy się zaraz przy głównej ulicy.

Linuks popędził do stajni i wziął jedyne osiodłane konia. Gdy główny stajenny zaczął protestować, Linuks krzyknął na niego tak gwałtownie, że ten wycofał się do jednego z boksów.

Linuks zobaczył, że oddział maszeruje ulicą do miejsca, gdzie stała Abigail. Właściciel straganu uciekł.

Abigail patrzyła na niego nic nie rozumiejąc. Linuks podszedł na tyle blisko, by skupiła wzrok tylko na nim. Zwrócił się do niej surowo i zimno:

- Słuchaj mnie teraz uważnie. Od tego zależy życie twojego męża.

Zamrugnęła oczami, a z jej oczu popłynęły kolejne łzy.

- Już za późno.



- Może tak, a może nie. Im szybciej wyruszymy, tym prędzej dowiemy się, jak jest naprawdę - pomógł jej wsiąść na konia, po czym rozkazał jednemu z żołnierzy: -Trzymaj mocno lejce.

- Jak każesz, panie.

Linuks zwrócił się do dowódcy:

- Umieść najbardziej zaufanego człowieka na tyłach. Ja będę prowadził, a ty idź obok mnie.

- Dokąd zmierzamy?

- Do Świątyni. Ta kobieta przyniosła wieści o możliwych zamieszkach.

Młode twarze rekrutów napięły się z niepokoju. Wszyscy słyszeli ostrzeżenia o gniewie Judejczyków, w który wpadali czując zagrożenie, że spokój w ich Świątyni zostanie zakłócony lub że może zostać zbezczeszczona.

Jednak dowódca zachował spokój i krzyknął:

- Formować szyk! Pięciu przed koniem, pięciu za. Gotowi? Ruszamy!

Linuks wciąż miał na sobie wypolerowaną na błysk odświętną zbroję, którą włożył na spotkanie z prefektem. Jego pancerz, pas, rękojeść miecza i skórzane frędzle były ozdobione złotem, a hełm świecił się jakby żywym ogniem. Obok niego szedł dowódca rekrutów, który wykrzykiwał do ludzi przed nimi, by zrobili miejsce. Żołnierze za nimi maszerowali jednostajnie. Koń parskał i tańczył, a spod jego podków stukających o kamienną ulicę sypały się iskry. Ludzie uciekali przed nimi na boki. Mur od twierdzy Antonia do głównej bramy Świątyni miał długość ponad jednej rzymskiej mili. Przybyli na miejsce dysząc ciężko, ale udało im się szybko pokonać tę odległość.

Donośny głos dowódcy zaalarmował strażników świątynnych na długo przed pojawieniem się oddziału. Zanim dotarli na miejsce, zwyczajowa liczba sześciu strażników została zwiększona, a dobiegali jeszcze kolejni. Znajdujący się w pobliżu Judejczycy w obawie nieuchronnej konfrontacji odsunęli się jak najdalej od rzymskich żołnierzy.

- Co to wszystko ma znaczyć? - starszy strażnik trzymał kij tak mocno, że drewno aż drżało, tak samo jak jego głos:

Linuks wystąpił naprzód. Dostrzegł, że dowódca i jego ludzie postąpili o krok za nim, zaś strażnicy świątynni cofnęli się o krok.

- Otrzymałem wiadomość, że gdzieś zebrał się tłum.
- T-tu nie ma żadnych problemów, panie!
- Ja usłyszałem coś innego. O tłumie, przemocy i buncie.

Linuks usłyszał za sobą szmer szepczących między sobą Judejczyków. Bunt był jedynym powodem, dla którego Rzym miał prawo wkroczyć na teren Świątyni. Mimo protestów i próśb Sanhedrynu, każdy gubernator Judei odnawiał prawo żołnierzy do wejścia na teren Świątyni przy najmniejszym zagrożeniu buntem.

- Odsuńcie się albo poleje się krew - warknął cicho Linuks.
- Strażnik przełknął ślinę, ale się nie cofnął.

- Oni już po-poszli.
- Poszli dokąd?
- Nie powiedzieli.

- Ale wiesz, dokąd - gdy mężczyzna się zawahał, Linuks ryknął: -  
Mów!

- Poza miasto, za Bramę Gnojną.

Linuks poczuł, jak powietrze w jego płucach w jednej chwili robi się zimne. Brama Gnojna prowadziła do Doliny Cedronu, gdzie znajdował się cmentarz.

- *Nie!* - Abigail zaniósła się donośnym płaczem i zsunęła z konia. Upadłaby na bruk, gdyby nie złapał jej żołnierz trzymający lejce.

- Czy mieli ze sobą mężczyznę zwanego Szczepanem? - spytał Linuks.

- Nie wiem, jak miał na imię.
- Jeden z wyznawców! Czy wzięli ze sobą jednego z wyznawców?  
Coś w oczach Linuksa sprawiło, że mężczyzna struchlał.
- B-być może. Tak, myślę, że tak.
- Jak dawno temu poszli?!
- Godzinę temu, m-może więcej.

Ciszę przerwał kolejny szloch Abigail.

Linuks odwrócił się do zaskoczonego całą sytuacją dowódcy, sam nie wiedząc, co powiedzieć. Tysiąc oczu oglądało jego sromotną porażkę, lament kobiety i niezdecydowanie żołnierzy.

Wtem jakaś kobieta wykrzyknęła:

- Abigail!

Abigail wyrwała się od podtrzymującego ją żołnierza i padła w ramiona starszej kobiety, którą Linuks już chyba wcześniej widział. Usłyszał, jak Abigail mówi do niej:

- Zaprowadź mnie do niego.
- Dziecko, ale tłum...
- *Zaprowadź mnie!*

\*\*\*

Ezdrasz nie szedł za tłumem. Stał na jego czele. Gdzieś w środku był Szczepan, choć Ezdrasz go nie widział. Tłum był zbyt duży. Ludzie otaczający Szczepana machali w powietrzu rękoma, wykrzykiwali przekleństwa i złorzeczenia. Ezdrasz czuł, że te krzyki mają na celu wzniecanie ich gniewu, jakby czuli, że jeśli na chwilę zamilkną, to zdadzą sobie sprawę z tego, co robią. Ezdrasz jednak nie potrzebował takich podniet. Im dalej odchodzili od Świątyni, tym bardziej jego wściekłość wzrastała, jakby cała jego frustracja, gniew i udręka wreszcie były gotowe go pochłonąć do reszty.

Pochód wyszedł z miasta przez Bramę Gnojną i wkroczył do Doliny Śmierci. Słońce paliło niemiłosiernie, jakby sama pogoda tego dnia miała odzwierciedlić ich gniew. A może niebiosy w ten sposób osądzały ich czyny? Nawet jeśli tak, Ezdrasza to już nie obchodziło. Słyszał co prawda gdzieś w głębi siebie ten cichy, spokojny głos, jak gdyby ta jego mała część, ten zakątek w jego duszy nie został jeszcze doszczętnie stłamszony. Lecz wszystko wokół niego ryczało potężnym głosem gniewu i zemsty, a Ezdrasz był tak owładnięty obecnością i mocą tłumu, że słyszał ów cichy głos, a jednak nie zważał na to, co on do niego mówi.

Starsi wyznaczeni przez Radę jako świadkowie stłoczyli się pod zagajnikiem sosen. Na ich czele stał Szaweł z Tarsu. Twarz młodzieńca gorzała tą samą płomienną chęcią zemsty, która wypełniała serce Ezdrasza. Starsi położyli swoje płaszcze u stóp Szawła i podeszli naprzód, a tłum rozstał się przed nimi. Ezdraszowi wydawało się, jakby stanowili jedną wielką ludzką pięść odzianą nie w szaty, ale

w gniew. Wyginali palce, przygotowując się na to, by dać nauczkę człowiekowi, który ośmielił się obrazić Sanhedryn.

Wypchnięty na środek Szczepan potknął się. Ludzie zaczęli schylać się po kamienie, niektórzy zbierali je obiema rękami.

Ezdrasz czuł, jak jego serce krwawi, jakby zostało trafione kamieniem, który teraz trzymał w dłoni. Zawył w przypływie żalu i udręki, które nagle go wypełniły, czuł głęboki smutek, lecz nie wiedział, z jakiego powodu. Rzucił pierwszy kamień.

Szczepan został trafiony mocnym uderzeniem, lecz wyprostował się, podniósł oczy do nieba i zawołał:

- Panie Jezu, przyjmij ducha mego!

Spadał na niego grad kamieni, a on podniósł ku niebu twarz jaśniejącą tym samym światłem, co w sali spotkań Rady.

Ostatnie słowa Szczepana, jakie Ezdrasz usłyszał brzmiały:

- Panie, nie poczytaj im tego grzechu!

Gdy skończyli, na jego nieruchomym ciele leżała sterta kamieni. Tłum rozproszył się jak kruki odlatujące od oskubanych kości. Starsi pozbierali swoje szaty i odeszli. Teraz tłum milczał. Nikt nie patrzył w oczy swemu sąsiadowi. W końcu zostali tylko Ezdrasz i Szaweł.

To dziwne, lecz Ezdrasz nie czuł satysfakcji, tylko niepokój. Prześladowała go owa jasna poświata widoczna na twarzy młodzieńca, gdy ten wydawał ostatnie tchnienie. Wyglądało to prawie tak, jakby - zamiast zadać ból - wyświadczały mu przysługę.

Dziwne. Dziwne i bardzo niepokojące.

Młodzieniec w czarnym odzieniu podszedł bliżej i patrzył na wystające nieco spod kamieni ciało. Ezdrasz miał nadzieję, że Szaweł nie powie, iż żałuje tego, co zrobili, bo ciemne skrzydła wyrzutów sumienia właśnie kołowały nad jego własną głową.

Lecz młody człowiek wymamrotał tylko:

- No to się zaczęło.

# ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Świat miał barwy różnych odcieni żółci. Słońce znajdowało się nisko nad zachodnimi wzgórzami, wisząc niestrudzenie na niebie mieniącym się złotem, pastelami i bladym błękitem, przechodzącym dalej w ciemniejsze barwy. Skały, klify, a nawet karłowate sosny pokryte były tym samym letnim pyłem. Nawet ludzie, których Linuks mijał po drodze byli w tym samym kolorze. Gdy przybył na miejsce, jedynym znakiem po tym, gdzie Szczepan został zamordowany, była ciemna plama pomiędzy kamieniami. Widział, jak wyznawcy ostrożnie, z żalem przenoszą jego ciało do otwartej jaskini służącej jako grobowiec.

Linuks został na zewnątrz jaskini, nie wchodząc do środka z żałobnikami. Jego oczy były suche, lecz serce tonęło we łzach, o których wiedział tylko on sam. Może niezupełnie, bo podeszło do niego dwóch mężczyzn, a jeden z nich, apostoł zwany Piotrem, rzekł łagodnie:

- To dzień tragiczny, a zarazem chwalebny.

Linuks nie zrozumiał, co tamten ma na myśli. A jednak to zdanie rozbrzmiewało w jego piersi. Był to dar niewytłumaczalnej nadziei w momencie tak strasznym, że nie mogło go rozjaśnić nawet upalne letnie słońce.

- Obawiam się, że to dopiero początek - powiedział Linuks.

Brodaty mężczyzna stojący obok Piotra też był apostołem. Linuks widział go już przy głównym stole i słyszał, jak przemawia i modli się, ale nie znał jego imienia.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odrzekł ów drugi apostoł.

- Słyszałem rozmawiających o tym żołnierzy - kontynuował Linuks.

- Krążą też plotki po ulicach i po rynku. Sanhedryn...

- Radzie nie wolno odbierać nikomu życia - powiedział drugi apostoł. - Dlatego wysyłają innych ludzi, którzy są skłonni to zrobić.

- Powinniście opuścić Jerozolimę - poradził Linuks.

Spodziewał się jakiegoś kontrargumentu, lecz Piotr odrzekł łagodnie:

- Jestem powołany, by tu zostać.

Drugi apostoł odwrócił się do Piotra i powiedział:

- Tak samo ja.

- Bóg także tobie to objawił? - spytał Piotr.

- Dostałem w tej kwestii bardzo jasne słowo.

Piotr skinął głową.

- Więc niech tak będzie.

Linuks zdał sobie sprawę, że nic nie zyska spierając się z nimi. Właściwie nawet nie czuł takiej potrzeby. Obu mężczyzn prowadził ten sam Bóg, któremu i on niedawno oddał życie. Linuks nigdy nie odczuwał tego tak silnie jak teraz.

- A co z innymi?

Piotr wciąż kiwał głową, kołysząc się sztywnymi ruchami modlącego się Judejczyka.

- W tej sprawie też będziemy szukać Bożego prowadzenia.

- Być może wasz Bóg już przemówił - powiedział cicho Linuks.

Piotr spojrzał na niego, a w jego oczach widać było nieziemskie połączenie żalu oraz pokoju.

- *Nasz Bóg* - poprawił go cicho.

- *Nasz Bóg* - zgodził się Linuks, po czym opowiedział im, co wydarzyło się w pałacu gubernatora i o swoim przeniesieniu do garnizonu w Kafarnaum.

Obaj apostołowie przypatrywali mu się z poważnymi minami, rozważając jego słowa.

- Będziemy się w tej sprawie modlić. Długo i żarliwie - powiedział uroczyście Piotr.

- Ja również - odpowiedział Linuks.

\*\*\*

Linuks obawiał się wizyty, którą musiał złożyć na podwórzu wierzących. Mógł tylko próbować sobie wyobrazić, co Abigail przeżywa po tak bolesnej stracie. W tym czasie żałoby powinna mieć ciszę i spokój, lecz czas i okoliczności nie zostawiały pola dla takich grzeczności. Któż wiedział, co teraz wydarzy się w tym niespokojnym mieście? A poza tym obiecał coś Szczepanowi i zamierzał dotrzymać tej obietnicy.

Był zadowolony, że to Marta powitała go, gdy wszedł na podwórze. Wyglądała na wychudzoną i nieco postarzałą. Miał dziwny odruch, by ją przytulić i trzymać mocno w ramionach, aż wypłakałaby cały swój żal i zamęt, tak jak chciałby uczynić to ze swoją zmarłą matką, gdyby mogła przed nim stanąć. Lecz powstrzymał się nie wiedząc, jak ta starsza kobiet przyjąłaby kondolencje okazane w tak wylewny sposób. Zamiast tego zapytał o Abigail.

Marta potrząsnęła głową.

- Musi pobyć sama.

- Rozumiem to i szanuję. Lecz muszę z nią krótko porozmawiać w bardzo ważnej sprawie. Czy mogłabyś jej to przekazać, proszę?

Marta zawahała się, lecz w końcu skinęła głową i z głębokim westchnieniem ruszyła w kierunku schodów prowadzących do pomieszczeń na górze.

Wróciła kilka minut później. Była sama i Linuks obawiał się, że Abigail nie zechce się z nim widzieć.

- Abigail zaraz zejdzie do kuchni. Chodź.

Linuks podziękował i poszedł za nią.

Nie wiedział dokładnie, jakiego widoku oczekuje, lecz Abigail wyglądała na znacznie spokojniejszą niż się spodziewał. Była blada i miała czerwone kręgi pod oczami, lecz skinęła na niego i wskazała na ławkę obok siebie. Linuks widział, że Marta zostaje i krząta się w pobliżu.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej straty - zaczął i zauważył, jak jej oczy napełniają się łzami. - Wiem, że to nie jest odpowiednia pora. Nie chcę zakłócać ci czasu żałoby, lecz obiecałem coś Szczepanowi i modłę się, byś pozwoliła mi tej obietnicy dotrzymać.

Zawahał się, zastanawiając się, jak uważnie Abigail jest w stanie słuchać jego słów. Wyglądała na nieobecna.

Skinęła jednak głową, pokazując mu, by mówił dalej.

- Kilka dni temu... Szczepan przyszedł do mnie i poprosił o jedną rzecz. A ja się zgodziłem. On... powiedział, że gdyby coś mu się stało, mam cię zabrać do Galilei, do Albana i Lei.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Łzy spłynęły jej po policzkach.

- Więc wiedział?

- Być może. Może zastanawiał się...

- I poszedł służyć, jak zwykle. To dokładnie w jego stylu. Cały Szczepan - objęła się w pasie ramionami i schyliła głowę. Linuks dał jej chwilę na przeżywanie kolejnej fali żałoby.

Gdy znów na niego spojrzała, kontynuował:

- Właśnie otrzymałem rozkaz opuszczenia Jerozolimy. Dostałem dowództwo garnizonu w Kafarnaum. Muszę wyjechać w ciągu dwóch, może trzech dni.

Czekał na jej odpowiedź. Czy zrozumiała, co do niej mówił?

- Dwa, trzy dni - powtórzyła. Potrząsnęła głową. - Nie będę gotowa wyjechać tak szybko.

- Rozumiem.

Linuks próbował oszacować, ile maksymalnie dni trybun i prefekt daliby mu na opuszczenie miasta. Czy to byłoby dla niej wystarczające?

- A kiedy sądzisz, że będziesz...? - pozwolił, by niedokończone pytanie zawisło w powietrzu.

Potrząsnęła głową, jakby chciała zebrać myśli.

- Ja... nie wiem. Wiem tylko, że potrzebuję czasu. Tutaj. Nie mogę jeszcze wyjechać. Muszę jakoś dojść do siebie wśród ludzi, których znam... Potrzebuję czasu, by się pożegnać. By być z ludźmi, którzy mnie kochają i zachęcają swymi modlitwami, i umacniają moją wiarę. Ja... teraz bardzo ich potrzebuję.

- Rozumiem - powtórzył.



- To nie jest tak, że nie chcę pojechać do Lei i do Jakuba. Chcę. I jeśli Bóg da, pojedę. Lecz teraz jest na to za wcześnie. Za wcześnie. Proszę cię.

Niemal błagała, by ją zrozumiał. Nie mógł nalegać, by wyjechała z nim teraz.

- Oczywiście - powiedział wstając. - Spodziewam się, że będę musiał wyjechać w ciągu dwóch dni, góra trzech. Jeśli... jeśli cokolwiek się zmieni, zawiadam mnie, proszę.

Skinęła głową.

Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Mógł spróbować wyrzec jakieś zachęcające słowa, jak to słyszał wśród innych wierzących, którzy kogoś pocieszali, ale zastanawiał się, czy to nie zabrzmiałoby jak pusty frazes, fałszywie. Nie potrafił wyrazić tego, co tak naprawdę czuł. Jej smutek głęboko go dotknął.

- Życzę ci Bożego pokoju - powiedział z głębi serca.

Odsunęła z twarzy kosmyk włosów, który wysunął się spod szala. Skinęła głową.

- Pokój przyjdzie. Wiem o tym. Marta mówi, że do tego potrzeba czasu.

Przyjrzał jej się po raz ostatni. Była taka blada, mała i samotna. Taka smutna. Lecz on nie mógł dla niej zrobić nic innego, jak tylko się modlić. Gdy kierował się do wyjścia, wiedział, że zabierze ze sobą ten zboląły obraz Abigail do Kafarnaum.

Był już w drzwiach, gdy powiedziała:

- Linuksie.

Odwrócił się, mając nadzieję, że zmieniła zdanie.

- Dziękuję. Dziękuję za twoją przyjaźń. Wobec Szczepana - i wobec mnie. I, Linuksie, powiedz im... powiedz im, że nie boję się umrzeć, jeśli taka będzie wola Boża.

Chciał coś na to odpowiedzieć, lecz nie przyszły mu do głowy żadne słowa. Jego usta były zbyt suche, a gardło zbyt ściśnięte. Skinął głową i wyszedł.

\*\*\*

To nie głęboki żal zaskoczył Abigail. Straciła wspaniałego męża. Przeżyli ze sobą jako małżeństwo zaledwie kilka tygodni. Teraz była wdową, jak wiele kobiet, którym codziennie służyła. Niczyja. Złamana na duchu. Skazana na życie w samotności, a może nawet w biedzie. Lecz nawet te myśli nie były dla niej druzgocące. Abigail odczuwała jedynie stratę mężczyzny, którego tak głęboko szanowała i kochała całym sercem. Jej przyszłość malowała się w tak ciemnych barwach, że wydawało jej się to jakąś niewyraźną plamą.

Wszyscy wierzący byli dla niej tacy dobrzy, tak bardzo się troszczyli. Marta przejęła jej obowiązki, odciążając ją; często przychodziła, by modlić się z nią. Inni słali wiadomości pełne zachęty. Obiecywali, że będą się modlić. Abigail zażywała spokoju, miała czas na przeżywanie żałoby w samotności.

Nie, to nie żal zatrzęsął całym jej światem. Zaakceptowała ten czas żałoby jako coś, co musi przetrwać, wytrzymać. Dopiero po kilku dniach w samotności, gdy znów zaczęła przychodzić na wieczorne modlitwy, odczuła różnicę.

Gęsta atmosfera strachu wisiała nad całą grupą. Wcześniej wszyscy przeczuwali, że prześladowania *mogą* przyjść. Próbowali się na to przygotować. A teraz to się stało przerażającą rzeczywistością. Jeśli wrogowie mogli zabić człowieka takiego jak Szczepan, który chciał tylko służyć swojej społeczności i każdemu w potrzebie, to każdy z nich znajdował się w niebezpieczeństwie. Każdy!

Małe grupki stały stłoczone razem, pogrążone w cichych rozmowach. Matki zostawały w domach, by chronić swoje dzieci. Mężczyźni poruszali się ostrożnie, spoglądając na wszystkie strony i pośpiesznie przemierzając ulice. Całej społeczności towarzyszyło napięcie i niepokój.

Abigail zauważyła również, że brakuje sporej grupy ludzi. Czy część wierzących zaczęła się ukrywać?

Zapytała o to Martę. Starsza kobieta potrząsnęła głową i Abigail po raz pierwszy w życiu zobaczyła na jej policzkach łzy.

- Ludzie bardzo się boją - powiedziała Marta. - Odbyło się dużo rozmów, narad. Wielu z nas wyjechało z Jerozolimy, a spora część tych, co zostali, wciąż rozważa takie rozwiązanie. Szczepan... Jeśli zostaną, czy będą następni w kolejce? Jak mają ochronić swoje rodziny?

Gdy Piotr zaczął mówić o tej sytuacji podczas wieczornej modlitwy, Abigail nie była zaskoczona jego przesłaniem.

- Bracia i siostry, dotknęła nas niedawno ogromna strata. Jeden z nas, człowiek, którego wszyscy znaliśmy i głęboko szanowaliśmy, został nam w okrutny sposób odebrany. Służył Bogu i nam całym swoim sercem. Bardzo nam go brakuje. Lecz nie rozpaczajmy. Nasz Pan sam powiedział nam, że będą nas nienawidzić, tak jak nienawidzili Jego. Nie możemy jednak pozwolić, by nas to odciągało od najważniejszego celu. Nasz świat wciąż potrzebuje usłyszeć Dobrą Nowinę. Ci, którzy zachowują się wobec nas jak wrogowie, też potrzebują światła. A ono może przyjść jedynie przez naszego Pana Jezusa Chrystusa. Wciąż mamy przed sobą zadanie i musimy trwać dalej. Nie możemy pozwolić, by szatan pokonał nas, zasiewając strach. Nasz Pan by tego nie chciał. Szczepan by tego nie chciał. Bracia i siostry, pozwólcie, że wam przypomnę, iż Szczepan - nasz Szczepan - pokazał nam nie tylko, jak żyć, ale również jak umierać. On umarł z przebaczeniem na ustach. Umarł wielbiąc Boga. Został wprowadzony i stanął w obecności naszego Zbawcy. Czy jest nam żal, że dostał takiego błogosławieństwa? Czy opłakujemy to, że on otrzymał już swoją nagrodę, podczas gdy my jeszcze się trudzimy? Nie sądzę. Cierpimy z powodu wielkiej straty. Lecz teraz musimy umocnić nasze ręce i podnieść głosy, kontynuując zadanie, które zostało nam powierzone. Niech Bóg da nam wytrwać w wierności aż do czasu, gdy znów spotkamy się z naszym Mesjaszem. Módlmy się.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Abigail ledwie mogła uwierzyć, że minęły już dwa miesiące. Dwa długie i trudne miesiące. Czas, w którym doznała pewnego pocieszenia, zajmując zarówno myśli, jak i ręce troską o potrzeby innych. Stracili pewną liczbę wierzących, lecz ich szeregi uzupełnili inni. Słowo wciąż było głoszone. I wciąż znajdowali się tacy, którzy mimo niepokojów i prześladowań, po cichu i z głęboką wiarą dołączali do grona wierzących.

Zdarzały się incydenty, które miały przypominać im, że są obserwowani. Były aresztowania i groźby, dochodziło do okrutnych biczowań. Władze religijne nie miały zamiaru zostawić grupy wierzących w spokoju. Przy każdej sposobności szukały pretekstu do oskarżenia kogoś.

Stopniowo pojawiały się wieści na temat tych, którzy opuścili Jerozolimę, szukając schronienia gdzie indziej. Docierały z Cypru, Cyreny, Antiochii. Poprzedniego dnia dotarł list z Damaszku i Jakub, brat Pański, przeczytał go głośno. Były to dobre wiadomości o powiększających się grupach uczniów. Wierzący, którzy opuścili Jerozolimę, nie schowali się z poczuciem porażki, lecz od razu zaczęli dzielić się swoją wiarą w nowych miejscach zamieszkania.

W tych dniach Abigail doznała pocieszenia. Bardzo starała się nie rozmyślać nad śmiercią Szczepana, bo zawsze przywoływało to zbyt

wiele łez oraz pytania, na które nie miała odpowiedzi. *Jak długo cierpiał?* – to było wołanie jej serca, które najtrudniej było od siebie odsunąć.

Lecz dziś, gdy po modlitwie siedziała w swoim pokoiku, rozmyślała nad tym, jak ogromnie wzrosła liczba wierzących. Nie byłoby to możliwe, gdyby część z nich nie opuściła Jerozolimy.

Tym razem Abigail pozwoliła sobie na to, by doszły do głosu jej najskrytsze pytania.

*Czy to dlatego, Panie? Czy Szczepan był tym ziarnem, które – umieszczone w ziemi – wydało owoc? Czy użyłeś jego śmierci, by nas rozproszyć, dla swych celów?*

Z pewnością Szczepan był wierny. Abigail usłyszała od innych pełną relację o jego triumfalnym wejściu do nieba, pod spadającym na niego gradem kamieni. Umarł jako zwycięzca i został powitany przez samego Chrystusa. Jego modlitwa została wysłuchana. Nie zaparł się swego Pana.

O czym lepszym człowiek mógłby marzyć? Czy było w życiu coś, co liczyłoby się bardziej niż zwycięska śmierć? Abigail wciąż na nowo przypominała sobie te prawdy.

Wraz z tymi myślami przyszło uwolnienie od zasłony strachu i wątpliwości, która oplatała się wcześniej wokół niej, grożąc zduszeniem jej wiary. A teraz, w tej właśnie chwili, zdała sobie sprawę, że jest w stanie pozwolić Szczepanowi na odejście. Nie będzie rozpaczała, że umarł, bo przecież teraz mieszka w znacznie lepszym miejscu. Nie będzie, choć w tych niepewnych czasach musi sama stawić czoła niepewnej przyszłości, wśród budzących lęk wiadomości. Odnalazła pokój, mając przekonanie, że oboje służyli Panu zgodnie z Jego wolą.

Ze łzami wdzięczności płynącymi po policzkach dziękowała Bogu za uwolnienie od tej czarnej rozpacz, która próbowała ją pochłonąć. Miała powód, by żyć dalej i miała Boże obietnice. I choć całym sercem tęskniła za Szczepanem, wystarczała jej świadomość, że Pan jest z nią.

\*\*\*

*Leo, moja najdroższa siostrze w Chrystusie - Abigail układała w myślach, co powiedziałyby przyjaciółce. Robiła to sortując warzywa przeznaczone dla potrzebujących. Te ciche rozważania stały się czymś w rodzaju przyzwyczajenia. W rzeczywistości nie miała jak skontaktować się z Leą, więc wyrażała swoje myśli i uczucia w jedyny możliwy sposób. Po cichu. Tyle bym ci chciała opowiedzieć. Jak Bóg da, pewnego dnia jeszcze się zobaczymy, a na razie...*

*Nasza praca tutaj trwa dalej. Tylu ludzi potrzebuje pomocy. Kobiety takie jak ty i ja, lecz niemające nikogo innego, kto by się zatroszczył o ich potrzeby.*

*Znów mieszkam w małym pokoiku. Wyprowadziłam się z przybudówki, w której mieszkaliśmy z Jakubem, a potem z moim kochanym mężem. Wciąż tęsknię za jednym i drugim. Wraz ze śmiercią mojego ukochanego Szczepana utraciłam też część swojego serca. To był wspaniały człowiek.*

*Ale Bóg jest dobry. Dał mi takich cudownych przyjaciół oraz pokój, którego nawet nie jestem w stanie opisać. Daje mi to siłę każdego kolejnego dnia.*

*Wciąż czyha na nas wiele niebezpieczeństw, lecz w jakiś dziwny sposób zniknął ze mnie ten okropny strach. Już utraciłam to, co miałam najdroższego. Cóż jeszcze mogą mi odebrać? Poza tym, są znacznie mniej agresywni wobec kobiet i dzieci. To nasi przywódcy są teraz w największym niebezpieczeństwie. Największym zagrożeniem jest dla nas pewien młody rabbi o imieniu Szaweł.*

*Lecz jest jeszcze coś, czym bardzo bym chciała się z tobą podzielić. To...*

- Abigail - w drzwiach nagle pojawiła się młoda dziewczyna, dysząc ciężko. - Masz gościa. Chodź szybko.

Abigail wyprostowała się i wytarła dłonie o ręcznik zawieszony u pasa. Któż miałby jej szukać?

Gdy weszła na podwórze, zatrzymała się w pół kroku na widok postaci z niedalekiej przeszłości. Ten wczorajszy świat wydawał jej się tak odległy, taki nieprzystający do jej teraźniejszego życia.

Na zacienionej ławce siedział Linuks. W dłoni trzymał kubek. Najwidoczniej ktoś mu już podał wodę. Wstał i zrobił krok w jej stronę.

Nie potrafiła ubrać swoich uczuć w słowa. Sama ich nie rozumiała. Stał przed nią mężczyzna, który jednocześnie ją pociągał i odrzucał. Kiedyś się go bała, następnie zaufała mu na tyle, że zgłosiła się właśnie do niego, gdy znajdowała się w największej potrzebie. Niegdyś wróg – potem jeden z najwierniejszych przyjaciół. Ktoś obcy – teraz brat w wierze. A przede wszystkim ktoś, kogo nauczał i wprowadzał w tajniki wiary jej kochany Szczepan. Choćby z tego powodu, dla Linuksa zawsze znajdzie się miejsce w jej sercu.

Abigail poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a serce zaczyna szybciej bić. Bała się, że nie będzie w stanie nic powiedzieć.

- Linuks - udało jej się wyrzec jego imię.

- Abigail - odpowiedział skinieniem głowy. Pomyślała, że jego oczy mają równie zmęczony wyraz, co jej. Przez krótką chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Wreszcie Linuks podszedł bliżej i wskazał na ławkę.

- Proszę, usiądź w cieniu.

Podeszła do ławki. Gdy usiadła i odzyskała miarowość oddechu, spytała:

- Kiedy przyjechałeś?

- Właśnie teraz. Dopiero co wjechałem do Jerozolimy. Przeszedłem prosto tutaj. Mam dla ciebie wieści od Albana i Lei.

Wyciągnął zza tuniki list. Abigail wzięła go drżącą dłonią. Będzie musiała znaleźć kogoś, kto jej go przeczyta. Siedziała wpatrując się w pergamin i delikatnie go głaszcząc. Mrugając starała się opanować napływające do oczu łzy. Nie będzie płakać. Stanowczo zbyt wiele czasu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy upłynęło jej we łzach. Teraz ich nie uroni.

Linuks czekał cierpliwie.

W końcu zdołała opanować emocje i podniosła głowę.

- Jak się miewają? - zapytała.

Uśmiechnął się lekko.

- Dobrze. Jakub pomaga Albanowi przy karawanach. Głównie podróżują na północ lub po bliższej okolicy. Wciąż nie jest bezpiecznie...  
- nie dokończył zdania. - Musisz zobaczyć ich dziecko. Zdrowy, silny chłopak. Dali mu na imię Gabriel. Ale na pewno Lea napisała ci sporo o dziecku w liście. Alban puszy się z dumy jak kogut. A mały go uwielbia i uśmiecha się za każdym razem, kiedy...

Zauważył, że Abigail spuściła wzrok.

- Przepraszam - powiedział. - Paplam tak bezmyślnie, kiedy ty...

- Nie, w porządku - uniosła głowę. - Dobrze jest słyszeć, co u nich.

Tak się za nimi wszystkimi stęskniłam.

Skinął głową.

- A jak się miewa Lea?

Tym razem Linuks mówił ciszej.

- Przesyła ci pozdrowienia. Ma się dobrze. I jest bardzo zajęta. Spotyka się z miejscowymi kobietami na modlitwie i studiowaniu Pism. Ona... - przerwał na chwilę. - Tęskni za tobą. Jest jej tak przykro, że nie było jej przy tobie, gdy tak bardzo jej potrzebowałeś. Błaga cię, żebyś do nich przyjechała. Chyba traktuje cię jak swoją młodszą siostrę - zakończył trochę nieporadnie. - Chciałaby, żebyś wróciła ze mną do Galilei.

Abigail poczuła, jak jej serce się ściska.

- Ale ja nie mogę - powiedziała, choć te słowa zdawały się rozdzierać jej serce.

- Ale...

- Nie mogę. Tak bardzo bym chciała się z nią zobaczyć. I oczywiście, z Jakubem. Ale nie mogę pojechać. Jestem tu potrzebna - wskazała ręką na stoły na drugim końcu podwórza, gdzie teraz tłoczyło się kilka osób posługujących oraz ci, którzy przyszli po żywność. - Jest tyle do zrobienia...

- Z pewnością ktoś inny jest w stanie cię zastąpić.

Abigail wyprostowała się.

- Być może. Może nie jestem tak niezbędna w zarządzaniu dystrybucją żywności, jak sobie to powtarzam. Ale tu chodzi o coś więcej. Tu jest moje miejsce. Z moim ludem. W służbie mojemu Panu. Czułabym się... Czułabym się jak zbieg, gdybym teraz wyjechała. Czy... - spojrzała mu w oczy - czy potrafisz to zrozumieć?

Linuks przytaknął.

- Tak. Rozumiem.

- I Marta mnie potrzebuje. Nie czuje się ostatnio dobrze. Obawiam się, że jeśli nie pomagałabym Marii opiekować się Martą... - nie dokończyła zdania.



Znów siedzieli w milczeniu. Wydawało się, że jest tyle do powiedzenia, lecz tak mało mogło zostać wypowiedziane na głos.

- Czyli taka jest twoja ostateczna odpowiedź?

- Musi taka być. Mam zbyt wiele powodów, by zostać.

- Rozumiem - nie sądziła, by naprawdę rozumiał, ale to musiało wystarczyć.

Wstał.

- Za trzy dni wracam do Galilei. Jeśli chciałabyś wysłać do Lei list...

- O, tak, tak, chcę - Abigail również wstała. Tak bardzo pragnęła napisać Lei o wszystkim, co kryło się w jej sercu. Jakoś znajdzie kogoś, kto będzie w stanie przelać jej myśli na papier. *Może jedna z tych greckich wdów. One są uczone w piśmie.* Stała pogrążona w myślach, a tymczasem Linuks coś do niej mówił.

- Dobrze było cię znów zobaczyć, Abigail. Dużo o tobie myślałem. O twoim smutku.

Skinęła w podziękowaniu.

- Szczepan był dobrym człowiekiem. Świetnym nauczycielem i jeszcze lepszym przyjacielem. Zawsze będę o nim myślał z głęboką wdzięcznością.

Abigail nie była w stanie nic odpowiedzieć, tylko jeszcze raz skinęła głową.

Linuks przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, skinął głową na pożegnanie i odszedł.

Abigail stała i patrzyła, jak wychodzi z podwórza. Przy wejściu odwrócił się raz jeszcze i podniósł dłoń. Ona w odpowiedzi podniosła swoją. I już go nie było.

Minęło kolejnych kilka minut, nim Abigail była w stanie wrócić do magazynu żywności i dokończyć pracę. Jej myśli biegły w tak wielu kierunkach. Właśnie odrzuciła okazję, by pojechać do Lei, lecz mimo tęsknoty jej serce było spokojne. Jej miejsce naprawdę było tu, gdzie była potrzebna, gdzie mogła służyć, gdzie mieszkał jej lud.

Weszła do spiżarni. Upał utrudniał oddychanie. Schyliła się znów nad zbożem. Ręce zajęły się pracą, a umysł wrócił do listu, który wcześniej układała w myślach. List ten wkrótce zostanie przelany na pergamin i dostarczony do Lei. Dłoń Abigail powędrowała w głąb szaty, gdzie znajdowało się bezpiecznie schowane pismo od Lei. Gdy tylko

skończy swoje obowiązki, poszuka kogoś, kto jej go przeczyta. Nie mogła się już doczekać.

*Musiałam odmówić, Leo – układała w myślach zdania. – Mam nadzieję, że to zrozumiesz. Tak bardzo bym chciała przyjechać, zobaczyć się z tobą i poznać twojego synka, ale nie mogę. Wszelkie powody, które podałam naszemu przyjacielowi, Linuksowi, są prawdziwe. Lecz nie zdradziłam mu najważniejszego powodu, dla którego muszę zostać tu, ze swoim ludem. Widzisz, właśnie odkryłam coś, co zmieniło cały mój świat. Coś zarówno tak smutnego, jak i radosnego, że na początku nie wiedziałam, co o tym myśleć. Teraz czuję tylko ogromne zdumienie i radość. Ledwie jestem w stanie w to uwierzyć, ale to prawda. I jestem taka szczęśliwa. Nie mogę się doczekać, kiedy minie więcej czasu. Całe moje życie nabrało nowego znaczenia. Doznaję nowych emocji. I wciąż tak tęskniłam do tego, by się tym z tobą podzielić, aż teraz nadarzyła się okazja.*

*Jestem brzemienna, Leo! Teraz dziedzictwo Szczepana będzie kontynuowane w następnym pokoleniu. Czuję się taka błogosławiona!*

*Jeden z apostołów, Natanael, uczył nas pewnego wieczoru na podstawie jednego z psalmów króla Dawida. A ja przyjąłam świadectwo Dawida jako własne. Pisał: „Ja zaś jak oliwka, co kwitnie w domu Bożym, zaufam na wieki łaskowości Boga. Chcę Cię wysławiać na wieki za to, coś uczynił, i polegać na Twoim imieniu, bo jest dobre dla ludzi Tobie oddanych”.*

*I to właśnie czynię, Leo. Wysławiam naszego Pana.*

*Kocham cię i modlę się za was,*

*Abigail.*

## **Seria *Kroki Wiary***

1. *Śledztwo Setnika*
  2. *Ukryty Płomień*
  3. *Droga do Damaszku* (premiera 2020 r.)
- 

Te oraz inne inspirujące książki od autorów:

**Janette Oke i Davis Bunn**

znajdziesz w naszym sklepie:

**[www.psalms18.pl/kategoria/powiesci](http://www.psalms18.pl/kategoria/powiesci)**



---

W momencie oddania do druku tej książki,  
planujemy już kolejne tytuły Janette Oke  
- to, kiedy to nastąpi, zależy również od... Ciebie!

Z każdym zakupem na **Psalm18.pl**  
przyczyniasz się do ich wydania. 😊

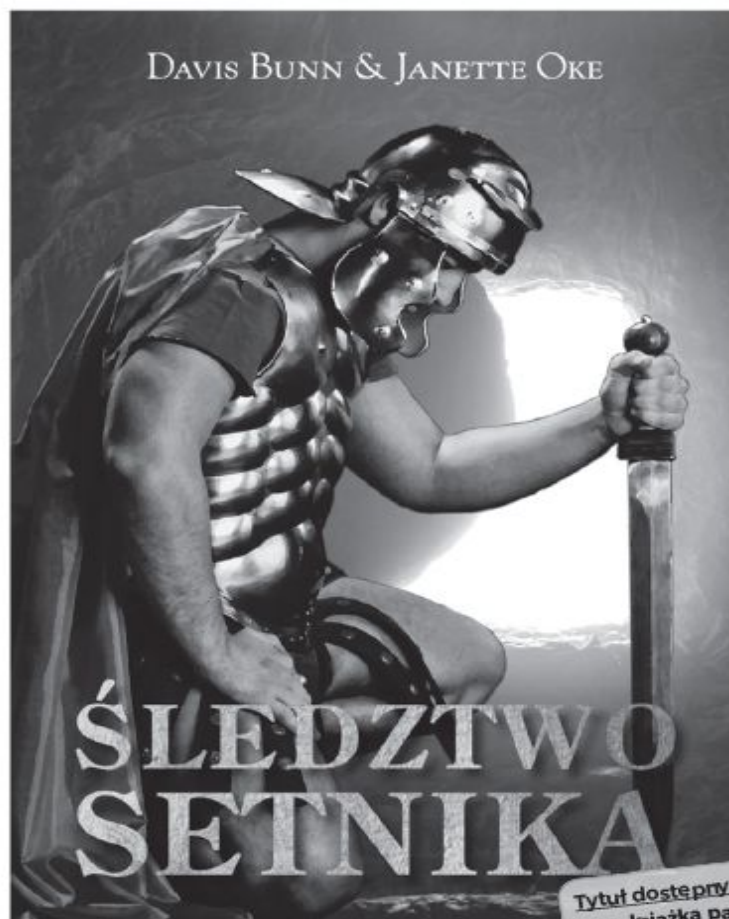
---

Zapisz się na newsletter, by otrzymywać informacje  
o nowościach i promocjach:



**[www.newsletter.psalms18.pl](http://www.newsletter.psalms18.pl)**

POLECAMY



Tytuł dostępny jako:

- książka papierowa
- audiobook CD-MP3
- ebook MOBI / EPUB

**Fascynująca opowieść osadzona w dramatycznych wydarzeniach u zarania chrześcijaństwa.**

Setnik Alban, dowódca garnizonu w Galilei, żywi ambicje, by pewnego dnia zostać przywódcą w samym Rzymie. Chcąc dowieść swej wartości, podejmuje się niezwykłego zadania, w którym zaryzykuje swoją karierę, przekonania, a nawet życie.

Lea zostaje wysłana do domu Poncjusza Piłata, gdy bogactwo i wpływ jej rodziny zostały na zawsze utracone. Jej bliscy oczekują, że Piłat zaaranżuje jej małżeństwo. Jednak mimo, pięknego oblicza i dobrej pozycji narzeczonego, Lea uważa, że los żony setnika jest gorszy niż śmierć.

Zagadka zaginionego ciała pewnego Rabbiego jednoczą Leę i Albana w poszukiwaniu odpowiedzi na te same pytania. To, co odkrywają, zmienia wszystko w ich życiu.

zamów na [www.psalm18.pl](http://www.psalm18.pl)

POLECAMY



Z pewnością jest to niezwykła sytuacja, mieć osiemnastoletnią matkę, gdy samemu ma się już dwanaście lat. Ale jeśli jesteś sierotą, a ona twoją ciocią – i jedyną matką, jaką znasz – no cóż, sprawdza się to całkiem dobrze.

Dlatego tak się zaniepokoiłem usłyszawszy, że dziadek i wujek Charlie rozmawiają o znalezieniu odpowiedniego męża dla cioci Lou!

Przecież trzeba było jakoś temu przeciwdziałać. Nie mogłem stać z boku i patrzeć, jak nasza rodzina się rozpada. Dziadek z wujkiem Charliem zadawali sobie wiele

trudu, by wydac ciocię Lou za męż. stąd tez i ja musiałem niezle się napracowac, by do tego nie doszło. Ale wtedy zjawił się ten młody duszpasterz i sprawy strasznie się pokomplikowały...

zamów na [www.psalm18.pl](http://www.psalm18.pl)

POLECAMY



**ŚWIATOWY**  
**BESTSELLER**

- W ofercie 4 tomy:
1. Miłość przychodzi łagodnie
  2. Obietnica trwałej miłości
  3. Długa podróż miłości
  4. Nieprzemijająca radość

Pisana od 1979 roku seria stała się ulubioną i inspirującą powieścią czytaną przez miliony czytelników. Ze śmiechem i łzami czytelnicy przeżywają losy głównych bohaterów, Marty i Dawida Davisów, których dramatyczne okoliczności życia na dalekiej, XIX-wiecznej prerii połączyły mocno ze sobą.

Pozostająca na długo w pamięci powieść o stracie i miłości, oparta na motywach Domku na Prerii.

zamów na [www.psalm18.pl](http://www.psalm18.pl)

## POLECAMY PORADNIKI Marioli i Piotra Wołochowiczów

### DLA MAŁŻEŃSTW



### DLA RODZICÓW





zamów na [www.psalm18.pl](http://www.psalm18.pl)

# Psalm18.pl

PREZENTUJE

## Seria #PrawdziwaMiłość

to 3 wyjątkowe poradniki dla młodzieży  
autorstwa Marioli i Piotra Wółchojczów.



**Te 3 książki to konkretne odpowiedzi na życiowe pytania** młodych ludzi. Każda z nich składa się z 30 krótkich rozdziałów, napisanych prostym, przystępnym językiem. Całość oparta o wiele prawdziwych przykładów z życia



całkowicie oparte o wiele prawdziwych przykładów z życia  
i praktyki poradniczej Marioli i Piotra Wótochowiczów.

**To doskonała inspiracja  
do rozmów z młodzieżą  
dla rodziców i wychowawców.**

Nowe wydanie dzięki wsparciu społeczności  
[www.wspieram.to/PrawdziwaMilosc](http://www.wspieram.to/PrawdziwaMilosc)

**wspieram.to**

---

**DAVIS BUNN** pisze powieści od blisko 30 lat. Nakład jego książek przekroczył 7 milionów i były one tłumaczone na ponad 20 języków. Jest autorem znanym ze złożoności swego talentu. Pisze zarówno łagodne, nadające się na prezenty książki jak i trzymające w napięciu thrillery. Sukcesem okazała się też jego współpraca z **Janette Oke**, z którą napisał serię poczytnych powieści historycznych.

Davis Bunn czerpie z bogatego doświadczenia przebywania w różnych krajach. Wychował się w Północnej Karolinie, a studia licencjackie ukończył w Wake Forest University. Następnie udał się do Londynu na studia magisterskie w zakresie międzynarodowej ekonomii i finansów, po czym rozpoczął karierę biznesmena, która dała mu możliwość podróży do ponad trzydziestu krajów w Europie, Afryce i na Bliskim Wschodzie.

Autor otrzymał wiele wyróżnień i nagród literackich, w tym trzy nagrody Christy Awards za znakomite powieści. Obecnie pracuje jako etatowy pisarz w Regent's Park College na Uniwersytecie Oxfordzkim, jest też wziętym wykładowcą z dziedziny sztuki pisania.

W Polsce Davis Bunn jest znany już z 2 bardzo pozytywnie przyjętych książek: *Modlitwa nieznajomej* oraz *Relikwie*.

\*\*\*

**JANETTE OKE** urodziła się w Champion, w prowincji Alberta. Jej rodzicami byli kanadyjscy farmerzy. Dorastała w wielodzietnej rodzinie, pełnej śmiechu i miłości. Ukończyła Mountain View Bible College w Albercie, gdzie poznała swojego męża, Edwarda. Pobrali się w maju 1957 r. Byli pastorami w kościołach w Indianie i Kanadzie, po czym spędzili kilka lat w Calgary, gdzie Edward pracował na różnych stanowiskach w college'u, a Janette zajmowała się pisaniem.

Napisała ponad 50 powieści dla dorosłych i 16 powieści dla dzieci. Jej książki rozeszły się do tej pory w prawie trzydziestu milionach egzemplarzy.

Janette i Edward Oke mają trzech synów i córkę. Ich dzieci założyły rodziny i dały im piętnaścioro wnucząt. Edward i Janette udzielają się

w miejscowym kościele i mieszkają w okolicy Didsbury w prowincji Alberta.

W Polsce Janette Oke jest znana polskim z bestsellerowej serii *Miłość przychodzi łagodnie* oraz powieści *Głos serca* (na jej podstawie nakręcono popularny serial).

## DAVIS BUNN

Popularny, amerykański pisarz. Czterokrotny zdobywca nagrody Christy Award, bestsellerowy autor książek sprzedanych w ponad 7 milionach nakładu w 20 językach.

## JANETTE OKE

Znana kanadyjska autorka ponad 70 książek, między innymi sześciotomowej powieści *Głos serca* (na jej podstawie nakręcono serial) oraz bestsellerowej serii: *Miłość przychodzi łagodnie*.

### Fascynująca opowieść osadzona w dramatycznych wydarzeniach u zarania chrześcijaństwa.

Abigail traci wszystko i nie ma zbyt dużych szans na normalne życie. Gdy odkrywa, kim jest Mesjasz i dołącza do Jego wyznawców, odnajduje też nowy cel i sens życia. Może jednak czeka ją dobra przyszłość? Tymczasem coraz większe prześladowania rozpraszają rozrastającą się grupę chrześcijan „aż po krańce ziemi”. A Abigail grozi małżeństwo z niewłaściwym mężczyzną.

O rękę ślicznej Abigail zabiega dwóch zalotników. Jeden jest owdowiałym bogatym kupcem szukającym matki dla swoich dzieci. Drugi zaś to rzymski żołnierz, Linuks, zauroczony wdziękiem i urodą dziewczyny, który mógłby zaoferować jej bezpieczeństwo, a może nawet miłość, której ona tak bardzo pragnie. Jednak żaden z tych dwóch nie podbija jej serca. Szczepan, jeden z przywódców wśród wierzących, posiada charakter oraz wiarę, które głęboko poruszają Abigail, lecz z powodu śmiałego głoszenia na jego życie szykowany jest zamach.

Kiedy wiara i odwaga Abigail stają się w obliczu bólu nie do opisania, w sposób zupełnie niespodziewany, pojawia się promyk nadziei.

Książkę polecają:



metanoja.org



STACJA7.PL



Wydawca:

**Psalm18.pl**

www.wydawnictwo.psalm18.pl

facebook.com/psalm18.pl

Dystrybucja:

Bogulandia

ISBN 978-83-953838-5-4



9 788395 383854

Cena: 39,99 zł

